

**DEAN
KOONTZ**



**NOCNE
DRESZCZE**

Prószyński i S-ka

DEAN KOONTZ

Nocne dreszcze

OD AUTORA

Wielu czytelników, nim jeszcze dojdzie do końca tej książki, poczuje się nieswojo, ogarnie ich lęk, może nawet przerażenie. Jednak ukończywszy lekturę, rzucą w kąt „Nocne dreszcze” równie beztrąsko, jak powieść o reinkarnacji lub opętaniu przez duchy. Chociaż moim głównym celem było napisanie „fajnego czytadła”, podkreślam z całą mocą, że centralny problem książki jest nie tylko fantazją; istnieje realnie i w sposób niezwykle poważny dotyka nas wszystkich.

Subliminalna i subaudialna reklama, starannie planowana manipulacja podświadomością, zagraża naszej prywatności i wolności od co najmniej 1957 roku, kiedy to pan James Vicary dokonał publicznej demonstracji tachistoskopu, rodzaju projektora kinowego, rzucającego obrazy pojawiające się tak krótko, że rejestrowane wyłącznie przez podświadomość. Jak zostało to omówione w rozdziale drugim, tachistoskop przeważnie zastąpiły bardziej wyszukane - i szokujące - urządzenia i sposoby oddziaływania. Reklama subliminalna, oddziałująca na ludzkie zachowania, czerpie pełnymi garściami z odkryć złotego wieku techniki i nauki.

Bardziej wrażliwi czytelnicy z niepokojem zareagują na wiadomość, iż nawet taki szczegół, jak przekaznik końcowy (rozdział dziesiąty), nie stanowi jedynie wymysłu autora.

Robert Farr, znany ekspert w dziedzinie wywiadu elektronicznego, omawia podsłuch za pomocą przekazywacza końcowego w „The Electronic Criminals”, co odnotowano na końcu powieści, w liście materiałów źródłowych.

Ci, którzy badają i wytyczają przyszłość reklamy subliminalnej, powiedzą, że nie mają zamiaru tworzyć społeczeństwa posłusznych robotów, że taki cel stałby w sprzeczności z ich osobistymi wzorcami moralnymi. Jednakże, podobnie jak w przypadku tysięcy innych uczonych naszego wieku, na pewno dowiedzą się, że wrodzone im moralne skrupuły nie powstrzymają innych, bezwzględniejszych ludzi przed wykorzystaniem ich odkryć.

Specyfik, który gra istotną rolę w „Nocnych dreszczach”, to pisarska fikcja. Nie istnieje.

Jest wyłącznie częścią naukowego tła, jakie pozwoliłem sobie stworzyć. Ale niezliczeni badacze modyfikacji zachowań łamią sobie nad nim głowę. Dlatego też gdy mówię, że nie istnieje, być może winienem dodać przezornie jedno słowo - jeszcze.

POCZĄTEK

Sobota, 6 sierpnia 1977

Wąska i kręta droga prowadziła przez las. Zwisające nisko gałęzie modrzewia, świerka i sosny drapały dach, z szelestem gładziły boczne szyby land-rovera.

- Stań tu. - W głosie Rossnera słysząc było napięcie.

Prowadził Holbrook. Był to dobrze zbudowany, wysoki mężczyzna o surowej twarzy, liczący niewiele ponad trzydziestkę. Zaciskał ręce na kierownicy z taką siłą, że aż zbieleły mu knykcie. Wyhamował, zjechał na prawo, zaparkował między drzewami. Zgasił reflektory i włączył światło wewnątrz samochodu.

- Sprawdź broń - powiedział Rossner.

Obaj mężczyźni mieli w futerałach pod pachą najlepsze na świecie samopowtarzalne pistolety - SIG-Petter. Wysunęli magazynki, sprawdzili, czy są pełne, wcisnęli z powrotem w kolby, włożyli broń do futerałów. Ruszali się jak w wyuczonym tańcu, jakby ćwiczyli to tysiąc razy.

Wysiedli z wozu, podeszli do bagażnika.

Lasy w stanie Maine były o trzeciej nad ranem ponure, mroczne i nieruchome.

Holbrook podniósł klapę. Wewnątrz rovera mrugnęła żarówka. Odrzucił impregnowany brezent. Ukazały się dwie pary sięgających bioder gumowych butów, dwie latarki, reszta ekwipunku.

Rossner był niższy, szczuplejszy i szybszy od Holbrooka. Pierwszy włożył buty. Potem wyjął z wozu dwie ostatnie części ekwipunku.

Podstawowym elementem każdego zestawu był pojemnik ładowany pod ciśnieniem, bardzo przypominający butlę do nurkowania, wyposażony w szelki i pas na biodra. Z każdego pojemnika wychodził giętki przewód, zakończony cienką dyszą z nierdzewnej stali.

Pomogli sobie nawzajem nałożyć szelki, upewnili się, czy bez trudu mogą sięgnąć do futerałów pod pachą, zrobili kilka kroków, żeby przyzwycząić się do ciężaru na plecach.

O 3.10 Rossner wyjął z kieszeni kompas, spojrział nań w świetle latarki. Schował instrument, ruszył w las.

Holbrook poszedł jego śladem, zadziwiająco cicho, jak na tak potężnego mężczyznę.

Maszerowali ostrą stromizną. Nie minęło pół godziny, a już musieli dwukrotnie przystanąć dla zaczerpnięcia oddechu.

O 3.40 ujrzeli przed sobą tartak Big Union. Trzysta jardów na prawo, między drzewami, zobaczyli kompleks jedno- i dwupiętrowych zabudowań, wzniesionych z lekkich pustaków, pokrytych szalówką. Wszystkie okna były jasno oświetlone, na ogrodzony plac składowy padał zamazany, purpurowobiały blask lamp łukowych. W największym, głównym budynku zawodziły gigantyczne piły. Kłody i pocięte deski z ogłuszającym łoskotem spadały z taśmociągów do metalowych skrzyń.

Rossner i Holbrook obeszli tartak. Nie chcieli, żeby ich ktoś zobaczył. Do szczytu wzgórza dotarli o czwartej.

Nie mieli trudności ze zlokalizowaniem sztucznego jeziorka. Jeden jego kraniec połyskiwał w nikłym księżycowym blasku. Drugi był zasłonięty przez wysokie pasmo gór. Jeziorko miało kształt regularnej elipsy. Dłuższa średnica liczyła trzysta, a krótsza dwieście jardów. Wpadały do niego pluskające strumienie. Służyło za zbiornik wodny zarówno dla tartaku Big Union, jak i niewielkiego miasteczka Black River, leżącego trzy mile dalej, w dolinie.

Szli wzdłuż wzniesionego dla ochrony przed ludźmi i zwierzętami, wysokiego na sześć

stóp ogrodzenia, aż dotarli do głównej bramy. Nie była zamknięta. Weszli do środka. Rossner zanurzył się w wodzie po zacienionej stronie zbiornika. Przemierzył dziesięć stóp, woda sięgała mu już do krawędzi wysokich butów, a głębina na środku miała prawie sześćdziesiąt stóp. Rozwinął przewód z kołowrotka umieszczonego z boku pojemnika, ujął stalową rurę, nacisnął przycisk. Bezbarwny, bezwonny środek chemiczny wystrzelił z dyszy. Rossner zanurzył rurę w wodzie i poruszał nią w różnych kierunkach, rozprowadzając płyn - możliwie jak najdalej. Po dwudziestu minutach opróżnił pojemnik. Nawinął przewód na kołowrotek, spojrzął w kierunku odległego drugiego końca jeziora.

Holbrook zakończył opróżnianie swojego pojemnika, wdrapywał się na cementowe obrzeże zbiornika. Spotkali się przy bramie.

- W porządku? - spytał Rossner.

- Bez pudła.

O 5.10 znaleźli się przy land-roverze. Z bagażnika wyjęli łopaty, wykopali w ziemi dwa płytkie dołki. Zakopali puste pojemniki, buty, futerały, broń.

Przez dwie godziny Holbrook prowadził wyboistymi polnymi drogami; przejechał drewniany mostek na St John River; wjechał na szutrówkę; w końcu, o wpół do dziewiątej, dotarli do asfaltowej szosy.

Od tego miejsca kierownicę przejął Rossner. Nie zamienili ze sobą więcej niż kilkanaście słów.

O wpół do pierwszej Holbrook wysiadł przy Starlite Motel, stojącym obok drogi numer 15. Wynajmował tam pokój. Nie żegnając się, zatrzasnął drzwi samochodu, wszedł do pokoju, przekręcił zamek w drzwiach, usiadł przy telefonie.

Rossner napełnił bak na stacji Sunoco i pojechał drogą międzystanową numer 95 na południe do Wareville. Minął Augustę. Stamtąd ruszył płatną autostradą do Portland. Zjechał na

parking przy restauracji, stanął obok rzędu budek telefonicznych.

W popołudniowym słońcu restauracyjne okna lśniły jak lustra, zaparkowane wozy odbijały słoneczny blask. Fale gorącego powietrza drgały nad nawierzchnią.

Spojrzał na zegarek: 15.35.

Odchylił się w tył, przymknął oczy. Zdawał się drzemać, ale co pięć minut spoglądał na zegarek. O 15.55 wysiadł z wozu, podszedł do ostatniej budki w rzędzie.

O 16.00 zadzwonił telefon.

- Rossner.

Głos po drugiej stronie linii był chłodny i ostry.

- Jestem klucz, panie Rossner.

- Jestem zamek - powiedział głucho Rossner.

- Jak poszło?

- Zgodnie z planem.

- Spóźniłeś się na telefon o piętnastej trzydzieści.

- Tylko pięć minut.

Mężczyzna po drugiej stronie słuchawki zawahał się.

- Opuścisz autostradę na najbliższym zjeździe - polecił po chwili. - Na drodze stanowej skręcisz w prawo. Rozpędzisz samochód do stu mil na godzinę. O dwie mile dalej droga skręca ostro, ostro na prawo. Stoi tam mur z polnego kamienia. Kiedy dojedziesz do skrzyżowania, nie zahamujesz. Nie zakręcisz. Wjedziesz prosto w ten mur z prędkością stu mil na godzinę.

Rossner spoglądał przez szklaną ścianę budki. Młoda kobieta szła z restauracji do małego czerwonego sportowego samochodu. Nosila obcisłe białe szorty z ciemną stębnówką. Miała ładne nogi.

- Glenn?

- Tak, sir.

- Czy rozumiałeś?

- Tak.

- Powtórz, co powiedziałem.

Rossner powtórzył prawie słowo w słowo.

- Bardzo dobrze, Glenn. Teraz wykonaj to natychmiast.

- Tak, sir.

Rossner podszedł do land-rovera, wrócił na przeciążoną autostradę.

Holbrook siedział cicho, spokojnie w nieoświetlonym motelowym pokoju. Włączył telewizor, ale nie patrzył na ekran. Wstał raz, żeby skorzystać z toalety, napić się wody; to była jedyna przerwa w jego czuwaniu.

O 16.30 zadzwonił telefon.

Podniósł słuchawkę.

- Holbrook.

- Jestem klucz, panie Holbrook.

- Jestem zamek.

Mężczyzna po drugiej stronie słuchawki mówił przez pół minuty.

- Powtórz, co powiedziałem. Holbrook powtórzył.

- Znakomicie. Teraz wykonaj.

Odłożył słuchawkę, wszedł do łazienki, zaczął napełniać krótką wannę gorącą wodą.

Glenn Rossner, kiedy wjechał na drogę stanową, wcisnął maksymalnie gaz. Silnik zawył.

Karoseria zaczęła dygotać. Drzewa, domy, samochody pojawiały się i znikwały jak błyskawice zredukowane do kolorowych plam. Koło kierownicy skakało, wibrowało mu w dłoniach.

Przez pierwsze półtorej mili nie oderwał wzroku od szosy nawet na sekundę. Kiedy

zobaczył przed sobą zakręt, spojrzął na szybkościomierz, dostrzegł, że rozwija trochę większą prędkość niż sto mil na godzinę.

Popłakiwał cicho, ale nie słyszał tego. Jedyne, co do niego docierało, to wycie samochodu.

W ostatniej chwili zazgrzytał zębami, zadygotał.

Land-rover uderzył w czterostopowy mur z taką siłą, że silnik wyskoczył Rossnerowi na kolana. Kamienie frunęły w górę. Rover wzniósł się pionowo na zmiażdżonej masce, opadł na dach, osunął się po zniszczonym murze, stanął w płomieniach.

Holbrook rozebrał się, wszedł do wanny. Usiadł w wodzie, wziął do ręki jednostronną żyłkę, leżącą na brzegu wanny. Ujął żyłkę tępą stroną pewnym chwytem między kciuk a palec wskazujący prawej dłoni, przeciął żyły na lewym przegubie.

Chciał otworzyć prawy przegub, ale lewą ręką nie mógł utrzymać ostrza. Wyśliznęło się z palców.

Wyłowił je z ciemniejącej wody, jeszcze raz ujął prawą dłonią, ciął po lewym śródstopiu.

Odchylił się w tył, zamknął oczy.

Powoli odpływał w tunel gasnących świateł, coraz głębszą ciemność. Czuł zawrót głowy, słabość, zadziwiająco niewiele bólu. Po trzydziestu minutach zapadł w śpiączkę. Po czterdziestu nie żył.

Niedziela, 7 sierpnia 1977

W weekend, po całym tygodniu na nocnej zmianie, Buddy Pellineri nie potrafił wyjść z utrwalonego rytmu czuwania. W niedzielę o czwartej nad ranem siedział już w kuchni, w małym, dwupokojowym mieszkaniu. Radio, jego najcenniejsza własność, cichutko nadawało muzykę z całodobowej rozgłośni kanadyjskiej. Buddy tkwił przy stole, obok okna, uparcie wpatrując się w cienie po drugiej stronie ulicy. Przed chwilą zobaczył kota biegnącego chodnikiem i strach zjeżył mu włosy na karku.

Buddy Pellineri nienawidził i bał się jak niczego na świecie kotów i śmieszności.

Przez dwadzieścia pięć lat mieszkał z matką. Przez dwadzieścia pięć lat matka trzymała kota, najpierw Cezara, a potem Cezara Drugiego. Nigdy nie wpadła na to, że koty - szybsze i sprytniejsze od syna - mogą być dla niego istną zmorą. Cezar - pierwszy czy drugi, bez różnicy - lubił czatować na półce z książkami, na szafie lub szynonierce i czekać, aż Buddy przejdzie obok niego. Wówczas skakał mu na plecy. Nigdy mocno nie drapał - dla zwierzaka najważniejsze było wpić się pazurami w koszulę chłopca, tak by nie mógł go strząsnąć. Buddy za każdym razem - jakby odgrywał jakąś wyuczoną rolę - wpadał w panikę i kręcił się w kółko albo jak oszalały biegał z pokoju do pokoju w poszukiwaniu matki, z Cezarem prychnającym mu do ucha. Nigdy specjalnie nie ucierpiał podczas tej zabawy. Ale zaskakujący, nagły atak budził w nim grozę. Matka mówiła, że Cezar tylko tak się bawi. Czasami Buddy mierzył się z kotem oko w oko, chcąc udowodnić, że się nie boi. Zbliżał się, gdy tamten wygrzewał się na parapecie, i starał się przymusić go do spuszczenia wzroku. Ale to Buddy pierwszy odwracał wzrok. Nie potrafił do końca zrozumieć ludzi, a pod nieprzeniknionym spojrzeniem zwierzęcia czuł się wyjątkowo głupi, gorszy. Ze śmiesznością radził sobie lepiej niż z kotami, choćby dlatego, że nigdy nie przytrafiała się niespodziewanie. Kiedy był mały, inne dzieci dręczyły go bezlitośnie. Nauczył się z tym żyć. Zawsze był na tyle bystry, żeby wiedzieć, iż różni się od innych. Gdyby jego iloraz inteligencji był nieco mniejszy, to zgodnie z oczekiwaniami ludzi Buddy nie wstydziłby się siebie, gdyby natomiast był mądrzejszy, radziłby sobie, przynajmniej do pewnego stopnia, z kotami i okrutnymi ludźmi. Ponieważ jednak jego iloraz miał wartość pośrednią, życie Buddy'ego było usprawiedliwieniem zahamowanego intelektu - przekleństwem, jakie dźwigał z winy niesprawnego inkubatora szpitalnego, w którym umieszczono go, kiedy przyszedł na świat pięć tygodni przed terminem porodu.

Gdy miał pięć lat, ojciec zginął w wypadku przy pracy w tartaku i pierwszy Cezar pojawił

się w domu dwa tygodnie później. Gdyby ojciec nie umarł, może nie byłoby kotów. I Buddy lubił sobie pomarzyć, że gdyby ojciec żył, nikt nie odważyłby się z niego wyśmiewać.

Od kiedy matka zachorowała na raka, dziesięć lat temu, gdy Buddy miał dwadzieścia pięć, pracował jako pomocnik nocnego stróża w tartaku Big Union Supply Company. Jeśli nawet podejrzewał, że niektórzy ludzie w Big Union czują się za niego odpowiedzialni, a praca jest zajęciem pozornym, nigdy się do tego nie przyznał, nawet przed sobą. Był na służbie od północy do ósmej, pięć nocy w tygodniu: patrolował plac składowy, sprawdzając, czy nie ma dymu, iskier i ognia. Był dumny ze swego stanowiska. W ciągu ostatnich dziesięciu lat zdał sobie sprawę z własnej wartości, o czym nie miał pojęcia przed zatrudnieniem.

Jednak zdarzały się chwile, kiedy znów czuł się jak mały chłopiec, poniżany przez rówieśników: cel niezrozumiałych żartów. Jego szef w tartaku, Ed McGrady, główny wartownik na nocnej zmianie, był miłym człowiekiem. Muchy by nie skrzywdził. Ale śmiał się, kiedy inni kpili z Pellineriego. Wprawdzie Ed zawsze nakazywał im przestać, zawsze ratował swojego kumpla Buddy'ego - ale sam też się z niego podśmiewał.

Dlatego też Buddy nie powiedział nikomu, co zobaczył w sobotę rano, prawie dwadzieścia cztery godziny temu. Nie chciał, żeby go znów wyśmiano.

O świcie opuścił plac i wszedł dobry kawałek w las, żeby się załatwić. Starał się nie korzystać z toalet, bo właśnie tam najbardziej się z niego nabijano i dokuczano mu. Za kwadrans piąta stał przy wielkiej sośnie, otulony w ciemność, i siusiał, kiedy zobaczył dwóch mężczyzn wychodzących z jeziora. Nieśli latarki, rzucające wąski żółty promień światła. W jego poświacie, gdy mijali go w odległości pięciu jardów, Buddy zobaczył, że mają na nogach wysokie gumowe buty, jakby byli na rybach. Ale przecież w jeziorze nie ma co łowić. Tam nie ma ryb! I jeszcze coś... Każdy dźwigał na plecach butlę, jak nurkowie w telewizji. I mieli broń w futerałach pod pachą. Wyglądali dziwnie z tym w lesie. Obco.

Przestraszyli go. Wyczuł, że to zabójcy. Jak w telewizji. Gdyby się dowiedzieli, że ich wypatrzył, zabiliby go i zakopali w ziemi. Był tego pewien. Ale cóż, Buddy zawsze spodziewał się najgorszego. Życie go tego nauczyło.

Nieruchomy jak głaz, obserwował ich, aż znikli. Wówczas biegiem wrócił na plac. Ale szybko zrozumiał, że nie może nikomu opowiedzieć tego, co widział. Nie uwierzono by mu. I, na Boga, jeśli ma być wyśmiany za mówienie najczystszej prawdy, to zachowa ją w tajemnicy! Ale równocześnie chciał to komuś opowiedzieć - byle nie wartownikowi z tartaku. Myślał i myślał, ale dalej nie mógł pojąć, o co chodziło z tymi nurkami czy kimś takim. Im dłużej o tym myślał, tym bardziej stawało się to niezrozumiałe i straszne. Był pewien, że gdyby to komuś opowiedział, wytłumaczono by mu, o co chodzi, i przestałby się bać. Ale mogliby się śmiać... Cóż, kpin też nie rozumiał, a były one jeszcze okropniejsze niż tajemniczy mężczyźni w lesie.

Po drugiej stronie Main Street kot wyprysnął z gęstych, purpurowych cieni i podreptał do Ogólnoasortymentowego Sklepu Edisona, budząc Buddy'ego z zamyślenia, Buddy przywarł twarzą do okna i obserwował kota, aż ten znikł za rogiem. Obawiał się, że zwierzę prześliznie się od tyłu i wdrapie na drugie piętro, do mieszkania. Obserwował miejsce, w którym kot znikł. Przez moment zapomniał o mężczyznach w lesie, ponieważ jego lęk przed kotami był dużo większy niż lęk przed bronią i obcymi.

CZEŚĆ PIERWSZA

ZMOWA

ROZDZIAŁ 1

Sobota, 13 sierpnia 1977

Kiedy Paul Annendale minął zakręt i wjechał w niewielką dolinę, poczuł się rażniej. Po pięciu godzinach za kółkiem wczoraj i następnych pięciu dziś był znużony i napięty - ale nagle kark przestał go boleć, a mięśnie ramion się rozluźniły. Ogarnął go spokój, jakby tu nie mogło stać się nic złego, jakby był Hugh Conwayem z „Zagubionego horyzontu” i właśnie wjechał do Shangri-La.

Oczywiście Black River nie było Shangri-La, nie dajmy ponieść się fantazji. Istniało naprawdę i utrzymywało swą populację, wynoszącą czterysta dusz, jedynie dzięki tartakowi. Jak na przykładowe miasteczko, było czyste i sympatyczne. Główną ulicę obsadzono wysokimi dębami i brzoźami. Domy zbudowano w stylu kolonialnym Nowej Anglii, to znaczy w kształcie „solniczek”, z białych belek i czerwonych cegieł. Pozytywna reakcja Paula wynikała z braku złych wspomnień z tego miasta. Zapamiętał tylko rzeczy dobre, czego nie da się powiedzieć o wielu miejscach, które przemierzył w swym życiu.

- Jest sklep Edisona! Jest sklep! - Mark Annendale wychylił się z tylnego siedzenia i palcem wskazywał przez przednią szybę.

- Dzięki, traperze Pete, skaucie północy - rzekł z uśmiechem Paul.

Rya była równie podniecona jak brat. Sam Edison był dla nich niczym dziadek. Ale zachowała się z większą godnością niż Mark. Ukończyła jedenasty rok życia i całą duszą tęskniła za kobiecością, od której nadal dzieliły ją jeszcze lata. Siedziała wyprostowana w pasach na przednim siedzeniu obok Paula.

- Mark, czasem robisz wrażenie, jakbyś miał nie dziewięć, lecz pięć lat - zawyrokowała.

- Och, taaak? No wiesz, ty czasem zachowujesz się, jakbyś miała nie jedenaście, ale

sześdziesiąt!

- Touche - osądził Paul.

Mark uśmiechnął się szeroko. Zwykle nie dorównywał siostrze. Szybka odzywka to nie w jego stylu.

Paul zerknął kątem oka na Ryę. Płonęła rumieńcem. Mrugnął, żeby wiedziała, że nie z niej się śmiał.

Uśmiechnięta, odzyskawszy równowagę, rozluźniła się na fotelu. Była w stanie załatwić

Marka tekstem, po którym język stanąłby mu kołkiem, ale umiała zdobyć się na wspaniałomyślność, cechę rzadką u dziecka w jej wieku.

W sekundę po zatrzymaniu się kombi obok krawężnika Mark stał na chodniku. Kilkoma skokami pokonał cementowe schodki, przebiegł szeroką werandę i znikł w sklepie. Siatkowe drzwi strzeliły za nim w chwili, gdy Paul wyłączał silnik.

Rya za żadne skarby nie zamierzała robić z siebie podobnego widowiska. Nie śpiesząc się, z powagą wysiadła z wozu, przeciągnęła się, ziewnęła, wygładziła dzinsy na kolanach, wyprostowała kołnierzyk granatowej bluzki, poprawiła długie czarne włosy, zamknęła drzwi od samochodu i ruszyła po schodkach. Jednak nie dotarła jeszcze nawet do werandy, kiedy przeszła w galop.

Sklep Ogólnoasortymentowy Edisona to było całe centrum handlowe, zajmujące trzy tysiące stóp kwadratowych. Stanowiła go hala długości stu stóp, szerokości trzydziestu, ze staromodną, kołkowaną, sosnową podłogą. We wschodnim rogu był dział świeżej żywności. W zachodnim konserwy, 1001 drobiazgów i połyskująca, nowoczesna lada z lekarstwami i kosmetykami.

Sam Edison - tak jak kiedyś jego ojciec - był jedynym licencjonowanym aptekarzem w miasteczku.

W środku pomieszczenia stały przed wiejskim piecem, opalanym drewnem, trzy stoliki i tuzin dębowych krzeseł. Teraz krzesła były puste, choć zwykle widywało się tu starych mężczyzn, grających w karty. Sklep Edisona stanowił nie tylko miejsce zakupów i aptekę, ale również ośrodek życia towarzyskiego Black River.

Paul podniósł pokrywę skrzyni do schładzania napojów i wyłowił z lodowatej wody puszkę pepsi. Siadł przy stoliku.

Rya i Mark stali przy staromodnej, osłoniętej szkłem ladzie ze słodyczami i chichotali z dowcipów Sama. Obdarował ich cukierkami i wysłał do stelaża z tanimi książkami i komiksami, żeby wybrali sobie prezenty. Podszedł do Paula i usiadł tyłem do zimnego pieca.

Wymienili nad stołem uścisk dłoni.

Na pierwszy rzut oka, pomyślał Paul, Sam wygląda na twardego i nieprzyjemnego faceta.

Był mocno zbudowany, pięć stóp osiem cali, sto sześćdziesiąt funtów, szeroka klatka piersiowa i mocne barki. Koszula z krótkimi rękawami odsłaniała potężne przedramiona i bicepsy. Twarz miał opaloną i w zmarszczkach, oczy jak odłamki szarego łupku. Nawet z gęstą białą czupryną i brodą sprawiał wrażenie raczej zabijaki niż dziadunia i można było mu dać czterdzieści pięć lat.

Naprawdę liczył ich o dziesięć więcej.

Ale ten groźny wygląd wprowadzał w błąd. Sam był człowiekiem ciepłym i łagodnym, miękkim jak wosk w rękach dzieci. Najprawdopodobniej więcej cukierków rozdawał, niż sprzedawał. Paul nigdy nie widział go rozgniewanego, nigdy nie słyszał, żeby podniósł głos.

- Dawno w mieście?

- Zatrzymaliśmy się najpierw u ciebie.

- Nie pisałeś, na jak długo zjeżdżacie w tym roku. Cztery tygodnie?

- Chyba sześć.

- Cudownie! - Szare oczy zabłysły radośnie, choć w grubo ciosanej twarzy każdemu, kto

nie znał Sama dobrze, mogły wydać się groźne. - Na tę noc zostajecie u nas, jak planowaliśmy? Nie

wybieracie się dziś w góry?

Paul przecząco pokręcił głową.

- Jesteśmy w drodze od dziewiątej rano. Nie mam sił dziś rozbijać obozowiska.

- Ale wyglądasz dobrze.

- Czuję się dobrze, bo jestem w Black River.

- Potrzebowałeś odpoczynku, co?

- O Boże, tak. - Paul upił trochę pepsa. - Rzygam do nieprzytomności znerwicowanymi pudłami i liszajami u syjamskich kotów.

Sam się uśmiechnął.

- Mówiłem ci setki razy, że nie zostaniesz stuprocentowym weterynarzem, otwierając klinikę na przedmieściu Bostonu. Tam zamieniasz się w pielęgniarkę dla neurotycznych domowych zwierzaków i ich równie neurotycznych właścicieli. Daj dęba na wieś, Paul.

- Mam zakasać rękawy przy cielnych krowach i źrebiących się klaczach?

- Właśnie.

Paul westchnął.

- Może. Kiedyś.

- Powinieneś wywieźć swoje dzieciaki z tego przedmieścia, tam gdzie powietrze jest czyste i woda nadaje się do picia.

- Może tak zrobię. - Spojrzał w głąb sklepu, w kierunku zasłoniętych kotarą drzwi. - Jenny w domu?

- Cały ranek realizowałem recepty, a ona teraz rozwozi lekarstwa. Wydaje mi się, że w ciągu ostatnich czterech dni sprzedałem ich więcej niż zwykle przez cztery tygodnie.

- Epidemia?

- No. Przeziębienie, grypa, nazwij to, jak chcesz.
- A co o tym myśli doktor Troutman?
- Nie jest do końca pewny. - Sam wzruszył ramionami. - Uważa, że to nowa odmiana grypy.
- Co zapisuje?
- Antybiotyk. Tetracyklinę.
- Niezbyt silny środek.
- Tak, ale ta grypa nie jest wcale taka groźna.
- Tetracyklina pomaga?
- Za wcześnie, żeby to stwierdzić. Paul zerknął na Ryę i Marka.
- Tu są bezpieczniejsze niż gdzie indziej w mieście - powiedział Sam. - Jenny i ja jesteśmy chyba jedynymi ludźmi w Black River, którzy na tę chorobę nie zapadli.
- Gdybym znalazł się w górach i okazało się, że mam na głowie dwójkę chorych dzieciaków, czego mam się spodziewać? Mdłości? Gorączki?
- Niczego z tych rzeczy. Nocnych dreszczy. Paul przekrzywił głowę z niedowierzaniem.
- Jak się zdaje, dają cholernie w kość. - Brwi Sama zbiegły się w jedną gęstą białą linię. - Budzisz się w środku nocy, jakbyś właśnie miał okropny sen. Trzęsie cię tak, że wszystko ci z rąk leci. Ledwo powłóczysz nogami. Serce ci wali. Zlewasz się potem - i to setnie - jak przy bardzo wysokim ciśnieniu. Trwa to z godzinę, a potem mija jakby nigdy nic. Nie możesz się pozbierać przez resztę dnia.
- Nie wygląda to na grypę - powiedział zachmurzony Paul.
- W ogóle na nic nie wygląda. Ale ludzie są wystraszeni jak diabli. Pierwsi zachorowali we wtorek wieczorem, a reszta dołączyła w środę. Co noc budzą ich dreszcze i w ciągu dnia są słabi, trochę zmęczeni. Cholernie niewielu ludzi w okolicy spało dobrze ostatniego tygodnia.

- Doktor Troutman konsultował z kimś te przypadki?

- Najbliższy lekarz jest o sześćdziesiąt mil stąd - powiedział Sam. - Doktor wczoraj

wieczorem dzwonił do Stanowej Agencji Zdrowia, prosił o przyjazd któregoś z ich praktyków. Ale do poniedziałku nie mogą nikogo przysłać. Mam wrażenie, że trudno im wyskakiwać z portek na wieść o epidemii nocnych dreszczy.

- Te dreszcze to może być zaledwie wierzchołek góry lodowej.

- Pewnie tak. Ale znasz biurokratów.

Sam przyłapał Paula na kolejnym spojrzeniu na dzieci.

- Słuchaj, nie ma się czym przejmować. Będziemy trzymać dzieciaki z dala od każdego chorego - uspokoił go.

- Miałem zabrać Jenny do Ultman's Cafe. Chciałem zafundować nam miłą, spokojną kolację.

- Jak złapiesz grypę od kelnerki albo jakiegoś gościa, przeniesiesz na dzieci. Darujcie sobie kolację. Zjedzcie w domu. Wiesz, że jestem najlepszym kucharzem w Black River.

Paul się zawahał.

- Zjemy wcześniejszą kolację. - Sam roześmiał się i pogładził po brodzie. - O szóstej.

Będziecie mieli z Jenny masę czasu. Możesz ją później zabrać na przejażdżkę. Jeśli wolałbyś zostać, ja i dzieciaki wybędziemy z domu.

- Co jest w karcie? - uśmiechnął się Paul.

- Manicotti.

- I komu potrzebna Ultman's Cafe?

- Tylko Ultmanom. - Sam pokiwał wyrozumiale głową.

Rya i Mark podbiegli do Sama z wybranymi prezentami, aby je zaaprobował. Mark ścisnął komiksy za dwa dolary, a Rya dwie książki. Każde z nich miało po torbce cukierków.

Paulowi wydało się, że oczy córki płoną niezwykle blaskiem, jakby odbijało się w nich jakieś światło.

- Tatusiu, to będą najwspanialsze wakacje w życiu! - zawołała, uśmiechając się szeroko.

ROZDZIAŁ 2

Trzydzieści jeden miesięcy wcześniej. Piątek, 10 stycznia 1975

Ogden Salsbury stawiał się na spotkanie - co było dlań charakterystyczne - dziesięć minut wcześniej, o drugiej pięćdziesiąt.

H. Leonard Dawson, prezes i główny właściciel akcji Futurex International, nie zaprosił go od razu do gabinetu. Bynajmniej. Kazał mu czekać do trzeciej piętnaście. I to było charakterystyczne dla niego: nigdy nie omieszkiał przypomnieć współpracownikom, że jego czas jest nieskończenie droższy niż ich.

Sekretarka Dawsona wprowadziła wreszcie gościa na komnaty wielkiego człowieka.

Odbyło się to tak, jakby wiodła go do ołtarza katedry. Jej postawa była pełna szacunku. W biurze rozbrzmiewała muzyka, ale w gabinecie panowała niczym nie zmałona cisza. Pokój zakomponowano oszczędnie: granatowy dywan, dwa ponure olejne obrazy na białych ścianach, dwa fotele po jednej stronie biurka, jeden po drugiej, niski stolik, grube aksamitne zasłony, okalające siedemset stóp kwadratowych lekko zabarwionego szkła z widokiem na centrum Manhattanu. Sekretarka opuściła gabinet niemal równie pokornie, jak ministrant wycofujący się przed ołtarza.

- Jak się masz, Ogden? - Gospodarz wynurzył się zza biurka z wyciągniętą do powitania ręką.

- Dobrze. Całkiem dobrze... Leonardzie.

Dłoń Dawsona była mocna i sucha. Salsbury'ego wilgotna.

- Jak się ma Miriam? - Zauważył wahanie gościa. - Nie jest chora?

- Rozwiedliśmy się - wyjaśnił Salsbury.

- Przykro mi to słyszeć.

Czyżby w głosie Dawsona zadźwięczała nagana? - zastanowił się Salsbury. Ale dlaczego, do diabła, miałbym się tym przejmować?

- Kiedy się rozeszliście?

- Dwadzieścia pięć lat temu... Leonardzie. - Salsbury czuł, że powinien raczej zwracać się do gospodarza po nazwisku, ale postanowił nie dać się onieśmielić Dawsonowi, co zdarzało się za dawnych, młodszych lat.

- Od wieków już nie rozmawialiśmy - powiedział Dawson. - Jaka szkoda! Wiele wspólnych cudownych chwil mamy za sobą.

Należeli do jednego bractwa studenckiego w Harvardzie i przez kilka lat po opuszczeniu uniwersytetu łączyła ich niezobowiązująca przyjaźń. Salsbury nie mógł sobie przypomnieć ani jednej „wspólnej cudownej chwili”. Tak naprawdę nazwisko H. Leonard Dawson zawsze było dla niego symbolem pruderii i nudy.

- Ożeniłeś się drugi raz? - spytał Dawson.

- Nie.

- Małżeństwo jest kamieniem węgielnym uporządkowanej egzystencji. - Dawson zmarszczył czoło. - Stabilizuje życie mężczyzny.

- Masz rację - powiedział Salsbury, choć wcale w to nie wierzył. - Nie nadaję się na kawalera.

Przy Dawsonie zawsze czuł się nieswojo. Dzisiejszy dzień nie był wyjątkiem. Po części wynikało to z dzielących ich znacznych różnic w wyglądzie. Dawson mierzył sześć stóp i dwa cale, miał szerokie ramiona, wąskie biodra, atletyczną sylwetkę. Salsbury mierzył pięć stóp i dziewięć cali, garbił się i ważył dwadzieścia funtów za dużo. Dawson miał gęste, siwiejące włosy, ciemną

opaleniznę, przenikliwe czarne oczy i rysy amanta filmowego. Tymczasem Salsbury był blady, łysiał, a piwne, krótkowzroczne oczy wymagały okularów z grubymi szklami. Obaj mieli po pięćdziesiąt cztery lata. Ale Dawson o niebo lepiej zniósł niszczący upływ czasu.

No cóż, pomyślał Salsbury, on zawsze prezentował się lepiej ode mnie. Lepsza prezencja oznacza większe powodzenie, większe pieniądze...

Kiedy Dawson promieniował autorytetem, Salsbury zachowywał się służalczo. W laboratorium, na własnym podwórku, Ogden imponował nie mniej niż Leonard. Jednak teraz nie siedzieli w laboratorium i czuł się nie na miejscu, niedorównujący mu poziomem, gorszy.

- Jak się miewa pani Dawson?

- Wspaniale! - Potężny mężczyzna uśmiechnął się szeroko. - Po prostu wspaniale.

Podjąłem w życiu tysiące trafnych decyzji, Ogden. Ale ona jest najlepsza z nich. - Głos miał głęboki i przesadnie uroczysty, niemal teatralny. - Jest dobrą, lękającą się Boga i kochającą Kościół kobietą.

Wciąż jesteś płomiennym kaznodzieją, pomyślał Salsbury. Liczył, że dzięki temu osiągnie cel, dla którego się tu zjawiał.

Wpatrywali się w siebie, nie umiejąc wymyślić żadnego tematu do błażej rozmowy.

- Siadaj - powiedział Dawson. Wrócił za biurko, a Salsbury usiadł przed nim. Cztery stopy politurowanego dębu podkreślały władcą rolę Dawsona.

Sztywny, z teczką na kolanach, Salsbury wyglądał jak korporacyjny odpowiednik pokojowego pieska. Wiedział, że musi się rozluźnić, że niebezpiecznie jest dać poznać Dawsonowi, jak łatwo można go onieśmielić. Mimo że zdawał sobie z tego sprawę, potrafił jedynie udawać luz. Splótł dłonie na teczce.

- Ten list... - Dawson spojrzał na kartkę leżącą na bibularzu.

Salsbury napisał „ten list” i znał go na pamięć.

Drogi Leonardzie!

Od czasu gdy opuściliśmy Harvard, zarobiłeś więcej pieniędzy ode mnie. Jednak ja też nie zmarnowałem życia. Po wielu latach badań i eksperymentowania doprowadziłem niemal do doskonałości metodę, której wartość nie ma ceny. Dochody w ciągu jednego roku mogą przerosnąć zgromadzone przez Ciebie bogactwo. Piszę to absolutnie serio.

Czy mógłbyś wyznaczyć mi spotkanie w odpowiadającym Ci terminie? Nie zmarnujesz czasu, który mi poświęcisz.

Wyznacz spotkanie na nazwisko „Robert Stanley”. Pseudonim ten zamiast mojego nazwiska wpisz do swojego terminarza. Jak się domyślasz z nagłówka tej papeterii, prowadzę działania w głównym laboratorium badawczym Creative Developments Associates, filii Futurex International. Jeśli znasz istotę interesów CDA, zrozumiesz potrzebę dyskrecji.

Twój Ogden Salisbury

Oczekiwał szybkiej odpowiedzi na list i nie zawiódł się. W Harvardzie Leonard kierował się dwiema świetlanymi zasadami: zarabiaj pieniądze i czcij Boga. Salisbury uznał - i nie pomylił się - że charakter Dawsona nie uległ zmianie. List został wysłany we wtorek. W środę, późnym wieczorem, zadzwoniła sekretarka Dawsona, by ustalić datę spotkania.

- Zwykle nie przyjmuję listów poleconych - stanowczo oznajmił Dawson. - Ten odebrałem, gdyż widniało na nim twoje nazwisko. Po zapoznaniu się z jego treścią chciałem wyrzucić go do kosza.

Salisbury jęknął w duchu.

- Gdyby był od kogoś innego, na pewno wyrzuciłbym go do kosza. Ale w Harvardzie nie zaliczałeś się do pyszałków. Czy nie przesadziłeś z tą swoją sprawą?

- Nie.

- Odkryłeś coś, co według ciebie jest warte miliony?

- Tak. I więcej.

Dawson wyjął ze środkowej szuflady biurka folder w grubej okładce.

- Creative Developments Associates. Kupiliśmy to przedsiębiorstwo siedem lat temu.

Pracowałeś tam, kiedy je nabyliśmy.

- Tak jest, sir... Leonardzie.

- CDA tworzy programy komputerowe dla uniwersytetów i biur rządowych - mówił

Dawson, jakby nie zwrócił uwagi na przejęzyczenie Salsbury'ego - zajmujących się badaniami socjo- i psychologicznymi. - Nie zawracał sobie głowy otwieraniem folderu. Robił wrażenie, że

zna go na pamięć. - CDA prowadzi również badania dla rządu i przemysłu. Kieruje siedmioma laboratoriami, w których bada się biologiczne, chemiczne i biochemiczne przyczyny pewnych

zjawisk socjologicznych i psychologicznych. Stoisz na czele Brockert Institute w Connecticut. -

Zmarszczył brwi. - Całe to urządzenie w Connecticut zajmuje się ściśle tajną pracą dla

Departamentu Obrony. - Jego czarne oczy spoglądały wyjątkowo przenikliwie. - W istocie tak

tajną, że nawet ja nie mogłem się dowiedzieć, co tam robisz. Tylko tyle, że chodzi o ogólne zasady modyfikacji zachowań.

Salsbury chrząknął nerwowo. Zastanawiał się, czy Dawson ma na tyle otwarty umysł, aby pojął wagę tego, co zaraz usłyszy.

- Czy znasz termin „percepcja subliminalna”?

- To ma coś wspólnego z podświadomością.

- Zgadza, się. Ale to niewiele znaczy. Obawiam się, że wyjdę na pedanta, ale przydałby się wykład.

Salsbury wychylił się do przodu, a Dawson wygodnie rozparł się w fotelu.

- Nie krępuj się.

Salsbury wyjął z teczki dwie fotografie osiem na dziesięć cali.

- Czy dostrzegasz jakąś różnicę między zdjęciem A i B? - spytał.

Dawson przyjrzał się dokładnie fotografiom. Były to czarno-białe portrety Salsbury'ego.

- Są identyczne.

- Dla gołego oka tak. Zatrzymaj je na chwilę.

Dawson wpatrywał się podejrzliwie w zdjęcia. Czy to ma być jakaś gierka? Nie przepadał za gierkami. Gierki to strata czasu, który można przeznaczyć na zarabianie pieniędzy.

- Ludzki umysł dysponuje dwoma podstawowymi programami do rejestracji danych wejściowych: świadomością i podświadomością.

- Mój Kościół uznaje istnienie podświadomości - łaskawie przyznał Dawson.

Salsbury nie pojął, czemu miało służyć to oświadczenie, więc puścił je mimo uszu.

- Te programy czytają i gromadzą dwa różne zbiory danych. Rzecz można, iż świadomość jest wyczulona tylko na to, co ma przed nosem, tymczasem podświadomość posiada szeroki kąć widzenia. Te dwie połówki umysłu działają niezależnie i często w opozycji...

- Tylko w przypadku umysłu nienormalnego - wtrącił Dawson.

- Nie, nie. Każdego. Twojego i mojego również.

Poruszony tym, iż gość ważył się uznać jego umysł za odbiegający od stanu doskonałej harmonii, Dawson chciał zabrać głos, ale Salsbury szybko mówił dalej:

- Na przykład: jakiś mężczyzna siedzi przy barze. Piękna kobieta zajmuje stołek obok. On zaczyna ją uwodzić. Jednak w tym samym czasie, nie będąc tego świadom, może lękać się zaangażowania seksualnego. Może obawiać się odepchnięcia, zawodu czy impotencji.

Świadomość narzuca mu takie działania, jakie wypada przedsięwziąć wobec atrakcyjnej kobiety.

Ale podświadomość aktywnie temu przeciwdziała. Dlatego on zraża tę kobietę. Mówi zbyt głośno i jest nadmiernie pewny siebie. Chociaż na co dzień to ciekawy facet, zanudza ją sprawozdaniami z giełdy. Wylewa na nią drinka. To zachowanie jest tworem jego podświadomości. Obiektywizująca

część umysłu mówi mu: „Do ataku!”, podczas gdy subiektywna krzyczy: „Stop!”.

Dawson miał kwaśną minę. Nie pochwalał treści tego przykładu. Powiedział jednak:

- Kontynuuj.

- Podświadomość jest częścią dominującą. Świadomość usypia, podświadomość - nigdy.

Świadomość nie ma dostępu do danych podświadomości, ale podświadomość wie o wszystkim, co przenika do świadomości. Świadomość nie jest w gruncie rzeczy niczym innym, jak komputerem, a podświadomość programistą. Dane zebrane w dwóch różnych połówkach umysłu są gromadzone w identyczny sposób: za pomocą zmysłów. Ale podświadomość widzi, słyszy, wącha, smakuje i czuje o wiele więcej niż część obiektywizująca. Przyswaja wszystko to, co zdarza się zbyt szybko albo w zbyt delikatny sposób, aby dotrzeć do świadomości. Dla naszych potrzeb tak w istocie brzmi definicja hasła „subliminalny”: wszystko, co zdarza się zbyt szybko lub w sposób zbyt delikatny, aby dotarło do świadomości. Ponad dziewięćdziesiąt procent bodźców, które odbieramy zmysłami, przyjmowane jest wejściem subliminalnym.

- Dziewięćdziesiąt procent? - spytał Dawson. - Twierdzisz, że widzę, czuję, wącham, smakuje i słyszę dziesięć razy więcej, niż mi się zdaje? Proszę o przykład.

- Ludzki wzrok ogarnia codziennie przynajmniej sto tysięcy obiektów. - Salsbury miał przykład na podorędziu. - Obraz trwa na siatkówce od ułamka sekundy do jednej trzeciej minuty. Jednakże jeśli chciałbyś wyliczyć te sto tysięcy rzeczy, na które dzisiaj spoglądałeś, nie będziesz zdolny przypomnieć sobie więcej niż kilkaset. Reszta tych bodźców jest odebrana i zmagazynowana w podświadomości - jak to miało miejsce z dodatkowymi milionami bodźców zgłoszonych do mózgu przez pozostałe cztery zmysły.

- Wysunęłeś trzy tezy - powiedział Dawson, wyliczając je na wymanikiurowanych palcach. Zamknął przy tym oczy, jakby chciał zablokować napływ wszystkich tych obrazów, które dostrzegał nieświadomie. - Raz: podświadomość jest dominującą częścią umysłu. Dwa: nie

wiemy, co nasza podświadomość odebrała i zapamiętała. Nie potrafimy przywołać tych danych siłą woli. Trzy: percepcja subliminalna nie jest niczym dziwnym, to nie magia. Stanowi integralną część naszego życia.

- Być może, główną część naszego życia.

- A ty znalazłeś dla niej zastosowanie handlowe.

Salsbury'emu trzęsły się ręce. Docierał do sedna swojej propozycji i nie wiedział, czy Dawson będzie nią zafascynowany. Może potępi ją z oburzeniem.

- Przez dwa dziesięciolecia reklamy dóbr konsumpcyjnych docierały do potencjalnych nabywców drogą percepcji subliminalnej. Agencje reklamowe używają dla tych technik różnych określeń. Recepcja subliminalna. Oddziaływanie progowe. Nieświadoma percepcja. Podpercepcja. Zdajesz sobie z tego sprawę? Słyszałeś o tym?

- Jakies piętnaście, dwadzieścia lat temu odbyło się kilka takich eksperymentów w salach kinowych - powiedział Dawson, nadal utrzymując stan godnego zazdrości odprężenia. - Pamiętam, że czytałem o nich w gazetach.

- Tak. Pierwszy w 1957 roku. - Salsbury gwałtownie potakiwał głową. - Podczas normalnego seansu wyświetlono na ekranie specjalny napis: „Chce ci się pić”, czy coś w tym rodzaju. Był on wyświetlany tak krótko i w takim tempie, że nikt nie zorientował się, że go widzi. Kiedy wyświetlono go około tysiąca razy, prawie każdy z widzów poszedł do bufetu po napój orzeźwiający.

W tych pierwszych, prymitywnych eksperymentach, które badacze motywacji zachowań przeprowadzili w bardzo skrupulatnym reżimie, subliminalne wiadomości zostały przedstawione publiczności za pomocą tachistoskopu, urządzenia opatentowanego w październiku 1962 roku przez przedsiębiorstwo z Nowego Orleanu Precon Process and Equipment Corporation.

Tachistoskop był standardowym projektorem kinowym z superszybką migawką. Rzucał tekst na

ekran dwanaście razy na minutę, przez jedną trzytyśięcną sekundy. Obraz pojawiał się w czasie o wiele za krótkim, aby zarejestrowała go świadoma część umysłu, ale podświadomość dokładnie go wyłapała. Podczas sześciotygodniowego testowania tachistoskopu czterdzieści pięć tysięcy widzów kinowych obejrzało dwa napisy: „Pij coca-colę!” i „Jesteś głodny? Zjedz popcorn!”.

Wynik tych eksperymentów nie pozostawiał żadnych wątpliwości co do skuteczności reklamy subliminalnej. Sprzedaż popcornu wzrosła o sześćdziesiąt procent, coca-coli o dwadzieścia. Subliminale najwyraźniej skłoniły ludzi do zakupu tych produktów, chociaż kupujący nie byli ani głodni, ani spragnieni!

- Rozumiesz - mówił Salsbury - podświadomość wierzy we wszystko, co się jej poda.

Chociaż z otrzymywanych informacji tworzy struktury zachowań i chociaż te struktury sterują świadomością, mimo to nie potrafi odróżnić prawdy od fałszu! Zachowanie, które stanowi program dla świadomej części umysłu, często opiera się na błędnej ocenie.

- Gdyby to była prawda, wszyscy zachowywalibyśmy się niezgodnie ze zdrowym rozsądkiem.

- I tak jest - powiedział Salsbury - przy takich lub innych okazjach. Nie zapominaj, że podświadomość nie zawsze tworzy programy oparte na mylnych poglądach. Tylko czasami. To wyjaśnia, dlaczego inteligentni ludzie, w większości przypadków istne wzory rozsądku, hołdują co najmniej kilku irracjonalnym przesądom. - Jak na przykład twój fanatyzm religijny, pomyślał. - Rasowa i religijna bigoteria, ksenofobia, klaustrofobia, lęk wysokości... Jeśli zmusi się człowieka do świadomego przeanalizowania jednego z tych lęków, odrzuci je. Ale świadomość opiera się analizie, gdyż w tym samym czasie podświadomość dalej prowadzi ją na fałszywe tory.

- Te napisy na ekranie kinowym... Świadomość nie miała o nich pojęcia i dlatego ich nie odrzuciła - powiedział Dawson.

- Tak - potwierdził z westchnieniem Salsbury. - W tym tkwi istota sprawy. Podświadomość

zobaczyła napisy i spowodowała, że miały wpływ na świadomość.

Zainteresowanie Dawsona rosło z każdą minutą.

- Ale dlaczego subliminale sprzedawały więcej popcornu niż coli?

- Pierwszy napis, „Pij coca-colę!”, to był bezpośredni rozkaz - wyjaśnił Salsbury. - Czasami podświadomość wysłuchuje dostarczanego subliminalnie prostego rozkazu, a czasami nie.

- Dlaczego tak się dzieje?

- Nie wiemy. - Salsbury wzruszył ramionami. - Ale widzisz, drugi subliminal nie miał formy takiego bezpośredniego rozkazu. Był bardziej wyrafinowany. Zaczynał się pytaniem: „Jesteś głodny?”. Pytanie miało wzbudzić w podświadomości niepokój. Pomagało wywołać potrzebę. Tworzyło „równanie motywacyjne”. Potrzeba, niepokój znajdują się po lewej stronie równania. Chcąc wypełnić stronę prawą, zbilansować równanie, podświadomość programuje świadomość: kup popcorn. Jedna strona równoważy drugą. Zakup popcornu znosi niepokój.

- Ta metoda przypomina sugestię posthipnotyczną. Ale słyszałem, że człowiek zahipnotyzowany nie zrobi czegoś, co uznaje za niemoralne. Innymi słowy, jeśli nie jest z natury mordercą, nie można zmusić go podczas hipnozy do morderstwa.

- To nieprawda - powiedział Salsbury. - Każdego można zmusić do wszystkiego podczas hipnozy. Podświadomość jest tak podatna na manipulację... Na przykład, gdybym cię zahipnotyzował i kazał zabić żonę, nie usłuchałbyś mnie?

- Oczywiście, że nie! - obruszył się Dawson.

- Kochasz żonę?

- Oczywiście, że tak!

- Nie masz powodu jej zabijać?

- Absolutnie żadnego.

Sądząc po stanowczych zaprzeczeniach Dawsona, Salsbury uznał, że podświadomość

gospodarza wprost goreje tłumioną wrogością wobec lekającej się Boga i kochającej Kościół żony.

Ale nie ośmielił się tego powiedzieć. Dawson mógłby go wyrzucić z biura na zbity pysk.

- Jednakże gdybym cię zahipnotyzował i powiedział, że twoja żona ma romans z twoim najbliższym przyjacielem oraz spiskuje, żeby cię zabić i odziedziczyć twój majątek, uwierzyłbyś mi i...

- Nie uwierzyłbym. Julia jest niezdolna do takiego czynu.

- Twoja świadomość odrzuciłaby moją historyjkę. - Salsbury cierpliwie pokiwał głową. -

Potrafi rozumować. Ale po zahipnotyzowaniu przemawiałbym do twojej podświadomości, która nie jest zdolna odróżnić kłamstwa od prawdy.

- Aaa, rozumiem.

- Twoja podświadomość nie zadziałałaby na bezpośredni rozkaz zabójstwa, ponieważ bezpośredni rozkaz nie buduje równania motywacyjnego. Ale uwierzyłaby, że żona chce cię zabić.

A uwierzywszy, stworzyłaby nową strukturę zachowania - opartą na kłamstwie - i

zaprogramowałaby twoją świadomość na morderstwo. Narysuj w myśli takie równanie,

Leonardzie. Po lewej stronie znajduje się niepokój wzbudzony przez „wiedzę”, że twoja żona

zamierza się ciebie pozbyć. Po prawej - aby zlikwidować niepokój - zjawia się bodziec każący

usunąć żonę. Jeśli twoja podświadomość została przekonana, że ona chce cię dzisiaj zamordować podczas snu, zabijesz ją, nim w ogóle podejdziesz do łóżka.

- Dlaczego nie miałbym po prostu pójść na policję?

- Hipnotyzer potrafiłby zabezpieczyć się przed tym, informując podświadomość, iż żona upozoruje wypadek, a jest na tyle sprytna, że policja nigdy nie znajdzie przeciw niej dowodów. -

Salsbury uśmiechnął się i poczuł dużo pewniej niż w chwili, kiedy wchodził do biura.

- Wszystko to jest niezmiernie ciekawe. - Dawson uniósł do góry dłoń i pomachał nią,

jakby opędzał się od muchy. Ton głosu miał lekko znudzony. - Ale wygląda mi na akademicką

dysputę.

- Akademicką dysputę? - Pewność siebie Ogdena zaczęła się kruszyć. Znow się spocił.
- Reklama subliminalna została zabroniona prawnie. Było wokół tego sporo zamieszania.
- O tak - przyznał z ulgą Salsbury. - Pojawiły się setki artykułów wstępnych w gazetach codziennych i magazynach. „Newsday” nazwał to najbardziej zatrważającym wynalazkiem od czasu bomby atomowej. „The Saturday Review” napisał, że podświadomość jest najsubtelniejszą aparaturą we wszechświecie i że nie wolno jej deformować w celu zwiększenia sprzedaży popcornu czy czegokolwiek innego. W końcu lat pięćdziesiątych, kiedy rozreklamowano eksperyment z tachistoskopem, prawie wszyscy zgodzili się, że reklama subliminalna jest naruszeniem prywatności. Kongresman James Wright z Teksasu wniósł projekt ustawy zakazującej stosowania urządzeń filmowych, fotograficznych lub fonograficznych „przeznaczonych do reklamy produktu lub indoktrynacji publicznej za pomocą wiadomości skierowanych do podświadomej części umysłu”. Poparli go inni kongresmani i senatorzy, którzy także przygotowali projekty ustaw, mające zlikwidować to zagrożenie, ale nic nie wyszło poza komitet. Nie uchwalono prawa ograniczającego lub zakazującego reklamy subliminalnej.
- Czy politycy ją stosują? - Dawson uniósł brwi.
- Większość z nich nie ma pojęcia o rysujących się tu możliwościach. A agencje reklamowe chętnie utrzymują ich w niewiedzy. Każda wielka agencja w USA ma grupę speców od tworzenia subliminali dla magazynów i telewizji. Dosłownie każdy artykuł konsumpcyjny, wyprodukowany przez Futurex i jego filie, jest sprzedawany przy pomocy reklamy subliminalnej.
- Nie wierzę w to. Musiałbym o tym wiedzieć.
- Wiedziałbyś, gdybyś chciał wiedzieć. Trzydzieści lat temu, kiedy startowałeś, nie istniały takie rzeczy. Nim weszły w życie, przestałeś się już bezpośrednio zajmować sprzedażą. Bardziej obchodziło cię wypuszczanie akcji, fuzje przedsiębiorstw - kręcenie interesem. Prezes takiego

molocha nie może zajmować się każdą reklamówką każdego produktu w każdej filii.

- Ale uważam to za nieco... odrażające - powiedział Dawson, pochylając się do przodu z wyrazem obrzydzenia na przystojnej twarzy.

- Jeżeli zaakceptujesz fakt, iż ludzki umysł można zaprogramować bez jego wiedzy, odrzucisz pogląd, że każdy jest kowalem swojego losu - mówił Salsbury. - Ludzie boją się tego piekielnie. Przez dwadzieścia lat Amerykanie wzbraniają się przed tą nieprzyjemną prawdą o reklamie subliminalnej. Badania opinii publicznej wskazują, że dziewięćdziesiąt procent tych, którzy o niej słyszeli, jest pewnych, że została prawnie zabroniona. Nie dysponują faktami na poparcie tej opinii, ale nie chcą wierzyć, że jest inaczej. Dalej, od pięćdziesięciu do siedemdziesięciu procent badanych mówi, iż nie wierzy, żeby subliminale działały na podświadomość. Na myśl, że mogliby być kontrolowani i manipulowani, są tak wzburzeni, że natychmiast odrzucają tę możliwość. Zamiast poznać fakty, zamiast sprzeciwić się im i pozbyć raz na zawsze, traktują je jak fantazję, jak science fiction.

Dawson kręcił się niespokojnie na krześle. W końcu wstał, podszedł do wielkiego okna i wyjrzał na Manhattan.

Zaczął prószyć śnieg. Niebo skąpo użyczało światła. Wiatr, jak głos miasta, jęczał po drugiej stronie szyby.

- Jedną z naszych filii jest agencja reklamowa Woolring and Messner. - Dawson nadal stał tyłem do Salsbury'ego. - Twierdzisz, że za każdym razem, kiedy robią reklamówkę telewizyjną, wkomponowują w nią serię krótkich subliminali z tachistoskopu?

- Klient agencji musi zażądać subliminali - wyjaśnił Salsbury. - Taka usługa kosztuje ekstra. Ale żeby odpowiedzieć na twoje pytanie: Nie, tachistoskop to już piosenka przeszłości. Nauka o subliminalnie modyfikowanych zachowaniach tak szybko się rozwinęła, że tachistoskop stał się przestarzały wkrótce po opatentowaniu. Od połowy lat sześćdziesiątych większość

subliminali w reklamówkach telewizyjnych została nałożona za pomocą fotografii rezystorowej.

Każdy widział rezystor przy lampie stojącej czy sufitowej; obracając pokrętkę, można przyciemnić lub rozjaśnić światło. Tę samą zasadę stosuje się przy zdjęciach filmowych. Najpierw kręci się minutową reklamówkę i montuje ją w konwencjonalny sposób. To połowa filmu, rejestrowana przez świadomość. Druga minuta filmu, zawierająca subliminalny napis, jest kręcona przy minimalnym świetle, z rezystatem nastawionym na zero. Powstaje obraz zbyt ciemny, aby został zarejestrowany przez świadomość. Kiedy jest wyświetlany na ekran, ten wydaje się pusty. Jednak podświadomość widzi obraz i absorbuje go. Te dwa filmy wyświetla się równocześnie i nakłada na trzecią taśmę. I taką wersję emituje się w telewizji. Kiedy widzowie oglądają reklamówkę, ich podświadomość wyłapuje subliminalny rozkaz i stosuje się doń w takim czy innym stopniu. Ale to tylko technika podstawowa - kontynuował Salsbury. - Udoskonalenia są jeszcze sprytniejsze.

Dawson nie mógł usiedzieć na krześle. Nie był zdenerwowany. Był wręcz podniecony.

Zaczyna docierać do niego, ile to warte, pomyślał uradowany Salsbury.

- Rozumiem, że subliminale można ukryć w kawałku filmu, w którym jest dużo ruchu, światła, cienia - powiedział Dawson. - Ale jak to zrobić na zdjęciu? To jest statyczne medium.

Jeden obraz, żadnego ruchu. W jaki sposób można schować subliminale na jednej kartce?

- Do tego ujęcia pozowałem z twarzą nie wyrażającą żadnych emocji. - Salsbury wskazał na leżące na biurku zdjęcia, które wcześniej wręczył Dawsonowi. - Obie kopie zostały zrobione z tego samego negatywu. Kopia A została wydrukowana na rozmytym zdjęciu napisu „gniew”, a kopia B na słowie „radość”.

- Nie widzę żadnego z tych słów - powiedział Dawson, porównując obie fotografie.

- Zmartwiłbym się, gdyby było inaczej. Chodzi o to, żeby pozostały niewidoczne.

- Czemu to ma służyć?

- Setce studentów z uniwersytetu Columbia pokazano zdjęcie A i poproszono o określenie

emocji, którą wyraża twarz. Dziesięć osób nie miało zdania. Osiem powiedziało, że to „niezadowolenie”, a osiemdziesiąt dwie osoby, że „gniew”. Inna grupa oglądała zdjęcie B. Osiem osób nie miało zdania. Dwadzieścia jeden powiedziało „szczęście”, a siedemdziesiąt jeden - „radość”.

- Rozumiem - powiedział zamyślony Dawson.

- Ale to jest równie prymitywne, jak tachistoskop. Pozwól, że pokażę ci kilka

wzbogaconych reklam subliminalnych. - Salsbury wyłowił z teczki kartkę. Była to stronica z

„Time’a”. Położył ją na bibularzu Dawsona.

- To reklama dżinu Gilbeya - rzekł Dawson.

Na pierwszy rzut oka była to zwykła reklama alkoholu. Na górze stronicy napis głosił:

„Otrząśnij szron z butelki”. Jedyne słowa poza tymi biegły u dołu, po lewej stronie: „I sięgnij po

wytrawny tonik!”. Na towarzyszącej ilustracji znalazły się trzy elementy. Najwyraźniejszy

stanowiła wzmiankowana butelka, połyskująca kroplami wody i szronem. Zakrętka na dole. Obok

butelki wysoka szklanka z kostkami lodu, plasterkiem cytryny, słomką i - prawdopodobnie -

dżinem. Tło było zielone, chłodne, przyjemne.

Przesłanie do świadomej części umysłu było proste: ten dżin odświeża i oferuje ucieczkę

od trosk codzienności.

Treść przeznaczona dla podświadomości była znacznie bardziej interesująca. Salsbury

wytłumaczył, że zawartość subliminalna kryła się poniżej progu świadomego poznania, ale można

ją było zobaczyć i zanalizować, choć wymagało to odkrywczego umysłu i uporów. Subliminal, który

najszybciej dało się rozszyfrować, ukrywał się w kostkach lodu. Cztery kawałki leżały jeden na

drugim. Drugi od góry razem z plasterkiem cytryny tworzył niewyraźną literę S, którą przy pewnej

koncentracji można było zobaczyć. Trzecia kostka miała bardzo wyraźną literę E w obszarze

światłocieni zachodzącym właśnie na tę kostkę. Czwarty kawałek zawierał delikatny, ale

niezaprzeczalny zarys litery X: Razem: S-E-X.

Salsbury obszedł biurko Dawsona i dokładnie zaznaczył wskazującym palcem te trzy litery.

- Widzisz to?

- Literę E zobaczyłem natychmiast, a pozostałe bez specjalnego kłopotu - powiedział nachmurzony Dawson. - Ale trudno mi uwierzyć, że umieszczono je tu celowo. To może być przypadkowy rozkład cieni.

- Kostki lodu na ogół źle się fotografuje - kontynuował Salsbury. - Zwykle na reklamie są namalowane przez grafika. Tak naprawdę to cała ta reklama została narysowana na fotografii. Ale tu jest coś więcej niż słowo naniesione na lód.

- Co jeszcze? - Dawson wpatrywał się w reklamę, mrużąc oczy.

- Butelka i szklanka stoją na odbijającej światło powierzchni. - Salsbury zaznaczył ten obszar. - Bez nadmiernego wysiłania wyobraźni powiedz mi, czy widzisz, że odbicie butelki jest podzielone na dwie części i tworzy coś na kształt zarysu pary nóg? Czy widzisz również, że odbita zakrętka przypomina penis wyłaniający się spomiędzy tych nóg?

Dawson się zjeżył.

- Widzę - powiedział chłodno.

Salsbury był zbyt pochłonięty wykładem, żeby dostrzec zażenowanie gospodarza.

- Lód topniejący na zakrętce przypomina męskie nasienie. Ale ta reklama z założenia nie miała być całkowitym subliminalem. Świadomość potrafi tu rozpoznać zawarte przesłanie.

Oczywiście nie odczyta odbicia na stoliku, dopóki nie zostanie w tym kierunku podprowadzona. -

Wskazał następne miejsce na stronie. - Czy będzie przesadą, jeśli powiem, że te cienie między odbiciami butelki i szkła tworzą wargi sromowe? A ta kropla wody na stoliku jest umieszczona dokładnie tam, gdzie łechtaczka znajduje się w waginie?

Dawson oglądał zarys organu płciowego, rozchylił wargi, policzki mu się zarumieniły.

- Widzę. Albo tak mi się zdaje.

- Mam inne przykłady. - Salsbury sięgnął do teczki.

Jednym z nich była dwustronicowa reklamówka subskrypcyjna, która pojawiła się w „Playboyu” kilka lat temu, tuż przed Bożym Narodzeniem. Po stronie prawej playmate Liv Lindeland, piersiasta blondynka, klęczała na białym dywanie. Po lewej stronie widniał przeogromny wieniec z gałązek orzecha włoskiego. Dziewczyna zawiązywała czerwoną wstążkę u góry wieńca.

- W przeprowadzonym teście - wyjaśniał Salsbury - sto badanych osób przez godzinę przeglądało dwieście reklam, w tym również to zdjęcie. Po zakończeniu poproszono je o wyliczenie dziesięciu najlepiej zapamiętanych. Osiemdziesiąt pięć procent wymieniło reklamówkę „Playboya”. Przy opisie jedynie dwie osoby nie wspomniały o wieńcu. Tylko dwie osoby wspomniały o dziewczynie. Pytane dalej, miały kłopoty z przypomnieniem sobie, czy to była blondynka, czy ruda. Pamiętały jej odsłonięte piersi, ale nie były pewne, czy nosiła kapelusz i czy była ubrana od pasa w dół. (Nie nosiła kapelusza i była naga). Żadna osoba nie miała kłopotów z rozpoznaniem wieńca, gdyż na nim skupiła się uwaga podświadomości. Rozumiesz czemu? - zapytał Salsbury. - Ponieważ w „orzechowym” wieńcu nie było orzechów. Składał się z elementów przypominających penisy i wargi sromowe.

Dawson bez tchu kartkował następne reklamy. Nie prosił o wyjaśnienia.

- Papierosy Camel, Seagram, Sprite, rum Bacardi... - odezwał się w końcu. - Niektóre z największych przedsiębiorstw w kraju korzystają z subliminali w celu sprzedaży swoich produktów.

- A czemu nie? To jest legalne. Jeśli korzysta z nich konkurencja, cóż pozostaje uczciwemu przedsiębiorstwu? Każdy chce być konkurencyjny. Jednym słowem, nie ma pojedynczych

złoczyńców, złoczyńcą jest system.

Dawson powrócił na swój fotel prezesa: z jego twarzy - jak z otwartej książki - można było wyczytać, że nie pochwała żadnej krytyki „systemu”, niemniej jednak zdawał się wstrząśnięty tym, co zobaczył. Usiłował również wyobrazić sobie, jakie korzyści przyniosłaby mu nowo poznana wiedza. Był przekonany, że sam Bóg umieścił go na zajmowanym miejscu, na wierzchołku miliardowej korporacji. Był także pewien, iż Pan dopomoże mu pogodzić się z faktem, że chociaż reklama subliminalna jest po części podła i prawdopodobnie niemoralna, jednak umożliwi mu spełnienie zbożnej misji. Za swą misję natomiast uważał gromadzenie zysków dla Pana, ponieważ kiedy on i Julia umrą, pakiety kontrolne, należące do Dawsonów, przejdą na własność Kościoła.

Salsbury wrócił na krzesło przed biurkiem. Rozsypane na bibularzu i nagim dębowym blacie kartki z magazynów wyglądały jak pornograficzna kolekcja. Czuł się tak, jakby zjawił się tu po to, żeby podrajcować Dawsona. Ogarnęło go irracjonalne zażenowanie.

- Udowodniłeś mi, że wielki, twórczy wysiłek i wielkie pieniądze są wydawane na subliminalne reklamy w gazetach i telewizji - powiedział Dawson. - Najwyraźniej panuje teoria, że stymulując popyt bodźcami natury seksualnej, sprzedaje się towar. Ale czy tak jest? Czy ta teoria jest na tyle prawdziwa, żeby warto było inwestować?

- Bez wątplenia! Studia nad ludzką psychiką dowiodły, że większość Amerykanów reaguje na bodźce seksualne z podświadomym lękiem i napięciem. Jeśli więc subliminalna połówka telewizyjnej reklamówki lemoniady XYZ pokazuje parę w akcie seksualnym, w podświadomości widza rodzi się niepokój - i powstaje równanie motywacyjne. Po lewej stronie znaku równości znajduje się niepokój i napięcie. Dla uzupełnienia równania i skasowania tych nieprzyjemnych uczuć, widz kupuje produkt: butelkę czy puszkę XYZ. Równanie jest rozwiązane, tablica czysta.

- Czy dlatego kupuje, że wierzy, iż zapewni mu to lepsze rezultaty w łóżku? - Dawson był

zdziwiony.

- Dokładnie na odwrót - wyjaśnił Salsbury. - Kupuje, żeby uciec przed seksem. Reklama budzi w jego podświadomości pożądanie. Kupując produkt, zaspokaja to pożądanie bez ryzyka odepchnięcia, impotencji, poniżenia czy jakiegoś innego niekorzystnego przeżycia z kobietą. Gdy widzem jest kobieta, kupuje ona produkt dla zaspokojenia pożądania, by w ten sposób uniknąć nieudanego romansu z mężczyzną. Pożądanie zarówno u mężczyzn, jak i kobiet jest w pełni zaspokojone, jeśli produkt wiąże się ze sferą oralną. Jak w przypadku jedzenia i lemoniady.

- Lub papierosów - dodał Dawson. - Czyżby wyjaśniało to, dlaczego tylu ludzi ma problemy z rzuceniem palenia?

- Nikotyna jest narkotykiem - powiedział Salsbury. - Ale nie ma wątpliwości, że subliminale w reklamach tytoniu wzmacniają nałóg u większości ludzi.

- Jeśli są tak sugestywne, dlaczego ja nie palę? - spytał Dawson, drapiąc się po kwadratowym podbródku. - Widuję te reklamy.

- Ten problem nie został do końca naukowo rozpracowany. Jeśli uważasz palenie za wredny nałóg, jeśli zdecydowałeś się nigdy nie brać papierosa do ust, subliminale nie są w stanie zmienić twego zdania. Z drugiej strony, jeśli jesteś młody, stajesz się dopiero klientem na rynku papierosowym i nie masz ugruntowanych opinii o tym nałogu, subliminale mogą cię zachęcić do palenia. Albo jeśli kiedyś byłeś nałogowym palaczem, ale rzuciłeś palenie, subliminale mogą przekonać cię do podjęcia palenia na nowo. Wpływają również na ludzi, którzy nie mają jeszcze wyrobionych gustów. Na przykład, jeśli nie pijesz dżinu albo w ogóle nie pijesz, subliminale w reklamie gilbeya nie zmuszą cię, żebyś pobiegł z wywieszonym językiem do sklepu monopolowego. Jeśli natomiast pijesz i na przykład lubisz dżin, i jeśli jest ci obojętne, jaki dżin pijesz, to reklama może ukierunkować twój gust. One działają, Leonardzie. Dzięki subliminalom sprzedaje się artykuły wartości setek milionów dolarów rocznie. Znaczna część tych artykułów

nigdy nie zostałyby kupiona, gdyby ogół nie został poddany manipulacji subliminalnej.

- Czy ty pracowałeś nad percepcją subliminalną tam, w Connecticut, przez ostatnie dziesięć lat? - zapytał Dawson.

- Tak.

- Rozpracowałeś to naukowo?

- Zgadza się.

- Pentagon widzi w tym zastosowanie militarne?

- Jak najbardziej. A ty nie?

- Jeżeli rozpracowałeś to naukowo... - Dawson mówił cicho, z szacunkiem. - Mamy tu do czynienia z totalną kontrolą umysłu. Nie chodzi o modyfikacje zachowań, ale o absolutną, żelazną kontrolę.

Przez chwilę żaden z nich nie potrafił wydobyć z siebie słowa. Po chwili odezwał się Dawson.

- Cokolwiek odkryłeś, prawdopodobnie wolałbyś, żeby nie dowiedział się o tym Departament Obrony. To pachnie zdradą.

- Nie dowiedzą się o niczym - ostro odpowiedział Salsbury. - Z twoimi pieniędzmi i moją wiedzą Departament Obrony nie jest nam potrzebny. Ani nikt inny. Jesteśmy potężniejsi niż wszystkie rządy świata razem.

- Cóż to jest? Na co wpadłeś? - Dawson nie był w stanie ukryć podniecenia.

Salsbury podszedł do okna. Obserwował wirujący śnieg, który opadał na miasto. Czuł się tak, jakby dotknął przewodów wysokiego napięcia. Przeszył go prąd. Wstrząsały nim dreszcze. Niemal widział zamiast płatków śniegu iskry eksplodujące z jego ciała. Czując, że jest ono centrum wiru, niemal boskiej potęgi, opowiedział, co wynalazł i jaką rolę może odegrać Dawson w jego scenariuszu podboju świata.

Pół godziny później, kiedy skończył, Leonard - który nigdy przedtem nie okazał pokory wobec nikogo, jedynie w kościele - powiedział:

- Dobry Boże! - Wpatrywał się w Salsbury'ego takim wzrokiem, jakim żarliwy katolik mógłby wpatrywać się w objawienie w Fatimie. - Ogden, my dwaj... zawładniemy całą Ziemią? I nagle na jego twarzy pojawił się kompletnie pozbawiony radości, złowrogi uśmiech.

ROZDZIAŁ 3

Niedziela, 14 sierpnia 1977

Paul Annendale w jednej z mieszczących się na drugim piętrze domu Edisona gościnnych sypialni rozkładał na komodzie przybory do golenia. Od lewej strony do prawej: mydło w tubie, miseczka z pędzlem, brzytwa z plastikową rączką, laseczka ałunu, butelka odżywki do skóry i butelka płynu po goleniu. Ułożył siedem przedmiotów w takim porządku, jak na jednym z tych filmów rysunkowych, w których przedmioty codziennego użytku ozywają i maszerują w kółko niczym żołnierze.

Odwrócił się od komody i podszedł do jednego z dwóch dużych okien. W oddali widać było góry wyrastające nad doliną, majestatyczne i zielone, pokryte purpurowymi cieniami, rzucanymi przez płynące chmury. Najbliższe grzbiety - udekorowane kępami sosen, samotnymi wiązami i łąkami - opadały łagodnie w kierunku miasteczka. Po drugiej stronie Main Street brzozy szeleściły w powiewie wiatru. Mężczyźni w koszulach z krótkimi rękawami i kobiety w wykrochmalonych letnich sukienkach spacerowali po chodniku. Dach werandy i szyld sklepu Edisona znajdowały się dokładnie pod oknem.

Kiedy jego wzrok powracał z górskiej dali, Paul dostrzegł swoje odbicie w szybie okiennej. Przy pięciu stopach i dziesięciu calach wzrostu oraz stu pięćdziesięciu funtach wagi nie był ani wysoki, ani niski, ani gruby, ani chudy. Miał trzydzieści osiem lat, ale równocześnie wyglądał na starszego i na młodszego. Nie za długie, falujące, prawie kręcące się, jasnokasztanowe włosy

opadały swobodnie. Było to uczesanie bardziej odpowiednie dla młodszego mężczyzny, ale Paul prezentował się w nim dobrze. Oczy miał tak błękitne, że wyglądały jak kawałki lustra, odbijającego niebo. Malujący się w nich wyraz bólu i cierpienia, kryjący się pod maską pogody, dodawał mu lat. Miał wąską arystokratyczną twarz, ale mocna opalenizna łagodziła ostre rysy, dzięki czemu ratowała ją przed piętnem cierpiętnika. Paul robił wrażenie człowieka, który czuje się swobodnie zarówno w salonie, jak i w portowym barze.

Ubrany był w niebieską dżinsową koszulę, niebieskie dżinsy i czarne skórzane buty o kwadratowych noskach. Ale nie wyglądał na ubranego byle jak. W istocie, mimo dżinsów, jego strój wyglądał elegancko. Paul nosił swoje ubranie z większym szykiem niż większość mężczyzn smokingi. Rękawy koszuli miał dokładnie zaplisowane i odprasowane. Rozpięty wysoki kołnierzyk stał sztywno, jak wykrochmalony. Srebrna klamra pasa była starannie wypolerowana. I koszula, i dżinsy wyglądały tak, jakby były szyte na miarę. Buty na niskich obcasach lśniły prawie jak lakierki.

Zawsze był schludny aż do przesady. Od kiedy pamiętał, przyjaciele kpili z niego z tego powodu. Będąc dzieckiem, utrzymywał swoje zabawki w większym porządku niż matka serwis porcelanowy.

Trzy i pół roku temu, kiedy Annie umarła i rozpoczął żywot wdowca opiekującego się dziećmi, jego dbałość o porządek i czystość stała się prawie maniakalna. Pewnego środowego popołudnia, dziesięć miesięcy po pogrzebie, przyłapał się na tym, że po raz siódmy w ciągu godziny porządkuje zawartość szafki w swojej przychodni. Uświadomił sobie wtedy, że przymus zachowania czystości zamienił się w ucieczkę przed życiem, a zwłaszcza przed rozpaczą. Wtedy - stojąc tak sam w klinice przed rozłożonymi narzędziami: szczypcami, strzykawkami, skalpelami - zapłakał po raz pierwszy od czasu, kiedy dowiedział się o śmierci Annie. Uważając niesłusznie, że powinien kryć się ze swoją rozpaczą przed dziećmi, podtrzymywać w nich hart ducha, nigdy nie

dał upustu rozpacz. Teraz szlochał, trząsał się i przeklinał okrutny los. Rzadko to robił, a jednak sypnął stekiem ohydnych słów i zwrotów, klnąc Boga, świat, życie - i siebie. Po tym zdarzeniu jego przesadna czystość straciła odcień maniactwa i z powrotem stała się cechą charakteru, która doprowadzała do rozpacz jednych, a zachwycała innych.

Ktoś zapukał do drzwi sypialni.

- Proszę.

Rya otworzyła drzwi.

- Siódma, tato. Kolacja.

W spłowiałych dzinsach i białym sweterku z podwiniętymi rękawami, z ciemnymi włosami opadającymi na ramiona, była uderzająco podobna do matki. Przechyliła głowę na bok, jakby próbowała odgadnąć jego myśli. Dokładnie tak, jak to miała zwyczaj robić Annie.

- Mark gotów?

- Och - powiedziała - on jest gotowy od godziny. Siedzi w kuchni i płacze się Samowi pod nogami.

- No to lepiej zejźmy na dół. Znajac apetyt Marka, jestem pewien, że zostały już tylko resztki. Kiedy podszedł do niej, cofnęła się o krok.

- Wyglądasz absolutnie bajecznie, tato.

Uśmiechnął się i lekko uszczypnął ją w policzek. Gdyby komplementowała Marka, powiedziałaaby, że wygląda „superowo”, ale teraz chciała, żeby ojciec wiedział, iż ocenia go według standardów ludzi dorosłych i używa ich języka.

- Naprawdę tak myślisz?

- Jenny nie będzie w stanie ci się oprzeć. Wykrzywił się do niej.

- To prawda - potwierdziła Rya.

- Skąd ci wpadło do głowy, że obchodzi mnie, czy Jenny oprze mi się, czy nie?

- Kiedy Jenny przyjechała w marcu do Bostonu, byłeś całkiem inny.

Wyraz jej twarzy dobitnie świadczył o tym, że powinien przestać ją traktować jak dziecko.

- Inny niż?...

- Inny niż zawsze. Przez całe dwa tygodnie, kiedy wracałeś z kliniki, ani razu nie narzekałeś na chore pudle i koty syjamskie.

- Dlatego że przez te dwa tygodnie moimi jedynymi pacjentami były słonie i żyrafy.

- Och, tato...

- I kangurzyca w ciąży. Rya siadła na łóżku.

- Poprosisz ją o rękę?

- Kangurzycę?

Uśmiechnęła się szeroko, po części z samego żartu, a po części ze sposobu, w jaki uniknął odpowiedzi na jej pytanie.

- Nie jestem pewna, czy chciałabym mieć kangurzycę za matkę. Ale jeśli małe jest twoje, to chcąc zachować się uczciwie, powinieneś się z nią ożenić.

- Przysięgam, że nie jest moje - powiedział. - Nie jestem usposobiony romantycznie wobec kangurzyc.

- A wobec Jenny?

- Bez względu na to, co ja do niej czuję, pozostaje pytanie, co ona czuje do mnie.

- Nie wiesz? No to... zorientuję się w twoim imieniu.

- A jak tego dokonasz? - rzucił kpiąco.

- Spytam ją.

- I zrobisz ze mnie Milesa Standisha?

- Och nie. Zachowam delikatność. - Wstała z łóżka i podeszła do drzwi. - Mark spałaszował już do tej pory trzy czwarte kolacji.

- Rya? Obejrzała się.

- Jenny ci się podoba? Uśmiechnęła się od ucha do ucha.

- Och, bardzo!

Przez siedem lat, odkąd Mark skończył dwa lata, a Rya cztery, rodzina Annendale'ów spędzała letnie wakacje w górach w pobliżu Black River. Paul chciał zaszczepić dzieciom swoją miłość do dzikich miejsc i dzikich zwierząt. Podczas tych cztero- i sześciotygodniowych wakacji uczył ich praw przyrody, by zaznali satysfakcji harmonijnego z nią współżycia. To była pełna radości edukacja i cieszyli się na każdy wypad.

W roku, w którym umarła Annie, był bliski zaniechania wyprawy. Sądził, że wyjazd bez niej tylko zwiększy uczucie poniesionej straty, ale Rya przekonała go, że będzie na odwrót.

- Wydaje mi się, jakby mamusia ciągle była w domu - mówiła. - Kiedy przechodzę z pokoju do pokoju, spodziewam się, że znajdę ją, bladą i chudą, jak wyglądała pod sam koniec. Gdy pojedziemy pod namiot koło Black River, też chyba będę myślała, że spotkam ją wśród drzew, ale przynajmniej nie tak bladą i chudą. W Black River zawsze wyglądała pięknie i zdrowo. Zawsze była szczęśliwa, kiedy mieszkaliśmy w lesie.

Dzięki Ryi pojechali na te wakacje, które okazały się rzeczą najlepszą z możliwych.

Pierwszego roku, w którym razem z Annie zabrali dzieci do Black River, kupowali suchy prowiant i zapasy u Edisona. Mark i Rya zakochali się w Samie od pierwszej chwili. Annie i Paul ulegli jego urokowi prawie równie szybko, jak ich dzieci. Nim minęły ich czterotygodniowe wakacje, zeszli z gór dwa razy na obiad u Edisona, a kiedy wracali do domu, obiecali utrzymywać kontakt listowny. Następnego roku Sam powiedział im, że nie muszą od razu iść w góry po nużącej jeździe z Bostonu. Nalegał, żeby pierwszą noc spędzili u niego w domu i wypoczęci ruszyli następnego ranka. Odtąd ten postój stał się corocznym zwyczajem. Obecnie Sam odgrywał w życiu Ryi i Marka rolę dziadka. Przez ostatnie dwa lata Paul wioził dzieci na północ i bożonarodzeniowy

tydzień spędzali u Edisonów.

Paul poznał Jenny Edison dopiero rok temu. Oczywiście Sam wspominał o córce wielokrotnie. Studiowała na uniwersytecie Columbia i zrobiła magisterium z muzyki. Na ostatnim roku wyszła za muzyka i wyjechali do Kalifornii, gdzie on grał w zespole. Ale po siedmiu latach małżeństwo zaczęło się sypać i Jenny wróciła do domu, żeby przemyśleć dotychczasowe życie i zdecydować, co ma dalej robić. Sam był z niej ogromnie dumny, ale nigdy nie pokazywał zdjęć córki. To nie było w jego stylu. Zeszłego roku, pierwszego dnia pobytu w Black River, Paul wszedł do sklepu i zobaczył Jenny, która obsługiwała dzieci przy stoisku ze słodyczami. Na moment zabrakło mu tchu.

To nastąpiło między nimi tak szybko! Nie miłość od pierwszego wejrzenia. Coś głębszego. Coś bardziej fundamentalnego, co musi poprzedzić nadejście miłości. Instynktownie, intuicyjnie, choć poprzednio sądził, że nikt nie zastąpi Annie, wiedział, że Jenny jest mu przeznaczona. Jenny również poczuła do niego nieodparty pociąg - potężny, natychmiastowy, ale prawie wbrew jej woli.

Gdyby opowiedział to wszystko córce, Rya zapytałaby: „To dlaczego się nie ożenisz?”.

Gdybyż życie było takie proste...

Po kolacji, kiedy Sam i dzieci myli naczynia, Paul i Jenny wycofali się do małego pokoju.

Oparli stopy o starą rzeźbioną ławę i Paul otoczył Jenny ramieniem. Rozmowa przy stole toczyła się lekko i swobodnie, ale teraz ugrzęzła. Pod ramieniem czuł, że ciało Jenny jest twarde i sztywne, napięte, kilka razy pochylił się i delikatnie pocałował ją w kącik ust, ale dalej była sztywna i zimna. Uznał, że krępuje się Rya, Marka lub ojca, którzy w każdej chwili mogli wejść do pokoju, więc zaproponował jej przejażdżkę.

- Nie wiem..

- Rusz się. - Wstał. - Trochę świeżego nocnego powietrza dobrze ci zrobi.

Na dworze panował chłód.

- Przydałoby się włączyć ogrzewanie - powiedziała, kiedy wsiedli do wozu.

- Ależ skąd - odpowiedział. - Przytul się, a ja użyję ci żaru mego ciała. - Uśmiechnął się. -

Dokąd?

- Znam spokojny mały bar w Bexford.

- Myślałem, że unikamy miejsc publicznych.

- W Bexford nie ma grypy.

- Nie ma? To tylko trzydzieści mil stąd.

- To jedna z dziwnych cech tej epidemii. - Wzruszyła ramionami.

Włączył silnik, wyprowadził samochód na ulicę.

- A więc dobrze. Niech będzie spokojny mały bar w Bexford.

Znalazła w radiu całodobową kanadyjską stację, nadającą amerykański swing z lat czterdziestych.

- Teraz, proszę, nie gadajmy przez chwilę - poprosiła. Przytuliła się do Paula, położyła głowę na jego ramieniu.

Przejażdżka z Black River do Bexford była przyjemnością. Wąska asfaltowa szosa wznosiła się i opadała, wiła się wdzięcznie przez pozbawiony światła, liściasty krajobraz. Czasami drzewa przez całe mile splatały się nad drogą, budując tunele chłodnego powietrza. Po chwili, mimo obecności muzyki Benny'ego Goodmana, Paul poczuł się tak, jakby byli jedynymi ludźmi na świecie - i okazało się to zaskakująco przyjemnym uczuciem.

Ona wydała się jeszcze piękniejsza niż górską noc i równie tajemnicza w swym milczeniu niczym głębokie, niepokojące północne doliny, przez które przejeżdżali. Jak na tak szczupłą kobietę, miała oszałamiającą prezencję. Zajmowała bardzo mało miejsca na swym fotelu, a jednak wydawała się dominować w samochodzie i przytłaczała Paula. Oczy - wielkie i ciemne - miała

zamknięte, a przecież wydawało mu się, że go obserwuje. Jej twarz - zbyt piękna, aby mogła pojawić się w „Vogue” (przy niej inne modelki wyglądałyby jak szkapy) - emanowała spokojem. Lekko rozchyliła pełne usta, jakby wtórowała cicho muzyce, i ten maleńki ślad ożywienia, to otwarcie ust miało więcej zmysłowości niż pożądanie bijące z oblicza i ciężkich powiek Elizabeth Taylor. Włosy Jenny rozsypały mu się na ramieniu. Poczł jej zapach - czysty i naturalny.

W Bexford zaparkował po drugiej stronie gospody.

Wyłączyła radio i pocałowała go szybko, jak siostra.

- Jesteś bardzo miły.

- Co ja takiego zrobiłem?

- Nie chciałam rozmawiać i nie zmuszałeś mnie do tego.

- To nie było żadne wyrzeczenie. Ty i ja... porozumiewamy się dobrze, nawet bez słów. Nie zauważyłaś?

- Zauważyłam. - Uśmiechnęła się.

- Ale może tego nie doceniasz? Nie tyle, ile powinnaś.

- Doceniam, w zupełności.

- Jenny, to, co nas łączy... Położyła mu palec na ustach.

- Nie chcę rozmawiać na tak poważny temat.

- Ale ja uważam, że musimy porozmawiać poważnie. Mamy w tym wielkie zaległości.

- Nie. Nie chcę rozmawiać o nas. Nie chcę rozmawiać poważnie. A ponieważ jesteś miły,

zrobisz, o co cię proszę. - Pocałowała go jeszcze raz, otworzyła drzwi i wysiadła z wozu.

Gospoda była ciepłym, zacisznym miejscem. Wzdłuż lewej ściany biegł wiejski,

drewniany bar, w środku stało piętnaście stolików, a po prawej stronie ciągnął się rząd łóż obitych

kasztanowym skajem. Półki za barem były rozświetlone miękkim, niebieskim światłem. Na środku

każdego stolika stała wysoka świeca w czerwonej szklanej latarence, nad łóżami wisały imitacje

witrażowych lamp Tiffany'ego. Z grającej szafy rozbrzmiewała sentymentalna ballada Charliego Richa. Barman, mocno zbudowany mężczyzna z wąsami morsza, nieprzerwanie żartował z gośćmi. Bez pozowania, całkiem nieświadomie przypominał W.C. Fieldsa. Przy barze stało czterech mężczyzn, kilku siedziało przy stolikach, a jeszcze kilku w łóżach. Ostatnia była wolna, więc ją zajęli.

Kiedy dostali już swoje drinki od rudowłosej kelnerki z zadartym noskiem - on wziął szkocką, a Jenny martini na wytrawnej wódce - Paul zapytał:

- Może byś spędziła z nami parę dni pod namiotem? Mamy dodatkowy śpiwór.

- Niezła myśl.

- No to kiedy?

- Może w przyszłym tygodniu.

- Kiedy powiem dzieciakom, już się nie wycofasz. Roześmiała się.

- Twarde z nich sztuki.

- Święta prawda.

- Masz pojęcie, o co zapytała mnie Rya, kiedy pomagała mi podawać kawę po kolacji? -

Jenny pociągnęła łyk drinka. - Spytała, czy dlatego rozwiodłam się z pierwszym mężem, że był marnym kochankiem.

- Och nie! Nie to miała na myśli.

- Och tak! Właśnie to.

- Wiem przecież, że ta dziewczynka ma dopiero jedenaście lat. Ale czasami zastanawiam się...

- Reinkarnacja? - spytała Jenny.

- Może właśnie to. W tym życiu ma jedenaście, ale może żyła siedemdziesiąt w innym. Co jej odpowiedziałaś?

Jenny pokręciła głową, jakby dziwiąc się własnej łatwowierności. Jej ciemne włosy zatańczyły wokół twarzy.

- Kiedy już miałam na końcu języka odpowiedź, że to nie jej interes, czy mój pierwszy mąż był, czy też nie był marnym kochankiem, powiedziała, że nie powinnam się na nią gniewać. Nie chodziło jej o wtykanie nosa w cudze sprawy. Jest dorastającą dziewczyną, trochę zbyt dojrzałą jak na swój wiek, i uważa za absolutnie usprawiedliwione, że interesuje się dorosłymi, miłością i małżeństwem. Po czym dobrała się do mnie na całego.

Paul zrobił grymas.

- Mogę ci powiedzieć, jakiego tekstu użyła: „Biedna mała sierotka. Oszołomiona wiekiem dojrzewania. Zdezorientowana napływem nowych, nieznanych emocji i zmianą procesów chemicznych w organizmie”.

- Więc wypróbowała go na tobie.

- Wielokrotnie.

- I dałeś się na to nabrać?

- Każdy się nabiera.

- Ja z pewnością tak. Zrobiło mi się jej żal. Miała sto pytań...

- Same intymne.

- ...i odpowiadałam na wszystkie. Wtedy odkryłam, że cała ta rozmówka ma jeden cel.

Kiedy już się dowiedziała o moim mężu więcej, niż kiedykolwiek wiedzieć powinna, oznajmiła mi, że prowadziła z matką długie rozmowy rok przed śmiercią Annie i ona wyznała jej, że byłś po prostu kapitalnym kochankiem. Paul jęknął.

- Powiedziałam jej: „Rya, mam wrażenie, że usiłujesz mi sprzedać swojego tatę”. Nadeła się i powiedziała, że wyobrażam sobie Bóg wie co. Ja na to: „Wiesz, nie chce mi się wierzyć, że twoja matka kiedykolwiek powiedziała ci coś w tym rodzaju. Ile miałaś wtedy lat? Sześć?”. A ona:

„Sześć, zgadza się. Ale nawet kiedy miałam sześć lat, to byłam nad wiek rozwinięta”.

- Cóż, nie możesz jej winić - powiedział Paul, kiedy już przestał się śmiać. - Odgrywa swatkę, ponieważ cię lubi. Tak samo jak Mark. - Pochylił się w jej stronę. - I jak ja.

Spojrzała w swój kieliszek.

- Czytałeś ostatnio coś dobrego? Zakołysał swoją szklanką i westchnął.

- Ponieważ niby jestem taki miły, to chyba mam pozwolić ci bezboleśnie zmienić temat.

- Zgadza się.

Jenny Leigh Edison nie miała zaufania do nagłych porywów serca i bała się małżeństwa.

Jej eks, z którego nazwiskiem chętnie się rozstała, był jednym z tych facetów niecierpiących nauki, pracy i poświęceń, którzy mimo to uważają, że należy im się sława i wielkie pieniądze. Ponieważ lata mijały, a oba cele wciąż były odległe, rozglądał się za jakąś wymówką dla swych niepowodzeń. Jenny świetnie się do tego nadawała. Mówił, że nie był w stanie zebrać dobrej kapeli z jej powodu. Nie mógł dostać kontraktu płytowego z jej powodu. Zatrzymywała go w rozwoju, mówił. Przeszkadzała mu. Po siedmiu latach utrzymywania go graniem po barach, zasugerowała, że będą oboje szczęśliwsi, jeśli wezmą rozwód. I od razu oskarżył ją, że go porzuca.

- Miłość, szalone uczucia to nie dosyć, żeby w małżeństwie grało - powiedziała kiedyś

Paulowi. - Potrzeba jeszcze czegoś. Może szacunku. Dopóki nie dowiem się, co to jest, niespieszne mi do ołtarza.

Bezsprzecznie był miłym człowiekiem. Zmienił temat na jej prośbę. Rozmawiali o muzyce, kiedy Bob i Emma Thorpowie podeszli do ich łoży i przywitali się.

Bob Thorp był szefem czteroosobowych sił policyjnych Black River. Zwykle tak

niewielkie miasteczko nie wymaga więcej niż jednego konstabla. Ale gdy do Black River

przyjeżdżali po rozrywkę robotnicy z tartaku, potrzeba było wzmocnionych sił dla zapewnienia

porządku. Dlatego Big Union Supply Company opłacała czteroosobowy posterunek. Bob mierzył

sześć stóp i dwa cale, ważył dwieście czterdzieści funtów, służył kiedyś w piechocie morskiej i znał sztuki walki. Ze swoją kwadratową twarzą i niskim czołem wyglądał na groźnego półgłówka. Groźny był, ale nie był półgłówkiem. Pisywał humoreski dla tygodniówki wychodzącej w Black River. Poziom intelektualny i językowy tych kawałków dorównywał poziomowi artykułów wstępnych w każdej wielkonakładowej gazecie. Połączenie brutalnej siły i niespodziewanej inteligencji czyniło z Boba godnego przeciwnika nawet dla drwali o potężniejszych niż on rozmiarach.

Emma Thorp liczyła trzydzieści pięć lat, ale wciąż uważano ją za najpiękniejszą kobietę w Black River. Była zielonooką blondynką o zwracającej uwagę figurze. Miała w sobie tyle piękna i seksapilu, że doprowadziło ją to do finałów Miss USA dziesięć lat temu. Od tego czasu pozostawała jedyną autentyczną sławą Black River. Jej syn Jeremy był w wieku Marka. Każdego roku kilka dni spędzał w obozie Annendale'ów. Mark cenił go jako przyjaciela, ale jeszcze bardziej za to, że jest synem Emmy. Mark durzył się szczenięce w Emmie i pałętał się koło niej, ile i gdzie się dało.

- Jesteście na wakacjach? - spytał Bob.

- Właśnie przyjechaliśmy dziś po południu.

- Zaprosilibyśmy was do stolika, ale Paul woli trzymać się na dystans od wszystkich, którzy mają gripę - powiedziała Jenny. - Jeśli zachoruje, może zarazić dzieci.

- To nie jest prawdziwa grypa, tylko nocne dreszcze - sprostował Bob.

- Może się od tego nie umiera - wtrąciła Emma - ale ja uważam, że są dość groźne. Nie spałam dobrze od tygodnia. To nie są zwykłe nocne dreszcze. Zdrzemnęłam się po południu i obudziły mnie dreszcze. Byłam mokra od potu.

- Ale oboje wyglądacie bardzo dobrze - zauważył Paul.

- Mówię wam - zawyrokował Bob - to nic groźnego. Nocne dreszcze. Moja babka zawsze

na nie narzekała.

- Twoja babka narzekała na wszystko - powiedziała Emma. - Nocne dreszcze, reumatyzm, zimnicę, wary...

Paul zawahał się, uśmiechnął i w końcu rzekł:

- A do diabła z dreszczami, siadajcie. Pozwólcie, że wam postawię.

- Dzięki, ale naprawdę nie możemy - powiedział Bob, zerkając na zegarek. - W każdą niedzielę wieczorem montują tu na zapleczu pokerka. Emma i ja zwykle się przysiadamy. Czekają na nas.

- Ty grasz, Emmo? - spytała Jenny.

- Lepiej niż Bob - pochwaliła się Emma. - Ostatnim razem przegrał piętnaście dolarów, a ja wygrałam trzydzieści dwa.

- Zdradzę wam tajemnicę tego sukcesu. - Bob wyszczerzył zęby. - Rzecz nie w umiejętnościach. Rzecz w tym, że kiedy gramy, większość facetów za mało czasu poświęca na patrzenie w swoje karty.

Emma poprawiła mocno wycięty dekolt sweterka.

- No cóż, bluff to istotna część dobrej gry w pokera. Jeśli ci cholerni durnie dają się nabierać na głęboki dekolt, to znaczy, że nie umieją grać tak dobrze jak ja.

W powrotnej drodze do domu, dziesięć mil za Bexford, Paul zaczął skręcać z asfaltowej drogi na wzniesienie z punktem widokowym, które stanowiło ulubioną promenadę zakochanych.

- Proszę, nie zatrzymuj - powiedziała Jenny.

- Dlaczego nie?

- Chcę ciebie.

Przystanął, dwoma kołami na poboczu, dwoma na drodze.

- I to jest powód, żeby się nie zatrzymywać?! Unikała jego wzroku.

- Chcę ciebie, ale ty nie należysz do mężczyzn, których można zadowolić samym seksem.

Chcesz ode mnie czegoś więcej. Z tobą musi być coś więcej - miłość, uczucie, odpowiedzialność.

Nie dojrzałam jeszcze do tego.

Delikatnie ujął ją za podbródek, obrócił do siebie.

- Kiedy w marcu przyjechałaś do Bostonu, miałaś bardzo zmienne nastroje. Raz wydawało

ci się, że potrafimy być razem, a innym razem myślałaś, że to niemożliwe. Powiedziałaś, że

pasujemy do siebie, ale potrzebujesz jeszcze trochę czasu. - Poprosił ją o rękę w ostatnie Boże

Narodzenie i od tego czasu usiłował przekonać, że stanowią dwie połówki jednego organizmu i

żadne z nich nie stanowi całości bez drugiego. W marcu wydało mu się, że zrobił pewien krok

naprzód. - Teraz znów zmieniasz zdanie. Pocałowała wewnątrz jego dłoni.

- Muszę mieć zupełną pewność.

- Nie jestem podobny do twojego męża.

- Wiem, że nie. Jesteś...

- Bardzo miły?

- Potrzebuję więcej czasu.

- Ile?

- Nie wiem.

Przez chwilę spoglądał na nią badawczo, a potem zapuścił silnik i wjechał na jezdnię.

Włączył radio.

- Jesteś zły? - spytała po kilku minutach.

- Nie. Tylko zawiedziony.

- Masz na nasz temat zbyt dobre zdanie. Powinieneś być ostrożniejszy. Powinieneś mieć trochę wątpliwości. Jak ja.

- Nie mam wątpliwości. Pasujemy do siebie.

- Ależ powinieneś mieć. Na przykład, czy nie wydaje ci się dziwne, że tak bardzo przypominam twoją pierwszą żonę? Była tak samo zbudowana jak ja, miała te same rozmiary. Ten sam kolor włosów, te same oczy. Widziałam jej fotografię.

Trochę go to zdenerwowało.

- Czy myślisz, że zakochałem się w tobie tylko dlatego, że mi ją przypominasz?

- Kochałeś ją bardzo.

- To w żaden sposób nie łączy się z nami. Po prostu lubię seksowne brunetki. - Uśmiechnął się. Starał się obrócić to w żart, aby przekonać ją, a zarazem przestać się zastanawiać, czy nie ma przypadkiem trochę racji.

- Może.

- Do cholery, nie ma tu żadnego „może”! Kocham cię, bo ty to ty, a nie dlatego, że jesteś kimś innym.

Jechali w milczeniu.

Oczy kilku saren błysnęły w wysokiej trawie obok drogi. Kiedy wóz mijał stado, poruszyły się. Paul uchwycił obraz w lusterku - pełne gracji, widmowe sylwetki, przebiegające szosę.

- Taki jesteś pewien, że zostaliśmy stworzeni dla siebie? - powiedziała w końcu Jenny. -

Może i tak - pod pewnymi warunkami. Ale Paul, wszystko, co nas dotychczas łączyło, było dobre.

Nigdy nie stawiliśmy razem czoła przeciwnościom. Nigdy nie mieliśmy bolesnych przejść.

Małżeństwo to ciąg małych i wielkich kryzysów. Z mężem było nam całkiem fajnie, dopóki nie nadszedł kryzys. Potem skoczyliśmy sobie do gardeł. Na pewno więc nie zaryzykuję przyszłości w związku, który nigdy nie został poddany ciężkiej próbie.

- Czyli powinienem modlić się o chorobę, ruinę finansową i nieszczęście?

- Mówisz tak, jakbym była idiotką. - Westchnęła i oparta się o niego.

- Nie chciałem.

- Wiem.

Po powrocie do Black River cmoknęli się w policzek na dobranoc i poszli spać w osobnych pokojach. Długo leżeli w łóżkach z otwartymi oczami.

ROZDZIAŁ 4

Dwadzieścia osiem miesięcy wcześniej. Niedziela, 12 kwietnia 1975

Helikopter Jetranger II Bella - luksusowy, wygodny jak pluszowa kanapa - siekł suche powietrze Nevady, opuszczając się w dół nad Las Vegas Strip. Pilot niezwykle ostrożnie podchodził do lądowania na dachu Fortunata Hotel. Przez moment zawisł nad czerwonym kręgiem i siadł po mistrzowsku.

Kiedy wirnik przestał się kręcić, Ogden Salsbury odsunął drzwi i zszedł na dach hotelu.

Przez kilka sekund nie mógł zebrać myśli. Kabina jetrangerera była klimatyzowana. Na zewnątrz powietrze przypominało podmuch hutniczego pieca. Z głośników umocowanych na sześciostopowych masztach nadawano na pełny regulator piosenki Franka Sinatry. Słońce odbijało się od drobnych falek basenu. Salsbury chwilowo oślepl, chociaż miał założone okulary przeciwsłoneczne. Przypuszczał, że dach kiwnie się pod nim i zakołysze jak helikopter, ale kiedy to nie nastąpiło, utracił na moment równowagę.

Pływalnia i szklane pomieszczenia rekreacyjne stanowiły część ogromnego apartamentu prezydenckiego na dwudziestym dziewiątym piętrze Fortunata Hotel. Tego popołudnia z basenu korzystały tylko dwie ponętne młode kobiety w skąpych białych bikini. Siedziały na brzegu basenu, po głębszej stronie. Nogi miały zanurzone w wodzie. Krępy, potężnie zbudowany mężczyzna, w szarych luźnych spodniach i białej jedwabnej koszuli z krótkimi rękawami kucnął obok i konwersował z nimi. Cała trójka emanowała doskonałą nonszalancją, która, pomyślał Ogden, płynie tylko z władzy lub z pieniędzy. Sprawiali wrażenie, że nie zauważyli nawet przybycia helikoptera.

Salsbury pokonał całą szerokość dachu.

- Generał Klinger?

Krępy mężczyzna podniósł wzrok.

Dziewczyny zdawały się nie dostrzegać istnienia Salsbury'ego. Blondynka zaczęła nacierać brunetkę kremem do opalania. Dłonie przesuwały się po łydkach i kolanach, powolutku, pieszczotliwie szły w górę ud. Dziewczęta musiało łączyć coś głębszego niż przyjaźń.

- Nazywam się Salsbury. Klinger wstał. Nie podał ręki.

- Idę po walizkę. Wracam za minutę. - Udał się do szklanego pomieszczenia.

Salsbury gapił się na dziewczyny. Miały najdłuższe, najcudowniejsze nogi, jakie w życiu widział. Chrząknął i zagadnął:

- Założę się, że pracujecie w rozrywce.

Żadna nie obdarzyła go spojrzeniem. Blondynka wycisnęła krem na lewą dłoń i masowała nabrzmiałe, duże piersi brunetki. Zagłębiła palce w biustonosz, przesunęła po ukrytych sutkach.

Salsbury poczuł się głupio - jak zawsze w towarzystwie pięknych kobiet. Był pewien, że kpią sobie z niego. Parszywe suki! - pomyślał wściekle. Przyjdzie dzień, że będę miał każdą, jaka mi się spodoba. Zrobicie wówczas wszystko, na co będę miał ochotę, i polubicie to, bo ja każę wam to lubić.

Wrócił Klinger. Niósł dużą walizkę. Ubrany był w sportową wiatrówkę w niebiesko-szarą kratę, wartą dwieście dolarów. Wygląda jak goryl w cyrku, pomyślał Salsbury.

W kabinie pasażerskiej helikoptera, kiedy unieśli się z dachu, Klinger przycisnął twarz do szyby i patrzył na dziewczyny, zmniejszające się w dwa aseksualne punkty. Westchnął i oparł się o siedzenie.

- Twój szef wie, jak urządzić wakacje mężczyźnie - powiedział.

- Mój szef? - Salsbury zamrugał zaskoczony.

- Tak, Dawson - wyjaśnił Klinger. Wyjął z kieszeni wiatrówki paczkę krótkich, mocnych cygar. Zapalił, nie częstując Salsbury'ego. - Jak ci się podobają Crystal i Daisy?

- Co? - Salsbury zdjął okulary.

- Crystal i Daisy. Dziewczyny z basenu.

- Ładne. Bardzo ładne.

Klinger zamilkł na dłuższą chwilę, zaciągnął się cygarem, wydmuchnął dym i powiedział:

- Nie uwierzyłbyś, jakie numery potrafią odstawiać!

- Myślałem, że to tancerki.

Klinger spojrzał na niego z niedowierzaniem, odrzucił w tył głowę i ryknął śmiechem.

- Och, jak najbardziej! Kręcą tymi swoimi kuperkami z zapalem każdej nocy na głównej scenie Fortunata. Ale dają też występy w penthousie. I zaręczam ci, że taniec nie jest ich największym talentem.

Salsbury pocił się, mimo że w kabinie jetrangera panował chłód. Kobiety... Bał się ich i pożył rozpaczliwie. Dla Dawsona kontrola umysłu oznaczała nieograniczone bogactwo, finansowe panowanie nad całym światem. Dla Klingera mogła oznaczać nieograniczoną władzę, rozkoszowanie się bezwzględny posłuchem. Ale dla Salsbury'ego oznaczała zaspokojenie seksualne - tak często, jak zechce, na tyle sposobów, na ile zechce, z tyloma kobietami, z iloma zechce.

- Założę się, że chciałbyś mieć je w łóżku, włożyć im, jednej po drugiej - powiedział

Klinger, wydmuchując dym w stronę sufitu - Chciałbyś?

- A kto by nie chciał?

- One wystawiają mężczyznę na ciężką próbę - zachichotał Klinger. - Trzeba naprawdę wytrzymałego faceta, żeby je zadowolić. Dałbyś radę załatwić je obie?

- Musiałbym się do tego mocno przyłożyć.

Klinger zarechotał.

Salsbury znienawidził go za to. Ten prostacki dureń jest tylko ustosunkowanym wałkoniem, pomyślał. Można go kupić, i to za niewielkie pieniądze. Generał różnymi sposobami pomagał Futurex International w przetargach na kontrakty dla Pentagonu. W rewanżu opłacano mu wakacje w Las Vegas, a część wynagrodzenia przelewano na konto w Szwajcarii. Tylko jednego elementu rozrachunku nie mógł pogodzić Salsbury z osobistą filozofią Leonarda Dawsona.

- Czy Dawson płaci również za dziewczynki? - spytał.

- No, ja nie płacę. - Klinger wpatrywał się uparcie w Salsbury'ego, aż nabrał przekonania, że naukowiec mu uwierzył. - Hotel bierze na siebie rozliczenie. To jedna z filii Futurexu. Ale obaj z Leonardem udajemy, że nic nie wiemy o dziewczynkach. Kiedy mnie pyta, jak mi się udały wakacje, zachowuję się tak, jakbym sam jak palec tkwił nad basenem i czytał nowości książkowe.

- Był rozbawiony. Zaciągnął się cygarem. - Leonard to purytanin, ale jest za cwany, żeby jego osobiste poglądy wpływały na interesy. - Pokiwał głową. - Twój szef to duży gość.

- On nie jest moim szefem.

Klinger sprawiał wrażenie, że go nie usłyszał.

- Leonard i ja jesteśmy partnerami - powiedział Salsbury. Klinger zmierzył go spojrzeniem od stóp do głów.

- Partnerami.

- Zgadza się. Ich oczy się spotkały.

Po kilku chwilach Salsbury z ociąganiem odwrócił głowę i spojrział w okno.

- Mówisz, partnerami - powtórzył Klinger. Nie wierzył.

Oczywiście, że jesteśmy, pomyślał Salsbury. Dawson może mieć ten helikopter, Fortunata Hotel, Crystal, Daisy i ciebie, ale nie mnie. I nigdy mnie mieć nie będzie. Nigdy.

Na lotnisku w Las Vegas helikopter usiadł trzydzieści jardów od iskrzącego się odrzutowca

Gulf Stream Grummana. Czerwone litery na kadłubie głosiły: FUTUREX INTERNATIONAL.

Piętnaście minut później byli w powietrzu, w drodze na prywatne lotnisko koło jeziora Tahoe.

- Rozumiem, że przygotowałeś dla mnie krótkie wprowadzenie - powiedział Klinger, rozpinając pas.

- Zgadza się. Mamy na to dwie godziny. - Salsbury położył teczkę na kolanach. - Czy słyszałeś kiedyś o subliminalach...

- Zanim się do tego weźmiemy, chciałbym szkocką z lodem.

- Zdaje się, że jest tu barek.

- To fajnie.

- Z tyłu. - Salsbury wskazał za siebie.

- Dla mnie cztery uncje szkockiej z czterema kostkami lodu w ośmiuncjowej szklance.

Z początku Salsbury wpatrywał się w niego, nie pojmując. Następnie zaskoczył:

generałowie nie przyrządzają sobie drinków. Nie pozwól, żeby wlaź ci butem na kark, pomyślał.

Ale wstał i poszedł na tył samolotu. Kiedy wrócił z drinkiem, Klinger nawet mu nie podziękował.

- Mówisz, że jesteś jednym z partnerów Leonarda?

Salsbury skojarzył, że zachowując się raczej jak kelner niż gospodarz, wzmocnił tylko generalskie przekonanie, iż słowo „partner” nie przystaje do niego. Drań go przetestował.

Czy Dawson i Klinger zanadto go nie przerastają? Czy nie wszedł w to jak zawodnik wagi

koguciej, pakujący się na ring z zawodnikami ciężkiej? A nuż wystawia się na nokaut?

Szybko odrzucił tę myśl. Bez Dawsona i generała nie zdoła ukryć swych odkryć przed rządem, który finansował

je, zarządzał nimi i zazdrośnie by je chronił, gdyby się dowiedział, że istnieją. Nie miał

wyboru, musiał sprzymierzyć się z tymi ludźmi. Wiedział, że powinien być ostrożny, podejrzliwy i

czujny. Można iść bezpiecznie do łóżka nawet z diabłem, byle mieć naładowany pistolet pod poduszką. Czyż nie tak?

Pine House, dwudziestopięciopokojowa rezydencja Dawsona, wychodząca na jezioro Tahoe w stanie Nevada, zdobyła dwie nagrody architektoniczne i była prezentowana w „House Beautiful”. Stała nad brzegiem jeziora na pięcioakrowej działce, z ponad stu wysokimi sosnami w tle. Mimo nowoczesnej sylwetki harmonizowała z okolicznym pejzażem. Pierwszy poziom rezydencji był obszerny, usytuowany na planie koła, zbudowany z kamienia i pozbawiony okien. Drugi również miał kształt koła o identycznych rozmiarach, ale został przesunięty w stosunku do poziomu zerowego. Po stronie wychodzącej na jezioro, z tyłu domu, piętro zwisało nad parterem, osłaniając małą przystań. Tu znajdowało się dwudziestostopowe okno z imponującym widokiem na wodę i odległe, pokryte sosnami stoki gór. Dach w kształcie kopuły, pokryty czarnymi dachówkami, wieńczyła wysmukła, iglasta, mierząca osiem stóp wysokości wieżyczka. Kiedy Salsbury zobaczył ten dom po raz pierwszy, pomyślał, że to kuzyn futurystycznych kościołów, wznoszonych przez ostatnie dziesięć czy piętnaście lat w bogatych, postępowych parafiach. Niezbyt taktownie wspomniał o tym Dawsonowi, ale Leonard potraktował ten komentarz jako komplement. Ogden, poznawszy bliżej przez ostatnie trzy miesiące podczas cotygodniowych spotkań ekscentrycznego gospodarza, był głęboko przekonany, że Dawson chciał, by dom był podobny do kościoła, by udawał kościół, święty pomnik ku czci bogactwa i władzy.

Pine House kosztował prawie tyle co kościół: milion dwieście pięćdziesiąt tysięcy dolarów, włącznie z opłatą za grunt. A był to tylko jeden z pięciu domów i trzech rozległych apartamentów, które Dawson i jego żona utrzymywali w Stanach Zjednoczonych, Anglii, Europie i na Jamajce. Po kolacji trzech mężczyzn wyciągnęli się w fotelach w bawialni, kilka stóp od widokowego okna. Tahoe, jedno z najwyższych położonych i najgłębszych jezior na świecie, połyskiwało

światłocieniami, gdy ostatnie promienie słońca znikły za linią gór. Rano woda miała czysto zielony odcień. Po południu stawała się krystalicznie niebieska. Teraz, niebawem mając przejść w głęboką czerń, wyglądała niby purpurowy aksamit, otulający brzeg. Przez kilka długich minut rozkoszowali się widokiem, rozmawiając tylko o potrawach, których kosztowali, i o koniaku, który właśnie popijali.

- Ernst, co myślisz o reklamie subliminalnej? - zapytał w końcu Dawson, odwracając się do generała.

- Fascynująca sprawa. - Generał oczekiwał tego nagłego przejścia do interesów.

- Nie masz żadnych wątpliwości?

- Że istnieje? Absolutnie żadnych. Ten twój człowiek ma dowody. Ale nie wyjaśnił, co reklama subliminalna ma wspólnego ze mną.

Dawson popijał małymi łykami koniak, rozkoszując się jego smakiem. Kiwnął głową w stronę Salsbury'ego.

- Ernst, przecież poznaliśmy się dopiero dzisiejszego przedpołudnia - odezwał się Ogden.

Odstawił kieliszek. Zły na Klingera, że mówi o nim „ten twój człowiek”, zły na Dawsona, że nie poprawił generała, postanowił zwracać się do Klingera bez wymieniania jego stopnia wojskowego.

- Nie mówiłem ci, gdzie pracuję, ale jestem pewien, że wiesz.

- W Brockert Institute - bez wahania powiedział Klinger.

Generał Ernst Klinger kierował w Pentagonie bardzo ważnym Departamentem

Bezpieczeństwa przy Badaniach Broni, który kontrolował stany: Ohio, Wirginia Zachodnia,

Wirginia, Maryland, Delaware, Pensylwania, New Jersey, Nowy Jork, Connecticut,

Massachusetts, Rhode Island, Vermont, New Hampshire i Maine. Dozorował nowo wprowadzane

elektroniczne oraz tradycyjne systemy zabezpieczenia we wszystkich laboratoriach, zakładach i

poligonach, w których przeprowadzano badania nad bronią na obszarze tych czternastu stanów.

Kilka laboratoriów należących do Creative Developments Associates, z urządzeniami Brockert w Connecticut włącznie, podlegało też jego nadzorowi i Salsbury byłby zdziwiony, gdyby generał nie znał nazwiska naukowca stojącego na czele prac badawczych w Brockert.

- Czy masz pojęcie, jaki rodzaj badań tam prowadzimy? spytał Salsbury.

- Odpowiadam za bezpieczeństwo, a nie za stronę naukową - odpowiedział Klinger. -

Wiem to, co muszę wiedzieć. Znam na przykład dane ludzi, którzy tam pracują, plan budynków i topografię otaczającego terenu. Nie muszę znać się na twojej pracy.

- Zajmuję się subliminalami.

Klinger zeszywniał, jakby usłyszał za sobą jakiś złowieszczy szmer. Zaróżowione od koniaku policzki lekko pobrały.

- Sądzę, że składałeś przysięgę zachowania tajemnicy, jak każdy w Brockert.

- Tak, składałem.

- Teraz ją złamałeś.

- Jestem tego świadom.

- Czy jesteś świadom również kary?

- Tak. Ale nigdy nie zostanie mi wymierzona.

- Pewny siebie jesteś, co?

- Cholernie pewny - odpowiedział Salsbury.

- I nie ma dla ciebie znaczenia, że jestem generałem Armii Stanów Zjednoczonych, a

Leonard jest lojalnym i godnym zaufania obywatelem? Tak czy inaczej, złamałeś przysięgę, ale może zwolnią cię z oskarżenia o zdradę, jeśli rozmawiałeś na ten temat tylko z nami. Natomiast mogą wlepić ci co najmniej osiemnaście miesięcy za ujawnianie informacji bez zezwolenia.

Salsbury spojrział przelotnie na Dawsona.

Dawson pochylił się do przodu i poklepał generała po kolanie.

- Pozwól skończyć Ogdenowi.

- To może być wystawienie - powiedział Klinger.

- Co?

- Wystawienie. Pułapka.

- Żeby cię dostać? - zapytał Dawson.

- Niewykluczone.

- Po co miałbym cię wystawiać? - Dawson wydawał się boleśnie zraniony tym posądzeniem.

Pomimo że przez ostatnie trzydzieści lat prawdopodobnie wystawił i zniszczył setki ludzi, pomyślał Salsbury.

Wydawało mu się, że Klinger myśli to samo, choć wzruszył ramionami i udawał, że nie zna odpowiedzi na pytanie Dawsona.

- To nie mój sposób działania - powiedział Dawson, nie mogąc lub nie chcąc ukryć zranionej dumy. - Znasz mnie przecież dobrze. Moja cała kariera, moje całe życie opiera się na zasadach chrześcijańskich.

- Nie znam nikogo aż tak dobrze, żebym ryzykował posądzenie mnie o zdradę - szorstko rzekł generał.

- Stary przyjacielu - zaczął Dawson z irytacją zbyt przesadną, aby mogła być prawdziwa - zarobiliśmy wspólnie ogromne pieniądze. Ale wszystko to są drobne sumy w porównaniu z fortuną, jaką dopiero możemy zarobić, jeśli pójdziemy na współpracę z Ogdenem. Tu otwiera się przed nami nieograniczone bogactwo. - Przez chwilę obserwował generała, a kiedy nie doczekał się z jego strony spodziewanej reakcji, powiedział: - Ernst, nigdy nie wyprowadziłem cię w pole. Nigdy. Ani razu.

- Wszystko, co poprzednio robiłeś dla mnie - mówił nieprzekonany Klinger - sprowadzało

się do płacenia mi za moje rady...

- Za twoje wpływy.

- Za moje rady - upierał się Klinger. - A gdybym nawet sprzedawał swoje wpływy - czego nie robiłem - to daleko jeszcze do zdrady.

Wpatrywali się w siebie.

Salsbury poczuł się tak, jakby był nieobecny w pokoju, lecz obserwował ich z daleka przez okular długi na milę teleskopu.

- Leonardzie, mam nadzieję, że jesteś świadom, iż to ja mógłbym wystawić ciebie - odezwał się w końcu Klinger nieco łagodniejszym tonem.

- Oczywiście.

- Mógłbym zgodzić się na wysłuchanie twojego człowieka, odpytać go ze wszystkiego, co ma do powiedzenia, tylko po to, żeby zdobyć dowody przeciwko wam.

- Zarzucić na nas haczyk.

- Wyrzucić tyle linki, żebyście się mieli na czym powiesić - uzupełnił Klinger. - Ostrzegam cię tylko dlatego, że jesteś moim przyjacielem. Nie chcę, żebyś wpakował się w kłopoty.

- Cóż, mam dla ciebie ofertę i propozycję współpracy. - Dawson rozparł się w fotelu. -

Więc po prostu muszę podjąć to ryzyko, czyż nie tak?

- Sam wybrałeś.

Uśmiechnięty, wyraźnie pełen uznania dla generała, Dawson podniósł kieliszek do góry i bez słów zaproponował toast.

Klinger uśmiechnął się szeroko i podniósł swój kieliszek.

Co się tu, do diabła, dzieje? - zastanawiał się Salsbury.

Dawson chwilę rozkoszował się aromatem, po czym upił łyk koniaku. Spojrzał na

Salsbury'ego - po raz pierwszy od kilku minut - i powiedział:

- Możesz kontynuować, Ogden.

Salsbury nagle pochwycił ukryty cel toczącej się w jego obecności rozmowy. Założywszy nieprawdopodobną okoliczność, że Dawson faktycznie zastawił pułapkę na starego przyjaciela, na wypadek jednej szansy na sto, że spotkanie jest nagrywane, Klinger zrećnie się zabezpieczył - przynajmniej częściowo - w razie śledztwa. Zarejestrowane miałyby teraz, że ostrzegał Dawsona przed konsekwencjami jego postępowania. W sądzie cywilnym czy wojskowym generał dysponowałby argumentem, że pozorował chęć współpracy, aby zebrać przeciw nim dowody; a jeśli nawet nikt by mu nie uwierzył, to bardzo prawdopodobne było, że zachowa wolność i nie zostanie zdegradowany.

Ogden wstał z fotela, zbliżył się do okna i stanął obrócony plecami do czerniejącego jeziora. Był zbyt przejęty, aby spokojnie siedzieć podczas mówienia. Przez chwilę ze zdenerwowania nie mógł wydobyć z siebie głosu.

Jak para jaszczurów, spoczywająca na granicy ciepłego słońca i lodowatego cienia, czekająca na zmianę światłocienia, która umożliwi im bezpieczny ruch, Dawson i Klinger wbili w niego wzrok. Siedzieli w identycznych fotelach, obitych czarną skórą, z wysokimi prostymi oparciami ze srebrnymi gałkami i ćwiekami. Między nimi stał mały okrągły stolik z ciemnym dębowym blatem. Jedyne światło w tym bogato urządzonej pokoju padało z dwóch stojących lamp, umieszczonych przy kominku dwadzieścia stóp dalej. Prawa strona oblicza każdego mężczyzny była nieco złagodzona cieniami, a lewa ostro zarysowana bursztynowym światłem; oczy połyskiwały im jaszczurzą cierpliwością.

Czy plan zakończy się sukcesem, czy też nie, myślał Salsbury, to zarówno Dawson, jak i Klinger wyjdą z tego cało. Obydwaj mają skuteczną broń: Dawson swoje bogactwo, a Klinger bezwzględność, spryt i doświadczenie.

Tymczasem Salsbury nie posiadał żadnej. Nie uświadamiał sobie nawet - jak to było w

przypadku Klingera, który zabezpieczył się gadką o zachowaniu tajemnicy i zdradzie - że może mu być potrzebna. Założył, iż jego odkrycie przyniesie dość pieniędzy i władzy, by zaspokoić ich trzech, ale teraz zaczynał pojmować, że chciwości nie można tak łatwo zaspokoić jak wilczego apetytu czy dojmującego pragnienia. Jeśli w ogóle miał jakąś broń, był nią jego intelekt, szybka jak błyskawica myśl. Ale intelekt przez tak długi czas poruszał się w wąskich korytarzach wyspecjalizowanych badań naukowych, że teraz był mniej sprawny w sprawach codziennego życia niż w laboratorium.

Bądź ostrożny, podejrzliwy i czujny, upomniał się po raz drugi tego dnia. Z ludźmi tak agresywnymi, jak ci dwaj, ostrożność była cholernie wątlą bronią, ale jedyną, jaką posiadał.

- Przez dziesięć lat Brockert Institute na zlecenie Pentagonu zajmował się wyłącznie badaniem reklamy subliminalnej - mówił. - Ale nie od strony technicznej, teoretycznej czy socjologicznej - te rozpracowywano gdzie indziej. My badaliśmy wyłącznie procesy biologiczne percepcji subliminalnej. Od początku usiłowaliśmy wyprodukować specyfik, który „zagruntowałby” mózg do subpercepcji, specyfik, który zmusi człowieka do bezwarunkowego wykonywania każdego subliminalnego polecenia. Naukowcy w innym laboratorium CDA w północnej Kalifornii próbowali wyhodować czynnik wirusowy lub bakteryjny, służący identycznemu celowi. Ale byli na fałszywym tropie. - Wiedział o tym doskonale, ponieważ to on był na właściwym. - Obecnie można wpływać subliminalnie na ludzi, którzy nie mają niezachwianych opinii. Pentagon natomiast chciałby używać subliminalnych poleceń do zmiany postaw ludzi, którzy mają ustalone poglądy.

- Kontrola umysłu - podsumował rzeczowo Klinger. Dawson pociągnął łyk koniaku.

- Jeżeli uda się wyprodukować taki specyfik - mówił dalej Salsbury - historia potoczy się inaczej. To nie przesada. Przede wszystkim nigdy więcej nie byłoby wojen, przynajmniej w tradycyjnym znaczeniu. Wystarczyłoby po prostu skazić zapasy wody nieprzyjaciela naszym

środkiem, a potem puścić przez mass media - telewizję, radio, film, gazety codzienne i magazyny - nieprzerwaną serię starannie zaprojektowanych subliminali, które przekonają ich, żeby patrzyli na świat tak, jak my sobie tego życzymy. Stopniowo, delikatnie przemienimy naszych wrogów w sojuszników - i pozwolimy im wierzyć, że ta przemiana jest ich własnym pomysłem.

Przez chwilę się nie odzywali, rozmyślając nad tym, co usłyszeli.

Klinger zapalił cygaro.

- Dla takiego specyfiku znalazłoby się sporo zastosowań wewnątrz kraju - powiedział.

- Oczywiście - zgodził się Salsbury.

- Wreszcie - w głosie Dawsona zabrzmiała prawie tęskna nuta - moglibyśmy osiągnąć jedność narodową, położyć kres wszystkim swarom, protestom i kłótniom, które hamują rozwój tego wielkiego kraju.

Ogden odwrócił się od nich i zapatrzył na widok za oknem. Noc niepodzielnie owładnęła jeziorem. Słyszał chlupot wody o pomost, kilka stóp poniżej okna. Słuchał, wchłaniał rytmiczny dźwięk. Uspokajał się. Był teraz pewien współpracy Klingera i dostrzegł niewiarygodną, czekającą ich przyszłość. Podniecony tą wizją, obawiał się, iż głos mu odmówi posłuszeństwa.

- W Brockert jesteś przede wszystkim od dyrygowania - odezwał się Klinger. - Zdaje się, że nie ślęczysz w laboratorium.

- Są pewne badania, które zarezerwowałem dla siebie - wyznał Salsbury.

- I wynalazłeś środek farmakologiczny, który działa, specyfik przygotowujący mózg pod subpercepcję.

- Trzy miesiące temu - powiedział do szyby Ogden.

- Kto o tym wie?

- My trzej.

- Nikt w Brockert?

- Nikt.
- Jeśli zarezerwowałeś - tak jak mówisz - dla siebie pewne kierunki badań, to musisz mieć laboranta.
- Nie jest specjalnie bystry - odrzekł Salsbury. - Dlatego go wybrałem. Sześć lat temu.
- Już od tak dawna myślałeś o zagarnięciu tego dla siebie?
- Tak.
- I preparowałeś sprawozdania dzienne? Te formularze, które idą do Waszyngtonu pod koniec każdego tygodnia?
- Tak, ale musiałem je fałszować tylko kilka razy. Kiedy zorientowałem się, na co wpadłem, od razu całkowicie zmieniłem kierunek badań.
- A twój asystent nie zauważył zmiany?
- Pomyślał, że zrezygnowałem z jednej metody, i oczekiwał, że wypróbujemy inną. Powiedziałem już, nie jest zbyt bystry.
- Ogden nie dopracował do końca tego specyfiku, Ernst powiedział Dawson. - Jest jeszcze mnóstwo pracy do wykonania.
- Ile? - zapytał generał.
- Nie mam całkowitego rozeznania - oświadczył Salsbury. Odwrócił się od okna. - Może tylko sześć miesięcy, może aż półtora roku.
- Nie powinienem pracować nad tym w Brockert. Nie uda mu się fałszować sprawozdań tak długo. Dlatego też zorganizuję mu kompletnie wyposażone laboratorium w moim domu w Greenwich, czterdzieści minut od Brockert Institute.
- Masz tak wielki dom, że możesz zamienić go w laboratorium? - Klinger podniósł brwi.
- Ogden nie potrzebuje dla siebie wielkich pomieszczeń. Tysiąc stóp kwadratowych. Tysiąc sto najwyżej. A większość z nich zajmą komputery. Obrzydliwie kosztowne komputery,

mógłbym dodać. Inwestuję w badania Ogdena prawie dwa miliony dolarów, moich własnych pieniędzy, Ernst. Niech to będzie dowodem niezwyklej wiary, jaką w nim pokładam.

- Uważasz, że on da radę wynaleźć, przetestować i udoskonalić ostatecznie ten specyfik, pracując w jakiejś szopie na podwórku?

- Za dwa miliony dolarów nie buduje się szop. I nie zapominaj o miliardach dolarów z kasy państwa, włożonych już w badania podstawowe. Ja finansuję jedynie końcowy etap pracy.

- Jak utrzymasz w tajemnicy badania?

- Komputery mają tysięczne zastosowania. Nie będziemy siebie obciążać zakupem, postaramy się, by zakupu dokonała jakaś filia Futurexu. Nie będzie żadnego zapisu, że sprzedano je nam. Nikt nie będzie zadawał żadnych pytań.

- Będą potrzebni technicy, asystenci, administracja...

- Nie - powiedział Dawson. - Dopóki Ogden ma komputer i pełne pliki danych z poprzednich badań, poradzi sobie sam. Przez dziesięć lat miał pełną obsługę laboratoryjną do czarnej roboty, ale większość tego rodzaju prac ma już za sobą.

- Jeśli odejdzie z Brockert, służby bezpieczeństwa zaczną gruntowne dochodzenie. Ich ludzie będą chcieli wiedzieć, czemu odszedł - i dowiedzą się.

Rozmawiali o Salsburym, jakby go z nimi nie było. Nie był tym zachwycony. Odszedł od okna, zrobił dwa kroki w stronę generała i powiedział:

- Nie odchodzę z mojego stanowiska w Brockert. Będę pracował jak zwykle, pięć dni w tygodniu, od dziewiątej do czwartej. Będę tam tkwił i z zapalem kontynuował nikomu niepotrzebne prace.

- Kiedy znajdziesz czas na zajęcia w tym laboratorium, które Leonard ci wyszykuje?

- Wieczorami. Podczas weekendów. Poza tym zebrało mi się dużo zaległych zwolnień i urlopów. Odbiorę teraz większość - rozłożonych równo w ciągu roku.

Klinger wstał i podszedł do eleganckiego stolika barowego, z miedzi i szkła, który lokaj ustawił w odległości kilku stóp od foteli. W grubych, owłosionych łapach żołnierza kryształowe karafki sprawiały wrażenie jeszcze delikatniejszych niż w rzeczywistości.

- A jaką rolę, według was, ja mam w tym wszystkim odegrać? - spytał, nalewając sobie kolejny podwójny koniak.

- Leonard może nabyć potrzebną mi sieć komputerową - zaczął Salsbury - ale nie może dostarczyć taśm magnetycznych, na których są pliki pełnej dokumentacji badań, jakie wykonałem dla CDA, oraz taśm z głównym programem, przeznaczonym do obsługi badań. Potrzebuję ich do pracy, bo inaczej wszystkie komputery Leonarda będą w ogóle nic niewarte. Mogę bez ryzyka wpadki zrobić duplikaty taśm w Brockert. Ale kiedy będę już miał osiemdziesiąt, dziewięćdziesiąt nieporęcznych, dużych dysków i pięćset jardów wydruków, to jak je wydostanę z Brockert? Nie mam po prostu na to sposobu. Procedura zachowania bezpieczeństwa w CDA przy wchodzeniu i wychodzeniu jest szczelna, zbyt szczelna, jak dla mnie. Chyba że...

- Rozumiem - uciął Klinger. Usiadł w fotelu i pociągnął łyk koniaku.

Dawson ześliznął się na brzeg swojego fotela, pochylił do przodu.

- Ernst, ty jesteś najwyższą władzą w zakresie bezpieczeństwa w Brockert. Wiesz więcej o tym systemie niż ktokolwiek inny. Jeżeli istnieje w nim jakiś słaby punkt, ty jesteś właściwym człowiekiem, który może go odnaleźć lub... stworzyć.

- Oczekujecie, że pozwolę wam przesznułować prawie sto taśm, zapchanych ściśle tajnymi danymi i wyrafinowanymi programami komputerowymi? - spytał Klinger. Wbijał przy tym wzrok w Salsbury'ego, jakby oceniał niebezpieczeństwo i kwestionował sens zadawania się z kimś o tak wyraźnie podłym charakterze.

Ogden wolno skinął głową.

- Możesz to zrobić? - spytał Dawson.

- Prawdopodobnie.

- Tyle tylko możesz obiecać?

- Szansa na „tak” jest ponad pięćdziesięcioprocentowa.

- To nie wystarcza, Ernst.

- No dobrze - powiedział Klinger, lekko poirytowany. - Mogę to zrobić. Znajdę sposób.

Dawson się uśmiechnął.

- Wiedziałem, że znajdziesz.

- Ale jeśli znajdę jakiś sposób i przyłapią mnie, to zamkną w Leavenworth i tam zgniję. Nie bez powodu użyłem wcześniej słowa „zdrada”.

- Nie sądzę, żebyś tam wylądował - powiedział Dawson. Ale przecież nie musisz w ogóle oglądać tych taśm ani tym bardziej brać ich do ręki. To ryzyko podejmie jedynie Ogden. Mogą cię skazać tylko za coś tak błahego, jak zaniedbanie obowiązków lub pozwolenie na stworzenie luki w systemie zabezpieczenia.

- Nawet wtedy zostanę zmuszony do wcześniejszego odejścia ze służby albo wywalą mnie na zbity pysk z okrojona emeryturą.

Proponuję mu jedną trzecią w spółce, która przyniesie miliony, a on martwi się o państwową emeryturkę. - Dawson pokręcił ze zdumienia głową.

Salsbury pocił się obficie. Koszula na jego plecach była mokra i miał wrażenie, że położono mu tam zimny kompres. - Powiedziałeś nam, że możesz to zrobić - mówił do Klingera. - Ale nadal pozostaje ważne pytanie, czy zrobisz. Klinger przez chwilę wpatrywał się w kieliszek, w końcu spojrzał na Salsbury'ego i zapytał:

Kiedy już dojdzie do tego, że specyfik będzie działać, to co robimy dalej?

- Zakładamy fasadową korporację w Liechtensteinie.

- Czemu tam?

Liechtenstein nie wymagał od korporacji przedstawiania listy właścicieli. Dawson mógł wynająć prawników w Vaduz, przydzielić im stanowiska członków zarządu - i prawo chroniło ich przed ujawnieniem nazwisk klientów.

- Następnie - mówił Dawson - zdobędę dla nas zestaw sfałszowanych dokumentów, z paszportami włącznie, żebyśmy mogli podróżować i załatwiać interesy pod przybranymi nazwiskami. Gdyby prawnicy w Vaduz zostali zmuszeni pozaprawnymi środkami do ujawnienia nazwisk swych mocodawców, nadal nam nic nie zagrozi, ponieważ nie będą znali naszych prawdziwych danych.

Ostrożność Dawsona nie była przesadna. Korporacja szybko stanie się nieprawdopodobnie zyskownym przedsięwzięciem, tak zyskownym, że wielu potężnych ludzi zarówno ze świata biznesu, jak i z rządu zacznie w końcu węszyć, dopytywać się, kto za tym stoi. Ze specyfikiem Salsbury'ego i szczegółowymi programami starannie dopracowanych subliminali ich trójka będzie mogła założyć setki różnych interesów i dosłownie żądać od nabywców, wspólników, a nawet rywali sporego zysku. Każdy dolar, który zarobią, będzie sprawiał wrażenie czystego jak łąza, zdobytego na uczciwym handlu. Ale, rzecz jasna, wielu, wielu ludzi będzie uważało, że manipulowanie konkurencją i kupowanie klienteli za pomocą potężnego, nowego środka farmakologicznego nie jest wcale uczciwe. Gdyby korporacja została kiedyś przyłapana na stosowaniu specyfiku - w dodatku ukradzionego z projektu badawczego Pentagonu - to przesadna, wydawać by się mogło, ostrożność może okazać się niezbędna.

- A kiedy będziemy mieli korporację? - spytał Klinger.

Pieniądze i ustawianie interesów były celem i sensem życia Dawsona. Zaczął deklamować prawie jak kaznodzieja baptystów, pełen wigoru i płomiennego przekonania, niezmiernie zadowolony z siebie:

- Korporacja nabędzie posiadłość gdzieś w Niemczech lub we Francji. Przynajmniej sto

akrów. Będzie to wyglądało na ośrodek wypoczynkowy dla kadr kierowniczych. Ale w istocie posłuży do indoktrynacji najemników.

- Najemników? - Mocna, szeroka twarz Klingera wyrażała pogardę zawodowego żołnierza dla wolnych strzelców.

- Korporacja - wyjaśnił Dawson - wynajmie tuzin najlepszych najemników na rynku pracy, ludzi, którzy w przeszłości walczyli w Azji i Afryce. Pod pozorem zapoznania ze zleceniami i spotkania z mocodawcami sprowadzi się ich do posiadłości. Woda w kranach i wszystkie butelkowane napoje zostaną wykorzystane jako środek do podania specyfiku. Dwadzieścia cztery godziny od chwili, gdy najemnicy spożyją pierwsze napoje i zostaną „zagruntowani” do subliminalnego prania mózgow, przez trzy kolejne dni obejrzą czterogodzinne seanse filmowe - odczyty z przezroczami, przemysłowe analizy fachowe, dokumenty opisujące zastosowanie całego wachlarza broni i urządzeń elektronicznych - podczas których zapoznają się z ramowym opisem zleceń. Nieświadomie, oczywiście, obejrzą dwanaście godzin wymyślnych subliminali, nakazujących im bezwarunkowe podporządkowanie się każdemu rozkazowi, poprzedzonemu stosownym hasłem. Kiedy ich trzy dni miną, cała dwunastka przestanie być jedynie najemnymi sługami i przeistoczy się w coś, co będzie przypominało zaprogramowane roboty. Zewnętrznie nie znajdzie w nich żadna zmiana. Będą wyglądać i zachowywać się jak dotychczas. Jednak równocześnie wypełnią każdy rozkaz, nakazujący kłamstwo, kradzież i zabójstwo. Wypełnią go bez wahania, byle tylko był on poprzedzony hasłem.

- Najemnicy i bez tego są profesjonalnymi zabójcami - zauważył Klinger.

- To prawda - zgodził się Dawson - lecz niezwykłość polegać będzie na bezwarunkowym, ślepych posłuszeństwie. Najemni żołnierze mogą odrzucić każdy rozkaz, który im się nie spodoba, ale zaprogramowany personel zrobi dokładnie to, co mu się nakaże.

Istnieją również inne korzyści - wtrącił Salsbury, świadom, że Dawson, raz wpadłszy w

kaznodziejski ton, niełatwo da się sprowadzić z ambony. - Nie zapominaj, że możesz rozkazać takiemu człowiekowi zabić, a potem skasować całą pamięć o morderstwie zarówno w jego świadomości, jak i podświadomości. Nigdy nie złoży on zeznań obciążających korporację albo nas, przejdzie każdy test na wykrywaczu kłamstw.

Klinger docenił wagę słów Salsbury'ego. Jego twarz neandertalczyka rozjaśniła się nieco.

- Nawet gdyby użyli penthatolu albo hipnozy, to też nic sobie nie przypomni?

- Penthatol jest mocno przereklamowany jako serum prawdy - powiedział Salsbury. - Co do hipnozy... No, mogą wprowadzić go w trans i cofnąć w czasie do chwili morderstwa. Ale dostaną tylko pusty zapis. Kiedy już każe mu się wykasować w umyśle tamto zdarzenie, nie zdoła go przywołać. Jest to pewne jak w przypadku komputera, w którym skasowano pamięć.

Po wypiciu drugiego kieliszka Klinger jeszcze raz podszedł do stolika z napojami. Tym razem napełnił swoją dwunastouncjową szklankę lodem i 7-up.

Ma absolutną rację. Ten, kto nie zachowa tego wieczoru trzeźwej głowy, jest czystym samobójcą, pomyślał Salsbury.

- Kiedy już będziemy mieli tych dwunastu robotów, co z nimi zrobimy? - spytał Klinger Dawsona.

Dawson miał i na to odpowiedź. Przez ostatnie trzy miesiące razem z Salsburym zastanawiał się i przygotowywał szczegóły podejścia generała.

- Możemy użyć ich do wszystkiego. Absolutnie do wszystkiego. Ale na początek myślałem, że możemy wykorzystać ich do wpuszczania specyfiku do zapasów wody pitnej we wszystkich dużych miastach Kuwejtu. Potem zatopimy ten kraik subliminalną kampanią mass mediów, dostosowaną do psychiki Arabów, i w ciągu miesiąca zdobędziemy cichcem władzę, tak że nikt, nawet rząd Kuwejtu, nie będzie o tym wiedział.

- Zdobycie całego kraju w ciągu miesiąca? - spytał z niedowierzaniem Klinger,

Dawson, znów ogarnięty kaznodziejskim zapałem, chodził dużymi krokami od

Salsbury'ego do generała i z powrotem, gestykulował na wszystkie strony i perorował:

- Ludność Kuwejtu liczy poniżej dwóch milionów. Większość jest skupiona w kilku obszarach miejskich, głównie w Hawalli i stolicy. Co więcej, wszyscy członkowie rządu i dosłownie wszyscy bogacze mieszkają w ośrodkach miejskich. Garstka superbogatych rodzin, która posiada własne pustynne enklawy, korzysta z wody miejskiej, dostarczanej ciężarówkami. A zatem - jesteśmy w stanie uzyskać kontrolę nad każdą wpływową osobą w kraju. Zapewnia nam to ukryty dyktatorski zarząd nad kuwejcką ropą, stanowiącą dwadzieścia procent zasobów światowych. Osiągnąwszy to, czynimy Kuwejt naszą bazą operacyjną, z której podporządkowujemy sobie Arabię Saudyjską, Irak, Jemen i każdy eksportujący ropę kraj na Bliskim Wschodzie.

- Moglibyśmy zmiażdżyć kartel OPEC - powiedział zamyślony Klinger.

- Albo wzmocnić - uzupełnił Dawson. - Albo na przemian osłabiać i wzmacniać, powodując duże wahania cen ropy. W istocie moglibyśmy wpływać na całość rynku akcjami. A ponieważ wiedzielibyśmy o każdej zmianie dużo wcześniej, moglibyśmy na niej skorzystać. Po roku od objęcia kontroli nad sześcioma państwami Bliskiego Wschodu moglibyśmy przelać pół miliarda dolarów na konto korporacji w Liechtensteinie. Od tej pory, nie dłużej niż w ciągu pięciu, sześciu lat wszystko, dosłownie wszystko jest nasze.

- To brzmi... szaleńczo, wariacko - powiedział Klinger.

- Szaleńczo? - Dawson spochmurniał.

- Niewiarygodnie, fantastycznie, nieprawdopodobnie - rzekł generał, uściślając pierwsze sformułowanie, kiedy spostrzegł niepokój Dawsona.

- Kiedyś lot maszyny cięższej od powietrza wydawał się nieprawdopodobny - przekonywał Salsbury. - Bomba atomowa wydawała się nieprawdopodobieństwem dla wielu; nawet po

zbombardowaniu Japonii. A w 1961, kiedy Kennedy dał zielone światło dla programu Apollo, bardzo niewielu Amerykanów wierzyło, że człowiek kiedykolwiek stanie na Księżycu.

Uparcie wpatrywali się w siebie.

Cisza zalegająca pokój była tak idealna, że każda drobna falka, choćby tylko zmarszczka na wodzie rozbijająca się o pomost, brzmiała jak przybój oceanu. Przynajmniej dla Salsbury'ego odbijały się one echem w jego rozgorączkowanym umyśle.

- Ernst? Pomożesz nam wydostać te taśmy? - spytał w końcu Dawson.

Klinger przez długą chwilę wpatrywał się w Dawsona, potem w Salsbury'ego. Dreszcz - lęku czy też strachu, tego Ogden nie był pewien - wstrząsnął generałem.

- Pomogę - rzekł.

Ogden odetchnął.

- Szampan? - spytał Dawson. - Wprawdzie nie najlepiej ulży po koniaku, ale sądzę, że powinniśmy wznieść toast za pomyślność naszą i projektu.

Piętnaście minut później lokaj przyniósł i otworzył butelki; moet et chandon. Kiedy trójka wzniosła toast za sukces, Klinger uśmiechnął się do Dawsona i powiedział:

- A gdybym tak przeraził się tego specyfiku? Co? Jeśli uznałbym, że wasza oferta przerasta moje siły?

- Znam cię dobrze, Ernst - rzekł Dawson. - Może lepiej, niż myślisz. Byłbym zdziwiony, gdyby okazało się, że coś cię przerasta.

- Ale przypuśćmy, że stanąłbym dęba. Z takiego czy innego powodu. Przypuśćmy, że nie chciałbym wejść z wami w układ.

Dawson delectował się smakiem szampana na języku, połknął łyk, wciągnął powietrze nosem, żeby poczuć aromat, i powiedział:

- Wtedy nie opuściłbyś tej posiadłości żywy, Ernst. Obawiam się, że miałbyś wypadek.

- Który zaaranżowałeś tydzień temu.
- Mniej więcej.
- Wiedziałem, że nie sprawiłbyś mi zawodu.
- Przyjechałeś z bronią? - spytał Dawson.
- Samopowtarzalna trzydziestka dwójka.
- Nie rzuca się w oczy.
- Przykleiłem z tyłu, na biodrach.
- Ćwiczyłeś wyciąganie?
- Mogę mieć ją w ręce szybciej niż w ciągu pięciu sekund.

Dawson pokiwał głową z aprobatą.

- I użyłbyś mnie jako tarczy do wydostania się z posiadłości.
- Próbowałbym.

Roześmiali się i spojrzeli na siebie prawie z sympatią. Byli sobą zachwyceni.

Jeżu Chryste! - pomyślał Salsbury. Nerwowo upił łyk szampana.

ROZDZIAŁ 5

Piątek, 19 sierpnia 1977

Paul i Mark siedzieli obok siebie po turecku na zwilżonej rosą trawie. Zastygli jak głązy.

Nawet Mark, który nie znosił bezruchu i dla którego cierpliwość stanowiła raczej udrękę niż cnotę, pozwalał sobie najwyżej na mrugnięcie okiem.

Wokół nich rozciągał się zapierający dech, piękny widok. Polanę, na której siedzieli, z trzech stron otaczała wysoka ściana purpurowo-zielonego, niemal pierwotnego lasu. Natomiast po prawej stronie polany widać było wąską dolinę. A dwie mile dalej połyskiwało jak plama opalizującej huby na szmaragdowym pasie dzikiego łądu miasteczko Black River. Jedyłą szramą, jaką nacięła tutaj cywilizacja, był tartak Big Union, ledwo widoczny, trzy mile za Black River. Ale

z tej odległości nawet duże zabudowania nie przypominały tartaku, lecz wyglądały jak mury z blankami, bramy i barbakany. Plantacje drzew, które zaopatrywały w drewno Big Union, mniej urodziwe niż naturalne lasy, ukryte były za górami. Czyste niebo i szybko mknące białe obłoki wyglądały jak scenografia Edenu w ekranizacji opowieści biblijnych.

Lecz Paul i Mark nie byli zainteresowani tą scenerią. Ich uwaga była skupiona na małej rudej wiewiórce.

Przez ostatnie pięć dni wykładali dla niej pokarm - orzeszki ziemne i plasterki jabłek - licząc, że powoli się oswoi. Z każdym dniem coraz bliżej podchodziła do pokarmu, a wczoraj nawet skubnęła kilka kąsków, zanim w popłochu uciekła.

Teraz, bacznie obserwowana przez Paula i Marka, wynurzyła się zza linii drzew. Skacząc po trzy lub cztery szybkie, choć ostrożne susy, od czasu do czasu przystając, żeby przyjrzeć się mężczyźnie i chłopcu, dotarła w końcu do pokarmu. Pochwyciła kawałeczek jabłka w maleńkie przednie łapki, siadła i zaczęła go chrupać.

Zwierzátko skończyło pierwszy kawałek i chwyciło drugi.

- Nie spuszcza z nas wzroku. Nawet na sekundę - odezwał się szeptem Mark.

Kiedy przemówił, wiewiórka znieruchomiła. Przekrzywiła łepkę i celowała w nich jednym dużym, brązowym okiem.

Paul powiedział, że będą musieli dziś szeptać, łamiąc ustanowioną dotychczas zasadę milczenia, jeśli wiewiórka ośmieli się na tyle, że uda się ją zatrzymać przy pożywieniu dłużej niż parę sekund. Skoro mieli ją oswoić, musiała przyzwyczać się do ich głosów.

- Proszę, nie bój się - łagodnie mówił Mark. Paul przyrzekł Markowi, że jeśli wiewiórkę uda się oswoić, będzie mógł zabrać ją do domu. - Proszę, nie uciekaj!

Niegotowa jeszcze ufać ludziom, cisnęła jabłko, obróciła się i uciekła w las. Śmignęła na górne gałęzie klonu.

Mark zerwał się na równe nogi.

- Ach, ty czarcie! Nie zrobilibyśmy ci krzywdy, ty głupia wiewiórko! - Był rozczarowany.

- Spokojnie. Wróci jutro - powiedział Paul. Wstał i rozciągnął zeszywniałe mięśnie.

- Nigdy nam nie zaufa.

- Zaufa.. Cierpliwości!

- Nigdy jej nie oswoimy.

- Cierpliwości! - powtórzył Paul. - Nie da się jej obłaskawić w ciągu tygodnia. Musisz nauczyć się cierpliwości.

- Nigdy nie byłem w tym dobry.

- Wiem. Ale nauczysz się.

- Stopniowo?

- Zgadza się - powiedział Paul. Schylił się, pozbiierał plasterki jabłek i orzeszki. Wrzucił wszystko do plastikowego woreczka.

- Hej, a może wścieka się na nas, że jak odchodzimy, to zabieramy jedzenie? - spytał Mark.

- Możliwe - roześmiał się Paul. - Ale jak się przyzwyczai, że może tu wrócić po pokarm, kiedy odchodzimy, nie będzie powodu, by się pokazała po naszym przyjściu.

Ruszyli do obozu leżącego po drugiej stronie szerokiej na dwieście jardów górskiej łąki.

Paul stopniowo dostrzegał piękno dnia, jakby wokół niego, kawałek po kawałku, układała się mozaika dla wszystkich zmysłów. Ciepły, letni powiew. Białe stokrotki błyszczące w trawie, gdzieś jaskier. Zapach trawy, ziemi, polnych kwiatów. Nieprzerwany szelest liści i łagodny szum w konarach sosen. Ptasie trele. Poważny cień lasu. Wysoko w górze kołujący jastrząb - ostatnia część mozaiki - którego ostry wrzask przepelniała duma, jakby wiedział, że dopełnia wystroju, jakby myślał, że przyćmiewa skrzydłami niebo.

Nadszedł czas cotygodniowej wyprawy do miasta po zapas świeżej żywności, ale w tej

chwili nie miał ochoty opuszczać gór. Nawet Black River - małe, prawie obce współczesnemu światu, wyjątkowo ciche - wydawało się hałaśliwe po odświeżonej ciszy lasu.

Ale oczywiście Black River obiecywało coś więcej niż świeże jajka, mleko, masło i inne artykuły spożywcze. Tam była Jenny.

Kiedy zbliżali się do obozu, Mark pobiegł przodem. Rozsunął żółte płócienne zasłony i zajrzał do wielkiego namiotu, który rozbili w cieniu ośmiostopowych świerków i jodeł. Sekundę później odwrócił się, złożył dłonie w trąbkę i zawołał:

- Rya! Hej, Rya!

- Tutaj jestem - powiedziała, wychodząc zza namiotu.

Przez moment Paul nie wierzył własnym oczom: mała młoda wiewiórka siedziała na ramieniu dziewczynki. Pazurki zacisnęła na sztruksowej kurtce. Żuła kawałeczek jabłka, a Rya głaskała ją delikatnie.

- Jak tego dokonałaś? - spytał.

- Czekoladą.

- Czekoladą?

- Zaczęłam od tej samej przynęty, którą stosowaliście z Markiem. - Rya uśmiechała się szeroko. - Ale wykombinowałam, że wiewiórka chyba może sobie sama załatwić orzeszki i jabłka.

Natomiast czekolady nie. Wiedziałam, że nie oprze się zapachowi - i nie oparła się! Od środy je mi z ręki, ale nie chciałam, żebyście się o tym dowiedzieli, dopóki nie byłam pewna, że najgorszy strach przed ludźmi ma za sobą.

Teraz nie je czekolady.

Co za dużo, to niezdrowo.

Wiewiórka podniosła łepkę i spojrzała chytrze na Paula. Dalej ogryzała kawałek jabłka.

- Podoba ci się, Mark? - spytała Rya. Kiedy wymawiała te słowa, uśmiech jej zamienił się

w wyraz z troskaniem.

Paul wiedział dlaczego. Chłopiec był bliski płaczu. Chciał mieć własną wiewiórkę, ale wiedział, że nie mogą zabrać do domu dwóch. Dolna warga mu drżała, ale zaciął się i postanowił nie płakać.

Rya szybko odzyskała kontenans.

- No, Mark? - Uśmiechnęła się. - Podoba ci się? Sprawiłbyś mi przykrość, gdyby ci się nie podobała. Naraziłam się na masę kłopotów, żeby zdobyć ją dla ciebie.

Mój skarbie kochany, pomyślał Paul.

- Dla mnie? - Mark zamrugnął oczami, odganiając łzy.

- Oczywiście - odpowiedziała.

- Mówisz, że dajesz ją mnie?

- A komu? - udawała zdziwienie.

- Myślałam, że jest twoja.

- A cóż ja bym robiła z oswojoną wiewiórką? To dobre dla chłopca, a zupełnie nieodpowiednie dla dziewczyny. - Postawiła zwierzątko na ziemi i kucnęła obok. Wyłowiła z kieszeni cukierek. - Chodź. Musisz dać jej coś słodkiego, jeśli macie zostać prawdziwymi przyjaciółmi.

Wiewiórka wyciągnęła cukierek Markowi z ręki i zaczęła go chrupać z wyraźną przyjemnością. Chłopiec w ekstazie gładził ją łagodnie po futerku i długim ogonie. Kiedy zjadła, najpierw obwąchała Marka, a potem Ryę, po czym uznała, że dziś już nie ma się co spodziewać poczęstunku, więc prześliznęła się między nimi i pomknęła w stronę lasu.

- Hej! - krzyknął Mark. Biegł za nią, aż uznał, że już jej nie dogoni.

- Nie przejmuj się - powiedziała Rya. - Wróci jutro, jeśli będziesz miał dla niej kawałek czekolady.

- Skoro się już oswoi - spytał Mark - czy będę mógł ją zabrać do miasta w przyszłym tygodniu?

- Zobaczymy - powiedział Paul. Spojrzał na zegarek. - Jeśli zamierzamy spędzić w mieście dzisiejszy dzień, lepiej się zbierajmy.

Kombi stało o pół mili dalej, przy końcu zarosłej chwastami leśnej drogi, z której późną jesienią i wczesną wiosną korzystali myśliwi.

Mark błyskawicznie wypełnił polecenie.

- Ostatni przy aucie najgorszy! - wrzasnął. Pomknął biegnącą w dół ścieżką i w parę sekund znikł między drzewami. Rya podeszła do Paula.

- Zachowałaś się fantastycznie - pochwalił córkę. Udawała, że nie rozumie, o co chodzi.

- Z tą wiewiórką dla Marka? O, to była przyjemność.

- Nie oswoiłaś jej dla Marka.

- Jasne, że tak. A dla kogo?

- Dla siebie - odrzekł Paul. - Kiedy jednak zobaczyłaś, ile dla niego znaczy posiadanie własnej wiewiórki, ofiarowałaś mu ją.

Wykrzywiła się.

- Chyba masz mnie za świętą! Gdyby mi zależało na tej wiewiórce, nie oddałabym jej. I za milion lat.

- Nie jesteś dobrą kłamczuchą - powiedział ciepło.

- Ojcowie! - wyrzuciła z siebie zirytowana. Licząc, że nie zauważy jej zakłopotania, pobiegła przodem. Wykrzykiwała coś za Markiem i niebawem znikła za gęstą kępą górskich wawrzynów.

- Dzieci! - zawołał. Ale w jego głosie nie było irytacji, tylko miłość.

Od śmierci żony spędzał z dziećmi więcej czasu, między innymi dlatego, że w Marku i Ryi

było coś z Annie, i wierzył, że poprzez dzieci zachowuje kontakt z ich matką. Zaobserwował, że bardzo różnią się pod każdym względem. Każde miało własne spojrzenie na świat, sobie tylko właściwe uzdolnienia. I dbał o ich indywidualny rozwój. Rya zawsze będzie wiedziała więcej o życiu, ludziach, zasadach gry niż Mark. Ciekawa, dociekliwa, cierpliwa, spragniona wiedzy, będzie rozkoszować się życiem z intelektualnego punktu widzenia. Zazna tych niezwykłych, gwałtownych doznań - seksualnych, emocjonalnych, umysłowych - które są dostępne tylko tym bardziej przenikliwym. Mark, przeciwnie niż Rya, staje przed życiem z o wiele skromniejszymi zasobami intelektualnymi, ale nie należy go żałować. Ani przez moment! Kipiący entuzjazmem, skory do śmiechu, niepoprawny optymista, który przeżyje ze smakiem każdy dzień swego życia. Jeśli nie dostąpi wszystkich rozkoszy i satysfakcji - cóż, zrekompensują mu to zwykłe przyjemności codziennego życia. Rya, rozumiejąc je, nigdy nie będzie umiała oddać się im do końca, nie rezygnując z samokontroli. Paul wiedział, że w przyszłości będzie z nich bardzo dumny i szczęśliwy - chyba że zabierze je śmierć.

Nagle zatrzymał się w pół drogi i zachwiał, jakby wszedł w niewidzialny szlaban. Ostatnia myśl poraziła go. Po śmierci Annie czasami myślał, że stracił wszystko, co w życiu ważne. Jej zgon uświadomił mu boleśnie, że wszystko - nawet głębokie, mocne związki, których nic nie jest w stanie zepsuć ani zniszczyć - jest tymczasowe, że śmierć, chciwy lichwiarz, bezzwrotnie kolekcjonuje je na półkach swojego lombardu. Przez ostatnie trzy i pół roku głos w głębi duszy kazał mu nie zapominać o śmierci, oczekiwać jej, aby strata Marka, Ryi, kogokolwiek nie załamała go tak, jak śmierć Annie. Lecz aż do tej chwili głos ów był prawie podświadomy, niby natrętna rada, słuchana nieuważnie. Po raz pierwszy pozwolił, by wyłonił się z głębi nieświadomości. A kiedy to nastąpiło, był zaskoczony. Drżenie przebiegło go od stóp do głów. Doznał dziwnego uczucia czy... przeczucia. Minęło tak szybko, jak się pojawiło. Dzikie zwierzę przemknęło leśnym poszyciem.

Wysoko, nad kopułą drzew, wrzasnął jastrząb.

Nagle letni las wydał się zbyt czarny, zbyt gęsty, zbyt dziki - groźny.

Robisz z siebie durnia, pomyślał. Paul, żaden z ciebie wróżbita. Ani jasnowidz.

Może i nie, ale ruszył szybko krętą ścieżką, niespokojny o Marka i Ryę.

O 11.15 tego poranka doktor Walter Troutman siedział w swoim gabinecie przy wielkim biurku. Jadł wczesny lunch - dwie kanapki z pieczoną wołowiną, pomarańcza, banan, jabłko, ciasto karmelowe, kilka szklanek mrożonej herbaty - i czytał magazyn medyczny.

Jako jedyny lekarz w Black River uważał, że ponosi podwójną odpowiedzialność za mieszkańców tego obszaru. Po pierwsze, musi dbać, by w razie katastrofy w tartaku lub innego nieszczęścia być w dobrej kondycji i mieć zapas energii niezbędnej do wypełnienia obowiązków. Po drugie - na bieżąco uzupełniać wiedzę w dziedzinie techniki medycznej i teorii medycyny, aby ludzie zgłaszający się do lekarza mieli zapewnioną najnowocześniejszą opiekę. Zastępy usatysfakcjonowanych pacjentów - i szacunek oraz sympatia, którymi otaczało go całe miasto - potwierdzały sukces w przypadku drugiego punktu. Co do pierwszego - no cóż, przy wzroście pięciu stóp i jedenastu cali ważył... dwieście siedemdziesiąt funtów.

Kiedy pacjent ze znaczną nadwagą w środku jednego z kazań doktora na jej temat okazywał się na tyle zuchwały, że wspominał o wagowej nadwyżce Troutmana, ten niezmiennie dowcipnie ripostował:

- Otyły? Ja? - zapytywał, wyraźnie zaskoczony. - Nie mam na sobie żadnego tłuszczu. To zapasy energii, gotowe do wykorzystania, gdyby w tartaku stało się jakieś nieszczęście.

A potem wracał do kazania.

Mówiąc szczerze, był nałogowym żarłokiem, i to przez całe życie. Nim dobiegł trzydziestki, zarzucił wszelkie diety i psychoterapię jako próżne usiłowania. Tamtego roku, po zagwarantowaniu hojnego uposażenia przez Big Union Supply Company, przyjechał do Black

River. Ludzie byli tak uradowani faktem posiadania własnego lekarza, że mieli w nosie, czy jest on gruby, chudy, biały, czarny, czy zielony. Już od dwudziestu lat folgował swojemu nałogowi, opychając się ciastkami, czekoladkami, ciastami i pięcioma ucziwymi posiłkami dziennie: w rezultacie uważał, że życie daje mu więcej radości niż wszystkim innym ludziom, których znał. Właśnie zamierzał cieszyć się nim jeszcze bardziej i sięgnął po drugą kanapkę, kiedy zadzwonił telefon. Przez chwilę rozważał, czy go nie zlekceważyć. Ale należał do tych lekarzy, którzy odpowiadają na wezwanie o każdej porze dnia i nocy. Nawet lunch musi poczekać, jeśli pacjent wzywa pomocy. Podniósł słuchawkę.

- Halo!

- Doktor Troutman?

- Tak.

Głos po drugiej stronie słuchawki był chłodny i ostry.

- Jestem klucz, doktorze Troutman.

- Jestem zamek - powiedział bez wahania Troutman.

- Jest pan sam?

- Tak.

- Gdzie pańska pielęgniarka, pani MacDonald?

- Nie wiem. Przypuszczam, że u siebie w domu.

- Kiedy zjawi się w pracy?

- Pół godziny przed otwarciem gabinetu.

- A gabinet jest czynny od wpół do drugiej?

- Zgadza się.

- Czy oczekuje pan kogoś przed pierwszą?

- Nie. Nikogo.

Nieznajomy milczał przez chwilę.

Troutman wsłuchiwał się w tykanie zegara na biurku. Zerknął na jedzenie leżące przed nim na lnianej serwetce, zdjął płatek wołowiny z kanapki i wsunął go do ust jednym ruchem, jak ryba chwytająca muchę.

Mężczyzna z drugiej strony słuchawki zastanawiał się, jak przejść do sedna sprawy. W końcu powiedział:

- Zamierzam zadać panu wiele istotnych pytań, doktorze. Dostarczy mi pan pełnych odpowiedzi, najlepiej jak pan potrafi.

- Tak, oczywiście.

- Czy mieliście ostatnio w Black River jakąś epidemię?

- Tak, mieliśmy.

- Co to było?

- Nocne dreszcze.

- Zechce pan wyjaśnić, co to znaczy, doktorze?

- Silne dreszcze, zimne poty, mdłości, ale bez wymiotów - i w rezultacie bezsenność.

- Kiedy zgłoszono panu pierwsze przypadki?

- W środę, dziesiątego. Dziewięć dni temu.

- Czy któryś z pańskich pacjentów wspomniał o koszmarach nocnych?

- Każdego obudził okropny sen.

- Czy któryś z nich coś sobie przypomniał?

- Nie. Żaden.

- Jakie środki pan zastosował?

- Kilku pierwszym dałem placebo. Ale kiedy w środę w nocy sam dostałem tych dreszczy i kiedy pojawiło się sporo nowych przypadków w czwartek, zacząłem przepisywać łagodny

antybiotyk.

- Który, oczywiście, nie poskutkował.

- Absolutnie nie.

- Czy skierował pan któregoś z pacjentów do innego lekarza?

- Nie. Najbliższy doktor znajduje się sześćdziesiąt mil stąd i liczy pod osiemdziesiątkę.

Poprosiłem jednak Stanową Agencję Zdrowia, aby przeprowadziła dochodzenie.

Nieznajomy milczał przez chwilę.

- Uczynił to pan wyłącznie z powodu epidemii łagodnej grypy?

- Była łagodna - powiedział Troutman - ale z całą pewnością niezwykła. Żadnej gorączki.

Migdałki niespuchnięte. A równocześnie, chociaż łagodna, objęła miasteczko i tartak w ciągu dwudziestu czterech godzin. Każdy na nią zapadł. Oczywiście, zastanawiałem się, czy to przypadkiem nie grypa, ale jakieś zatrucie.

- Zatrucie?

- Tak. Wodą albo żywnością.

- Kiedy skontaktował się pan z Agencją?

- W piątek, dwunastego, późnym popołudniem.

- Przyszli kogoś?

- Musieliśmy czekać do poniedziałku.

- Czy epidemia się utrzymuje?

- Już nie - powiedział Troutman. - Wprawdzie wszyscy w miasteczku w sobotę w nocy mieli znowu zimne poty i nudności, ale nikt już nie chorował w niedzielę wieczorem. Cokolwiek to było, znikło jeszcze gwałtowniej, niż się zjawiło.

- Czy Agencja nadal prowadzi śledztwo? Intensywnie przyglądając się jedzeniu na serwetce, Troutman poruszył się na krześle i powiedział:

- Och, tak. Doktor Evans, jeden z ich młodszych praktyków, spędził cały poniedziałek i większość wtorku na wywiadach z ludźmi i pobieraniu próbek.

- Próbek? Chodzi o wodę i pożywienie?

- Tak. Próbki krwi i moczu również.

- Czy pobierał próbki wody ze zbiornika?

- Tak. Nappełnił co najmniej dwadzieścia fiolek i butelek.

- Czy sporządził już raport? Troutman oblizał wargi.

- Tak. Dzwonił do mnie wczoraj wieczorem i podał wyniki testów.

- Podejrzewam, że nic nie znalazł?

- Zgadza się. Wszystkie testy wypadły negatywnie.

- Ma jakąś teorię? - spytał nieznajomy; w jego głosie pojawiła się nutka niepokoju.

Ten niepokój udzielił się Troutmanowi. Klucz nie powinien się niczego obawiać. Klucz wiedział wszystko.

- Uważa, że przeżyliśmy rzadki przypadek zbiorowej hysterii.

- Epidemia łagodnej hysterii?

- Tak. Dokładnie tak.

- Więc nie wydał żadnych zaleceń?

- Nic, o czym bym wiedział.

- Czy zakończył badania?

- Tak mi powiedział. Nieznajomy westchnął cicho.

- Doktorze, wcześniej mówił mi pan, że wszyscy w miasteczku i w tartaku dostali nocnych dreszczy. Czy to prawda? Czy dosłownie wszyscy?

- Nie - odrzekł Troutman. - Były wyjątki. Może około dwadzieścioro dzieci, wszystkie poniżej ośmiu lat. I dwoje dorosłych. Sam Edison i jego córka Jenny.

- Ludzie, którzy prowadzą ogólnobranżowy sklep.

- Zgadza się.

- W ogóle nie skarżyli się na dreszcze?

- W ogóle.

- Czy korzystają z wody z wodociągów miejskich?

- Wszyscy z niej korzystamy.

- W porządku. A co z drwalami, którzy pracują na plantacjach drzew, za tartakiem?

Niektórzy stale tam mieszkają. Wszyscy zostali zarażeni?

- Tak. Doktor Evans też chciał to wiedzieć. Przeprowadzał rozmowy ze wszystkimi.

- Nie mam więcej pytań do pana, doktorze Troutman, ale mam za to kilka rozkazów. Kiedy odłoży pan słuchawkę, usunie pan z pamięci całą naszą rozmowę. Rozumie pan?

- Tak. Doskonale.

- Zapomni pan o każdym słowie z naszej rozmowy. Skasuje pan to z pamięci zarówno świadomej, jak i podświadomej, tak że nigdy nie zdoła pan tego przywołać, choćby bardzo tego pragnął. Zrozumiano?

- Tak. - Troutman kiwnął sztywno głową.

- Po odłożeniu słuchawki będzie pan pamiętał tylko dzwonek - i pomyłkowy telefon. Czy to jasne?

- Pomyłkowy telefon. Tak, jasne.

- Bardzo dobrze. Proszę się rozłączyć, doktorze.

- Lekkomyślność - fuknął poirytowany Troutman, odkładając słuchawkę. Gdyby ludzie uważali na to, co robią, nie wykręciliby tylu złych numerów ani nie robili jednej dziesiątej innych pomyłek, którymi paprzą sobie życie. Ilu okaleczonych albo poparzonych pacjentów opatrzył, takich, którzy doznali urazu tylko przez własną nieuwagę, lekkomyślność. Całe zastępy. Setki.

Tysiące! Czasem, kiedy otwierał drzwi poczekalni i zaglądał do środka, miał uczucie, że zdejmuje przykrywkę z patelni i widzi upakowane pstrągi. Wybałuszone ślepia, otwarte pyszczki. A to teraz? Zajęcie linii lekarzowi, nawet na pół minuty - no, to przecież mogło mieć cholernie poważne konsekwencje.

Pokiwał głową, poruszony do żywego głupotą i niezdarnością współobywateli.

Potem chwycił kanapkę z zimnym mięsem i wgryzł się w nią chciwie.

O 11.45 Paul Annendale wszedł do gabinetu Sama Edisona, mieszczącego się na piętrze, dokładnie nad sklepem.

- Zacny Edisonie, pragnieniem moim jest zabrać córkę twą na lunch.

Sam stał przed biblioteką. Przerzucał kartki opasłego tomiszcza.

- Spocznij, wasalu - powiedział, nie unosząc głowy. - Suweren zaraz poświęci ci swą uwagę.

Gdyby Sam wybrał dla tego pomieszczenia określenie „biblioteka” zamiast „gabinet”, byłby usprawiedliwiony. Dwa mocno wypchane, nieco podniszczone fotele z podnóżkami zajmowały centrum pokoju, zwrócone w kierunku jedyne okna. Dwie stojące lampy z żółtymi abażurami, każda umieszczona za fotelem, zapewniały odpowiednie, łagodne światło. Mały prostokątny stolik wypełniał przestrzeń między fotelami. Na dużej popielniczce, znajdującej się na stole, leżała obrócona cybuchem w dół fajka. W powietrzu unosił się wiśniowy zapach tytoniu Sama. Pokój miał powierzchnię dwanaście czy piętnaście stóp, ale całe dwie ściany, od podłogi do sufitu, były wyłożone tysiącami książek i setkami wydań różnych magazynów z dziedziny psychologii.

Paul siadł i położył nogi na stoliku.

Nie znał książki, którą przeglądał gospodarz, ale wiedział dobrze, że dziewięćdziesiąt procent tych książek dotyczy Hitlera, nazizmu i wszystkiego, co choć trochę zahacza o ten

ideologiczno-polityczny koszmar.

W maju 1945, odbywając służbę w wywiadzie, Sam znalazł się w Berlinie w niecałe dwadzieścia cztery godziny po wkroczeniu oddziałów alianckich. Był wstrząśnięty rozmiarem zniszczeń. Prócz ruin po alianckich bombach, pociskach z moździerzy i czołgów ujrzał zniszczenia spowodowane hitlerowską doktryną „spalonej ziemi”. W ostatnich dniach wojny szaleniec ogłosił, że w ręce zwycięzców nie może się dostać nic wartościowego: Rzesza ma zostać obrócona w perzynę, tak by nawet jeden dom nie znalazł się pod obcym zarządem. Oczywiście większość Niemców nie była gotowa do tego ostatecznego kroku w zatracenie, ale część miała zamiar go uczynić. W oczach Sama ci, których ujrzał na wyburzonych ulicach, byli nie tylko ofiarami wojny, ale i rekonwalescentami po samobójczej gorączce, trawiącej cały naród.

8 maja 1945 został przeniesiony do komórki zbierającej dane o nazistowskich obozach śmierci. Kiedy cała prawda o holocaustie wyszła wreszcie na jaw, kiedy stało się wiadome, że miliony mężczyzn, kobiet i dzieci przeszły przez komory gazowe, a setki tysięcy innych zamordowano strzałem w tył głowy i zakopano w rowach, Sam Edison, młody chłopak z zapadłego kąta w stanie Maine, nie potrafił znaleźć żadnego racjonalnego uzasadnienia tego koszmaru.

Dlaczego tak wielu rozsądnie myślących, z gruntu dobrych ludzi zaczęło realizować złowrogie marzenia oczywistego obłąkańca i garstki podporządkowanych mu szaleńców? Dlaczego jedna z najbardziej profesjonalnych armii świata zhańbiła się walką w obronie morderców z SS? Dlaczego miliony ludzi bez słowa protestu szły do obozów koncentracyjnych i komór gazowych? Cóż takiego o psychologii tłumu wiedział Adolf Hitler, że pomogło mu to osiągnąć absolutną władzę? Ruina niemieckich miast, dane z obozów śmierci zrodziły wszystkie te pytania i pozostawił je bez odpowiedzi.

W październiku 1945 Sam został odesłany do Stanów i zwolniony ze służby. Po powrocie do domu zaczął kupować książki o Hitlerze, nazistach i wojnie. Czytał wszystkie wartościowe

pozycje, które wpadły mu w ręce. Kawalki i strzępki wyjaśnień, teorie i argumenty. Ale poszukiwania ostatecznych odpowiedzi nie przyniosły rezultatu; dlatego też rozszerzył obszar badań i zaczął zbierać książki o totalitaryzmie, militaryzmie, grach wojennych, strategii, historii i filozofii Niemiec, nietolerancji religijnej, rasizmie, paranoi, psychologii tłumu, modyfikacji zachowań i kontroli umysłu. Jego niegasnąca fascynacja Hitlerem nie wynikała z niezdrowej ciekawości, lecz z obawy, że naród niemiecki nie jest wcale historycznym wyjątkiem, że najbliżsi sąsiedzi Sama, poddani ciśnieniu odpowiednio spreparowanych okoliczności, są zdolni do równie okropnych czynów.

Nagle zamknął książkę, którą przez kilka ostatnich chwil kartkował, i wsunął ją z powrotem na półkę.

- Niech to cholera, wiem, że gdzieś tu są.

- Czego szukasz? - zapytał Paul.

Sam, z głową przechyloną na prawo, czytał tytuły na okładkach.

- Przyjechał do nas socjolog. Robi badania. Wiem, że mam u siebie kilka jego artykułów, ale chyba prędzej szlag mnie trafi, nim je znajdę.

- Socjolog? Jakie badania?

- Dokładnie nie wiem. Dziś rano wpadł do sklepu. Miał tysiące pytań. Mówił, że jest socjologiem, przyjechał aż z Waszyngtonu na badania w Black River. Wynajął pokój u Pauline Vicker i będzie tu siedział około trzech tygodni. Uważa, że Black River jest niezwykle, wyjątkowe.

- Dlaczego?

- Głównie dlatego, że w epoce, w której takie skupiska powinny upadać albo całkowicie zniknąć, jest dobrze prosperującym miasteczkiem przyzakładowym. A ponieważ jesteśmy geograficznie odizolowani, będzie mu łatwiej analizować wpływ telewizji na nasze zachowania społeczne. Och, przedstawił przynajmniej pół tuzina ważkich przyczyn, dla których jesteśmy

wyśmienitym materiałem do badań socjologicznych, ale myślę, że nie podał tej głównej, którą chciałby udowodnić lub obalić.

Sięgnął po inną książkę, otworzył ją na spisie treści, prawie od razu zamknął i włożył na stare miejsce.

- Wiesz, jak się nazywa?

Przedstawił się jako Albert Deighton - powiedział Sam. Z niczym mi się to nie kojarzy. Ale twarz owszem. Potulny cichy człowieczek. Cienkie wargi. Łysina. Szklą grube jak denka od hulcelek. Przez te okulary oczy wyglądają, jakby chciały mu wyskoczyć z orbit. Wiem, że kilka razy widziałem jego zdjęcia w książkach albo magazynach obok artykułów, które napisał. - Westchnął i po raz pierwszy od chwili, kiedy Paul wszedł do pokoju, odwrócił się od półki. Poglądził białą brodę. - Mógłbym siedzieć tu przez cały wieczór, szperając w tych książkach. A ty właśnie teraz chcesz zagonić mnie do lady, żeby wyskoczyć na lunch w towarzystwie mojej córki do eleganckiej, prześwietnej Ultman's Cafe.

- Jenny mówi, że w miasteczku nie ma grypy - roześmiał się Paul. - Więc u Ultmana grozi nam najwyżej zatrucie pokarmowe.

- A co z dziećmiakami?

- Mark spędza popołudnie z chłopakiem Boba Thorpa. Został zaproszony na lunch i będzie cały czas bezmyślnie wtapiał się w Emmę.

- Nadal szaleje na jej punkcie, co?

- Wydaje mu się, że jest zakochany, ale w życiu by się do tego nie przyznał.

Surową twarz Sama złagodził ciepły uśmiech.

- A Rya?

- Emma ją też zaprosiła, ale jeśli mógłbyś rzucić na nią okiem, to lepiej, żeby została z tobą.

- Czy mógłbym? Nie wygłupiaj się.

- Dlaczego po lunchu nie zagonisz jej do pracy? - spytał Paul, wstając z fotela. - Mogłaby tu przyjść i poprzeglądać te książki, aż znajdzie gdzieś Deightona.

- Cóż to za nudziarstwo dla tak żywej dziewczyny, jak ona!

- Rya nie będzie się nudzić. To jej leży. Lubi ślęczeć nad książkami. I chętnie wyświadczy ci przysługę.

Sam zawahał się, wzruszył ramionami i powiedział:

- Może ją poproszę. Kiedy przeczytam to, co napisał Deighton, zorientuję się, o co mu teraz chodzi. Znasz mnie - póki życia, poty ciekawości. Jak już pszczoła wetnie mi się w beret, muszę ją wyjąć i zobaczyć, czy to robotnica, truteń, królowa, a może po prostu osa.

Restauracja Ultmana, ocieniona parą ogromnych czarnych dębów, mieściła się w południowo-zachodnim rogu rynku. Długa na osiemdziesiąt stóp, wykonana ze szkła i aluminium, miała wyglądać jak stary pasażerski wagon kolejowy. Jeden wąski rząd okien biegł wzdłuż trzech ścian: wejście na ścianie frontowej z doczepionym małym holem psuło zamierzony efekt.

Wewnątrz, wzdłuż okna, urządzono wyłożone niebieskim plastikiem łóża. Na każdym stole popielniczka, okrągła szklana cukiernica, solniczka i pieprzniczka, podstawka na serwetki i spis płyt w szafie grającej. Naprzeciwko łóż ciągnęła się przez całą długość restauracji lada.

Ogden Salsbury siedział w narożnej łóży po północnej stronie. Pił drugą filiżankę kawy i obserwował klientów.

O 1.50 po południu większość gości odpłynęła po lunchu. Restauracja była prawie pusta. W łóży blisko drzwi para staruszków czytała tygodnik, żuła pieczeń wołową z frytkami i cicho kłóciła się na tematy polityczne. Szef policji, Bob Thorp, siedział na stołku barowym, kończył lunch i żartował z siwowłosą kelnerką. Miała na imię Bess. Jenny Edison siedziała w drugiej narożnej łóży w towarzystwie przystojnego mężczyzny około czterdziestki. Salsbury nie znał go, ale uznał, że pewnie pracuje w tartaku lub w osadzie drwali.

Z piątki gości Jenny najbardziej przykuwała uwagę Salsbury'ego. Kilka godzin temu, podczas rozmowy z doktorem Troutmanem, dowiedział się, że ani ona, ani jej ojciec nie skarżyli się na nocne dreszcze. Fakt, że dreszcze ominęły również pewną liczbę dzieci, nie zaniepokoił go. Wszak skuteczność subliminali była proporcjonalna do umiejętności językowych i zdolności czytania „obiektów”, więc spodziewał się, że nie wszystkie dzieci zareagują na nie. Lecz Sam i Jenny powinni zareagować!

Być może nie wchłonęli specyfiku. Jeśli tak, oznacza to, że nie pili w ogóle wody z miejskich wodociągów, nie używali jej do robienia lodu i nie gotowali na niej. Było to mało prawdopodobne, ponieważ specyfik został wprowadzony łącznie do czternastu podstawowych produktów, rozprowadzanych przez hurtownię w Bangor. Trudno mu więc było uwierzyć, że Edisonowie mogli mieć tyle szczęścia, by przypadkowo uniknąć każdej skażonej substancji. Istniała druga możliwość. Wprawdzie również mało prawdopodobna, ale niedająca się całkowicie wykluczyć. Otóż Edisonowie wchłonęli specyfik, ale nie zetknęli się z żadnym z programów subliminalnych, które z taką troską i precyzją zaprojektowano dla eksperymentu w Black River i rozprowadzano przez siedem dni, korzystając z drukowanych i elektronicznych mediów.

Salsbury był prawie pewien, że żadne z tych wyjaśnień nie jest trafne, a przyczyny są złożone, technicznie skomplikowane. Nawet najbardziej korzystnie działające lekarstwo może być dla pewnych osób groźne, spowodować chorobę lub nawet śmierć. Poza tym są ludzie - choć jest to niezwykle mała grupa - którzy albo są całkowicie odporni na działanie prawie każdego środka farmakologicznego albo reagują nań w minimalnym stopniu. Wynika to z różnic w przemianie materii, „chemii” organizmu i innych nieustalonych czynników. Bardziej prawdopodobne było, że Jenny i Sam Edisonowie wchłonęli podkład subliminalny z wodą lub pożywieniem, ale nie ulegli mu - albo w ogóle, albo nie na tyle, na ile trzeba - i w konsekwencji subliminale nie działały,

ponieważ nie zostali na nie przygotowani.

W końcu będzie zmuszony poddać ich wielu próbom i testom w klinice medycznej, z nadzieją, że uda mu się znaleźć to, co powoduje odporność na specyfik. Ale można z tym zaczekać. Przez następne trzy tygodnie będzie spokojnie notował i badał skutki oddziaływania środka i subliminali na innych mieszkańców Black River.

Chociaż Salsbury był bardziej zainteresowany Jenny niż innymi gośćmi, to jednak przez większość czasu jego uwaga skupiała się na młodszej z dwóch kelnerek. Była to szczupła, gibka brunetka o ciemnych oczach i miodowej cerze. Miała około dwudziestu pięciu lat, urzekający uśmiech, niski, gardłowy głos, idealnie pasujący do sypialni. W każdym jej ruchu Salsbury dostrzegał seksualny podtekst. Aż się prosiła o zgwałcenie.

Najważniejsze jednak, że kelnerka przypominała mu Miriam, żonę, z którą się rozszedł dwadzieścia siedem lat temu. Tak jak Miriam, miała drobne, wysoko osadzone piersi i bardzo piękne, szczupłe nogi. Jej gardłowy głos też przypominał Miriam. I miała ruchy Miriam: naturalny wdzięk w każdym geście, nieświadome kołysanie bioder, zapierające dech.

Miał na nią chęć.

Nigdy jednak nie byłby w stanie jej posiąść, ponieważ za bardzo przypominała mu Miriam, z jej frustracjami, wybuchami gniewu, i niepowodzenia tamtego okropnego pięcioletniego małżeństwa. Ta dziewczyna budziła w nim pożądanie, ale również tłumioną długo nienawiść do Miriam i w konsekwencji do wszystkich kobiet. Wiedział, że podczas aktu seksualnego, kiedy wejdzie w nią i zacznie się poruszać, jej podobieństwo do byłej żony wywoła impotencję. Gdy przyniosła rachunek za lunch, błyskając oszałamiającym uśmiechem, za którego już zaczął odczytywać wyniosłość i pogardę, powiedział:

- Jestem klucz.

Podjmował niedopuszczalne ryzyko. Nie potrafił usprawiedliwić go nawet przed sobą.

Dopóki nie miał pewności, że każdy w miasteczku, oprócz Edisonów i garstki dzieci, został odpowiednio zaprogramowany, powinien ograniczyć używanie hasła do rozmów telefonicznych (jak z Troutmanem) oraz do sytuacji, kiedy był sam na sam z obiektem. Dopiero po trzech tygodniach obserwacji i indywidualnych kontaktów będzie mógł przyjąć, że nic nie ryzykuje. Teraz był więc trochę zaniepokojony swoim nieodpowiedzialnym zachowaniem. Nie przeszkadzało mu specjalnie, że absolutna władza absolutnie korumpuje, dopóki nie stawał się przy tym zbyt lekkomyślny. Z drugiej strony istniało niewielkie prawdopodobieństwo, że ich ktoś usłyszy, jeśli będą rozmawiali po cichu. Najbliżej Salsbury'ego siedziała para staruszków w łożu przy drzwiach. Była to jednak zbyt duża odległość, by mogli słyszeć rozmowę. Poza tym nie potrafił oprzeć się pragnieniu zapanowania nad tą kobietą. Emocje pozbawiły go zdrowego rozsądku i galopował z nimi tam, dokąd chciały.

- Jestem zamek - odpowiedziała.

- Mów cicho.

- Tak, sir.

- Jak się nazywasz?

- Alice.

- Ile masz lat?

- Dwadzieścia sześć.

- Śliczna jesteś - powiedział. Nic nie odpowiedziała.

- Uśmiechnij się do mnie, Alice.

Uśmiechnęła się. Nie wyglądała ani trochę na oszołomioną. W jej wielkich ciemnych oczach nie było nawet śladu transu. A równocześnie była ślepo posłuszna.

- Masz ładne ciało - powiedział.

- Dziękuję.

- Lubisz seks?

- No.

- Bardzo to lubisz?

- No. Lubię.

- Kiedy jesteś z mężczyzną w łóżku, jest coś, na co byś nie pozwoliła?

- No. Na greka.

- Nie pozwoliłabyś mu wsadzić w tyłek?

- No. Nie podoba mi się to. - Oblała się rumieńcem.

- Gdybym miał na ciebie chęć, mógłbym cię mieć. Wpatrywała się w niego.

- Co? Mógłbym?

- No.

- Gdybym miał na ciebie chęć, mógłbym cię mieć tutaj, na tym stole.

- No.

- Gdybym chciał cię wziąć na greka, dałabyś? Zawahała się, ale w końcu powiedziała:

- Zależy ci na tym?

- Gdybym tak chciał, pozwoliłabyś. Dałabyś mi.

- No.

Teraz była jego kolej na uśmiech. Rozejrzał się po restauracji. Nikt się im nie przyglądał, nikt się nie przysłuchiwał.

- Jesteś mężatką, Alice?

- Nie. Po rozwodzie.

- Dlaczego się rozwiodłaś?

- Nie chciało mu się robić.

- Twojemu mężowi?

- No, jemu.

- Był dobry w łóżku?

- Niezły.

Była nawet bardziej podobna do Miriam, niż myślał.

Po wszystkich latach wciąż pamiętał, co Miriam powiedziała w dniu, w którym odeszła:

„nie jesteś zły w łóżku, Ogden. Jesteś po prostu koszmarny. I nie wykazujesz chęci poprawy. Ale wiesz, potrafiłabym z tym żyć, gdybyś umiał zrekompensować mi to czymś innym. Gdybyś miał pieniądze i kupował mi różności, może dałabym radę przetrzymać twoje nawalanki w łóżku. Kiedy zgodziłam się za ciebie wyjść, myślałam, że zarobisz górę forsy. Jezu Chryste! Byłeś najlepszy na swoim roku w Harvardzie! Jak zrobiłeś doktorat, wszyscy chcieli cię zaangażować. Gdybyś był choć odrobinę ambitny, już miałbyś w ręce niezły kawałek grosza. Wiesz co, Ogden? Myślę że w tych swoich badaniach jesteś tak samo mało wartościowy i pozbawiony wyobraźni, jak w łóżku. Ty nigdy niczego się nie dochrapiesz, ale ja tak. Odchodzę”.

Alice nadal uśmiechała się do niego.

- Nie rzyj - powiedział łagodnym głosem. - Nie przepadam za tym.

Zrobiła, co jej kazał.

- Co ja jestem, Alice?

- Jesteś klucz.

- A ty co jesteś?

- Zamek.

- Skoro cię już otworzyłem, robisz wszystko, co ci każę. Prawda?

- No.

Wyjął z portfela trzy jednodolarowe banknoty i położył je na rachunku.

- Chcę cię wypróbować, Alice. Chcę zobaczyć, czy potrafisz być posłuszna. Czekala

potulnie.

- Odejdiesz teraz od stolika - mówił - zabierzesz rachunek i pieniądze do kasy. Zaznaczysz wpłatę i weźmiesz napiwek. Tyle, ile zostanie z trzech dolarów. Czy to jasne?

- No.

- Potem pójdziesz do kuchni. Jest tam ktoś?

- Nie. Randy poszedł do banku.

- Randy Ultman?

- No.

- To fajnie - powiedział Salsbury. - Więc jak wejdziesz do kuchni, weźmiesz widelec. Jeden z tych wielkich widelców z dwoma zębami. Mają w kuchni coś takiego?

- No. Kilka sztuk.

- Weźmiesz jeden z nich i przebijesz sobie na wylot lewą rękę.

Nawet nie mrugnęła okiem.

- Czy rozumiesz mnie, Alice?

- No, rozumiem.

- Kiedy odejdiesz od stolika, zapomnisz o wszystkim, o czym rozmawialiśmy.

Rozumiesz?

- No.

- Kiedy przebijesz sobie na wylot rękę widelcem, pomyślisz, że to wypadek. Niesamowity wypadek. Tak, Alice?

- Jasne. Wypadek.

- Idź więc.

Odwróciła się i skierowała do wahadłowych drzwiczek przy końcu lady, opływowe biodra kołysały się prowokująco. Doszła do kasy i zaznaczyła wpłatę. W tym czasie Salsbury wysunął się

z łóża i ruszył do drzwi.

Wrzuciła napiwek do kieszeni bluzki, wsunęła szufladę kasy i weszła do kuchni.

Przy wyjściu Salsbury zatrzymał się i wsunął ćwierćdolarówkę do automatu wydającego prasę.

Bob Thorp śmiał się z jakiegoś dowcipu, a Bess chichotała jak pensjonarka.

Salsbury zdjął z drucianego stelaża egzemplarz „Black River Bulletin”, złożył go, wsunął pod pachę i otworzył drzwi do holu. Zrobił krok przez próg i powoli zaczął zamykać za sobą drzwi, cały czas nie przestając myśleć: Dalej, suko, dalej! Serce waliło mu w piersi i czuł lekkie zawroty głowy.

Alice zaczęła przeraźliwie krzyczeć.

Szeroko uśmiechnięty Salsbury zamknął drzwi wewnętrzne, pchnął frontowe, zszedł po schodkach i ruszył w kierunku wschodnim Main Street, jakby nieświadom zamieszania w restauracji.

Dzień był jasny i ciepły. Niebo bezchmurne.

Nigdy nie czuł się szczęśliwszy.

Paul potrącił ramieniem Boba Thorpa i wpadł do kuchni.

Młoda kelnerka stała przy ladzie ciągnącej się między dwoma wysokimi zamrażalnikami.

Jej lewa dłoń leżała na drewnianej desce. W prawej ścisnęła osiemnastocalowy widelec do obracania mięsa. Wyglądało na to, że dwa zjadliwe, ostre zęby przebiły całą dłoń i utkwili w drewnie. Krople krwi rozprysły się na jasnoniebieskiej bluzce, błyszcząły na desce, kapały z laminowanej lady. Kobieta wrzeszczała przeraźliwie i łapała konwulsyjnie powietrze, podrygiwała i próbowała wyrwać widelec.

Paul obrócił się do Boba Thorpa, który stał oniemiały w progu.

- Łap Troutmana!

Thorpowi nie trzeba było powtarzać dwa razy. Wybiegł.

- Puść widelec - powiedział Paul, chwytając za prawą rękę kobiety. - Chcę, żebyś puściła widelec. Nie pomagasz sobie, tylko robisz więcej krzywdy.

Podniosła głowę i spojrzała na niego niewidzącymi oczami. Pod ciemną cerą twarz sprawiała wrażenie kredowobiałej. Dziewczyna była wyraźnie w szoku. Nie mogła przestać krzyczeć - i prawdopodobnie nawet nie wiedziała, że on do niej mówi.

Musiał odrywać jej palce od trzonka widelca.

Jenny stanęła obok Paula.

- Och, mój Boże! - jęknęła.

- Pomóż mi, trzymaj ją! Nie pozwól, żeby chwyciła za widelec.

Jenny złapała kobietę za prawy przegub.

- Chyba zaraz zwymiotuję - powiedziała.

Paul nie miałby o to do niej pretensji. W niewielkiej restauracyjnej kuchni, z sufitem kilka cali nad głową, krzyki brzmiały ogłuszająco. Widok szczupłej dłoni z wbitym widelcem zdawał się przerażający jak scena z horroru. Powietrze było gęste od zastałych zapachów wędzonej szynki, pieczonej wołowiny, smażonej cebuli, smalcu i świeżej, metalicznej, ostrej woni krwi. Każdy by zemdlał. Rzekł jednak: Nie będziesz wymiotować. Jesteś twarda dama.

Zagryzła wargę i kiwnęła głową.

Paul, jakby tylko na to czekał, szybko chwycił ścierkę z

wieszaka i rozerwał na dwa

kawałki. Jeden odrzucił. Z drugiego i długiej drewnianej łyżki zrobił na lewym ramieniu kelnerki coś w rodzaju opaski uciskowej. Przekręcił prawą dłonią łyżkę i uchwycił lewą trzonek widelca.

Podejdz tu i trzymaj za opaskę - polecił Jenny.

Uwolnioną przez Jenny prawą ręką kelnerka usiłowała złapać za trzonek widelca. Wbiła

paznokcie w zaciśniętą dłoń Paula.

Jenny chwyciła łyżkę.

Przycisnęła do lady zranioną rękę kelnerki; Paul szarpnął w górę widelec wbity w drewno na pół cala i wyrwał go jednym szybkim, dobrze odmierzonym ruchem. Upuścił widelec i chwycił kobietę w pasie, chroniąc ją przed upadkiem. Kolana się jej ugięły, bał się, że upadnie.

- Musi okropnie cierpieć - powiedziała Jenny, kiedy Paul kładł kelnerkę na podłozie.

Słowa te niczym zaklęcie uwolniły kobietę od panicznego uczucia strachu. Przestała krzyczeć i rozpłakała się.

- Nie mam pojęcia, jak to zrobiła - powiedział Paul. - Wbiła sobie ten widelec z niewiarygodną siłą. Przybiła się do tej deski.

- Wypadek - wykrztusiła łkająca, dygocząca kelnerka. Spazmatycznie nabrała powietrza w płuca, jęknęła i pokiwała głową. -Niesamowity... wypadek.

ROZDZIAŁ 6

Czternaście miesięcy wcześniej. Czwartek, 10 czerwca 1976

Martwy mężczyzna leżał nagi, twarzą do góry, na środku lekko pochylonego stołu do sekcji, obramowanego rynienkami do odpływu krwi.

- Kto to? - spytał Klinger.

- Pracował dla Leonarda - wyjaśnił Salsbury.

Pomieszczenie, w którym stali trzej mężczyźni, oświetlony miało tylko sam środek. Dwie bezcieniowe lampy wisiały nad stołem. Na trzech ścianach rozmieszczono systemy komputerowe, konsole i monitory: niewielkie lampki kontrolne i pobłyskujące lampy oscyloskopowe rzucały w otaczające cienie widmowe plamy zieleni, niebieskości, żółci i słabej czerwieni. Dziewięć ekranów - lamp elektronopromieniowych - umieszczono wysoko na trzech ścianach, a cztery inne podwieszono pod sufitem: wszystkie wysyłały siaby, niebieskozielonkawy poblask.

W tym niezwykłym świetle zwłoki nie wyglądały realnie, robiły wrażenie rekwizytu z filmu o wampirach.

- Nazywał się Brian Kingman - przygnębiony, niemal z uszanowaniem, powiedział Dawson. - Był członkiem mojego osobistego personelu.

- Długo? - spytał Klinger.

- Pięć lat.

Zmarły wyglądał na trzydzieści; był w dobrej kondycji. Teraz, siedem godzin po ustaniu krążenia, zaczął sinieć. Krew osiadała w łydkach, na spodzie ud, pośladkach, w dolnych partiach pleców, i tam ciało spurpurowiało, nieco nabrzmiało. Twarz miał białą i pokrytą głębokimi bruzdami, palce u rąk podwinięte.

- Był żonaty? - spytał Klinger. Dawson przecząco pokręcił głową.

- Rodzina?

- Dziadkowie nie żyją. Żadnych braci ani sióstr. Matka zmarła przy porodzie, a ojciec zginął w wypadku samochodowym w zeszłym roku.

- Ciotki, wujowie?

- Żadnych krewnych.

- Przyjaciółki?

- Nikt liczący się dla niego, ani nikt, dla kogo on by się liczył - odparł Dawson. - Dlatego go wybraliśmy. Jeżeli zniknie, nikt nie będzie tracił czasu i energii na szukanie go.

Klinger rozważał to, co usłyszał, przez kilka sekund.

- Spodziewaliście się, że eksperyment go zabije?

- Przypuszczaliśmy, że takie ryzyko istnieje - powiedział Ogden.

- I wasze przypuszczenia się sprawdziły. - Klinger uśmiechnął się ponuro.

Coś w tonie głosu generała rozgniewało Salsbury'ego.

- Ty też znałeś ryzyko, kiedy wszedłeś w układ z Leonardem i ze mną.

- Oczywiście, że tak - rzekł Klinger.

- Więc nie zachowuj się tak, jakby śmierć Kingmana była wyłącznie moją winą. Spada na nas wszystkich.

- Ogden, źle mnie zrozumiałeś! - Generał zmarszczył brwi. - Nie twierdzę, że ty i Leonard jesteście winni. Ten człowiek to maszyna, która wysiadła. Nic więcej. Zawsze możemy załatwić inną maszynę. Jesteś przeczulony, Ogden.

- Biedny chłopiec - powiedział Dawson, ze smutkiem spozierając na trupa. - Zrobiłby dla nas wszystko.

- Właśnie zrobił dla ciebie wszystko - rzekł generał. Wpatrywał się z namysłem w martwego. - Leonard, w tym domu masz kilkoro służby. Czy ktoś z nich wie, że Kingman tu był?

- To mało prawdopodobne. Sprowadziliśmy go potajemnie.

Od czternastu miesięcy skrzydło domu w Greenwich zostało oddzielone od pozostałych dwudziestu pokoi. Zaopatrzone je w nowe, osobne wejście, a wszystkie zamki wymieniono. Służbie powiedziano, że pewne niegroźne eksperymenty są tu prowadzone przez filię Futurexu i trzeba zabezpieczyć przed szpiegami przemysłowymi akta badań oraz wyniki odkryć.

- Czy służba nadal interesuje się tym, co się tu dzieje? - spytał Klinger.

- Nie - odpowiedział Dawson. - Jeśli o nią chodzi, to w ostatnim roku nic się nie wydarzyło.

Tajemnica tego skrzydła przestała ich intrygować.

- W takim razie uważam, że możemy - nic nie ryzykując - pochować Kingmana na terenie posiadłości. - Odwrócił się do Salsbury'ego. - Co się stało? Jak umarł?

Salsbury usadowił się na wysokim białym taborecie przy stole, za głową trupa, oplótł stopami nogi taboretu i zaczął zdawać relację.

- Sprowadziliśmy tu Kingmana po raz pierwszy na początku lutego. Myślał, że pomaga

nam przy pewnych badaniach socjologicznych, które znajdują istotne zastosowanie w interesach Futurexu. Podczas czterdziestu godzin wywiadu uzyskałem informacje o wszystkich upodobaniach, niechęciach, przesadach, osobistych dziwactwach, pożądaniach i podstawowych procesach myślowych tego człowieka. Później, pod koniec lutego, przestudiowałem zapis tych wywiadów i wybrałem pięć próbnych tematów, pięć postaw i - lub - opinii, które miałem zamiar spróbować zmienić za pomocą subliminali.

Salsbury wybrał trzy tematy proste i dwa złożone. Kingman uwielbiał pomadki w czekoladzie, ciastka z czekoladą, czekoladę w każdej postaci. Salsbury chciał wzbudzić w nim odruch wymiotny przy pierwszym włożeniu jej do ust. Kingman nie cierpiał brokułów, ale Salsbury chciał go zmusić, by je polubił. Miał wrodzony lęk przed psami; próba zamiany tego lęku na upodobanie to był temat trzeciego prostego testu. Pozostałe dwa testy były o wiele trudniejsze i Salsbury liczył się z możliwością porażki. Musiał zaprojektować takie rozkazy subliminalne, które wwierciłyby się niezwykle głęboko w psychikę Kingmana. Otóż Kingman był ateistą, co skutecznie ukrywał przed Dawsonem przez pięć lat, oraz żywił wyjątkowe uprzedzenia wobec czarnych. Przerobienie go na kochającego Boga, rozmodlonego obrońcę czarnuchów było bardziej skomplikowane niż wzbudzenie w nim obrzydzenia do czekoladek.

Do połowy kwietnia Salsbury zakończył programowanie subliminali.

Kingman został ponownie przywieziony do domu w Greenwich 15 kwietnia - rzekomo w celu przeprowadzenia dodatkowych badań socjologicznych dla Futurexu. Tego samego dnia podano mu podkład subliminalny, specyfik Salsbury'ego. Przez następne trzy dni Salsbury poddawał Kingmana szczegółowym badaniom medycznym, ale nie znalazł śladów zatrucia, trwałego zniszczenia tkanki, zmian w składzie krwi, zauważalnych szkód w psychice lub innych szkodliwych efektów ubocznych po zażyciu specyfiku.

Kingman pod koniec tych trzech dni, 19 kwietnia, nadal tryskając zdrowiem, wziął udział -

jak mniemał - w eksperymencie percepcji wizualnej. Jednego popołudnia pokazano mu dwa długometrażowe filmy i na zakończenie każdego obrazu nakazano odpowiedzieć na sto pytań, mających związek z tym, co właśnie obejrzał. Odpowiedzi były nieistotne, ale zostały włączone do akt, ponieważ Salsbury zazwyczaj archiwizował każdy skrawek papieru w laboratorium. Eksperyment służył faktycznie jednemu celowi: kiedy Kingman oglądał filmy, równocześnie nieświadomie wchłaniał przez trzy godziny program subliminalny, który miał zmienić pięć jego postaw.

Wydarzenia następnego dnia, 20 kwietnia, dowiodły efektywności specyfiku Salsbury'ego i programów subliminalnych. Podczas śniadania Kingman zamierzał zjeść na deser ciastko z czekoladą, ale po pierwszym kęsie szybko wstał od stołu, pobiegł do toalety i zwymiotował. Na lunch do kotletów wieprzowych zjadł cztery porcje brokułów polanych roztopionym masłem. Po południu, kiedy Dawson zabrał go na przechadzkę, Kingman piętnaście minut spędził w psiarni na zabawie z psami wartowniczymi. Po kolacji Ogden i Dawson zczęli dyskusję na temat integracji szkół państwowych na Pomocy. Kingman wystąpił jako stary liberał, gorący obrońca równości praw. I w końcu, nieświadom dwóch kamer wideo, które monitorowały jego sypialnię, zmówił pacierz przed udaniem się na spoczynek.

Wniebowzięty Dawson stał obok trupa, uśmiechał się i przemawiał do Klingera:

- Powinieneś widzieć jego modlitwę, Ernst! Było to niezwykle inspirujące. Ogden wziął ateistę z duszą skazaną na ogień piekielny i uczynił z niego wiernego ucznia Chrystusa. I to w ciągu jednego dnia!

Salsbury niespokojnie poprawił się na krześle. Nie zwracając uwagi na Dawsona i wpatrując się w środek generalskiego czoła, odezwał się:

- Kingman opuścił posiadłość dwudziestego pierwszego kwietnia. Natychmiast zabrałem się do pracy, projektując pełne zestawy subliminali, o czym mówiliśmy setki razy, program, który

po użyciu hasła dałby mi całkowitą i stałą kontrolę obiektu. Skończyłem piątego czerwca.

Sprowadziliśmy tu Kingmana z powrotem ósmego, trzy dni później.

- Nie miał podejrzeń? - zapytał Klinger. - Nie był zdenerwowany tym ciągłym podróżowaniem?

- Wprost przeciwnie - powiedział Dawson. - Był zadowolony, że wykorzystuję go do tak wyjątkowego eksperymentu, nawet jeśli w pełni nie pojmował jego sensu. Widział w tym oznakę mego zaufania. I uważał, że dzięki uczestniczeniu w nim szybciej czeka go awans. Takie zachowanie jest typowe dla każdego ambitnego młodego człowieka, poddawanego szkoleniu menedżerskiemu.

Generał, znużony stanem, podszedł do najbliższej konsoli komputera, odwrócił fotel od klawiatury i usiadł. Znalazł się prawie całkiem w cieniu. Zielone światło z ekranu kontrolnego oświetlało jedynie jego prawy bark i połowę brutalnej twarzy. Wyglądał jak troll.

- W porządku. Skończyłeś program piątego. Kingman zjawił się ósmego. Nakarmiłeś go specyfikiem...

- Nie - powiedział Salsbury. - Wystarczy raz podać specyfik obiektowi, nie ma potrzeby zwiększać dawki, nawet po latach. Przystąpiłem więc od razu do realizowania programu subliminalnego. Wieczorem wyświetliłem Kingmanowi dwa filmy. Tamtej nocy, przedwczoraj, śnił bardzo nieprzyjemne sny. Zbudził się spocony, zziębnięty, miał dreszcze, mdłości, był oszołomiony. Miał też kłopoty z oddychaniem. Zwymiotował przy łóżku.

- Gorączka? - zapytał Klinger.

- Nie.

- Czy uważasz, że to była spóźniona reakcja na specyfik? Spóźniona o te półtora miesiąca?

- Może - rzekł z namysłem Salsbury. Ale wyraźnie nie w tym upatrywał przyczynę. Zsunął się ze stolika, podszedł do biurka stojącego w ciemnym kącie pomieszczenia i wrócił z wydrukiem.

- To zapis przebiegu snu Kingmana między godziną pierwszą a trzecią dzisiejszej nocy. Okres krytyczny. - Wręczył go Dawsonowi. - Wczoraj pokazałem Kingmanowi na zakończenie eksperymentu jeszcze dwa filmy. Ostatniej nocy zmarł w łóżku.

Generał dołączył do Salsbury'ego i Dawsona, stojących w kręgu światła nad stołem do sekcji, i zaczął czytać dwujardową wstęgę papieru z drukarki.

B. KINGMAN

REKAPITULACJA CZĘŚCIOWA

PROGRAM MONITORINGU MEDYCZNEGO:

ZAPIS 10/06/76

WYDRUK 1

GODZ MIN SEK ODCZYT

01

00

00

EEG- FAZA 3 SNU

01

01

00

EEG- FAZA 3 SNU

01

02

00

EEG- FAZA 4 SNU

01

03

00

EEG- FAZA 4 SNU

01

04

00

EEG- FAZA 4 SNU

- Podłączyłeś Kingmana do tej kupy maszyn, gdy spał? zapytał Klinger.

- Spał tu prawie każdej nocy, od samego początku - wyjaśnił Salsbury. - Kilka razy na początku faktycznie bez powodu. Ale później, gdy musiałem mieć go pod ścisłą obserwacją, był już przyzwyczajony do aparatów i nauczył się zasypiać pozawijany w te wszystkie przewody.

- Nie orientuję się w tym do końca - rzekł generał, wskazując na wydruk.

- Ja też nie - powiedział Dawson.

Salsbury powstrzymał uśmiech. Wiele miesięcy temu zdecydował, że najlepszą obroną przed tymi dwoma rekinami będzie jego profesjonalizm. Nigdy nie zaniedbał okazji zademonstrowania go i uświadomienia im faktu, że gdyby chcieli się go pozbyć, żaden nie zdoła poprowadzić badań i prac rozwojowych ani nie poradzi sobie w razie niespodziewanego kryzysu po ich zakończeniu.

- Czwarta faza snu jest najgłębsza - wyjaśnił, wskazując na kilka pierwszych linijek wydruku. - Zwykle występuje na początku nocy. Kingman poszedł spać o północy i zasnął za dwadzieścia pierwsza. Jak widać, osiągnął czwartą fazę dwadzieścia dwie minuty później.

- Jakie ma to znaczenie? - spytał Dawson.

- Faza czwarta najbardziej ze wszystkich przypomina śpiączkę. Elektroencefalograf wskazuje nieregularne fale, o zaledwie kilku cyklach na sekundę. Ciało jest nieruchome. Właśnie

w fazie czwartej obiektywizująca część umysłu jest całkowicie uśpiona, a wszystkie wejścia zmysłów mocno zamknięte. Część subiektywizująca natomiast staje się wówczas bardzo aktywna. Pamiętajcie, że podświadomość, odwrotnie niż świadomość, nigdy nie zasypia. Ponieważ jednak nic dostaje żadnych danych na wejściach, nie ma co przetwarzać, więc się zabawia sama sobą. Ale wczoraj podświadomość Kingmana mogła się zabawiać czymś wyjątkowym.

- Chodzi o program Klucz-Zamek, który wszczepiłeś mu wczoraj i przedwczoraj? - spytał Klinger.

- Zgadza się - powiedział Salsbury. - I spójrzcie dalej na wydruk.

01

08

00

EEG-FAZA 4 SNU

01

09

00

EEO-FAZA 4 SNU

01

10

00

EEG-FAZA 1 SNU/REM

01

11

00

EEG-FAZA 1 SNU/REM

- Przez całą noc - mówił dalej Salsbury - wznosimy się i opadamy, wznosimy się i opadamy przez fazy snu. Prawie zawsze schodzimy stopniowo i wspinamy się również stopniowo, pozostając krótko po drodze w każdej fazie. Jednak w tym wypadku Kingman przeszedł prosto z głębokiego snu w lekki, jakby przeszkodził mu jakiś hałas w sypialni.

- Był hałas? - spytał Dawson.

- Nie.

- Co to jest to REM? - spytał Klinger.

- To oznacza szybki ruch gałek ocznych pod zamkniętymi powiekami. Jest on widomym znakiem, że Kingman śnił w fazie pierwszej.

- Śnił? - zapytał Dawson. - O czym?

- Nie ma możliwości sprawdzenia tego - odpowiedział Salsbury.

Generał podrapał się po śladach zarostu, które ocieniały jego tępy podbródek nawet wtedy, gdy był świeżo ogolony.

- Uważasz, że ten sen jest wynikiem zabawy jego podświadomości z wszczepem Klucz-Zamek?

- Tak.

- I że może dotyczyć subliminali?

- Tak. Nie mogę podać sensowniejszego wyjaśnienia. Coś w programie Klucz-Zamek tak wstrząsnęło jego podświadomością, że został pchnięty wprost w ten sen.

- Koszmar senny?

- Na razie tylko sen. Ale przez następne dwie godziny jego sekwencje stają się coraz bardziej niezwykle, nierówne.

01

12

00

EEG-FAZA I SNU/REM

01

13

00

EEG-FALE ALFA

01

14

00

EEG-FALE ALFA

- Fale alfa oznaczają, że Kingman przebudził się na dwie minuty - wyjaśnił Salsbury. - Ale nie do końca. Oczy miał prawdopodobnie wciąż zamknięte. Zawisł na skraju pierwszej fazy snu.

01

15

00

EEG-FAZA I SNU/REM

01

16

00

EEG-FAZA I SNU

01

17

00

EEG-FAZA I SNU

01

18

00

EEG-FAZA 2 SNU

01

19

00

EEG-FAZA 2 SNU

01

20

00

EEG-FAZA 3 SNU

01

21

00

EEG-FAZA 3 SNU

01

22

00

EEG-FAZA 3 SNU

01

23

00

EEG-FAZA 3 SNU

01

24

00

EEG-FAZA 4 SNU

01

25

00

EEG-FAZA 4 SNU

01

26

00

EEG-FAZA 4 SNU

01

27

00

EEG-FAZA 4 SNU

01

28

00

EEG-FAZA 4 SNU

01

29

00

EEG-FAZA 4 SNU

01

30

00

EEG-FAZA 1 SNU/REM

- Pierwszy raz, kiedy zapadł w głęboki sen - tłumaczył dalej - pozostał w nim przez osiem minut. Tym razem sen trwał tylko sześć minut. Daje to początek interesującej sekwencji.

01

31

00

EEG-FAZA 1 SNU/REM

01

32

00

EEG-FAZA 1 SNU/REM

01

33

00

EEG-FAZA 1 SNU/REM

01

34

00

EEG-FALE ALFA

01

35

00

EEG-FAZA 1 SNU/REM

01

36

00

EEG-FAZA 1 SNU/REM

01

37

00

EEG-FAZA 2 SNU

01

38

00

EEG-FAZA 2 SNU

01

39

00

EEG-FAZA 2 SNU

01

40

00

EEG-FAZA 3 SNU

01

41

00

EEG-FAZA 3 SNU

01

42

00

EEG-FAZA 3 SNU

01

43

00

EEG-FAZA 3 SNU

01

44

00

EEG-FAZA 3 SNU

01

45

00

EEG-FAZA 3 SNU

01

46

00

EEG-FAZA 3 SNU

01

47

00

EEG-FAZA 3 SNU

01

48

00

EEG-FAZA 4 SNU

01

49

00

EEG-FAZA 4 SNU

01

50

00

EEG-FAZA 4 SNU

01

51

00

EEG-FAZA 1 SNU/REM

- Teraz głęboki sen trwał tylko trzy minuty - rzekł Klinger. - Cykl ulega przyśpieszeniu, przynajmniej w dolnej fazie.

- Ale dlaczego? - spytał Dawson. - Ernst może rozumie, ale ja nie.

- Coś się dzieje w jego podświadomości podczas głębokiego snu - powiedział Salsbury. -

Coś tak niepokojącego, że każe mu „przeskoczyć” w fazę pierwszą. Jakież doznania w

podświadomości stają się coraz intensywniejsze, a jeśli są coraz intensywniejsze, to coraz słabiej

stawia im opór. Być może jedno i drugie. Za każdym razem jego tolerancja ogranicza się do coraz krótszego odcinka czasu.

- Chodzi ci o to, że w fazie czwartej doznaje uczucia bólu? - spytał Dawson.

- Ból jest doznaniem cielesnym - odpowiedział Salsbury. - To nieodpowiednie słowo w tej sytuacji.

- Jakie jest odpowiednie?

- Może przestach. Albo lęk.

01

52

00

EEG-FAZA 1 SNU/REM

01

53

00

EEG-FAZA 1 SNU/REM

01

54

00

EEG-FAZA 1 SNU/REM

01

55

00

EEG-FALE ALFA

01

56

00

EEG-FALE ALFA

01

57

00

EEG-FAZA 1 SNU/REM

01

58

00

EEG-FAZA 1 SNU/REM

01

59

00

EEG-FAZA 2 SNU/REM

02

00

00

EEG-FAZA 2 SNU

02

01

00

EEG-FAZA 2 SNU

02

02

00

EEG-FAZA 2 SNU

02

03

00

EEG-FAZA 3 SNU

02

04

00

EEG-FAZA 3 SNU

02

05

00

EEG-FAZA 3 SNU

02

06

00

EEG-FAZA 3 SNU

02

07

00

EEG-FAZA 4 SNU

02

08

00

EEG-FAZA 1 SNU/REM

- Tym razem minuta - zauważył Klinger.

- Od tej chwili przechodzi w stan niezwyklego podniecenia - Salsbury mówił o zmarłym mężczyźnie, jakby wciąż żył. - Sekwencje stają się coraz bardziej nietypowe i nierówne. O drugiej dwadzieścia wraca do fazy trzeciej. Spójrzmy, co się z nim dzieje potem:

02

20

00

EEG-FAZA 3 SNU

02

21

00

EEG-FAZA 3 SNU

02

22

00

EEG-FAZA 3 SNU

02

23

00

EEG-FAZA 3 SNU

02

24

00

EEG-FAZA 3 SNU

02

25

00

EEG-FAZA 1 SNU/REM

Klinger był zafascynowany wydrukiem dezintegracji psychicznej Briana Kingmana.

Reagował tak, jakby właśnie teraz, na jego oczach, rozgrywały się te wydarzenia.

- Tym razem nawet nie doszedł do fazy czwartej i „przeskoczył” znowu do pierwszej.

- Przeżywa w podświadomości atak silnego lęku - powiedział Salsbury.

- Istnieje w ogóle coś takiego? - zapytał Dawson.

- Teraz już wiem, że istnieje. Obecnie jego stan psychiczny jest gwałtownie zachwiany, ale

w taki sposób, że wcale go to nie budzi. A nierównowaga rośnie.

02

26

00

EEG-FAZA 1 SNU/REM

02

27

00

EEG-FAZA 1 SNU/REM

02

28

00

EEG-FALE ALFA

02

29

00

EEG-FAZA 1 SNU/REM

02

30

00

EEG-FALE ALFA

02

31

00

EEG-FAZA 1 SNU/REM

02

32

00

EEG-FAZA 1 SNU/REM

02

33

00

EEG-FAZA 2 SNU

02

34

00

EEG-FAZA 2 SNU

02

35

00

EEG-FAZA 2 SNU

02

36

00

EEG-FAZA 3 SNU

02

37

00

EEG-FALE ALFA

- Przestach zbudził go o drugiej trzydzieści, prawda? - zapytał Dawson.

- Zgadza się. Nie zbudził go w pełni. Ale Kingman wyszedł poza pierwszą fazę snu, w terytorium fal alfa. Zaraz dojdziecie do tego miejsca.

02 38 00 EEG-FAZA 1 SNU/REM

02 39 00 EEG-FAZA 1 SNU/REM

02 40 00 EEG-FAZA 1 SNU/REM

02 41 00 EEG-FALE ALF A

02 42 00 EEG-FAZA 1 SNU/REM

02 43 00 EEG-FALE ALFA

02 44 00 EEG-FAZA 1 SNU/REM

02 45 00 EEG-FAZA 1 SNU/REM

02 46 00 EEG-FAZA 2 SNU

02 47 00 EEG-FAZA 2 SNU

02 48 00 EEG-FAZA 1 SNU/REM

02 49 00 EEG-FALE ALFA

02 50 00 EEG-FAZA 1 SNU/REM

02 51 00 EEG-FAZA 1 SNU/REM

02 52 00 EEG-FALE ALFA

02 53 00 EEG-FAZA 1 SNU/REM

02 54 00 EEG-FAZA 1 SNU/REM

02 55 00 EEG-FALE ALFA

02 56 00 EEG-FAZA 1 SNU/REM

02 57 00 EEG-FALE ALFA

02 58 00 EEG-FALE ALFA

02 59 00 EEG-FALE ALFA

03 00 00 EEG-FALE ALFA

03 01 00 EEG-FALE ALFA

03 02 00 EEG-BRAK ZAPISU

03 03 00 EEG-BRAK ZAPISU

03 04 00 EEG-BRAK ZAPISU

03 05 00 EEG-BRAK ZAPISU

BRAK OZNAK ŻYCIA

BRAK OZNAK ŻYCIA

BRAK OZNAK ŻYCIA

PACJENT ZSZEDŁ

KONIEC WYDRUKU KONIEC PROGRAMU ::STOP::

Dawson gwałtownie wypuścił powietrze z płuc, jakby przez ostatnią minutę wcale nie oddychał.

- To był dobry człowiek. Niech spoczywa w pokoju.

- W końcu - rzekł generał - było pięć zapisów fal alfa z rzędu. Czy to oznacza, że był całkowicie obudzony w ostatnich czterech minutach życia?

- Obudzony, ale nieświadomy - powiedział Salsbury.

- Zdawało mi się, że mówiłeś, iż umarł we śnie.

- Nie. Powiedziałem, że umarł w łóżku.

- Co się z nim działo przez ostatnie pięć minut?

- Pokażę wam - powiedział Salsbury. Podeszedł do konsoly komputerowej i na krótko pochylił się nad klawiaturą.

Umieszczone wysoko na ścianie ekrany komputerów zaczęły gasnąć, świecił się tylko ekran telewizyjny, działający na zasadzie zamkniętego obwodu z komputerem, oraz ekran monitora służącego do odczytu danych.

- Na ekranie po prawej stronie będzie widoczny zapis magnetowidowy ostatnich sześciu minut życia Kingmana, a na ekranie po lewej stronie - zsynchronizowany odczyt niektórych podstawowych funkcji organizmu, uaktualniany co trzydzieści sekund.

Dawson i Klinger podeszli bliżej.

Prawy ekran zamrugał. Pojawił się ostro skonstrastowany, biało-czarny obraz: Brian Kingman leżał na kołdrze. Do głowy i torsu miał przyklejonych dwanaście końcówek przewodów zbierających dane. Druty wiły się do dwóch aparatów, siejących przy łóżku. Opaska sfigmanometru owinięta była wokół prawego ramienia, a przewód biegł wprost do mniejszego

aparatu. Kingman lśnił od potu. Dygotał. Co kilka sekund jedno z ramion podrywał w obronnym ruchu. Kopał powietrze. Mimo tych podrygów oczy miał zamknięte i spał.

- Teraz jest w fazie pierwszej - powiedział Salsbury.

- Śni - dodał Dawson.

W górze lewego ekranu znajdował się cyfrowy zegar, dzielący czas na godziny, minuty, sekundy i dziesiąte sekund. Na zielonym tle, poniżej zegara, białe, wysyłane przez komputer litery informowały o czterech najistotniejszych funkcjach organizmu.

B. KINGMAN

POMIAR TYPOWY DLA TEGO OBIEKTU

WARTOŚĆ

TEMPERATURA 36,6 36,6

ODDECH 18 NA MINUTĘ 22 NA MINUTĘ

PULS 70 NA MINUTĘ 90 NA MINUTĘ

CIŚNIENIE KRWI

SKURCZOWE 100-120 HO ROZKURCZOWE 60-70 70

- Nadal śpi - kontynuował Salsbury. - Ale oddech i puls są przyśpieszone średnio o dwadzieścia pięć procent. Wygląda, jakby śnił koszmary. Za moment będzie się jeszcze bardziej rzucał. Jest gotowy do przebudzenia. Patrzcie uważnie. Teraz!

Na biało-czarnym ekranie Kingman nagle podciągnął kolana, kopnął obiema stopami, znów podciągnął kolana i trzymał je podciągnięte tuż przy piersi. Złapał się rękami za głowę, wyrócił gałki oczne, otworzył usta.

- Teraz krzyczy - wyjaśnił Salsbury. - Przepraszam, nie ma dźwięku.

- Dlaczego krzyczy? - zapytał Dawson. - Obudził się przecież. Koszmar minął.

- Czekaj - powiedział Salsbury.

- Oddech ma przyśpieszony, puls skoczył mu niesamowicie - rzekł Klinger.

Kingman krzyczał bezgłośnie.

00

58

02

- Patrzcie, jak mu klatka faluje - zauważył Dawson. - Dobry Boże, płuca mu pękają!

Wijąc się nieustannie, ale jakby trochę mniej gwałtownie niż przed chwilą, Kingman zaczął gryźć dolną wargę. W sekundę podbródek zalał mu się krwią.

- Atak epilepsji? - spytał generał.

- Nie - powiedział Salsbury.

O 2.59 lewy ekran wyświetlił nowy napis:

POMIAR TYPOWY DLA TEGO OBIEKTU

WARTOŚĆ

TEMPERATURA 36,6 36,6

ODDECH 18 NA MINUTĘ 48 NA MINUTĘ

PULS 70 NA MINUTĘ 190 NA MINUTĘ

CIŚNIENIE KRWI

SKURCZOWE

SKASOWANE

SKASOWANE

SKASOWANE

SKASOWANE

SKASOWANE SKASOWANE SKASOWANE

Na biało-czarnym ekranie Kingman rzucał się konwulsyjnie, aż zastygł prawie w bezruchu.

Stopy mu jeszcze dygotały, prawa dłoń to otwierała się, to zamykała, ale poza tym leżał nieruchomo. Nawet przestał wywracać oczami. Zacisnął mocno powieki.

Ekran z odczytem funkcji organizmu opustoszał. A w chwilę później wyświetlił alarmujący sygnał:

02

59 12

ROZLEGŁY ZAWAŁ MIĘŚNIA SERCOWEGO ROZLEGŁY ZAWAŁ MIĘŚNIA
SERCOWEGO

- Atak serca - powiedział Salsbury.

Lewe ramię Kingmana, zgięte na piersi w literę V, wyglądało jak sparaliżowane. Dłoń zaciśnięta w pięść spoczywała nieruchomo przy szyi.

03

00 00

PULS NIERÓWNY

ODDECH NIERÓWNY

Kingman miał teraz otwarte oczy. Wpatrywał się w sufit.

- Znowu krzyczy - powiedział Klinger.

- Próbuje krzyczeć - sprostował Salsbury. - Wątpię, czy w tym stanie zdołał wydusić z siebie coś więcej niż skrzek.

03

01 00

PULS NIERÓWNY

ODDECH NIERÓWNY

FALE EEG PRZECHODZĄ W DELTA

Stopy Kingmana przestały drgać.

Prawa dłoń przestała się zamykać i otwierać.

Przestał krzyczeć.

- Po wszystkim - powiedział Salsbury. Oba ekrany równocześnie zgasły. Brian Kingman zmarł po raz drugi.

- Ale co go zabiło? - Przystojna twarz Dawsona miała kolor białego pudru. - Specyfik?

- Nie specyfik - wyjaśnił Salsbury. - Strach. Klinger wrócił do stołu i przyjrzał się ciału.

- Strach. Wiedziałem, że to powiesz.

- Nagły, silny strach może zabić - powiedział Salsbury.

- A w tym wypadku wszystko na to wskazuje. Oczywiście przeprowadzę dokładną sekcję.

Ale wątpię, żebym znalazł jakąś fizjologiczną przyczynę tego ataku serca.

- Czy chcesz powiedzieć, że Brian uświadomił sobie we śnie, że jesteśmy o krok od zapanowania nad nim? - spytał Dawson, ściskając Salsbury'ego za ramię. - I tak się tego przeraził, że umarł?

- Coś w tym rodzaju.

- To znaczy, że jeśli nawet specyfik działa - subliminale nie.

- Och, zadziałają - rzekł Salsbury. - Muszę je tylko uszlachetnić, udoskonalić.

- Uszlachetnić?

- Postaram się to wytłumaczyć najprościej i najlepiej, jak tylko umiem. Zrozumcie, żeby wszczepić subliminale Klucz-Zamek, muszę przewiercić dziurę przez jego ego. Wydaje się, że pierwszy program był zbyt prosty. Nie tylko zrobił dziurę, ale roztrzaskał równocześnie jego ego, a w każdym razie prawie roztrzaskał. Następnym razem muszę być delikatniejszy, muszę poprzeć rozkazy bardziej dopracowaną perswazją. Podjechał z ruchomym stolikiem narzędziowym do stołu.

- Ale co będzie, jeśli nie uszlachetnisz ich wystarczająco? - Dawson nie był usatysfakcjonowany odpowiedzią Salsbury'ego. - Jeśli następny obiekt zejdzie? Jest do przyjęcia, że jeden członek mojego osobistego personelu rzuca pracę i znika bez śladu. Ale dwaj? Albo trzej? Niemożliwe!

Salsbury wysunął szufladę stolika. Wyjął z niej gruby płócienny ręcznik i rozłożył go na małym blacie.

- Nie użyjemy do drugiego testu nikogo z twojego personelu.

- Gdzie w takim razie znajdziemy obiekt do przeprowadzenia próby?

Salsbury wyjmował z szuflady po jednym instrumencie chirurgicznym, i rozkładał je na płótnie.

- Sądzę, że nadszedł już czas, aby założyć tę korporację w Liechtensteinie. Wynajmij trzech płatnych żołnierzy, daj im komplet fałszywych dokumentów i sprowadź tu z Europy.

- Do tego domu?

- Tak jest. Przez jakiś czas nie potrzebujemy jeszcze tej posiadłości w Niemczech czy Francji. Podamy specyfik całej trójce pierwszego dnia po przyjeździe. Drugiego dnia zacznę z jednym z nich testować nowy program Klucz-Zamek. Jeśli poskutkuje, jeśli go nie zabije, wtedy zastosuję go wobec reszty. W końcu przeprowadzimy próbę terenową w kraju. We właściwym czasie będziemy bardzo zadowoleni, że mamy pod ręką dwóch czy trzech dobrze wytrenowanych, posłusznych ludzi.

- Zatrudnianie pracowników w Vaduz - mówił zachmurzony Dawson - zakładanie korporacji, kupowanie fałszywych dokumentów, rekrutacja najemników, sprowadzanie ich tu... to są wydatki, których wolę uniknąć, dopóki nie będziemy pewni, że specyfik i subliminale działają jak należy.

- Będą działać.

- Nie jesteśmy jeszcze tego pewni.

- Na pewno nie wydasz centa z własnej kieszeni, Leonardzie. - Salsbury uniósł skalpel pod światło i wpatrywał się w zarys ostrza. - Znajdziesz jakiś sposób na wyciśnięcie funduszy z korporacji Futurex.

- To nie jest wcale takie łatwe, zapewniam cię. Futurex nie jest ogródkiem zabaw dla dzieci.

To korporacja publiczno-prawna. Nie mogę czerpać ze skarbca według własnego widzimisię.

- Mówi się, że jesteś miliarderem takiej klasy, jak Onassis, Getty, Hughes... Futurex to nie jedyna sprawa, w której siedzisz. Jakoś wyszperałeś ponad dwa miliony na to laboratorium. I co miesiąc udaje ci się wyszperać osiemdziesiąt tysięcy dolarów na utrzymanie go. W porównaniu z tymi wydatkami ten nowy to drobiazg.

- Zgadzam się - powiedział generał.

- To nie twoje pieniądze szlag trafi - rzucił zirytowany Dawson.

- Jeśli uważasz, że cały ten projekt nie wypali - odrzekł Salsbury - to powinniśmy od razu zwinąć żagle.

Dawson zaczął chodzić tam i z powrotem po pokoju, zatrzymał się po kilku krokach, wsadził ręce do kieszeni spodni i zaraz znów je wyjął.

- Ci ludzie nie dają mi spokoju.

- Jacy ludzie?

- Ci najemnicy, płatni żołnierze.

- O co chodzi? To tylko zabójcy. Oczywiście.

- Profesjonalni zabójcy. Tym zarabiają na życie - mordowaniem ludzi.

- Nigdy nie pisałem hymnów pochwalnych na temat wolnych strzelców - rzeki Klinger. -

Ale to uproszczenie, Leonardzie.

- Tak w gruncie rzeczy wygląda prawda.

- A jeśli nawet tak jest, to co? - spytał niecierpliwie Salsbury.

- Cóż, nie podoba mi się pomysł trzymania ich w moim domu - odpowiedział Dawson. W jego głosie zabrzmiała niemal pruderia.

Ty obłudny, dwulicowy dupku, pomyślał Salsbury. Nie miał odwagi powiedzieć tego głośno. Przez ostatni rok nabrał pewności siebie, ale jeszcze nie na tyle, by tak szczerze rozmawiać z Dawsonem.

- Leonardzie, jak, do diabła, będziemy się tłumaczyć przed policją i w sądzie w razie wyjścia na jaw prawdy o śmierci Kingmana? Czy wyobrażasz sobie, że pogłaszczą nas po główkach i odeślą z połajanką? Czy myślisz, że zawahają się nazwać nas mordercami tylko dlatego, że go nie udusiliśmy, nie zastrzeliliśmy, nie zadźgaliśmy? Czy uważasz, że uszłoby to nam na sucho, dlatego że chociaż jesteśmy zabójcami, to jednak nie zarabiamy tym na życie? Przez moment w czarnych oczach Dawsona jak w onyksowych zwierciadłach odbiło się zimne, fluorescencyjne światło. Zaśniły nienaturalnie. Odwrócił głowę o ułamek cala i tanto wrażenie znikło. Jednakże coś z tego zimna, obcości zostało w głosie.

- Nigdy nie skrzywdziłem Kingmana. Nigdy nie tknąłem go palcem. Nigdy nie odezwałem się do niego nieuprzejmie.

Ani Salsbury, ani Klinger nie zareagowali.

Czekali.

Dawson otarł dłonią twarz.

- Dobrze. Zacznę od Liechtensteinu. Załatwię wam tych trzech najemników.

- Kiedy? - spytał Salsbury.

- Jeśli mam utrzymać absolutną tajność - za trzy miesiące. Może cztery.

Salsbury skinął głową i wrócił do wykładania narzędzi chirurgicznych. Przygotowywał się do sekcji.

ROZDZIAŁ 7

Poniedziałek, 22 sierpnia 1977

O dziewiątej rano w poniedziałek Jenny wpadła z wizytą do obozowiska Annendale'ów i przywiozła ze sobą mocną, wysoką na jard klatkę dla kanarków.

Mark wybuchnął śmiechem, kiedy zobaczył Jenny wyłaniającą się spomiędzy drzew z klatką.

- A to do czego?

- Gość zawsze powinien przynieść ze sobą prezent - oznajmiła.

- A po co nam ona?

Włożyła klatkę w ręce chłopca. Paul ucałował Jenny w policzek.

Mark uśmiechnął się do niej poprzez cienkie, pozłacane pręty.

- Mówiłeś, że w piątek chcesz przywieźć z lasu wiewiórkę do miasta. Jeśli tak, to musisz ją wieźć w klatce. To będzie klatka podróżna.

- Nie spodoba się jej siedzenie za kratami.

- Na początku nie, ale się przyzwyczai.

- Wcześniej czy później musi się przyzwyczaić, jeśli ma pozostać w naszym domu - rzekł

Paul. Rya trąciła brata łokciem i powiedziała:

- Na litość boską, Mark, nie powiesz „dziękuję”? Jenny w poszukiwaniu klatki musiała przekopać chyba całe miasto.

- Och, jasne. - Chłopiec zarumienił się aż po białka oczu. - Dzięki. Serdeczne dzięki, Jenny.

- Rya, widzisz tę małą brązową paczkę na dnie klatki? To dla ciebie.

Dziewczynka rozerwała papier i uśmiechnęła się, kiedy zobaczyła trzy książki w kieszonkowym wydaniu.

- Moi ulubieni pisarze! I nie mam tych książek! Dzięki, Jenny.

Większość jedenastolatek lubiła czytać powieści dla dorastających pańienek, romanse, może Barbarę Cartland albo Mary Roberts Rinehart. Ale Jenny zrobiłaby poważny błąd, przywożąc Rya coś w tym stylu. Przywiozła więc western Louisa L'Amoura zbiór krótkich horrorów i powieść przygodową Alistaira MacLeana. Rya nie była trzpiotką jak dziewczynki w jej wieku - z pewnością bardzo się różniła od innych jedenastolatek.

Dzieciaki były wyjątkowe. Dlatego, mimo że Jenny nie przepadała specjalnie za dziećmi, pokochała je tak szybko. I tak samo mocno jak Paula.

Och, tak? - pomyślała, łapiąc się na tej myśli. Miłość do Paula aż cię rozsadza, co?

Starczy tego.

Miłość, tak? To czemu nie przyjęłaś jego oświadczyn?

Dość.

Czemu za niego nie wyszłaś?

Ponieważ...

Zmusiła się do przerwania kłótni ze sobą. Ludzie, którzy zagłębiają się w przydługie dialogi wewnętrzne, są kandydatami na schizofreników.

Przez jakiś czas cała czwórka karmiła wiewiórkę, której Mark nadał imię Buster, i przyglądała się jej figlom. Chłopiec zabawiał ich planami tresury zwierzątka. Chciał nauczyć Bustera, żeby się przewracał i udawał nieżywego, przybiegał na zawołanie, jak pies prosił o kolację i aportował patyk. Nikt nie miał serca powiedzieć mu, że jest nieprawdopodobne, aby wiewiórka nauczyła się którejs z tych sztuczek. Jenny chciała się roześmiać, chwycić go w ramiona i uściskać - ale tylko kiwała głową i zgadzała się, kiedy pytał ją o zdanie.

Później bawili się w berka i rozegrali kilka setów badmintona.

O jedenastej Rya oznajmiła wszystkim:

- Mark i ja robimy lunch. Zamierzamy sami wszystko przygotować. I naprawdę

spodziewajcie się kilku niezwykłych dań. Mam rację, Mark?

- Oczywiście. Moje ulubione to...

- Mark! - szybko zawołała Rya. - To ma być niespodzianka!

- Tak, jasne - powiedział, jakby właśnie przed chwilą prawie nie wypaplał wszystkiego.

- Zgadza się. To niespodzianka.

Rya odgarnęła długie czarne włosy za uszy. Odwróciła się do ojca.

- Dlaczego nie wyberzecie się z Jenny na miły, długi spacer po górach? Tam jest bardzo dużo wygodnych sarnich ścieżek. Taka przechadzka zaostrzy wam apetyt.

- Już mi się zaostrzył po badmintonie - zaprotestował Paul.

Rya skrzywiła się.

- Nie chcę, żebyście widzieli, co będzie na lunch.

- Dobra. Siądziemy sobie tam, plecami do was. Rya pokręciła głową. Była uparta.

- I tak będziecie czuli zapachy. Nici z niespodzianki.

- Wiatr wieje w inną stronę - nie ustępował Paul. - Nie będziemy nic czuli.

Niespokojnie kręcąc raketką do badmintona, Rya spojrzała na Jenny.

Ileż intryg i kombinacji kłębi się za tymi twoimi niewinnymi, niebieskimi oczami, pomyślała Jenny. Zaczynała rozumieć, do czego dziewczynka zmierza.

- Musisz iść z Jenny na spacer, tato. Wiemy, że chcecie być sami - odezwał się z właściwą sobie otwartością Mark.

- Mark, na litość boską! - Rya była wstrząśnięta.

- No co? - bronił się chłopiec. - Przecież po to robimy lunch, żeby mogli pobyć sam na sam.

Jenny wybuchnęła śmiechem.

- Niech mnie piorun strzeli! - powiedział Paul.

- Coś mi się zdaje, że usmażę wiewiórkę na lunch - rzekła Rya.

Na twarzy Marka odmalowała się groza.

- Jakie ohydne, wstrętne rzeczy mówisz!

- Nie mówiłam poważnie.

- Ale są ohydne.

- Bardzo cię przepraszam.

Spoglądając na Ryę kątem oka, jakby oceniając jej szczerłość, Mark zgodził się w końcu:

Dobra, niech będzie.

- Jeśli nie pójdziemy na spacer - powiedziała Jenny, biorąc Paula za rękę - twoja córka szalenie się zdenerwuje. A kiedy twoja córka szalenie się denerwuje, przemienia się w niebezpieczną dziewczynę. Rya uśmiechnęła się szeroko.

- To prawda. Staję się diabłem wcielonym.

- Jenny i ja idziemy na spacer - oznajmił Paul. Pochylił się nad Ryą. - Ale dziś wieczór opowiem wam wstrząsającą historię o straszliwym losie pewnej podstępnej dziewczynki.

- Och, jak miło! - zawołała Rya. - Uwielbiam opowiadki do poduszki. Lunch serwujemy o pierwszej. - Odwróciła się i jakby przewidując, że Paul prześwieci ją rakieta po pupie, uskoczyła w bok i pobiegła do namiotu.

Strumień hałaśliwie opływał wielki głaz, szarpał brzegi, na których rosły karłowate brzozy i wawrzyny, zeskakiwał po kamiennych stopniach, rozlewał się szerokim, głębokim jeziorkiem w dolinie, po czym uciekał w dół, przez następny górski próg. W rozlewisku pływały ryby - ciemne kształty, prześlizgujące się w mrocznej toni. Polana była okolona brzozami, rósł tam także jeden niezwyklej rozmiarów dąb. Wynurzające się, poskręcane jak macki korzenie wyłaziły spod liściastej ściółki i czarnej ziemi. Ziemię między drzewem a jeziorkiem pokrywał mech tak gęsty, iż mógłby być wygodnym posłaniem kochanków.

Po półgodzinnym spacerze wokół obozowiska i łąki, na której grali w badmintona,

zatrzymali się przy jeziorze dla nabrania oddechu. On położyła się na plecach, z rękami pod głową. On obok niej.

Nie wiedziała dobrze, jak to się stało, ale rozmowa przeszła w końcu w delikatne pocałunki. Pieszczoty, pomruki. Przycisnął ją do siebie, kładąc ręce na jej pośladkach. Z twarzą przy twarzy, delikatnie lizał konchę jej ucha.

Nieoczekiwanie ona okazała się odważniejsza. Pogładziła ręką rozporek jego dzinsów, poczuła wypukłość pod materiałem.

- Chcę ciebie - powiedziała.

- Ja też.

- No to oboje możemy mieć to, na co mamy ochotę. Kiedy już byli nadzy, zaczął całować jej piersi. Polizał sztywniejące sutki.

- Chcę ciebie już, teraz - wyszeptała. - Szybko. Za drugim razem możemy wolniej.

Reagowali na siebie z potężną, wyjątkową i całkowicie nieoczekiwaną zmysłowością, której nigdy przedtem nie zaznali. Rozkosz była więcej niż intensywna, dla niej niemal rozdzierająca. Czuli, że z nim jest podobnie, być może dlatego, iż pożąдали siebie tak gorączkowo. Nie byli razem od bardzo dawna, od marca. Jeżeli serca przez rozstanie łagodnieją, pomyślała, to czy genitalia szaleją? A może ta elektryzująca rozkosz jest wynikiem romantycznej scenerii: dziki krajobraz, zapachy, dźwięki. Jakakolwiek była przyczyna, nie potrzebował żadnej maści ułatwiającej wejście w nią. Wśliznął się jednym płynnym pchnięciem i poruszał się w przód, w tył, coraz głębiej i głębiej. Wypełniał ją po brzegi, kołysał. Jenny obezwładniał widok jego ramion: mięśnie napięły się, gdy wsparty na nich, unosił się nad nią. Objęła dłońmi jego pośladki, twarde jak kamień, i wciągała go w siebie coraz głębiej z każdym gwałtownym pchnięciem. Chociaż orgazm osiągnęła szybko, podniecenie mijało tak wolno, że nie wiedziała, czy kiedykolwiek nastąpi koniec. Nagle, gdy jej napięcie opadło, on zeszywniał, przygwożdżony siłą swojego

orgazmu. Słodko szepnął jej imię.

Kurczył się w niej, zmalął. Ucałował jej piersi, wargi i czoło. Potem zsunął się z niej na bok.

Przytuliła się, brzuch do brzucha, i dotknęła ustami jego pulsującej na szyi arterii.

Obejmowali się. Akt, który właśnie się zakończył, zespolił ich; pamięć przeżytej radości połączyła oboje niewidzialną pępowiną.

Na kilka minut zapomniała o świecie istniejącym poza rzucanym przez Paula cieniem. Nie słyszała nic, tylko bicie własnego serca i ciężki oddech ich obojga. Po pewnym czasie powróciły odgłosy gór: liście szeleszczące nad głową, strumień spadający w dół stoku do jeziora, ptaki nawołujące się w drzewach. Czowała lekki ból w piersi i ciepłe nasienie Paula, wyciekające z niej. Stopniowo uświadomiła sobie, że cień jest gorący i wilgotny, a ich uścisk stał się mniej romantyczny, za to bardziej spocony.

Niechętnie wysunęła się z jego ramion i opadła na plecy. Warstewka potu pokrywała jej piersi i brzuch.

- Niewiarygodne - powiedziała.

- Niewiarygodne - powtórzył.

Żadne z nich nie potrafiło nic więcej powiedzieć.

Powiew wiatru prawie ich osuszył. Paul w końcu uniósł się na łokciu i spojrzał na nią.

- Wiesz co?

- Co?

- Nigdy nie spotkałem kobiety, która umiałaby przeżywać rozkosz, tak głęboko jak ty.

- Seksualną, o to ci chodzi?

- Seksualną, o to mi chodzi.

- Annie przeżywała.

- Jasne. Byliśmy dobrym małżeństwem. Ale nie przeżywała tego tak jak ty. Wkładasz w to całą siebie. Kiedy się kochamy, nic cię nie obchodzi, tylko ciała: twoje i moje. Jesteś tym pochłonięta.

- Nic na to nie poradzę, że jestem gorąca.

- Jesteś więcej niż gorąca.

- Więc nadpobudliwa seksualnie.

- To nie tylko seks - powiedział.

- Chyba nie powiesz mi, że szanujesz mnie też za mój rozum.

- Właśnie to dokładnie chcę ci powiedzieć. Chłoniesz wszystko. Widziałem cię smakującą wodę, jak niektórzy ludzie smakują dobre wino. - Przesunął palcem między jej piersiami. - Jesteś zachłannie ciekawa życia.

- Ja i van Gogh.

- Mówię poważnie.

Zastanowiła się nad tym, co powiedział.

- Kumpel z college'u mówił mi to samo.

- A widzisz?

- Jeśli to prawda, zasługę należy przypisać ojcu.

- Dlaczego?

- Dał mi szczęśliwe dzieciństwo.

- Matka umarła, kiedy byłaś dzieckiem. Skinęła głową.

- Ale odeszła we śnie. To był wylew krwi do mózgu. Jednego dnia żyła - następnego odeszła. Nigdy nie widziałam, żeby cierpiała. To ma znaczenie dla psychiki dziecka.

- Smutno ci było. Jestem tego pewien.

- Niedługo. Ale ojciec ciężko pracował, żebym zapomniała. Zawsze były żarty i zabawy,

opowieści i prezenty, dwadzieścia cztery godziny na dobę, siedem dni w tygodniu. Ty też starałeś się, żeby twoje dzieci zapomniały o śmierci Annie.

- Gdyby mnie się tak dobrze udało, jak Samowi z tobą...

- Jemu może aż za dobrze - powiedziała.

- Jak to rozumiesz?

- Czasem myślę, że powinien spędzać mniej czasu na umilaniu mi dzieciństwa, a więcej na przygotowywaniu mnie do prawdziwego życia - odparła z westchnieniem.

- Och, nie jestem przekonany. Szczęście to rzadki towar na świecie. Nie odtrącaj go.

Chwytaj każdą minutę, jaka ci się trafi, i nie oglądaj się za siebie.

Pokręciła głową, nieprzekonana.

- Byłam zbyt naiwna. Wprost Pollyanna. Do dnia ślubu włącznie.

- Złe małżeństwo może się przytrafić każdemu, doświadczonemu lub nie.

- W porządku, ale doświadczonego nie zniszczy. Jego dłoń leniwie krążyła po jej brzuchu.

Jenny podobał się sposób, w jaki jej dotykał. Natychmiast zapragnęła go znowu.

- Jeżeli potrafisz w ten sposób siebie analizować, to pokonasz swoje depresje - powiedział.

- Zdołasz przekreślić przeszłość.

- Och, potrafię go całkiem zapomnieć. Mojego męża. Potrzeba trochę czasu, i po kłopotcie.

W tym wypadku nawet niewiele czasu.

- A więc?

- Nie jestem już niewinna. Bóg wie, że nie. Ale naiwna? Nie jestem pewna, czy człowiek może stać się przez noc cynikiem. - Albo nawet realistą.

- Tym razem będzie idealnie - mówił, dotykając jej piersi. - Jestem pewien.

- Są momenty, że też jestem tego pewna. I właśnie nie mam zaufania - do tej pewności.

- Wyjdź za mnie - powiedział.

- Jak znowu do tego doszliśmy?
- Prosiłem cię, żebyś za mnie wyszła.
- Nie chcę się narazić na kolejny upadek.
- Na nic cię nie narażam.
- Powiedzmy.
- Nie da się żyć bez ryzyka.
- Mogę spróbować.
- To będzie samotne życie. Skrzywiła się lekko.
- Nie psujmy dnia.
- Dla mnie nie jest popsuty.
- Cóż, dla mnie taki będzie, jeśli nie zmienimy tematu.
- Czy jest jakiś ważniejszy temat do rozmowy? Uśmiechnęła się szeroko.
- Zdaje się, że jesteś zafascynowany moimi cyckami. Chcesz sobie o nich pogadać?
- Jenny, mówię poważnie.
- Jestem poważna. Myślę, że moje cycuszki są fascynujące. Mogę gadać o nich godzinami.
- Jesteś nieznośna.
- Dobra, dobra. Jeśli nie chcesz rozmawiać o moich cyckach, nie będziemy o nich rozmawiać, choć są cudowne. W takim razie pogadajmy o twoim wacku.
- Jenny...
- Chciałabym go sobie posmakować. Paul poczuł, że jego miękki penis powiększył się i stwardniał.
- Pokonany przez biologię - powiedziała.
- Jesteś latawica. Roześmiała się i chciała usiąść. Pchnął ją z powrotem na ziemię.
- Chcę go posmakować - powtórzyła.

- Później.

- Teraz.

- Najpierw chcę zrobić ci dobrze.

- A zawsze tak jest, jak ty chcesz?

- Tym razem tak. Jestem od ciebie większy.

- Męski szowinista.

- Jeśli tak uważasz. - Całował jej sutki, ramiona, ręce, brzuch i uda. Łagodnie potarł kilka razy nosem zmierzwiłone włosy w dole brzucha.

Przebiegło ją drżenie.

- Masz rację. Kobieta powinna zaznać rozkoszy pierwsza.

Uniósł głowę i uśmiechnął się do niej. Miał czarujący, prawie chłopięcy uśmiech. Jego oczy były tak przejrzyste, tak błękitne, tak ciepłe, że poczuła, jak zalewa ją fala czułości.

Jakim cudownym jesteś mężczyzną, pomyślała, kiedy głosy gór ucichły, a zastąpiły je uderzenia serca. Tak piękny, tak godny pożądania, tak czuły mężczyzna. Tak bardzo czuły.

Dom stał przy Union Road, przecznicę od rynku. Bungalow z białymi belkami. Zadbany.

Framugi okien pomalowane na zielono, z dobranymi kolorem okiennicami. Frontowa weranda z balustradą, wisząca ławka, huśtawka i jasnozielona podłoga. Okratowanie obrośnięte winoroślą po jednej stronie werandy, po drugiej ściana liliowego bzu. Ścieżka wyłożona ceglami, po bokach rząd nagietków. Białe emaliowane małe oczko wodne dla ptaków, petunie. Zgodnie z wizytówką, która wisiała na dekoracyjnej latarni przy końcu ścieżki, dom należał do „państwa Macklinów”.

O pierwszej po południu Salsbury wszedł po trzech stopniach na werandę. Niósł podkładkę do notowania z zaciskiem, który przytrzymywał kilkanaście kartek papieru. Zadzwoił.

Pszczoły buczały w bzach.

Widok kobiety, która otworzyła drzwi, zaskoczył go. Sądząc po zasadzonych wszędzie

kwiatach i zadbanej posesji, wyglądającej na efekt pracy wyjątkowego pedanta, spodziewał się, że Macklinowie będą podstarzałym małżeństwem. Wysuszoną parą, która lubi dłubaninę w ogródku, nie ma wnuków, którym poświęcałaby czas. Będą spoglądać na niego podejrzliwie znad oprawek dwuogniskowych okularów. Jednakże kobieta, która podeszła do drzwi na głos dzwonka, wyglądała na dwadzieścia pięć lat, była szczupłą blondynką o twarzy w typie modelek reklamujących kosmetyki, wysoka, pięć stóp osiem cali, o niezbyt subtelnej, ale kobiecej urodzie, nogi tancerki rewiewej. Ubrana była w granatowe szorty i bluzkę „z łezką”, wiązaną na karku, w niebieskie i białe grochy. Nawet przez siatkowe drzwi widział, że ciało kobiety ma klasyczne proporcje, jest jędrne, sprężyste. Lepsze niż wszystkie inne, które udało mu się dotychczas pomacać.

Jak zwykle - postawiony twarzą w twarz z jedną z kobiet, które zaludniały jego fantazje przez całe dorosłe życie - zmieszał się. Wpatrywał się w nią, oblizywał wargi i nie był w stanie sklecić jednego cholernego zdania.

- W czym mogę pomóc? Chrząknął.

- Nazywam się... Albert Deighton. Jestem w mieście od piątku. Nie wiem, czy pani słyszała... Prowadzę badania. Badania socjologiczne. Rozmawiałem z ludźmi...

- Wiem - powiedziała. - Był pan obok, u Solomanów, wczoraj po południu.

- Zgadza się. - Chociaż słońce grzało i powietrze było ciężkie, nie pocił się tego dnia podczas żadnego z trzech pierwszych wywiadów. Teraz jednak czuł, jak na czoło występują mu krople potu. - Chciałbym porozmawiać z panią i panem Macklinem, jeśli mogą mi państwo poświęcić trochę czasu. Pół godziny wystarczy. Mam około stu pytań...

- Przykro mi - powiedziała. - Męża nie ma w domu. Pracuje w tartaku na dziennej zmianie.

Nie będzie go w domu do wpół do szóstej.

Spojrzał na podkładkę do notowania, żeby tylko coś zrobić.

- Zawsze mogę złapać go kiedy indziej. Gdybym mógł zrobić teraz wywiad z panią i dziećmi i mieć to z głowy...

- Och, jesteśmy małżeństwem dopiero od roku. Nie mamy dzieci.

- Nowożeńcy.

- Prawie. - Uśmiechnęła się. Miała dołeczki. Czuł się wciągany w niebezpieczny wir, porywany nieodwołalnie ku decyzji, która go zniszczy.

- Czy mieszka tu jeszcze ktoś? Krewni?

- Tylko Richie i ja.

- Richie to mąż?

- Zgadza się.

W piątek, u Ultmana, skorzystał z hasła, aby się zabawić z kelnerką, która przypominała mu Miriam. Ryzykował tym ujawnienie całego eksperymentu. Upięknio mu się, ale wiedział, że był głupcem, pozwalając sobie na uleganie emocjom. Zadał sobie pokutę przez sobotę i niedzielę - był dużo ostrożniejszy niż trzeba. Skorzystał z hasła ponad dwadzieścia razy, dokładnie wypytyując obiekty, szukając słabych punktów w ich posłuszeństwie, ale nigdy nie zbliżył się do nikogo, jeżeli istniało choćby najmniejsze ryzyko zdemaskowania się. Niektóre z kobiet były atrakcyjne i mógłby wykorzystać je tak, jakby chciał, ale się powstrzymywał. Zasmakowawszy absolutnej władzy po otwarciu Alice, tej suki kelnerki, wprost palił się, żeby rozkazać jednej z nich rozebrać się i rozłożyć przed nim na podłodze. Cholernie się palił. A ta, stojąca przed nim w szortach i skąpej bluzce, wydawała się emanować gorącem, które roztopiało jego wolę i ostrożność. Chciał wierzyć, że ta sytuacja, inna niż epizod w restauracji, nie jest niebezpieczna. I to pragnienie wiary było pierwszym krokiem do przekonania siebie samego.

- Jestem klucz.

- Jestem zamek. Z ulgą otarł czoło.

- Jesteś sama?

- Tak.

Zaczął się trząść. Nie ze strachu. Z podniecenia.

- Spodziewasz się kogoś?

- Nie. Nikogo.

- A ktoś oczekuje ciebie? Miałaś w planie jakieś wizyty?

- Nie.

- Wpuść mnie.

Otworzyła siatkowe drzwi.

Minął ją i wszedł do klimatyzowanego przedpokoju. Po prawej stronie było owalne lustro i mały stoliczek, po lewej wisiał niewielki obrazek rzucanego sztormem żaglowca.

- Zamknij drzwi. I zasuń zamek.

Zrobiła, jak kazał.

Krótki korytarzyk z dwoma następnymi obrazami żaglowców prowadził z przedpokoju do kuchni.

Po lewej stronie bawialnia łączyła się z korytarzem łukowatym przejściem. Była starannie urządzona. Orientalny dywan. Dwie sofy pokryte marszczonym aksamitem i niski stolik z marmurowym blatem. Aksamitne zasłony na trzech oknach. Stojak na prasę. Szafka z bronią na ścianie. Dwie lampy Stiffela. Obrazy przedstawiające zachodnie żaglowce, zacumowane w chińskich portach - zharmonizowane z orientalnym dywanem.

- Zaciągnij zasłony - powiedział.

Przeszła od okna do okna, wróciła na środek pokoju. Stała z rękami po bokach, wpatrując się w niego z półuśmiechem na twarzy.

Czekała. Czekala na rozkazy. Jego rozkazy. Była jego lalczką, jego niewolnicą.

Ponad minutę stał w przejściu, niezdolny do ruchu, niezdolny do podjęcia dalszej decyzji.

Unieruchomiony przez strach, przed tym, co nastąpi, i przez żądzę, od której czuł prawie ból w kroczu. Pocił się jak po przebiegnięciu mili. Była jego. Cała jego: jej usta, piersi, tyłek, nogi, cipa, każdy cal ciała i każde zagłębienie. W dodatku nie musiał się martwić, czy się jej podoba. Liczyła się tylko jego własna rozkosz. Jak każe jej to uwielbiać, będzie uwielbiała. Później żadnych narzekań. Żadnych wyrzutów. Tylko akt - a potem niech to piekło pochłonie! Po raz pierwszy mógł wykorzystać kobietę, dokładnie tak, jak chciał. Poczul, że rzeczywistość jest cudowniejsza niż marzenia, które snuł przez tyle lat.

Spoglądała na niego kpiąco.

- Czy to wszystko?

- Nie. - Miał chrapliwy głos.

- Czego chcesz?

Podszedł do najbliższej lampy, zaświecił ją. Siadł na sofie.

- Stój tam, gdzie stoisz - polecił. - Odpowiadaj na pytania i rób, co ci każe.

- Dobrze.

- Jak ci na imię?

- Brenda.

- Ile masz lat. Brendo?

- Dwadzieścia sześć.

Wyjął chusteczkę z kieszeni, otarł czoło. Spojrzał na obrazy żaglowców.

- Twój mąż lubi morze?

- Nie.

- To lubi obrazy przedstawiające morze?

- Nie. Ma to w nosie.

Mówił tylko po to, by przez ten czas podjąć decyzję, jak ma z nią postępować.

- To po co, do diabła, całe to malarstwo?

- Urodziłam się i wychowałam w Cape Cod. Kocham morze.

- Ale on ma je w nosie. Dlaczego pozwala ci wieszać wszędzie te cholerstwa?

- Bo mnie się podobają.

Znowu otarł twarz, schował chusteczkę.

- Wie, że gdyby zdjął je ze ścian, wykurzyłabyś go z łóżka. Wykurzyłabyś, co, Brenda?

- Jasne, że nie.

- On wie, że tak, ty mała suko. Śliczna z ciebie sztuka. Zrobiłby wszystko, żebyś była szczęśliwa. Każdy facet by zrobił. Faceci biegali na twoje zawołanie, od kiedy byłaś na tyle duża, żeby się pierdolić. Pstryknęłaś palcami, a oni już tańczyli. Nie?

Zaskoczona pokręciła głową.

- Tańczyli? Nie. Roześmiał się zjadliwie.

- Tak się mówi. Wiesz dobrze, że naprawdę nie chodzi o taniec. Jesteś taka jak wszystkie.

Jesteś suka, Brenda. Zmarszczyła brwi. Spochmurniała.

- Mówię, że jesteś suka. Mam rację? Jej zły nastrój przysł.

- Tak.

- Ja zawsze mam rację. Prawda?

- Tak. Ty zawsze masz rację.

- Kim jestem?

- Jesteś klucz.

- Kim ty jesteś?

- Jestem zamek.

Z każdą minutą czuł się lepiej. Nie był już tak spięty, jak przed chwilą. Nie taki rozedrgany.

Spokojny. Opanowany. Jak nigdy. Poprawił okulary na nosie.

- Chciałabyś, żebym zdarł z ciebie szmaty i zerznął cię? Czy chciałabyś tego, Brenda?

Zawahała się.

- Chciałabyś - powiedział.

- Chciałabym.

- Uwielbiałabyś to.

- Uwielbiałabym to.

- Zdejmij bluzkę.

Rozwiązała węzeł na plecach i materiał w grochy spadł do jej stóp. Ciało pod bluzką miała białe, ostro, erotycznie kontrastujące z ciemną opalenizną. Piersi ani duże, ani małe, ale ślicznie zaokrąglone, sterczące. Kilka piegów. Sutki różowe, niewiele ciemniejsze od nieopalonej skóry.

Kopnęła bluzkę na bok.

- Dotknij ich - poleciał.

- Moich piersi?

- Ściśnij je. Pociągnij za sutki. - Uznał jej ruchy za zbyt mechaniczne i powiedział: - Jesteś napalona, Brenda. Chcesz, żeby cię pierdolić. Nie możesz się doczekać. Chcesz tego. Potrzebujesz. Chcesz tego jak nigdy w życiu. Jesteś prawie chora od chcicy.

Brenda dalej pieściła swoje piersi, aż nabrzmiały sutki, i ich różowość stała się ciemniejsza.

Oddychała ciężko.

Zachichotał. Nie potrafił się powstrzymać. Czuł się fantastycznie. O, jak fantastycznie!

- Zdejmij szorty. Zdjęła.

- Majtki. Prawdziwa z ciebie blondynka, jak widzę. Teraz włóż rękę między te cudowne nogi. Popieść się palcem. O to chodzi. Dobrze. Grzeczna dziewczynka.

Stała z szeroko rozstawionymi nogami, masturbowała się. Wyglądała oszalamiająco.

Odrzuciła w tył głowę, złote włosy powiewały jak chorągiew, usta otwarte, rozluźnione mięśnie twarzy. Dyszała. Drżała. Dygotała. Jęczała. Drugą ręką wciąż pieściła biust.

Władza. Dobry Boże, władza, jaką odtąd ma i będzie zawsze miał nad nimi, od dziś na zawsze! Może wejść do ich domów, do ich najświętszych i najbardziej intymnych miejsc, a kiedy się tam znajdzie, zrobi z nimi, co dusza zapagnie. I nie tylko z kobietami. Z mężczyznami też. Jeśli rozkaże, mężczyźni będą skamleć i czołgać się przed nim na czworakach. Będą błagać, żeby rznął ich żony. Będą dawać mu swoje córki, córeczki. Pozwolą mu zaznać wszystkiego, każdej dziwności i ohydztwa. Zażąda każdej rozkoszy i każdej zakosztuje. Ale w sumie będzie raczej łaskawym władcą, dobroczynnym dyktatorem, raczej ojcem niż katem. Żadnych butów z cholewami depczących twarz. Roześmiał się z ostatniej myśli. Dziesięć lat temu, kiedy jeszcze miał wyjazdy z wykładami na temat modyfikacji zachowań i kontroli umysłu, został bezlitośnie wyśmiany i gwałtownie potępiony przez niektórych przedstawicieli społeczności akademickiej. W salach wykładowych, zatrzymywany prawie siłą po swych przemówieniach, wysłuchiwał niezliczonych obłudnych nudziarzy, wygłaszających kazania o naruszaniu prywatności i świętości ludzkiego umysłu. Cytowali setki wielkich myślicieli, fury złotych myśli - niektóre z nich pamiętał do dziś. Jedna głosiła, że przyszła historia człowieka ograniczy się do śladu buta z cholewami na ludzkiej twarzy. Ech, bzdura. Buty z cholewami i okrutne państwo totalitarne, które symbolizowały, były jedynie środkami do utrzymania mas w ryzach. Teraz - z jego specyfiką i programem Klucz-Zamek - buty z cholewami stały się przestarzałe. Nikomu nie będzie się pchać buta do gęby! Oczywiście, dla wybranych kobiet miał coś innego do wsadzenia do buzi. Pomasował się przez spodnie, roześmiał. Władza, słodka, słodka moc.

- Brenda.

Drżała, oddychała spazmatycznie, lekko ugięła kolana, szczytowała, a jej wskazujący palec pracował niezmordowanie między nogami.

- Brenda.

W końcu podniosła wzrok. Zaczęła się pocić. Włosy ściemniały i zwilgotniały nad czołem.

- Podejdz do sofy - powiedział. - Uklęknij tyłem do mnie i złap się ramionami za oparcie.

Kiedy znalazła się w tej pozycji, z białym tyłkiem wypiętym do niego, obejrzała się przez ramię.

- Szybko! Błagam!

Roześmiał się, odepchnął stolik, który potoczył się po dywanie, po podłodze na stelaż z prasą. Stał za nią, opuścił spodnie i majtki w żółte paski. Był gotowy, żyły mało nie pękały, twardy jak żelazo, większy niż kiedykolwiek, wielki jak armata ogiera, jak koński kutas. I czerwony, tak czerwony, jakby posmarowany krwią. Przebiegł ręką po jej pośladkach, po złotych włosach rozrzuconych na plecach, po boku, pod spodem po kołyszących się piersiach, szczypnął za sutek, pogładził bok, szczypnął w tyłek, wsunął palec między uda, do wzgórka łonowego. Kapało z niej. Była mokra, o wiele bardziej gotowa niż on. Wyczuł to nawet węchem.

- Suka z ciebie bez dwóch zdań - zachichotał. - Normalna mała psia pani. Zwierzątko.

Jesteś zwierzątko, Brenda?

- Tak.

- Powiedz, że jesteś zwierzątko.

- Jestem. Jestem zwierzątko. Władza.

- Czego chcesz, Brenda?

- Chcę, żebyś mnie rznął.

- Chcesz?

- Tak.

- Jak bardzo chcesz?

- Naprawdę bardzo. Słodka, słodka władza.

- Czego chcesz?

- Przecież wiesz!

- Wiem?

- Już mówiłam.

- Powiedz znowu.

- Poniżasz mnie.

- Jeszcze nie zacząłem. Och, Boże!

- Słuchaj, Brenda.

- Co?

- Cipa ci się grzeje. Jęknęła słabo. Zadrżała.

- Czujesz to, Brenda?

- Tak. Grzeje i grzeje.

- Nie potrafię... nie mogę...

- Nie możesz tego wytrzymać? Taka gorąca. Prawie parzy.

Uśmiechnął się.

- Czego teraz chcesz?

- Chcę, żebyś mnie rznął. Widzisz, Miriam? Jestem kimś.

- Kim jesteś, Brenda?

- Jestem zamek.

- Kim jeszcze?

- Suką.

- Nie słyszę wyraźnie.

- Suką.

- Grzejesz się, co?

- Tak, tak. Proszę!

Ustawiony do wejścia w nią, nieprzytomny z podniecenia, opętany, zelektryzowany posiadaną potęgą, nie miał złudzeń, że jego orgazm w głębokich, jedwabistych rejonach tej kobiety jest tylko jednym, choć najbardziej istotnym aspektem gwałtu. Spazmatyczny wylew kilku łyżeczek nasienia to tylko akcent na końcu sekwencji, zwieńczenie jego deklaracji o wolności. W ciągu ostatniej półgodziny sprawdził się, uwolnił od tuzina suk, które namieszały w całym jego życiu. Zwłaszcza od matki, bogini wszystkich suk, tej cesarzowej zniszczenia. Po niej szły dziewczyny, które były zimne, i dziewczyny, które śmiały się z niego, i dziewczyny, które narzekały na jego marną technikę, i dziewczyny, które go odepchnęły z nieukrywaniem obrzydzeniem, i Miriam, i godne pogardy dziwki, z których usług musiał korzystać przez ostatnie lata. Brenda Macklin była tylko kozłem ofiarnym. Przypadkowo znalazła się w jego życiu. Gdyby nie ona, znalazłaby się inna tego popołudnia albo jutro, albo pojutrze. Była laleczką wudu, totemem, za pomocą którego egzorcyzmował niektóre suki z przeszłości. Każdy ciał wsadzonego w nią kutasa to cios we wszystkie Brendy z minionych lat. Każde uderzenie - im brutalniejsze, tym lepsze - to fanfara triumfu. Będzie je grzmocił. Tłukł. Do żywego mięsa. Ranił. Każdym pchnięciem ostrym jak nóż będzie ciął każdą z tamtych znieprawdzonych kobiet. Dosiadając tego szczupłego, jasnowłosego zwierzaka, waląc je bez końca, rozdzierając, udowodni wyższość nad nimi wszystkimi.

Chwycił ją za biodra i pochylił się. Lecz kiedy czubkiem penisa dotknął waginy, zanim jeszcze żołądz wśliznął się w nią, wytrysnął bezwolnie. Nogi mu się ugięły. Krzyknął i osunął się na nią.

Opadła na poduszki sofy.

Ogarnęła go panika. Wspomnienia dawnych niepowodzeń. Kwaśne spojrzenia, jakie posyłały mu po akcie. Pogarda, z jaką go traktowały. Wstyd. Przygniatał Brendę całym ciężarem

ciała.

- Dochodzisz, dziewczyno - mówił rozpaczliwie. - Szczytujesz. Słyszysz? Rozumiesz?

Mówię ci. Dochodzisz. Wydawała dźwięki stłumione przez poduszki.

- Czujesz to?

- Mmmmmmm.

- Czy czujesz? Uniosła głowę.

- Boże, tak!

- W życiu nie miałaś lepiej.

- W życiu. Nigdy. - Łapała powietrze ustami jak ryba.

- Czujesz to?

- Czuję.

- Jest gorący?

- Jaki gorący. Och!

- Teraz opadasz. Jest prawie po wszystkim.

- Tak, dobrze... - szepnęła miękko.

- Zwierzątko. Odprężyła się. Zadźwięczał dzwonek u drzwi.

- Co, do diabła?

Nie zareagowała.

Odepchnął się od niej, zachwiał na nogach, usiłował zrobić krok w opuszczonych spodniach i majtkach, prawie upadł. Złapał za majtki, szarpnął w górę, potem spodnie.

- Powiedziałaś, że nie spodziewasz się nikogo.

- Nie spodziewałam się.

- Kto to jest?

Przewróciła się na plecy. Wyglądała na zaniepokojoną.

- Kto to? - spytał powtórnie.

- Nie wiem.

- Na litość boską, ubierz się. Jak we śnie uniosła się z sofy.

- Szybko, niech cię cholera!

Posłusznie zbierała na czworakach ubranie.

Rozsunął zasłony jednego z frontowych okien na tyle, żeby dojrzeć werandę. Jakaś kobieta stała przy drzwiach, nieświadoma, że jest obserwowana. W sandałkach, białych szortach i pomarańczowym, mocno wyciętym sweterku. Wyglądała nawet korzystniej niż Brenda Macklin.

- Jestem ubrana - powiedziała Brenda. Znowu zadzwieczał dzwonek.

- To jakaś kobieta. - Salsbury puścił zasłony. - Idź otwórz. Ale pozbądź się jej. Rób, co chcesz, ale nie wpuszczaj baby do środka.

- Co mam powiedzieć?

- Jeśli to nieznajoma, nie musisz nic mówić.

- A jeśli ją znam?

- Powiedz, że masz ból głowy. Okropną migrenę. Teraz idź.

Wyszła z pokoju.

Usłyszał, jak otwiera drzwi frontowe. Znowu rozsunął aksamit, zobaczył, że na twarzy kobiety w pomarańczowym sweterku pojawił się uśmiech. Coś powiedziała, Brenda odpowiedziała. Uśmiech ustąpił zafrasowaniu. Dobiegające przez ściany i szyby głosy były przytłumione. Nie mógł dosłyszeć rozmowy. Wydawało się, że trwa wieczność.

Może powinienem pozwolić jej wejść, pomyślał. Użyć hasła. Przerznąć obie.

Ale co by było, gdyby weszła i okazało się, że jej program nie jest całkiem w porządku?

Nie. To niemożliwe.

A jeśli nie jest z miasteczka? Na przykład krewna z Bexford. Co wtedy?

Wtedy musiałbym ją zabić.

Jak pozbyłbym się ciała?

- No już, Brenda, ty suko - szepnął pod nosem. - Spław ją.

W końcu nieznajoma odwróciła się od drzwi. Salsbury na krótko uchwycił zieleń oczu, pełne usta, wspaniały profil, niezwykle głęboki rowek widoczny w dużym dekolcie swetra. Kiedy obróciła się plecami i zeszła po schodach, zobaczył, że jej nogi są nie tylko seksowne, jak u Brendy, ale także wspaniałe, nawet bez rajstop. Długie, jędrne, gładkie, kształtne nogi. Delikatne kobiece mięśnie nabrzmiewały, skręcały się, naciągały, zbiegały, drgały, falowały z każdym krokiem. Zwierzę. Zdrowe zwierzę. Jego zwierzę. Jak wszystkie teraz. Jego. Na końcu posesji Macklinów skręciła w lewo, w obezwładniający upał popołudnia. Sylwetka zniekształcona przez fale gorąca, unoszące się z betonowego krawężnika, niebawem znikła z oczu.

Brenda wróciła do bawialni. Miała zamiar usiąść.

- Stój. Na środku pokoju - powiedział. Zrobiła to. Ręce zwisały jej po bokach.

- Co powiedziałaś tej kobiecie? - spytał, wracając do sofy.

- Że mam migrenę.

- Uwierzyła ci?

- Chyba tak.

- Znasz ją?

- Tak.

- Kto to?

- Szwagierka.

- Mieszka w Black River?

- Prawie całe życie.

- Trudno oderwać od niej oczy.

- Była w finale Miss USA.
 - Och? Kiedy?
 - Dwanaście, trzynaście lat temu.
 - Wygląda na dwadzieścia dwa.
 - Ma trzydzieści pięć.
 - Wygrała?
 - Była trzecia.
 - To wielki zawód dla niej, założę się.
 - Dla Black River. Dla niej to obojętne.
 - Naprawdę? Dlaczego?
 - Nic jej nie rusza.
 - Naprawdę?
 - Taka jest. Zawsze w dobrym humorze.
 - Jak się nazywa?
 - Emma.
 - Nazwisko?
 - Thorp.
 - Thorp? Mężatka?
 - Tak. Zmarszczył brwi.
 - Żona gliniarza?
 - On jest szefem policji. Bob Thorp.
 - Zgadza się.
 - Co ona z nim robi? Zaskoczona zamrugła powiekami. Miluchne zwierzątko.
- Przysięgłby, że nadal czuje jej zapach.

- O co ci chodzi? - zapytała.

- Powiedziałem. Co on z nią robi?

- Więc... są małżeństwem.

- Taka kobieta z wielkim, durnym gliniarzem.

- On nie jest durny.

- Wygląda na durnia. - Zastanawiał się przez moment, a potem się uśmiechnął. - Twoje panięskie nazwisko jest Thorp.

- Tak.

- Bob Thorp jest twoim bratem.

- Najstarszym bratem.

- Biedny Bob. - Odchylił się w tył na sofie, założył ręce na piersi i zaśmiał się. - Najpierw dobrałem się do jego małej siostrzyczki - potem wezmę się do żonki.

Uśmiechnęła się niepewnie. Nerwowo.

- Muszę być ostrożny, nie?

- Ostrożny? - zapytała.

- Bob może być durny, ale jest wielki jak byk.

- On nie jest durny - upierała się.

- W liceum chodziłem z dziewczyną, która miała na imię Sophia.

Milczała. Była dezorientowana.

- Sophia Brookman. Boże, jak jej chciałem.

- Kochałeś ją?

- Miłość to kłamstwo. Mit. Kupa gówna. Zwyczajnie chciałem ją przelecieć. Ale rzuciła mnie po kilku spotkaniach i zaczęła chodzić z tamtym facetem, z Joeyem Duncanem. Wiesz, co Joey Duncan robił po liceum?

- Skąd mogę wiedzieć?
- Poszedł do szkoły pomaturalnej.
- Ja też.
- Uczył się przez rok kryminalistyki.
- Ja dostałam się na uniwersytet i zrobiłam magisterium z historii.
- Wywalili go.
- Aha.
- Skończył karierę na posterunku policji w rodzinnym mieście.
- Jak mój brat.
- Ja studiowałem na Harvardzie.
- Naprawdę?
- Zawsze lepiej się ubierałem niż Joey. Poza tym był tępy jak noga stołowa. Byłem znacznie dowcipniejszy. Joey czytywał tylko kawały w „Reader’s Digest”. Ja czytam co piątek „New Yorkera”.
- Nie przepadam za nim.
- A mimo to Sophia wołała jego. Ale wiesz co?
- Co?
- To właśnie w „New Yorkerze” pierwszy raz zobaczyłem coś na temat percepcji subliminalnej. Wtedy, w pięćdziesiątych latach. Artykuł czy może notkę u dołu kolumny? Dokładnie nie pamiętam, co to było. I od tego artykułu w „New Yorkerze” się zaczęło. Brenda westchnęła. Przeszła z nogi na nogę.
- Zmęczyłaś się staniem?
- Trochę.
- Jesteś znudzona? Spojrzała na podłogę.

- On nie jest durny.
- Piękna dupcia. Jesteś napalona, Brenda.
- Jestem napalona. Jak przedtem.
- Oczywiście, że jesteś. Coraz bardziej i bardziej.
- Mam dreszcze.
- Chcesz mnie bardziej niż przed chwilą.
- Zrób mi to.
- Coraz bardziej i bardziej napalona.
- Jestem... zażenowana.
- Nie. Nie jesteś zażenowana.
- Och, Boże.
- Dobrze ci?
- Jak dobrze.
- W ogóle nie przypominasz Miriam.
- Kto to?
- Ten stary drań powinien mnie teraz zobaczyć.
- Kto? Miriam?
- Byłby oburzony. Cytowałby Biblię.
- Kto?
- Dawson. Jemu to już chyba nie staje.
- Boję się - powiedziała nagle.
- Czego?
- Nie wiem.
- Przestań się bać. Nie boisz się.

- Przyjemnie mi to słyszeć.

- Ile jestem winien?

- Masz dwa dolary?

Wepchnął rękę do kieszeni, wyciągnął bilon i zmięte banknoty.

- Jasne. Tutaj.

- Dostajesz trzy ćwierćdolarówki reszty.

- Myślałem, że są droższe.

- Wiesz przecież, że masz u nas rabat.

- Zapłacę. Nie chcę żadnych przywilejów.

- Jesteś bliskim przyjacielem rodziny - powiedziała, grożąc mu palcem przed nosem. - A wszystkim bliskim przyjaciołom rodziny dajemy rabat. Sam byłby zły, gdybyś tego nie zaakceptował. Chowaj te ćwiartki do kieszeni.

- Więc... dzięki.

- Nie ma za co, Buddy.

- Jest Sam?

Wskazała na drzwi za zasłoną.

- Na górze. Przygotowuje obiad.

- Powinienem mu powiedzieć.

- Co powiedzieć?

- O tym, co zobaczyłem.

- Mnie nie możesz?

- Więc... Lepiej jemu.

- Jak chcesz, możesz iść do niego na górę. Zaproszenie wystraszyło go. Nigdy nie czuł się swobodnie w obcym domu.

- Macie tam na górze koty?

- Koty? Nie. Żadnych zwierząt domowych.

Wiedział, że ona by nie kłamała - ale z drugiej strony, koty pokazywały się w najmniej oczekiwanych miejscach. Dwa tygodnie po śmierci matki zaprosił go do siebie pastor. Wielebny Potter i pani Potter wprowadzili go do salonu, podali domowe ciasteczka, czekoladki. Siadł na otomanie; ręce na kolanach, nogi razem. Pani Potter zrobiła gorącą czekoladę. Pan Potter nalał wszystkim. Pastorostwo rozsiedli się w uszakach naprzeciwko Buddy'ego. Przez jakiś czas było bardzo miło. Jadł piernik imbirowy, małe babeczki z czerwonym i zielonym lukrem, pił czekoladę, dużo się uśmiechał i mało mówił, gdy wtem wielki biały kot o gęstym futrze skoczył mu przez ramię na kolana, drapiąc go boleśnie, a z kolan na podłogę. Nawet nie wiedział, że mają kota. Czy to fair? Nie powiedzieć mu? Kot zakradł się na parapet okienny za jego plecami. Jak długo tam się czaił? Cały czas, kiedy on jadł?! Chłopak, sparaliżowany ze strachu, niezdolny wykrztusić słowa, wylał czekoladę na dywan, a potem się zmoczył. Nasiusiał przez spodnie prosto na brokatowe obicie otomany. Została plama. To było okropne. Okropny dzień. Nigdy się tam już nie zjawił. Przestał też chodzić do kościoła, choć mógł za to pójść do piekła.

- Buddy?

Wybiła go z zamyślenia.

- Co?

- Chcesz iść na górę i zobaczyć się z Samem?

- Nie, nie. - Wziął magazyny. - Kiedyś mu powiem. Kiedy indziej. Nie teraz. - Ruszył do drzwi.

- Buddy? Obejrzał się.

- Czy coś się stało? - zapytała.

- Nie. - Roześmiał się z przymusem. - Nie. Nic. Ludzie są dla mnie mili. - Szybko wyszedł

ze sklepu.

Wróciwszy do swojego dwupokojowego mieszkania, poszedł do łazienki, wysił się, otworzył butelkę coca-coli i siadł z magazynami przy kuchennym stoliku. Przede wszystkim przekartkował oba, poszukując artykułów o kotach, zdjęć kotów i reklam kociego żarcia. W każdym magazynie znalazł dwie takie strony, które sprawiały mu przykrość, i wyrwał je od razu, bez względu na to, co było na odwrocie. Metodycznie podarł kartki na drobne kawałeczki i wyrzucił konfetti do kosza na śmieci. Dopiero wtedy odprężył się i mógł obejrzeć zdjęcia. W połowie magazynu trafił na artykuł o nurkach, którzy, jak mu się wydawało, poszukiwali starego statku ze skarbem. Rozumiał tekst piąte przez dziesiąte, ale w zdjęcia wpatrywał się z wielkim zainteresowaniem. I nagle stanął mu przed oczami obraz widziany tamtej nocy w lesie. Blisko tartaku. Kiedy siusiał. Kwadrans przed piątą rano, w dniu, który tak starannie zaznaczył w kalendarzu. Nurkowie w skafandrach. Schodzą do zbiornika. Niosą latarki. I pistolety. To było coś tak nedorzecznego, że nie mógł o tym zapomnieć. Takie śmieszne... takie straszne. Oni nie pasowali do miejsca, w którym ich zobaczył. Nie szukali skarbów w zbiorniku.

Cóż oni tam robili?

Rozmyślał o tym od dawna, ale nie umiał znaleźć odpowiedzi. Chciał poprosić kogoś o wytłumaczenie, ale wiedział, że zostanie wyśmiany.

Jednak w zeszłym tygodniu uświadomił sobie, że w Black River jest ktoś, kto go wysłucha, uwierzy i nie będzie się śmiał, choćby opowieść była najbardziej nedorieczna. Sam. Sam zawsze miał dla niego czas, nawet przed śmiercią matki. Sam nigdy się z niego nie wyśmiewał - ani nie wygłaszał kazań, ani mu nie dokuczał. A poza tym Buddy uważał, że Sam Edison jest najmądrzejszą osobą w miasteczku. Wie po prostu wszystko. Jedyne Sam potrafi wyjaśnić mu to, co widział w lesie.

Z drugiej jednak strony nie chciał wyjść przed Edisonem na głupka. Zdecydował więc, że

najpierw spróbuje sam znaleźć rozwiązanie zagadki. Dlatego właśnie od zeszłej środy opóźniał pójście do Sama.

W sklepie pogodził się w końcu z tym, że to Sam musi ruszyć za niego głową. Ale Sam siedział na górze, w pokojach, w których mogły czaić się koty.

Kiedy pójdzie do sklepu następnym razem i zastanie Sama, opowie mu tę historię. Ale teraz poczeka jeszcze kilka dni. Siedział przy oknie, zachodzące popołudniowe słońce rzucało na niego cień przez zasłonę, pił coca-colę i dumał.

ROZDZIAŁ 8

Osiem miesięcy wcześniej. Sobota, 18 grudnia 1976

W centrum komputerowym w domu w Greenwich, siedem dni przed Bożym Narodzeniem, rzędy ekranów, lampki kontrolne, pojedyncze monitory i przyrządy pomiarowe, mimo że przeważnie czerwone i zielone, nie przypominały Salsbury'emu o świątach.

Klinger, wchodząc do pomieszczenia, w którym nie był od miesięcy, rozejrzał się i powiedział:

- Bardzo świątecznie.

Istotnie, w pewien sposób było świątecznie.

Salsbury'ego ogarnęło uczucie niepokoju, ponieważ nie zauważył tego, na co generałowi starczyło zaledwie kilka marnych sekund. Od jakichś dwóch lat powtarzał sobie w dzień i w nocy, że musi być szybszy, wnikliwszy, sprytniejszy i bardziej dalekowzroczny od swoich partnerów, jeśli ma ich powstrzymać przed wpakowaniem mu w końcu kuli w łeb i zakopaniem na południowym krańcu posiadłości, obok Briana Kingmana. Był pewien, że taki właśnie jego koniec planują po cichu Dawson i Klinger. I sobie nawzajem. Albo to, albo zniewolenie przez program Klucz-Zamek. Dlatego też ogromnie go poruszyło, że Klinger - włochaty płaskogęby goryl - jest zdolny wyprzedzić go w postrzeganiu wrażeń estetycznych.

Jedyna rada to jak najszybciej zbić generała z pantałyku.

- Nie wolno tu palić. Zgaś to zaraz.

- Och, jasne... - zaczął generał, przesuwając cygaro w kąt grubych ust.

- To delikatne urządzenia - zimno powiedział Salsbury, wskazując na „bożonarodzeniowe” światełka.

Klinger wyjął z ust cienkie cygaro i wyglądało na to, że chce je rzucić na podłogę.

- Kosz - warknął Salsbury.

Kiedy Klinger pozbył się niedopałka cygara, powiedział:

- Przepraszam.

- Nie ma sprawy - odpowiedział Salsbury. - Nie umiesz się zachowywać w takich pomieszczeniach, nie jesteś obyty z komputerami i podobnymi urządzeniami. Nie można tego od ciebie wymagać.

I pomyślał: Jeden zero dla mnie.

- Gdzie Leonard? - zapytał Klinger.

- Nie będzie go.

- Przy tak ważnym teście?

- Wolałby, żeby nie przeprowadzać tego testu.

- Poncjusz Piłat.

- Co?

- Siedzi na górze i umywa ręce - rzekł generał, spoglądając na sufit, jakby był przezroczysty.

Salsbury nie zamierzał z nikim analizować postępowania Dawsona ani go krytykować.

Przedsięwziął wszystkie możliwe środki ostrożności, mające uniemożliwić Dawsonowi zainstalowanie tu pluskwy. Ale nie mając absolutnej pewności, że nie jest śledzony, uważał, iż

bezpieczniej jest przyjąć punkt widzenia paranoika, który nigdy i nigdzie nie czuje się bezpiecznie, i trzymać język za zębami.

- Cóż takiego masz mi do pokazania? - zapytał Klinger.

- Sądzę, że na początek chciałbyś zobaczyć parę wydruków z programem Klucz-Zamek.

- Jestem ciekaw - przyznał generał. Salsbury podniósł arkusz papieru złożony jak harmonia w wiele osiemnastocalowych odcinków.

- Cała trójka naszych nowych pracowników...

- Najemników?

- Tak. Cała trójka dostała specyfik, a potem pokazano im w ciągu kolejnych trzech wieczorów filmy: „Egzorcystę”, „Szczęki”, „Czarną niedzielę”. Nie były to, oczywiście, zwykłe kopie tych obrazów, lecz spreparowane właśnie tu, w posiadłości. Sam, osobiście, odwałam robotę. Zrobiłem kopie do różnych faz programu subliminalnego.

- Dlaczego właśnie te tytuły?

- Mogłem wykorzystać dowolne - powiedział Salsbury. Po prostu wybrałem je na chybił trafił z filmoteki Leonarda. Film to jedynie opakowanie, nie zawartość; pretekst, aby obiekty wpatrywały się w ekran przez kilka godzin, podczas których program subliminalny jest wyświetlany poniżej progu widzialności. - Podał wydruk Klingerowi. - To jest, sekunda po sekundzie, scenopis obrazów rezystorowego filmu, zaczynającego się równocześnie z filmem fabularnym. Kiedy komputer drukuje: „Napis”, oznacza to, że na rezystorowym filmie subliminale obrazowe zostały przerwane drukowanymi napisami: bezpośrednim rozkazem do widza.

HASŁO-KLUCZ-ZAMEK

PROGRAM POPRAWIONY/FAZA PIERWSZA

ZAWARTOŚĆ PAMIĘCI

PROGRAM WPROWADZONY: 6/8/76

WYDRUK

SEKUNDY ZAWARTOŚĆ SUBLIMINALNA

0001 BRAK ZAWARTOŚCI

0002 BRAK ZAWARTOŚCI

0003 OBRAZ-KOBIECE PIERSI

0004 OBRAZ-KOBIECE PIERSI

0005 OBRAZ-KOBIECE PIERSI

0006 OBRAZ-KOBIECE PIERSI

0007 OBRAZ-KOBIECE PIERSI

0008 NAPIS-OGLĄDAJ

0009 NAPIS-OGLĄDAJ

0010 NAPIS-OGLĄDAJ

0011 NAPIS-OGLĄDAJ

0012 NAPIS-OGLĄDAJ TEN FILM

0013 NAPIS-OGLĄDAJ TEN FILM

0014 NAPIS-OGLĄDAJ TEN FILM

0015 OBRAZ-OBWISŁY PENIS

0016 OBRAZ-OBWISŁY PENIS

0017 OBRAZ-OBWISŁY PENIS

0018 OBRAZ-PENIS W DŁONI KOBIETY

0019 OBRAZ-KOBIETA TRZE PENIS

0020 OBRAZ-KOBIETA TRZE PENIS

0021 OBRAZ-KOBIETA TRZE PENIS

0022 OBRAZ-KOBIETA TRZE PENIS

0023 NAPIS-OGLĄDAJ TEN FILM

- Pierwsze sześćdziesiąt sekund ma tylko zachęcić obiekt do oglądania dalszego ciągu

filmu - mówił Salsbury. - Począwszy od drugiej minuty, obiekt jest bardzo ostrożnie, stopniowo

„gruntowany” na fazę drugą i końcową, czyli absolutne posłuszeństwo, zgodne z trybem zachowań

Klucz-Zamek.

- Ostrożnie i powoli ze względu na to, co spotkało Briana Kingmana? - zapytał generał.

- Ze względu na to, co spotkało Briana Kingmana - powtórzył Salsbury.

0061 OBRAZ-KOBIETA GŁADZI JĄDRA

0062 OBRAZ-KOBIETA GŁADZI JĄDRA

0063 OBRAZ-KOBIETA TRZE PENIS

0064 OBRAZ-KOBIETA TRZE PENIS

0065 OBRAZ-KOBIETA TRZE PENIS

0066 NAPIS-POSŁUSZEŃSTWO WOBEC KLUCZA = ZASPOKOJENIE

0067 NAPIS-POSŁUSZEŃSTWO WOBEC KLUCZA = ZASPOKOJENIE

0068 NAPIS-POSŁUSZEŃSTWO WOBEC KLUCZA = ZASPOKOJENIE

0069 OBRAZ-PENIS W STANIE EREKCJI

0070 OBRAZ-PENIS W STANIE EREKCJI

0071 OBRAZ-PENIS W STANIE EREKCJI

0072 NAPIS-POSŁUSZEŃSTWO WOBEC KLUCZA = ZASPOKOJENIE

0073 NAPIS-POSŁUSZEŃSTWO WOBEC KLUCZA = ZASPOKOJENIE

0074 OBRAZ-KOBIETA UŚMIECHNIĘTA WIDOK EREKCJI

0075 OBRAZ-KOBIETA UŚMIECHNIĘTA WIDOK EREKCJI

0076 OBRAZ-KOBIETA UŚMIECHNIĘTA WIDOK EREKCJI

0077 NAPIS-POSŁUSZENSTWO WOBEC KLUCZA = ZASPOKOJENIE

0078 NAPIS-POSŁUSZENSTWO WOBEC KLUCZA = ZASPOKOJENIE

0079 OBRAZ-STOSUNEK PŁCIOWY, KOBIETA KLĘCZY, PENETRACJA OD TYŁU

0080 OBRAZ-STOSUNEK PŁCIOWY, KOBIETA KLĘCZY, PENETRACJA OD TYŁU

0081 OBRAZ-STOSUNEK PŁCIOWY, KOBIETA KLĘCZY, PENETRACJA OD TYŁU

0082 NAPIS-POSŁUSZENSTWO WOBEC KLUCZA = ZASPOKOJENIE

0083 NAPIS-POSŁUSZENSTWO WOBEC KLUCZA = ZASPOKOJENIE

0084 OBRAZ-STOSUNEK PŁCIOWY, MĘŻCZYŻNA GRA AKTYWNA ROLE

0085 OBRAZ-STOSUNEK PŁCIOWY, MĘŻCZYŻNA GRA AKTYWNA ROLE

0086 OBRAZ-STOSUNEK PŁCIOWY, MĘŻCZYŻNA GRA AKTYWNA ROLE

0087 NAPIS-POSŁUSZENSTWO WOBEC KLUCZA = ZASPOKOJENIE

0088 NAPIS-POSŁUSZENSTWO WOBEC KLUCZA = ZASPOKOJENIE

0089 OBRAZ-KOBIECA TWARZ WYRAŻAJĄCA EKSTAZĘ

0090 OBRAZ-KOBIECA TWARZ WYRAŻAJĄCA EKSTAZĘ

0091 OBRAZ-KOBIECA TWARZ WYRAŻAJĄCA EKSTAZĘ

0092 NAPIS-POSŁUSZENSTWO WOBEC KLUCZA = ZASPOKOJENIE

0093 NAPIS-POSŁUSZENSTWO WOBEC KLUCZA = ZASPOKOJENIE

0094 OBRAZ-WYTRYSK NA WŁOSY ŁONOWE KOBIETY

0095 NAPIS-POSŁUSZENSTWO WOBEC KLUCZA = ZASPOKOJENIE

0096 OBRAZ-WYTRYSK NA WŁOSY ŁONOWE KOBIETY

0097 NAPIS-POSŁUSZENSTWO WOBEC KLUCZA = ZASPOKOJENIE

0098 OBRAZ-KOBIECA TWARZ WYRAŻAJĄCA EKSTAZĘ

0099 NAPIS-POSŁUSZENSTWO WOBEC KLUCZA = ZASPOKOJENIE

0100 OBRAZ-WYTRYSK NA WŁOSY ŁONOWE KOBIETY

- Penis nie ma wzwodu, dopóki widzowi nie powie się, że posłuszeństwo wobec klucza oznacza zaspokojenie. I zauważ, że przedstawiony jest orgazm zarówno kobiety, jak i mężczyzny. Ten program będzie skuteczny wobec obu płci.

- Czy to wszystko zostało wzięte z jakiegoś filmu porno?

- Zostało nakręcone specjalnie dla mnie przez profesjonalnego producenta filmów pornograficznych w Nowym Jorku - powiedział Salsbury, poprawiając okulary na nosie i ocierając spocone czoło. - Kazano mu zaangażować tylko najbardziej atrakcyjny personel. Kręcił przy zwykłej intensywności światła, ale ja wywołałem go specjalną metodą poniżej progu widzialności i wmontowałem w film fabularny razem z napisami. - Rozwinął część wydruku. - Ta sekwencja trwa kolejne czterdzieści sekund, potem jest dwusekundowa pauza. Następna sekwencja jest prezentowana podobnie.

0143 OBRAZ-KOBIETA DRAŻNI ŁECHTACZKĘ

0144 OBRAZ-KOBIETA DRAŻNI ŁECHTACZKĘ

0145 OBRAZ-MĘŻCZYŻNA TRZE OBWISŁY PENIS

0146 OBRAZ-MĘŻCZYŻNA TRZE OBWISŁY PENIS

0147 OBRAZ-MĘŻCZYŻNA TRZE OBWISŁY PENIS

0148 NAPIS-POSŁUSZEŃSTWO WOBEC KLUCZA = PEWNY SUKCES

0149 NAPIS-POSŁUSZEŃSTWO WOBEC KLUCZA = PEWNY SUKCES

0150 NAPIS-POSŁUSZEŃSTWO WOBEC KLUCZA = PEWNY SUKCES

0151 OBRAZ-KOBIETA UŚMIECHNIĘTA NA WIDOK EREKCJI

0152 OBRAZ-KOBIETA UŚMIECHNIĘTA NA WIDOK EREKCJI

0153 OBRAZ-KOBIETA UŚMIECHNIĘTA NA WIDOK EREKCJI

0154 NAPIS-POSŁUSZEŃSTWO WOBEC KLUCZA = PEWNY SUKCES

0155 NAPIS-POSŁUSZEŃSTWO WOBEC KLUCZA = PEWNY SUKCES

0156 OBRAZ-STOSUNEK PŁCIOWY, KOBIETA GRA AKTYWNA ROLE
0157 OBRAZ-STOSUNEK PŁCIOWY, KOBIETA GRA AKTYWNA ROLE
0158 OBRAZ-STOSUNEK PŁCIOWY, KOBIETA GRA AKTYWNA ROLE
0159 NAPIS-POSŁUSZEŃSTWO WOBEC KLUCZA = PEWNY SUKCES
0160 NAPIS-POSŁUSZEŃSTWO WOBEC KLUCZA = PEWNY SUKCES
0161 OBRAZ-STOSUNEK PŁCIOWY, KOBIETA KLĘCZY, PENETRACJA OD TYŁU
0162 OBRAZ-STOSUNEK PŁCIOWY, KOBIETA KLĘCZY, PENETRACJA OD TYŁU
0163 OBRAZ-STOSUNEK PŁCIOWY, KOBIETA KLĘCZY, PENETRACJA OD TYŁU
0164 NAPIS-POSŁUSZEŃSTWO WOBEC KLUCZA = PEWNY SUKCES
0165 NAPIS-POSŁUSZEŃSTWO WOBEC KLUCZA = PEWNY SUKCES
0166 OBRAZ-KOBIECA TWARZ WYRAŻAJĄCA EKSTAZĘ
0167 OBRAZ-KOBIECA TWARZ WYRAŻAJĄCA EKSTAZĘ
0168 OBRAZ-KOBIECA TWARZ WYRAŻAJĄCA EKSTAZĘ
0169 NAPIS-POSŁUSZEŃSTWO WOBEC KLUCZA = PEWNY SUKCES
0170 NAPIS-POSŁUSZEŃSTWO WOBEC KLUCZA = PEWNY SUKCES
0171 OBRAZ-WYTRYSK NA POŚLADKI KOBIETY
0172 NAPIS-POSŁUSZEŃSTWO WOBEC KLUCZA = PEWNY SUKCES
0173 OBRAZ-WYTRYSK NA POŚLADKI KOBIETY
0174 NAPIS-POSŁUSZEŃSTWO WOBEC KLUCZA = PEWNY SUKCES
0175 OBRAZ-KOBIECA TWARZ WYRAŻAJĄCA EKSTAZĘ

- Łapię strukturę sekwencji - powiedział Klinger. - Ile tych napisów tam było?

Stali przy konsolce komputerowej. Salsbury pochylił się i zaczął stukać w klawiaturę.

Na jednym z monitorów umieszczonych na ścianie rozpoczął się wierszowy wydruk:

KLUCZ-ZAMEK FAZA PIERWSZA NAPISY LITERAMI DRUKOWANYMI W

KOLEJNOŚCI POJAWIANIA SIĘ, JAK NASTĘPUJE:

01 POSŁUSZEŃSTWO WOBEC KLUCZA = ZASPOKOJENIE

02 POSŁUSZEŃSTWO WOBEC KLUCZA = PEWNY SUKCES

03 POSŁUSZEŃSTWO WOBEC KLUCZA = POZBYCIE SIĘ STRACHU

04 POSŁUSZEŃSTWO WOBEC KLUCZA = POZBYCIE SIĘ POCZUCIA WINY

05 POSŁUSZEŃSTWO WOBEC KLUCZA = POZBYCIE SIĘ ZMARTWIENÍ

06 POSŁUSZEŃSTWO WOBEC KLUCZA = POZBYCIE SIĘ MORALNOŚCI

07 POSŁUSZEŃSTWO WOBEC KLUCZA = POZBYCIE SIĘ ODPOWIEDZIALNOŚCI

08 POSŁUSZEŃSTWO WOBEC KLUCZA = POZBYCIE SIĘ ROZPACZY

09 POSŁUSZEŃSTWO WOBEC KLUCZA = POZBYCIE SIĘ NAPIĘCIA

10 POSŁUSZEŃSTWO WOBEC KLUCZA = ZASPOKOJENIE

11 POSŁUSZEŃSTWO WOBEC KLUCZA = SZCZĘŚCIE

12 POSŁUSZEŃSTWO WOBEC KLUCZA = TWOJE NAJWIĘKSZE PRAGNIENIE

Salsbury stuknął w klawisz. Ekran opustoszał.

- W ciągu całego filmu te serie powtórzyły się trzykrotnie.

- Następnej nocy to samo? - zapytał Klinger.

- Nie. - Salsbury podniósł następny wydruk z krzesła przy konsolce, odłożył analizę fazy

pierwszej. - Pierwsza minuta ma zachęcić obiekt, tak jak w pierwszym filmie. Różnica pomiędzy

fazą pierwszą a drugą zaczyna się od drugiej minuty.

0061 OBRAZ-KOBIETA ŁKA

0062 OBRAZ-KOBIETA ŁKA

0063 OBRAZ-KOBIETA ŁKA

0064 OBRAZ-MĘŻCZYZNA ŁKA

0065 OBRAZ-MĘŻCZYZNA ŁKA

0066 NAPIS-ODMOWA WYPEŁNIENIA ROZKAZU = BÓL

0067 NAPIS-ODMOWA WYPEŁNIENIA ROZKAZU = BÓL

0068 OBRAZ-KOBIETA, POKRYTA KRWIĄ, KRZYCZY

0069 OBRAZ-KOBIETA, POKRYTA KRWIĄ, KRZYCZY

0070 NAPIS-ODMOWA WYPEŁNIENIA ROZKAZU = BÓL

0071 NAPIS-ODMOWA WYPEŁNIENIA ROZKAZU = BÓL

0072 OBRAZ-MĘŻCZYZNA, POKRYTY KRWIĄ, KRZYCZY

0073 OBRAZ-MĘŻCZYZNA, POKRYTY KRWIĄ, KRZYCZY

0074 NAPIS-ODMOWA WYPEŁNIENIA ROZKAZU = BÓL

0075 NAPIS-ODMOWA WYPEŁNIENIA ROZKAZU = BÓL

0076 OBRAZ-KOBIETA, POKRYTA KRWIĄ, KRZYCZY

0077 OBRAZ-MĘŻCZYZNA, POKRYTY KRWIĄ, KRZYCZY

0078 NAPIS-ODMOWA WYPEŁNIENIA ROZKAZU = BÓL

0079 NAPIS-BÓL, BÓL, BÓL, BÓL

0080 BRAK ZAWARTOŚCI

0081 BRAK ZAWARTOŚCI

0082 OBRAZ-KOBIETA UŚMIECHNIĘTA NA WIDOK EREKCJI

- Faza druga programu wymiennie wzmacnia elementy negatywne i pozytywne -

powiedział Salsbury. - Przez następne dwadzieścia pięć sekund wzmacniane są sekwencje erotyczne, bardzo zbliżone do tych widzianych w pierwszym wydruku. Przeskoczmy trochę do przodu.

0110 OBRAZ-PYSK WILKA, WYSZCZERZONY

0111 OBRAZ-PYSK WILKA, WYSZCZERZONY

0112 OBRAZ-SKORPION KĄSA MYSZ

0113 OBRAZ-SKORPION KAŚA MYSZ

0114 OBRAZ-TRUMNA

0115 OBRAZ-TRUMNA

0116 OBRAZ-TRUMNA

0117 NAPIS-ODMOWA WYPEŁNIENIA ROZKAZU = ŚMIERĆ

0118 NAPIS-ODMOWA WYPEŁNIENIA ROZKAZU = ŚMIERĆ

0119 OBRAZ-LUDZKA CZASZKA

0120 OBRAZ-LUDZKA CZASZKA

0121 OBRAZ-GNIJĄCY TRUP

0122 NAPIS-ODMOWA WYPEŁNIENIA ROZKAZU = ŚMIERĆ

0123 OBRAZ-GNIJĄCY TRUP

0124 NAPIS-ODMOWA WYPEŁNIENIA ROZKAZU = ŚMIERĆ

- Mówisz, że śmierć jest tak samo skuteczna w reklamie subliminalnej, jak seks? - zapytał Klinger, podnosząc wzrok znad wydruku.

- Prawie tak samo, tak. W reklamie subliminale mogą budować równania motywacyjne zarówno dzięki śmierci, jak i seksowi. Zgodnie z tym, co napisał kilka lat temu Wilson Bryan Key o istocie manipulacji podświadomością, niewykluczone jest, że pierwszy raz wykorzystano obrazowe motywy śmierci w reklamie Calvert Whiskey, która pojawiła się w kilku magazynach w 1971. Od tej pory setki symboli śmierci stały się standardowymi narzędziami wielkich agencji reklamowych.

- A co z fazą trzecią? - zapytał generał, odkładając wydruk. - Co było ukryte w filmie, który pokazałeś im trzeciego wieczoru?

Salsbury zaprezentował trzecią papierową wstęgę.

- Na początku faza trzecia po prostu podkreśla oraz wzmacnia przesłania i oddziaływania

pierwszych dwóch filmów. Jest w pewnych miejscach rozbita na dziesiętne sekundy, ponieważ obiekty zostały „zagruntowane” już na szybsze wprowadzenie danych, na szybkie komendy. Jak w przypadku dwóch pierwszych faz, trzecia zaczyna się w rzeczywistości dopiero od drugiej minuty.

0060 00 OBRAZ-KOBIECA TWARZ, WYRAŻAJĄCA EKSTAZĘ

0061 00 NAPIS-POSŁUSZEŃSTWO WOBEC KLUCZA = ZASPOKOJENIE

0061 05 OBRAZ-PENIS PODCZAS WYTRYSKU

0062 00 OBRAZ-KOBIECA TWARZ, WYRAŻAJĄCA EKSTAZĘ

0062 05 NAPIS-POSŁUSZEŃSTWO WOBEC KLUCZA = ZASPOKOJENIE

0063 00 OBRAZ-ŁKAJĄCA KOBIETA

0063 03 OBRAZ-ŁKAJĄCY MĘŻCZYŻNA

0063 06 OBRAZ-PYSK WILKA, WYSZCZERZONY

0063 09 OBRAZ-SKORPION KĄSA MYSZ

0062 02 OBRAZ-TRUMNA

0064 05 NAPIS-ODMOWA WYPEŁNIENIA ROZKAZU = ŚMIERĆ

0065 00 OBRAZ-KOBIETA CAŁUJE PENIS

0065 05 OBRAZ-PENIS ŚLIZGA SIĘ MIĘDZY PIERSIAMI KOBIETY

0065 08 OBRAZ-PENIS WSUWA SIĘ W WAGINĘ

0066 00 NAPIS-POSŁUSZEŃSTWO WOBEC KLUCZA = PEWNY SUKCES

0066 05 OBRAZ-ROZSZARPANE LUDZKIE RAMIĘ

0066 08 OBRAZ-GNIJĄCY TRUP

Im dalej, tym bardziej wzrastało zarówno tempo, jak i emocjonalne oddziaływanie obrazów:

0800 00 OBRAZ-LUDZKA GŁOWA Z RANĄ POSTRZAŁOWĄ

0800 02 OBRAZ-NIEŻYWE WIETNAMSKIE NIEMOWLĘ

0800 04 OBRAZ-ROBAKI NA KAWAŁKU WOŁOWINY

0800 06 OBRAZ-PYSK SZCZURA, WYSZCZERZONY

0800 07 OBRAZ-PYSK WILKA, WYSZCZERZONY

0800 08 OBRAZ-TRUMNA

0800 09 OBRAZ-ROBAKI NA KAWAŁKU WOŁOWINY

0801 00 NAPIS-ODMOWA WYPEŁNIENIA ROZKAZU = ŚMIERĆ

0801 02 OBRAZ-PENIS W STANIE EREKCJI

0801 04 OBRAZ-KOBIECA TWARZ, WYRAŻAJĄCA EKSTAZĘ

0801 06 OBRAZ-JĘZYK NA ŁECHTACZCE

0801 08 OBRAZ-KOBIETA CAŁUJE PENIS

0801 09 OBRAZ-PENIS W WAGINIE

0802 00 OBRAZ-WYTRYSK NA WŁOSY ŁONOWE KOBIETY

0802 01 NAPIS-POSŁUSZEŃSTWO WOBEC KLUCZA = TWOJE NAJWIĘKSZE
PRAGNIENIE

Dużo dalej, szybciej i szybciej:

2400 00 OBRAZ-TWARZ MARTWEGO NIEMOWLĘCIA, ZBLIŻENIE

2400 01 OBRAZ-ROBAKI NA KOŃSKIM ŁAJNIE

2400 02 NAPIS-ODMOWA WYPEŁNIENIA ROZKAZU = ŚMIERĆ

2400 03 OBRAZ-MĘŻCZYŻNA DRAŻNI PALCEM ŁECHTACZKĘ

2400 04 OBRAZ-KOBIETA LIŻE PENIS

2400 05 NAPIS-PODDASZ SIĘ KLUCZOWI = SZCZĘŚCIE

2400 06 OBRAZ-DYMIĄCE KROWIE WNETRZNOŚCI

2400 07 NAPIS-ODMOWA = BÓL

2400 08 NAPIS-ODMOWA = ŚMIERĆ

2400 09 OBRAZ-WYTRYSK W KOBIECE USTA

2401 00 OBRAZ-KOBIECA TWARZ, WYRAŻAJĄCA EKSTAZĘ

2401 01 NAPIS-POSŁUSZEŃSTWO = SZCZĘŚCIE

2401 02 NAPIS-POSŁUSZEŃSTWO = BŁOGOŚĆ

W końcu krócej pokazywane są obrazy motywujące, a dłużej bezpośrednie rozkazy:

3600 00 OBRAZ-ROBAKI NA KAWAŁKU WOŁOWINY

3600 01 NAPIS-ODMOWA = ŚMIERĆ

3600 02 OBRAZ-ZDECHŁY KOT

3600 03 NAPIS-SŁUCHAJ KLUCZA

3600 04 NAPIS-SŁUCHAJ, SŁUCHAJ, SŁUCHAJ

3600 05 OBRAZ-KOBIETA LIŻE PENIS

3600 07 NAPIS-POSŁUSZEŃSTWO = ŻYCIE

3600 08 OBRAZ-WYTRYSK NA KOBIECE UDA

3600 09 NAPIS-SŁUCHAJ KLUCZA

3600 10 NAPIS-ŻYCIE, ŻYCIE, ŻYCIE

- Takie tempo jest utrzymane do samego końca filmu - powiedział Salsbury. - Podczas ostatnich piętnastu minut oprócz wszystkich nadal podawanych danych wejściowych również wprowadzane jest i wszczepiane na stałe w głęboką podświadomość widzów hasło Klucz-Zamek.

- I to załatwia całą sprawę?

- Tak. Dzięki specyfikowi, który gruntuje ich pod subliminale. Tak, to załatwia całą sprawę.

- I nie mają pojęcia, że coś z tego widzieli.

- Gdyby wiedzieli, program nie miałby na nich wpływu. Musi przemawiać jedynie do podświadomości, żeby ominąć naturalne sита krytycznej świadomości.

Klinger odsunął krzesło od konsoly i usiadł na nim. Lewą rękę, zwiniętą w pięść, złożył na kolanie. Była tak gęsto porośnięta włosami, iż przypominała Salsbury'emu szczura kanałowego. Generał gładził ją drugą ręką. Myślał o obejrzanych przed chwilą wydrukach.

- Nasi trzej najemnicy... - odezwał się w końcu. - Kiedy skończyli fazę trzecią?

- Trzydzieści dni temu. Poddałem ich obserwacji i przez ostatnie kilka tygodni badałem posłuszeństwo.

- Czy któryś z nich reagował choćby trochę podobnie jak Kingman?

- Wszyscy mieli koszmary senne - powiedział Salsbury. - Prawdopodobnie po tym, co widzieli na filmie rezystorowym. Żaden z nich nie mógł sobie nic przypomnieć. Poza tym wszyscy mieli silne nocne dreszcze i lekkie nudności. Ale żyją...

- Pojawiły się jakieś inne problemy?

- Żadne.

- Żadnych słabych punktów w programie? Nie było przypadku, żeby odmówili ci posłuszeństwa?

- Jak do tej pory, absolutnie nic. Za kilka minut, kiedy już poddamy ich ostatecznej próbie, będziemy wiedzieli, czy mamy nad nimi absolutną kontrolę. Jeśli nie, zaczynamy od początku.

Jeśli tak - szampan.

Klinger westchnął.

- Zdaje się, że przed tym nie uciekniemy. Mam nadzieję, że ten ostatni test jest absolutnie konieczny.

- Absolutnie.

- Nie podoba mi się.

- Nie byłeś oficerem w Wietnamie?

- A co tamto ma wspólnego z tym?

- Posyłałeś już ludzi na śmierć.

- Ale zawsze zgodnie z nakazami honoru - z grymasem odpowiedział Klinger. - Zawsze w sposób uczciwy. Natomiast jasne jak słońce jest, że to, co tu nastąpi, jest pozbawione cienia honoru.

Honor, pomyślał cierpko Salsbury. Jesteś takim samym wielkim kretyńcem jak Dawson. Nie ma żadnego nieba i nie ma czegoś, co się zwie honorem. Ważne jest tylko, żeby dostać to, co się chce dostać. Wiesz o tym równie dobrze, jak ja. Wie nawet Leonard, kiedy pokornieje nad paterą z owocami, modląc się przed śniadaniem w Białym Domu z Billym Grahamem i prezydentem. Ale tylko ja jestem gotów się do tego przyznać.

- Dobra - rzekł Klinger, wstając. - Skończmy z tym. Gdzie oni są?

- W pokoju obok. Czekaają.

- Wiedzą, co mają zrobić?

- Nie. - Salsbury podszedł do biurka, nacisnął guzik interkomu i przemówił do metalowego sitka. - Rossner, Holbrook i Picard. Wejdźcie. Czekaemy na was.

Kilka sekund potem do pokoju weszło trzech mężczyzn.

- Stańcie na środku - powiedział Salsbury. Zrobili, jak rozkazał.

- Otworzyłeś ich hasłem? - zapytał Klinger.

- Przed twoim przyjściem.

Pierwszy z nich mógł mieć pod czterdziestkę, a wyglądał jak niebezpieczny uliczny bandyta. Szczupły, ale żyłasty. Piec stóp i dziesięć cali. Ciemna karnacja. Ciemnobrązowe proste włosy szcęsane do tyłu i siwiejące na skroniach. Stał na rozstawionych nogach, cały ciężar ciała oparł na piętach, żeby w każdej chwili być gotowym do skoku. Dziobata twarz, oczy osadzone zbyt blisko siebie, usta wąskie, sinoróżowe, wystający podbródek.

- To jest Rossner - zwrócił się Salsbury do Klingera. - Glenn Rossner. Amerykanin. Przez

szesnaście lat był wolnym strzelcem.

- Cześć - powiedział Rossner.

- Żadnemu z was nie wolno się odezwać, dopóki nie zwrócimy się do was - rozkazał

Salsbury. - Zrozumiano? Trzy głosy odpowiedziały:

- Tak.

Drugi mężczyzna liczył mniej więcej tyle samo lat, co pierwszy; poza tym trudno byłoby sobie wyobrazić kogoś mniej podobnego do Rossnera. Sześć stóp i dwa cale. Krzepki. Jasna cera.

Jasne, o odcieniu marchewkowym włosy, gładko przylizane. Szeroka twarz. Mocno zarysowane szczęki. Surowy wyraz, nieustępujący z jego twarzy przez wiele lat, sprawiał wrażenie maski.

Kojarzył się z typem ojca, który arbitralnie ustala zasady, stosuje kary cielesne wobec dziecka przynajmniej dwa razy w tygodniu, ma ostry język, ciężką rękę i zmienia synów w ulicznych bandytów, takich jak Glenn Rossner.

- To Peter Holbrook - przedstawił go Salsbury. - Brytyjczyk. Był najemnikiem dwadzieścia lat, od dwudziestego drugiego roku życia.

Ostatni mężczyzna nie miał więcej niż trzydzieści lat i jako jedyny z trójki zasługiwał na określenie: „przystojny”. Sześć stóp wzrostu. Szczupły i muskularny. Gęste, kasztanowe włosy.

Szerokie czoło. Przedziwne, zielonoszare oczy o długich rzęsach, których mogłaby mu pozazdrościć każda kobieta. Bardzo regularne rysy i niezwykle mocno zarysowana szczęka oraz podbródek. W pewien sposób przypominał młodego Rexa Harrisona.

- Michel Picard - powiedział Salsbury. - Francuz. Mówi płynnie po angielsku.

Najemnikiem był cztery lata.

- Który to będzie? - zapytał Klinger.

- Myślę, że Picard.

- No to zaczynajmy.

- Glenn, na moim biurku leży złożony płócienny pokrowiec - rzekł Salsbury, zwracając się do Rossnera. - Przynieś go tu.

Rossner podszedł do biurka, wrócił z płótnem.

- Peter, pomożesz mu to rozłożyć na podłodze. Minutę później dziewięć stóp grubego bawełnianego pokrowca pokryło środek pokoju.

- Michel, stań tu na środku. Francuz usłuchał.

- Michel, kto ja jestem?

- Ty jesteś klucz.

- A ty kto jesteś?

- Ja jestem zamek.

- Będziesz robił, co ci każę.

- Tak. Oczywiście - powiedział Picard.

- Rozluźnij się, Michel. Jesteś bardzo rozluźniony.

- Tak. Czuję się świetnie.

- Jesteś bardzo szczęśliwy. Picard uśmiechnął się.

- Pozostaniesz bardzo szczęśliwy bez względu na to, co cię spotka w ciągu kilku następnych sekund. Zrozumiano?

- Tak.

Salsbury wyjął z kieszeni białego laboratoryjnego kitla długą na trzy stopy, nylonową linkę.

- Weź to, Peter. Zarzucić Michelowi na szyję, jakbyś zamierzał go udusić, ale na razie nic dalej nie rób.

Holbrook stanął za Francuzem i zarzucił mu linkę na szyję.

- Michel, jesteś rozluźniony?

- O tak. Zupełnie.

- Teraz trzymaj ręce luźno. Będziesz je tak trzymał, dopóki nie każę ci nimi poruszyć.

- W porządku. - Picard nadal się uśmiechał.

- Będziesz uśmiechał się tak długo, jak będziesz mógł. Tak.

- A nawet kiedy już nie będziesz mógł się uśmiechać, wiedz, że to dla twojego dobra.

Picard uśmiechał się.

- Glenn, ty będziesz się przyglądał. Nie bierzesz udziału w małym przedstawieniu, które ta dwójka zaraz odegra.

- Nie będę brał udziału - powtórzył Rossner.

- Peter, wykonuj to, co ci każę. Wielki mężczyzna skinął głową.

- Bez wahania.

- Bez wahania

- Uduś Michela.

Uśmiech Francuza zgasł, lecz tylko na ułamek sekundy.

Holbrook szarpnął obydwie końce linki.

Picard rozwarł gwałtownie usta, jakby chciał krzyknąć, ale zabrakło mu głosu. Zaczął się dusić.

Mimo że Holbrook miał koszulę z długimi rękawami, Salsbury widział, jak mu nabrzmiewają mięśnie na grubych ramionach.

Każdy rozpaczliwy oddech Picarda rozlegał się wysokim, klekoczącym charkotem. Oczy wylazły mu z orbit. Twarz zsiniała.

- Ciągnij mocniej - powiedział Salsbury.

Anglik wypełnił polecenie. Zawzięta, wyszczerzona nie w uśmiechu, ale z wysiłku twarz upodobniła się do trupiej czaszki.

Picard osunął się na Holbrooka. Holbrook zrobił krok do tyłu. Picard padł na kolana.

Ręce nadal trzymał luźno wzdłuż boków. Nie podjął najmniejszej próby ratowania się.

- A niech to piekło pochłonie! - szepnął Klinger, zdumiony, oszołomiony, niemal niezdolny wydusić z siebie głosu.

Wstrząsany konwulsjami Picard stracił kontrolę nad zwieraczem.

Salsbury był zadowolony, że zadbał o pokrowiec.

W chwilę potem, dokończywszy zadania, Holbrook cofnął się od Picarda.

Garota zostawiła głębokie, zaognione, czerwone ślady po wewnętrznej stronie jego dłoni.

Salsbury wyjął inny kawałek linki z innej kieszeni kitla i podał Rossnerowi.

- Wiesz, co to jest, Glenn?

- Tak. - Poprzednio Amerykanin beznamiętnie obserwował Holbrooka mordującego Francuza.

- Glenn, podaj linkę Peterowi.

Bez chwili zastanowienia Rossner włożył drugą garotę w ręce Anglika.

- Teraz stań do Petera plecami. Rossner odwrócił się.

- Jesteś rozluźniony, Peter?

- Nie.

- Rozluźnij się. Uspokój. Nie martw się o nic. To rozkaz. Zmarszczki na twarzy Rossnera wygładziły się.

- Jak się czujesz, Glenn?

- Na luzie.

- Dobrze. Nie będziesz próbował zatrzymać Petera przed wypełnieniem moich rozkazów, niezależnie od tego, jakie będą.

- Nie będę się wtrącał - powiedział Rossner. Salsbury odwrócił się do Anglika.

- Zarzuć tę linkę Glennowi na szyję, tak jak Michelowi. Holbrook ze zrećnością profesjonalisty zarzucił linkę i zacisnął. Był gotów. Czekał na rozkazy.

- Glenn - spytał Salsbury - czy jesteś spięty?

- Nie. Jestem rozluźniony.

- To znakomicie. Świetnie. Dalej będziesz rozluźniony. Za chwilę każę Peterowi zabić cię, a ty pozwolisz mu na to. Czy to jasne?

- Tak. Rozumiem. - Wciąż był spokojny.

- Czy nie chcesz żyć?

- Nie, nie. Chcę żyć.

- To dlaczego chcesz umrzeć?

- Ja... ja... - Mężczyzna wyglądał na zdezorientowanego.

- Chcesz umrzeć, ponieważ odmówienie wykonania rozkazu klucza i tak oznacza ból i śmierć. Prawda, Glenn?

- Tak jest.

Salsbury uważnie szukał oznak paniki u dwóch mężczyzn. Nic. Śladu napięcia.

Smród ze zbrukanego ciała Michela Picarda był wszechobecny i coraz ostrzejszy.

Rossner orientował się bezbłędnie, co go czeka. Widział, jak umierał Michel. Powiedziano mu, że sam umrze podobnie. Tymczasem stał nieruchomo i nie wyglądał na przestraszonego.

Wolał śmierć - prawie samobójczą - niż nieposłuszeństwo. Po prostu coś podobnego nie przychodziło mu do głowy.

- Absolutna, totalna kontrola - rzekł generał. - A równocześnie nie wyglądają ani nie zachowują się jak zombi.

- Bo to nie zombi. Nie ma tu nic nadnaturalnego. Tylko skuteczna technika modyfikacji

zachowań. - Salsbury przeżywał moment uniesienia. - Peter, daj mi linkę. Dziękuję. Obaj

spisaliście się dobrze. Wyjątkowo dobrze. Teraz przenieście ciało Michela do pokoju obok.

Poczekajcie tam na dalsze rozkazy.

Jak para robotników, ustalających najszybszy sposób przemieszczenia stosu cegieł,

Rossner i Holbrook szybko omówili zlecenie. Kiedy za najlepszy sposób uznali zrolowanie pokrowca i wyniesienie w nim trupa, wzięli się do roboty.

- Gratulacje - powiedział Klinger. Pocił się. Zimny, oschły, chłodnooki Ernst Klinger pocił się jak wieprz.

I co teraz sądzisz o kontrolkach komputerów? - zapytał go w duchu Salsbury. Czy nadal wyglądają tak świątecznie, jak dziesięć minut temu?

W pomieszczeniu komputerowym unosił się cytrynowy zapach. Salsbury dezodorantem w aerozolu zabił przykrą woń ekskrementów i uryny.

Wyjął z szuflady biurka butelkę whisky i nalał sobie dla uczczenia sukcesu.

Klinger musiał wlać w siebie podwójną porcję, żeby uspokoić nerwy.

- A teraz co? - zapytał

- Próba terenowa.

- Mówiłeś o tym wcześniej. Ale dlaczego? Dlaczego nie możemy już działać na Bliskim

Wschodzie zgodnie z tym, co dwa lata temu mówił nad Tahoe Leonard? Wiemy, że subliminale działają.

- Osiągnąłem spodziewane rezultaty z Holbrookiem, Rossnerem i biednym Picardem -

powiedział Salsbury, popijając whisky. - Ale to nie znaczy, że absolutnie każdy zareaguje tak

samo. Nie mam całkowitego zaufania do tego programu, dopóki kilkaset obiektów obu płci i w

różnym wieku nie zostanie poddanych jego działaniu, a potem obserwacji i testom. Ponadto nasi trzej najemnicy zostali poddani działaniu programu i reagowali nań pod kontrolą laboratoryjną.

Zanim podejmiemy niezwykle niebezpieczne ryzyko, związane z planem „Bliski Wschód”, do

którego należy stworzyć nowe serie subliminali ze względu na inną kulturę i inny język - musimy doskonale orientować się, jakich rezultatów możemy się spodziewać.

Klinger nalał sobie następną whisky, podniósł szklankę do ust. Nagle na jego twarzy pojawił się strach. Na dwie sekundy, może na jedną. Udając, że rozmyśla nad tekstem, wpatrywał się w swoją szklankę, w butelkę stojącą na biurku, a potem w szklankę Salsbury'ego.

- Nie łam się, Ernst - roześmiał się Salsbury. - Nie dodałbym specyfiku do mojego własnego Jacka danielsa. Poza tym nie jesteś potencjalnym obiektem. Jesteś moim partnerem.

Klinger skinął głową, jednakże odstawił szklankę, nie dopijając whisky.

- Gdzie przeprowadzisz taką próbę terenową?

- Black River, Maine. To niewielkie miasteczko w pobliżu granicy kanadyjskiej.

- Czemu tam?

Salsbury podszedł do najbliższej klawiatury i wystukał polecenie. Podczas pisania mówił:

- Dwa miesiące temu ustaliłem podstawowe wymagania, które musi spełniać idealne miejsce testu.

Wszystkie ekrany informowały o tym samym:

KLUCZ/ZAMEK, DANE DO PRÓBY TERENOWEJ; JAK NASTĘPUJE:

1A. MIEJSCEM PRÓBY POWINNO BYĆ NIEWIELKIE MIASTO, ALE Z
DOSTATECZNĄ LICZBĄ OBIEKTÓW DO CELÓW STATYSTYCZNYCH

1B. BLACK RIVER, MAINE-LICZBA MIESZKAŃCÓW: 402

OSIEDLE DRWALI-LICZBA OSÓB: 188

DODATKOWI MIESZKAŃCY W OBRĘBIE 5 MIL-BRAK

- Osiedle drwali? - spytał Klinger.

- To przykładowe miasteczko Big Union Supply. Prawie każdy w Black River pracuje w Big Union albo świadczy usługi dla ludzi, którzy tam pracują. Przedsiębiorstwo utrzymuje

kompletnie wyposażone osiedle - baraki mieszkalne, stołówkę, pomieszczenia rekreacyjne, wszystko. W ten sposób niezonaci drwale, którzy nie chcą wydawać pieniędzy na opłaty za mieszkanie w mieście lub na wsi, mogą mieszkać w barakach blisko plantacji drzew.

2A. MIEJSCE POWINNO BYĆ IZOLOWANE (WG BIEŻĄCYCH STANDARDÓW SOCJOLOGICZNYCH)

2B. NASTĘPNE MIASTO LEŻY O: 30 MIL

DRUGIE BLISKIE MIASTO: 62 MILE

DROGI LĄDOWE DO BLACK RIVER - JEDNA DROGA STANOWA - JEDNA LINIA KOLEJOWA, WYŁĄCZNIE DO PRZEWOZU TOWARÓW

DROGI WODNE DO BLACK RIYER - RZEKA ŻEGLOWNA, BRAK

REGULARNYCH PRZEWOZÓW LOTNISKO W BLACK RIVER - BRAK

3A. MIEJSCE POWINNO ZNAJDOWAĆ SIĘ W ZASIĘGU JEDNEJ LUB KILKU STACJI TELEWIZYJNYCH

3B. STACJE ODBIERANE W BLACK RIYER - JEDNA AMERYKAŃSKA, JEDNA KANADYJSKA

- Jest jeszcze trochę interesujących danych, uzupełniających tę ostatnią informację - powiedział Salsbury. - Amerykańska stacja jest własnością filii Futurexu. Wiezorami podczas weekendów emituje masę starych filmów. Będziemy znać program z dużym wyprzedzeniem.

Przygotujemy subliminalnie wzbogacone kopie i podmienimy na nie oryginalne wersje w magazynie stacji.

- Trafiło się nam.

- Oszczędzi się trochę czasu. W innym wypadku Futurex musiałby zostać właścicielem stacji, a to potrwałoby lata.

- Ale skąd pewność, że ludzie w Black River obejrzą filmy, które opracujesz?

- Wcześniej przez różne media zostaną wprost zalani subliminalami, które im to nakażą. Na przykład: dwa dni przed emisją filmów Fundacja Dawsona na rzecz Etyki Chrześcijańskiej zleci zarówno stacji kanadyjskiej, jak i amerykańskiej wyświetlanie reklam służb państwowych. Reklamy będą zawierały ukryte, silnie przemawiające rozkazy subliminalne, nakazujące ludziom w miasteczku i osiedlu nastawić o odpowiedniej porze odpowiedni kanał. Wyślemy również do wszystkich mieszkańców pocztą reklamy, foldery na temat kilku przedsiębiorstw Leonarda, w których umieścimy informacje działające na podświadomość, oraz darmowe podarunki w rodzaju próbek mydła, szamponu i bezpłatnych filmów do aparatów fotograficznych. Opakowania kosmetyków będą także nasycone przesłaniami subliminalnymi, nakazującymi oglądać program określonej stacji telewizyjnej, o określonej godzinie, określonego dnia. Jeżeli nawet obiekt wyrzuci przesyłkę do śmieci bez otwierania, to i tak zostanie „uczulony”, ponieważ przesłania subliminalne znajdują się również na kopertach. Działy reklamowe wielkich periodyków i gazet codziennych sprowadzanych do Black River w okresie programowania, będą pełne podświadomych rozkazów, nakłaniających ludzi do oglądania filmów. Salsbury zmęczył się trochę tym przydługim wywodem. Po chwili jednak kontynuował:

- Zwykle miasteczka wielkości Black River nie mają kin. Ale Big Union udostępnia miastu swoją salę kinową. W lecie codziennie, z wyjątkiem niedziel, jest wyświetlany poranek dla dzieci. Kopie filmów wyświetlanych na porankach to będą nasze kopie, z subliminalami zachęcającymi dzieci do oglądania w telewizji filmów z programem Klucz-Zamek. Wszystkie stacje radiowe, obejmujące ten rejon, wyemitują specjalne trzydziestosekundowe wstawki reklamowe, setki wstawek, z subaudialnymi dyrektywami. To jedynie połowa z naszych metod. Kiedy wszystko to razem zadziała, każdy zasiądzie przed odbiornikiem telewizyjnym we właściwym czasie.

- A co z ludźmi, którzy nie mają odbiorników telewizyjnych? - zapytał Klinger.

- W miejscu takim, jak Black River, nie ma wiele do roboty. Świetlica w osiedlu dysponuje

dziesięcioma odbiornikami. Przymuszczał, że każdy w miasteczku ma telewizor. Tym, którzy go nie mają, nakaże się w pierwszej fali subliminali wstępnych, aby oglądali filmy u przyjaciół, rodziny lub u sąsiadów.

Po raz pierwszy Klinger spojrzął na Salsbury'ego z respektem.

- Niewiarygodne.

- Dziękuję.

- A co ze specyfiką? Jak zostanie podany? Salsbury skończył swoją whisky. Czuł się cudownie.

- W miasteczku istnieją jedynie dwa źródła zaopatrzenia w żywność i napoje. Ludzie z osiedla kupują w stołówce. W mieście każdy kupuje w Sklepie Ogólnoasortymentowym Edisona. Edison nie ma konkurencji. Zaopatruje jedyną restaurację w mieście. Otóż zarówno stołówka, jak i sklep otrzymują towar tylko od hurtownika z Augusty.

- Aaach - westchnął z uśmiechem generał.

- Holbrook i Rossner mają szansę na klasyczny rajd komandosów. W nocy mogą włamać się do magazynu hurtownika z Augusty i szybko skazić kilka różnych artykułów, przeznaczonych do wysłania do Black River. - Salsbury wskazał na monitory, na których wyliczone były wymagania dotyczące idealnego miejsca próby terenowej. - Numer cztery.

Klinger spojrzął na ekran.

4A. MIEJSCE POWINNO MIEĆ ZBIORNIK WODNY, OBSŁUGUJĄCY NIE MNIEJ NIŻ 90 PROCENT MIESZKAŃCÓW

4B. ZBIORNIK W BLACK RIVER OBSŁUGUJE

- 100 PROCENT MIESZKAŃCÓW MIASTECZKA

- 100 PROCENT MIESZKAŃCÓW OSIEDLA DRWALI

- Zwykle w takiej zapadłej dziurze - powiedział Salsbury - każdy dom ma własną studnię.

Ale w Black River jest tartak, który musi mieć zbiornik wodny dla potrzeb przemysłowych.

Korzysta więc z niego także miasteczko.

- W jaki sposób wybrałeś Black River? Skąd się dowiedziałeś o jego istnieniu?

Salsbury wcisnął klawisz i skasował tekst na ekranie.

- W 1960 roku Leonard wspomógł finansowo przedsiębiorstwo Statistical Profiles

Incorporated, wykonujące oceny marketingowe między innymi dla przedsiębiorstw Dawsona.

Przesyła ono informacje do banku danych Census Bureau. Wykorzystaliśmy Statistical Profiles do znalezienia idealnego miejsca na naszą próbę. Oczywiście, oni nie wiedzieli, dlaczego jesteśmy zainteresowani miejscowością, która odpowiada tym szczególnym wymaganiom.

- Ilu ludzi w Statistical Profiles było zaangażowanych do poszukiwań? - spytał zachmurzony generał.

- Dwóch - odpowiedział Salsbury. - Wiem, o czym myślisz. Nie martw się. Obu czeka śmierć w wypadku na dłuższy czas przed próbą terenową.

- Przypuszczam, że do skażenia zbiornika wyślesz Holbrooka i Rossnera.

- A potem się ich pozbędziemy. Generał uniósł krzaczaste brwi.

- Zabijemy ich?

- Albo polecimy im popełnić samobójstwo.

- Dlaczego po prostu nie kazać im zapomnieć o wszystkim, co zrobili, wytrzeć to z ich pamięci?

- Gdyby sprawy przybrały zły obrót, to mogłoby ich uratować przed oskarżeniem, ale nie uratowałyby nas. My nie możemy wymazać z naszych pamięci tego, co kazaliśmy im zrobić. Jeśli wynikną poważne problemy, to całą operację będzie można wyrzucić na śmietnik, i jeśli okaże się, że widziano Rossnera lub Holbrooka przy zbiorniku lub że zostawili jakieś ślady... cóż, nie leży w naszym interesie, żeby władze łączyły nas z Glennem i Peterem.

- Jakie problemy mogą być aż tak poważne?
- Byle co. Drobiazg. Nie wiem. Klinger zastanawiał się przez chwilę.
- Tak, przypuszczam, że masz rację.
- Wiem, że mam.
- Ustaliłeś już datę? Tej próby terenowej?
- Powinniśmy być gotowi do sierpnia - powiedział Salsbury.

ROZDZIAŁ 9

Piątek, 26 sierpnia 1977

Ta-ta-ta-ta-ta-ta-ta-ta-ta... Od czasu poniedziałkowego spotkania z Brendą Macklin Salsbury trzymał swój temperament na wodzy. W każdej chwili mógł uzyskać pełną władzę nad inną dobrze wyglądającą kobietą, mógł ją zgwałcić i skasować całą pamięć tego aktu z jej pamięci. Czerpał siłę z przekonania, że suki są na jego łasce. Kiedy do końca utwierdzi się w przekonaniu, że próba zakończyła się oszałamiającym sukcesem i nie istnieje niebezpieczeństwo jej ujawnienia, będzie rznął każdą, która mu się spodoba. Suki. Zwierzęta. Zwierzątka. Dziesiątki. Wszystkie. Ponieważ wiedział, że przyszłość szykuje mu prawie niekończącą się orgię, radził sobie, przynajmniej tymczasowo, z pożądaniem. Szedł od domu do domu, obserwując i sprawdzając. Odmawiając sobie. Ciężko pracując. Robiąc, co należy. Nie pozwalając sobie na żadne wysoki... Był dumny ze swojej siły woli.

Tego poranka siłę woli szlag trafił. Przez ostatnie cztery noce niepokoiły go groteskowe koszmary senne, ukazujące na zmianę matkę, Miriam, to znów przemoc i krew. Przepelnione dziwną, niedającą się opisać atmosferą perwersyjnego seksu. Kiedy obudził się tego ranka, krzycząc i szarpiąc pościel, pomyślał o Emmie Thorp - głęboki rowek w dekolcie pomarańczowego sweterka - i wydała mu się antidotum na trucizny zaćmiewające jego umysł podczas snu. Musi ją mieć, będzie ją miał, dzisiaj, niebawem. I do diabła z odmawianiem sobie!

Spokojny wewnętrzny strumień woli zamienił się w rytmiczny, zmienny prąd, z trzaskiem skaczący między niezliczonymi łukami: setkami milionów złączy nerwowych. Myśli Salsbury'ego błyskawica przeskakiwały z tematu na temat, myśli jak serie z automatu:

ta-ta-ta-ta-ta-ta-ta-ta-ta-ta-ta...

O 7.45 opuścił pensjonat Pauline Yicker i poszedł do restauracji. Niebo było zachmurzone, powietrze parne.

O 8.25 skończył śniadanie i wyszedł z lokalu.

O 8.40 dotarł do domu Thorpów, ostatniego zabudowania przy Union Road, nad rzeką.

Dwa razy nacisnął dzwonek.

Otworzył mu sam szef policji. Jeszcze nie w pracy. Dobrze. Cudownie.

- Jestem klucz - powiedział Salsbury.

- Jestem zamek.

- Wpuść mnie.

Bob Thorp odsunął się na bok, przepuścił go, zamknął drzwi.

- Żona w domu?

- Tak.

- Syn?

- Też.

- Jeszcze ktoś?

- Tylko ty i ja.

- Jak syn ma na imię?

- Jeremy.

- Gdzie są?

- W kuchni.

- Zaprowadź mnie tam. Thorp zawahał się.

- Zaprowadź mnie tam!

Szli wąskim, wyłożonym jasną tapetą korytarzem.

Kuchnia była nowoczesna, gustownie urządzona. Szafki i dodatki w stylu śródziemnomorskim. Lodówka w kolorze miedzi oraz stojąca chłodziarka. Kuchenka mikrofalowa. Telewizor zawieszony wysoko w rogu pomieszczenia, niemal pod sufitem i skierowany na duży okrągły stół przy oknie.

Jeremy siedział tam i jadł jajka i grzanekę, spoglądając w stronę holu.

Po prawej stronie chłopca siedziała Emma. Opierała się łokciem o stół, piła sok pomarańczowy. Jej włosy były złote i gęste - tak jak pamiętał. Kiedy odwróciła się, żeby zapytać męża, kto dzwonił, Salsbury zobaczył, że jej śliczna twarz jest jeszcze lekko obrzmiała od snu - i nie wiadomo czemu to go podnieciło.

- Bob? Kto to? - spytała.

- Jestem klucz - rzekł Salsbury. Odpowiedziały mu dwa głosy.

O 8.55 Paul w trakcie swojej cotygodniowej wyprawy po świeżą żywność do miasteczka, zahamował na końcu zwirowanej drogi, rozejrzał się w obie strony i skręcił w Main Street.

- Nie jadę do Sama. Wyrzuć mnie na rynku - odezwał się z tylnego siedzenia Mark.

- Dokąd się wybierasz? - zapytał Paul, spoglądając w lusterko.

Mark klepnął dużą klatkę na kanarki, stojącą na siedzeniu obok niego. Wiewiórka zatańczyła i zaterkotała.

- Chcę, żeby Buster poznał Jeremy'ego.

- Dlaczego nie chcesz się przyznać, że idziesz do Thorpów z zupełnie innego powodu? -

spytała Rya, obracając się na siedzeniu i spoglądając bratu w twarz, - Wszyscy wiemy, że jesteś po uszy zakochany w Emmie.

- Wcale nie! - zawołał Mark w sposób, który absolutnie potwierdzał, że mówiła prawdę.

- Och, Mark! - westchnęła ze zniecierpliwieniem.

- To kłamstwo! - upierał się Mark. Nie jestem zakochany po uszy w Emmie! Nie jestem jakimś podrostkiem! Rya wykonała kolejny obrót.

- Żadnych kłótni - powiedział Paul. - Zostawiamy Marka przy rynku z Busterem. I żadnych kłótni, powtarzam.

- Rozumiesz to, Bob? - spytał Salsbury.

- Rozumiem.

- Odzywasz się tylko wtedy, kiedy się do ciebie zwrócę. I nie ruszasz się z tego krzesła, dopóki ci nie pozwolę.

- Nie ruszam się.

- Ale patrzysz.

- Patrzę.

- Jeremy?

- Też patrzę.

- Na co patrzysz? - spytał Salsbury.

- Patrzę, jak ją rzniesz.

Durny glina. Durny dzieciak.

Stanął przy zlewie, oparł się o obudowę.

- Chodź tu, Emmo. Wstała. Podeszła do niego.

- Zdejmij szlafrok.

Zdjęła. Nosiła żółty stanik i żółte majteczki z trzema czerwonymi kwiatkami, wyhaftowanymi na lewym biodrze.

- Zdejmij stanik.

Piersi opadły swobodnie. Pełne, Cudowne.

- Jeremy, miałeś pojęcie, że mama tak ładnie wygląda? Chłopiec z trudem przełknął ślinę.

- Nie.

Ręce Thorpa spoczywały na stole. Zwinął je w pięści.

- Rozluźnij się. Bob. Podoba ci się to. Ogromnie ci się podoba. Nie możesz się doczekać, kiedy wreszcie ją wezmę.

Pięści Thorpa otwały się. Oparł się o krzesło.

Dotykając jej piersi, wpatrując się w jej błyszczące zielone oczy, Salsbury wpadł na rozkoszny pomysł. Cudowny. Podniecający.

- Emmo, wydaje mi się, że będzie bardziej podniecające, jeśli będziesz mi się trochę opierać. Nie na poważnie, rozumiesz. Nie fizycznie. Tylko błagaj mnie, żebym cię nie skrzywdził.

I płacz.

Wpatrywała się w niego.

- Mogłabyś zapłakać, Emmo, kiedy cię proszę?

- Tak się boję.

- Dobrze! Znakomicie. Tobie nie kazałem się rozluźniać, prawda? Powinnaś się bać.

Cholernie bać. I słuchać. Czy jesteś dość wystraszona, żeby płakać, Emmo?

Zadrzała.

- Jesteś bardzo uparta. Nie odezwała się.

- Płacz, jak ci każę.

- Bob...

- On ci nie pomoże. Ścisnął jej pierś.

- Mój syn...

- On patrzy. To dobrze, że patrzy. Nie ssał ich, kiedy był malutki?

Łzy napłynęły jej do oczu.

- Dobra - powiedział. - Och. jak miło!

Mark mógł nieść klatkę z wiewiórką około piętnastu, dwudziestu kroków, Potem stawiał ją na ziemi i rozmasowywał obolałe ramiona.

- Unieś piersi. Zrobiła, co jej kazał.

Łkała.

- Pociągnij za sutki.

- Nie każ mi tego robić.

- No już, zwierzątko!

Z początku, zdenerwowany tym podrzucaniem i kołysaniem, Buster biegał w klatce w kółko i wydierał się niczym ranny królik.

- Skamlesz jak królik - skarcił go Mark, przystając. Buster wydierał się dalej, obojętny na swój image.

- Jak ci nie wstyd! Nie jesteś durnym królem. Jesteś wiewiórką.

Przed sklepem Edisona Paul, zamykając drzwi, dojrzał coś błyszczącego na tylnym siedzeniu.

- Co to?

Rya siedziała jeszcze w wozie, odpinała pasy.

- Co?

- Na tylnym siedzeniu. To klucz od klatki Bustera. Rya przelazła do tyłu.

- Lepiej mu zaniosę.

- Nie trzeba - powiedział Paul. - Tylko go zgubi.

- Nie - odpowiedziała. - Lepiej mu zaniosę. Będzie chciał wypuścić Bustera, żeby popisywać się przed Emmą.

- A ty kto jesteś? Kupidynek? Uśmiechnęła się do niego promiennie.

- Rozepnij mi rozporek.

- Nie chcę.

- Rozepnij! Rozpięła.

- Bawisz się dobrze, Bob?

- Tak. Roześmiał się.

- Durny glina.

Mark, nim doszedł do skraju posesji Thorpa, znalazł lepszy sposób trzymania klatki. Nowa metoda nie wymagała takiego wysiłku i nie musiał stawać co kilka kroków dla odpoczynku.

W końcu Bustera tak zdenerwowało kiwanie się jego aresztu, że przestał piszczeć. Złapał się czterema łapkami prętów i zawisł na klatce, nieruchomy i cichy. Zamarł, jakby znaleźli się w lesie i właśnie dostrzegł drapieżnika skradającego się przez zarośla.

- Jedzą śniadanie - powiedział Mark. - Wejdziemy od tyłu.

- Ściśnij go. Ścisnęła.

- Gorący?

- Tak.

- Zwierzątko.

- Nie rób mi krzywdy.

- Jest twardy?

- Tak. - Płakała.

- Pochyl się.

Łkając, drżąc, błagając, żeby nie robił jej krzywdy, uczyniła, co jej kazał. Twarz błyszczała jej od łez. Była bliska hysterii. Jak cudownie...

Mark mijał okno kuchenne, kiedy usłyszał łkanie. Stanął i zaczął wsłuchiwać się uważnie

w strzępy słów, żalosne prośby akcentowane długimi chlipnięciami. Od razu wiedział, że to Emma.

Okno znajdowało się tylko dwie stopy nad ziemią, kusiło. Nie mógł się oprzeć. Podszedł. Zasłony zasunięto, ale została wąska szparka. Przycisnął twarz do szyby.

ROZDZIAŁ 10

Szesnaście dni wcześniej. Środa, 10 sierpnia 1977

O trzeciej nad ranem Salsbury dołączył do Dawsona w gabinecie na parterze w domu w Greenwich.

- Czy już zaczęli?
- Przed dziesięcioma minutami - powiedział Dawson.
- Jak idzie?
- Dokładnie tak, jak się spodziewaliśmy.

Czterech mężczyzn siedziało na prostych, niewygodnych krzesłach wokół masywnego orzechowego biurka. Wszyscy zaliczali się do służby domowej; kamerdyner, szofer, kucharz i ogrodnik... Trzy miesiące wcześniej cała służba dostała specyfik i zastosowano wobec niej program subliminalny. Od tej pory nie było już potrzeby ukrywania planu. Od czasu do czasu - jak teraz - służba była bardzo pożytecznym narzędziem w rękach Dawsona. Na stole stały cztery aparaty telefoniczne, podłączone do przekaźnika końcowego IF. Siedzący mężczyźni, korzystając z książki telefonicznej Black River, telefonowali, słuchali - czasem kilka sekund, czasem minutę - odkładali słuchawkę i znów telefonowali.

Przekaźniki końcowe - nabyte w Brukseli po 2500 dolarów - służyły do podsłuchiwania rozmów w sypialniach w Black River. Z IF podłączonym do telefonu mogli wykręcić żądany numer, zamiejscowy czy lokalny, bez łączenia się z centralą i bez zapisu połączenia w komputerze przedsiębiorstwa telekomunikacyjnego. Wysyłający elektryczne impulsy oscylator deaktywował

dzwonek telefonu i równocześnie pobudzał mikrofon. Ludzie po drugiej stronie linii nie byli świadomi, że są kontrolowani. A czwórka służących mogła słyszeć wszystko, co mówiono w odległym pokoju w którym stał telefon.

Salsbury obszedł wokół biurko, zatrzymując się przy każdym z nich, i z uwagą przysłuchiwał się strzępom rozmów.

- ...koszmar. Jak żywy. Nie mogę sobie przypomnieć, co to było, ale wystraszyłam się jak diabli. Popatrz, cała się trzęsę.

- ...tak zimno. Tobie też. Cóż, u diabła?

- ...chyba będę wymiotować.

- ...w porządku? Może powinniśmy wezwać Troutinana?

I znów od nowa:

- ...może coś zjedliśmy?

- ...grypa. Ale o tej porze roku?

- ...pierwsza rzecz rano. Boże, jak nie przestanę się trząść, rozsypię się na kawałki!

- ...pływam w pocie, ale mi zimno. Dawson klepnął Salsbury'ego w ramię.

- Zostaniesz tu i przypilnujesz ich?

- Mogę. Nie ma sprawy.

- To pójdę na chwilę do kaplicy.

Miał na sobie piżamę, granatowy szlafrok i miękkie skórzane kapcie. O tak wczesnej porze i przy padającym deszczu nie wydawało się możliwe, żeby nawet takiemu okazowi z gatunku religijnych fanatyków, jak Dawson, chciało się wyjść z domu do kościoła.

- Masz tu na miejscu kaplicę? - spytał Salsbury.

- Mam kaplicę w każdej rezydencji - z dumą odparł Dawson. - Nie wybudowałbym bez niej domu. W ten sposób dziękuję Bogu za wszystko, co dla mnie zrobił. Przecież to głównie dzięki

Niemu mam te wszystkie domy. - Dawson podszedł do drzwi, zatrzymał się, obejrzał i powiedział:

- Podziękuję Mu za nasz sukces i pomodłę się o pożądany wynik.

- Pomódl się też za mnie - powiedział Salsbury z ironią, wiedząc, że nie dotrze ona do tego człowieka.

- Nie wierzę w to. - Dawson zmarszczył brwi.

- W co?

- Nie mogę się modlić o cudzą duszę. A o nasz sukces mogę prosić tylko w takiej mierze, w jakiej mnie dotyczy. Nie sądzę, by należało się modlić za bliźnich. Zbawienie duszy naszej jest naszą własną troską - najistotniejszą częścią życia. Myśl, że można nabywać odpusty lub że ktoś - ksiądz albo jakaś inna osoba - modli się za ciebie... Cóż... jest w tym coś rzymskokatolickiego. Nie jestem rzymskim katolikiem.

- Ani ja - powiedział Salsbury.

- Miło mi to słyszeć - powiedział Leonard. Uśmiechnął się ciepło, jak jeden papieżożerca do drugiego, i wyszedł.

Maniak, pomyślał Salsbury. Co ja robię w spółce z maniakiem?

Zaniepokojony własnymi wątpliwościami, podszedł znów do biurka, by posłuchać głosów mieszkańców Black River. Stopniowo zapomniał o Dawsonie i odzyskał spokój ducha. To będzie działało tak, jak zaplanował. Wiedział o tym. Był tego absolutnie pewien. Bo cóż mogło w jego planie zawieść?

ROZDZIAŁ 11

Piątek, 26 sierpnia 1977

Rya podrzuciła klucz od klatki wysoko do góry i na pewną odległość od siebie. Podbiegła do przodu, jakby grała na pozycji gracza ze środka pola, i złapała złotą „piłkę”. Potem znów podrzuciła klucz i znów podbiegła.

Na rogu Main Street i Union Road podrzuciła klucz jeszcze raz - i nie złapała. Usłyszała, jak metalowe kółko uderza o chodnik, ale kiedy się obejrzała, nie było po nim śladu.

Emma Thorp nachyliła się i objęła ramionami kuchenny stół. Przypadkiem zrzuciła pustą filiżankę, która spadła i stłukła się na wyłożonej płytkami podłodze.

Odrzucając kopnięciami odłamki, Salsbury podszedł do Emmy z tytu i obiema rękami pogładził wdzięcznie wygięte plecy.

Bob patrzył. Uśmiechnięty i szczęśliwy.

Jeremy patrzył. Zdziwiony.

Ta-ta-ta-ta-ta-ta: moc, Miriam, matka, kurwy, Dawson, Klinger, kobiety, zemsta... Myśli jak pociski.

Obejrzała się na niego przez ramię.

- Zawsze chciałem, żeby jedna z was to poczuła. - Zachichotał. Nie mógł się powstrzymać.

Czuł się dobrze. - Strach przede mną. Przede mną!

Twarz miała bladą i zalaną łzami. Oczy szeroko otwarte.

- Cudownie - powiedział.

- Nie chcę, żebyś mnie dotykał.

- Miriam mówiła tak w kółko. Ale u Miriam to był rozkaz. Nigdy nie poprosiła. - Dotknął jej. Pokryła się gęsią skórką.

- Nie przestawaj płakać - powiedział. - Podoba mi się, jak płaczesz.

Łkała - nie cicho, ale spazmatycznie - nie wstydząc się. Jak dziecko. Jak na mękach.

Kiedy przymierzał się do wejścia w nią, usłyszał krzyk za oknem.

- Kto... - zaczął zaskoczony.

Kuchenne drzwi otwarły się z trzaskiem. Chłopiec, nie starszy niż Jeremy Thorp, wpadł do środka. Krzyczał co sił w płucach i wymachiwał cienkimi rękami.

Na skraju posesji Thorpów Rya podrzuciła klucz i znów nie złapała.

Dwie skuchy na czterdzieści to całkiem dobrze, pomyślała. Rya Annendale z Boston Red Sox! To brzmi nieźle. Rya Annendale z Pittsburgh Pirates! Jeszcze lepiej.

Tym razem zobaczyła, w którym miejscu w trawie upadł kluczyk. Podeszła i podniosła go.

Kiedy drzwi się otwarły i chłopiec zaszarżował niczym rozwścieczone zwierzę, które wydostało się z klatki, Salsbury cofnął się od kobiety i podciągnął spodnie.

- Zostaw ją!

Chłopiec wpadł na niego.

- Wynocha stąd! Już! Won!

W pierwszej chwili Salsbury zatoczył się do tyłu. Miał dość siły, żeby poradzić sobie z chłopcem, ale zaskoczony i ogłupiały, stracił równowagę. Kiedy cofał się w stronę lodówki, ciągle usiłując zapiąć guziki w spodniach, a chłopiec okładał go pięściami, uświadomił sobie, że to śmieszne, aby to właśnie on podawał tyły.

- Jestem klucz.

Chłopiec bił go. Wyzywał.

Doprowadzony do ostateczności Salsbury złapał chłopca za przeguby, mocował się z nim.

- Jestem klucz!

- Panie Thorp! Jeremy! Pomóżcie mi!

- Nie ruszać się z miejsc - rzucił Salsbury.

Nie ruszyli się.

Obrócił chłopca o sto osiemdziesiąt stopni i walnął nim o lodówkę. Butelki i puszki zagrzechotały głośno na półkach.

Na dzieci poniżej ośmiu lat nie działał program subliminalny, emitowany dla Black River.

Nie były one jeszcze dość świadome problemów śmierci i seksu, żeby reagować na równania

motywacyjne, które programy budowały u osób starszych. Mimo że od czasu indoktrynacji Holbrook-Rossner-Picard używano słownictwa tak prostego, jak to tylko możliwe, dziecko musiało mieć zdolności czytania trzecioklasisty, aby bezpośrednio drukowane komendy wywarły odpowiedni skutek i zbudowały hasła kodowe Klucz-Zamek. Ale ten chłopiec miał ponad osiem lat i powinien reagować na hasło.

- Jestem klucz, do cholery! - wycedził Salsbury przez zaciśnięte zęby.

Pośrodku trawnika, na szczycie wysokiej winorośli, wśród splątanych gałęzek skakał drozd, przystawał, przekrzywiał łepkę i zerkał spomiędzy listków. Rya zatrzymała się, przyglądała.

Panika. Nie może dopuścić do paniki.

Popełnił fatalny błąd i władza może mu zostać odebrana.

Nie. To był poważny błąd. Bez wątplenia. Bardzo poważny. Ale nie fatalny. Nie wolno ulec panice. Trzymać nerwy na wodzy.

- Kim jesteś? - zapytał.

Chłopiec wywijał się, próbował uciec.

- Skąd jesteś? - żądał odpowiedzi Salsbury, ściskając dzieciaka do utraty tchu.

Chłopiec kopnął go w gołe nogi. Mocno.

Przez moment cały świat Salsbury'ego zredukował się do jasnego piorunowego gromu, który wystrzelił z kostki do uda, rozsypał iskrami po kościach. Zawył z bólu, zatoczył się, mało nie upadł.

Wyrwawszy się, chłopiec pobiegł w kierunku zlewu, zamierzając ominąć Salsbury'ego z drugiej strony stołu.

Salsbury niezdarnie podskoczył za nim, przeklinając. Złapał chłopca za koszulkę, wypuścił, potknął się, upadł.

Jeśli ten mały drań ucieknie...

- Bob! Panika.

- Łap go! Histeria.

- Zabij. Na litość boską, zabij go!

Klatka na kanarki stała na trawniku przy oknie kuchennym.

Rya usłyszała pisk Bustera. A potem z domu dobiegł ją krzyk.

Ta-ta-ta-ta-ta-ta,..

Salsbury podniósł się.

Bez sił. Wystraszony.

Naga kobieta łkała.

W mózgu obłąkańczo kołowała rymowanka, zapamiętana z dzieciństwa: „a my wszyscy bęc, a my wszyscy bęc, a my wszyscy bęc...”.

Thorp zablokował drzwi.

Chłopiec starał się go ominąć.

- Zabij go.

Thorp złapał intruza i pociągnął go w tył. Z niszczycielską siłą popchnął na kuchenkę elektryczną, złapał za gardło i tłukł głową o kant z nierdzewnej stali. Frytkownica spadła na podłogę z głośnym brzękiem. Thorp jak maszyna, jak robot o ludzkich kształtach, walił głową chłopca o metalowy kant, aż czaszka nie wytrzymała. Kiedy krew rozprysła się na ścianie za kuchenką i rzuciła się strumieniami z nozdrzy chłopca, wielki mężczyzna wypuścił dziecko, cofnął się.

Mark upadł niby zmięty łachman u jego stóp.

Jeremy płakał.

- Przestań - rzucił krótko Salsbury.

Chłopiec powoli zamilkł.

Salsbury podszedł do zakrwawionego dziecka. Wtem zobaczył dziewczynkę. Stała w otwartych drzwiach. Wpatrywała się w krew jak zahipnotyzowana. Ruszył do niej.

Podniosła wzrok oszołomiona.

- Jestem klucz - powiedział. Odwróciła się i rzuciła do ucieczki. Salsbury pobiegł w stronę drzwi, ale kiedy się tam znalazł, znikła już za rogiem domu. Znikła.

CZEŚĆ DRUGA

TERROR

ROZDZIAŁ 1

Piątek, 26 sierpnia 1977

9.45

Rya siedziała na przednim siedzeniu kombi, między Paulem a Jenny, równocześnie przestraszona i zła. Dłonie zacisnęła w pięści. Pod letnią opalenizną jej twarz miała kolor popiołu. Wielkie krople potu perliły się na czole. Zacisnęła mocno usta, by powstrzymać ich drżenie, a także by pohamować gniew i frustrację. Wyraz twarzy świadczył o niezłomnym postanowieniu udowodnienia swych racji.

Paul nie mógł wprost uwierzyć w to, co opowiedziała mu przed paroma minutami, mimo iż nigdy go dotychczas nie okłamała - chyba że dla żartu. Zobaczyła niespodziewanie coś dziwnego w domu Thorpów, to pewne. Jednakże musiała opacznie to zinterpretować. Kiedy wbiegła z płaczem do sklepu Sama, jej łzy i przerażenie były autentyczne. Co do tego nie było wątpliwości. Ale Mark? Nieżywy? Nie do pomyślenia. Zatluczony na śmierć przez Boba Thorpa, szefa policji? Śmieszne. Jeżeli nie kłamała... no cóż... W każdym razie na pewno musiała zajść tu jakaś straszna pomyłka.

- To p-p-prawda, tato. Prawda! Przysięgam na Boga, że prawda. Oni, oni go za-za-zabili.

Zabili. Pan Thorp. Tamten mężczyzna k-kazał panu Thorpowi zabić i on zabił. Ciągle w-w-walił głową Marka... głową Marka... walił o kuchenkę. Okropne. W-w-walił w kółko i w kółko... i wszędzie krew... Och, Boże, tato, to szaleństwo, ale tak było!

To jest szaleństwo!

I to nie może być prawda!

Jednak kiedy wpadła do sklepu - z trudem łapiąc powietrze, prawie się dusząc, płacząc, bełkocząc jak w gorączce, tak niepodobna do siebie - poczuł nagle na karku jakby dotknięcie lodowatej ręki. Podczas opowiadania nieprawdopodobnej historii czuł nadal te lodowate palce. I wciąż tam były.

Na rogu skręcił w Main Street. Dom szefa policji stał o ćwierć mili dalej, ostatni na tej

ulicy, blisko rzeki. Duży garaż, w którym mogły zmieścić się dwa wozy, z poddaszem zamienionym na warsztat, stał pięćdziesiąt jardów za domem. Paul wjechał na podjazd i zaparkował kombi przed garażem.

- Gdzie jest klatka? - zapytał. Była tam - powiedziała Rya. - Pod oknem. Przenieśli ją.

- Cicho tu. Spokojnie. Nie wydaje się, żeby pół godziny temu popełniono w tym miejscu potworne morderstwo.

- W środku - ostro powiedziała Rya. - Zabili go w środku. Jenny wzięła Ryę za rękę, ścisnęła.

- Rya...

- W środku. - Dziewczynka miała zawzięty, stanowczy wyraz twarzy.

- Zobaczmy - odezwał się Paul.

Wyszli z wozu i ominęli świeżo skoszony trawnik, kierując się na tył domu.

Emma widocznie musiała usłyszeć ich przyjazd, ponieważ zanim dotarli do kuchennych schodków, czekała już na nich w otwartych drzwiach. Miała na sobie szafirową podomkę ze sztruksu, z okrągłym kołnierzykiem, ściągniętą jasnoniebieskim paskiem. Długie włosy zaczesła gładko do tyłu i spięła kilkoma spinkami. Uśmiechała się przyjaźnie.

- Hej odezwał się nieporadnie Paul. Nagle zabrakło mu słów. Gdyby w opowieści Ryi tkwił choćby cień prawdy, Emma nie byłaby tak pogodna. Poczł się głupio, że uwierzył w tę dziwną historię. Nie potrafił nawet znaleźć słów, którymi chciałby opowiedzieć ją Emmie.

- Hej - odpowiedziała radośnie. - Cześć, Rya. Jenny, jak się ma ojciec?

- Dzięki, dobrze - powiedziała Jenny. Wyglądała na równie ogłupiałą jak Paul.

- Cóż - oznajmiła Emma. - Ciągle jeszcze łączę w podomce. Talerze po śniadaniu nie pozmywane. Kuchnia tonie w tłuszczu. Ale jeśli nie przeszkadza wam przebywanie w strefie klęski żywiołowej, witajcie.

Paul się zawahał.

- Czy coś się stało? - spytała Emma.

- Bob w domu?

- Jest w pracy.

- O której wyszedł?

- Jak co dzień. Kilka minut przed dziewiątą.

- Jest na posterunku?

- Albo patroluje wozem. - Emma nie musiała dłużej pytać, czy coś się stało: wiedziała. -

Dlaczego pytasz?

Właśnie, dlaczego? - pomyślał Paul. Zamiast wytłumaczyć, spytał:

- Jest u was Mark?

- Był tu - powiedziała Emma. - On i Jeremy poszli na boisko do koszykówki za Union

Theater.

- Kiedy? Pół godziny temu.

Uznał, że musi mówić prawdę, ponieważ łatwo można było sprawdzić wiarygodność jej słów. Jeżeli Bob zabił Marka, to co zyskałoby tak niezdarnym kłamstwem? Poza tym znał ją dobrze i wiedział, że nie umiałaby zatuszować morderstwa. W dodatku z takim spokojem, bez śladu zdenerwowania i poczucia winy.

Paul spojrział na Ryę.

Twarcz miała nadal zaciętą, nawet jeszcze bledszą i bardziej ściągniętą niż w samochodzie.

- Co z Busterem? - zapytała Emmę. Powiedziała to zbyt ostro i zbyt głośno. - Czy wzięli

Bustera, żeby pograć sobie z nim w kosza?

- Wiewiórka? - Emma była oszołomiona niezwykłą u dziewczynki, gwałtowną i

nieuprzejmą reakcją na najzwyklejsze oświadczenie. - Och, zostawili ją ze mną. Chcecie ją zabrać?

- Cofnęła się, odsłaniając wejście. - Proszę.

Paul przez moment, wspominając opis szaleńczej brutalności, której świadkiem była Rya zaledwie trzydzieści minut temu, zastanawiał się, czy przypadkiem Bob Thorp nie kryje się w kuchni, nie czyha na nich...

Ależ to absurd! Emma nie mogła być świadoma domniemanego morderstwa, popełnionego tego ranka na chłopcu. Założyłby się o każdą sumę. Wobec tego historyjka Ryi była wytworem fantazji. Zmyśleniem od początku do końca.

Wszedł do domu.

Klatka na kanarki stała w rogu obok kubła na śmieci z pokrywą unoszoną pedałem. Buster przysiadł na tylnych łapkach i pracowicie chrupał jabłko. Ogon wystrzelił mu w górę i zeszywniał jak u drewnianej wiewiórki, kiedy wyczuł obecność gości. Oceniał Paula i Jenny, jakby widział ich po raz pierwszy w życiu, uznał widać, że nie ma niebezpieczeństwa, i spokojnie powrócił do śniadania.

- Mark mówił mi, że Buster przepada za jabłkami - powiedziała Emma.

- Przepada.

W kuchni nie było widać żadnych śladów gwałtownej, śmiertelnej walki. Talerze na stole były popstrzone żółtkiem jajek, smugami masła i okruszkami grzanek. Z radia płynęła łagodna instrumentalna muzyka; zorkiestrowana wersja przeboju pop. Nowe wydanie tygodniowego magazynu, roznoszone tego ranka, leżało złożone na pół obok dwóch pusłych szklanek po soku i cukiernicy. Filiżanka dymiącej kawy stała obok gazety. Gdyby Emma przyglądała się, jak jej mąż morduje dziecko, to czy potrafiłaby spokojnie czytać tygodnik w niecałą godzinę po zabójstwie? Nieprawdopodobne. Niemożliwe. Na ścianie za kuchenką nie było śladów krwi, na samej kuchence również. Nie było krwi także - nawet najmniejszej smużki na płytkach podłogowych. Czy przyszliście po Bustera? - zapytała Emma. Była wyraźnie poruszona ich zachowaniem.

- Nie - odpowiedział Paul. - Ale wybawimy cię z tego kłopotu. Jeśli mam być szczery, to wstydę się powiedzieć ci dlaczego przyszliśmy.

- Oni tu sprzątnęli - odezwała się Rya.

- Nie chcę słuchać...

- Oni wytarli krew - mówiła z podnieceniem. Paul pogroził jej palcem.

- Narobiłaś dość zamieszania, jak na jeden dzień, młoda damo. Będziesz teraz siedzieć cicho. Później pogadamy.

- Oni wytarli krew i ukryli ciało - zignorowała jego ostrzeżenie.

- Ciało? - Emma wyglądała na zdezorientowaną.- Czyje ciało?

- To nieporozumienie, wierutne brednie albo... zaczął Paul.

- Pan Thorp zabił Marka - przerwała mu Rya, zwracając się do Emmy. - Pani o tym wie.

Proszę nie kłamać. Stała pani przy tym krześle i patrzyła, jak tłucze Marka na śmierć. Była pani naga...

- Rya! - wkroczył energicznie Paul.

- To prawda!

- Kazałem ci być cicho.

- Była naga i...

Przez jedenaście lat najsurowszą karą stosowaną wobec córki było cofnięcie na dwadzieścia cztery godziny któregoś z przywilejów. Ale teraz wściekły podskoczył do niej.

Rya odepchnęła Jenny, szarpnęła kuchenne drzwi i wybiegła z domu.

Paul, oszołomiony jej nieposłuszeństwem, zły, a równocześnie zatroskany, ruszył za nią.

Kiedy schodził z werandy, Ryi już nie było. Nie miała dość czasu, żeby dotrzeć do garażu lub kombi. Zapewne więc skręciła za róg domu i pobiegła do Union Road, pomyślał. Kiedy dotarł do chodnika, zobaczył ją. Była prawie przecnicę dalej, po drugiej stronie ulicy, nadal biegła. Zawołał

ją. Jeśli go słyszała, nie zareagowała: zniknęła między domami.

Przeciął ulicę, idąc jej śladem. Ale kiedy znalazł się na trawniku za domami, nie dostrzegł córki.

- Rya, chcę tylko z tobą porozmawiać!

Nic. Cisza.

Gniew natychmiast ustąpił trosce. Cóż, na Boga, opętało tę dziewczynę? Dlaczego wysmażyła tak przerażającą historię? I jakim cudem zdołała natchnąć ją takim żarliwym przekonaniem? Prawdę mówiąc, od początku nie wierzył w tę opowieść ani trochę - a równocześnie był pod takim wrażeniem szczerości wypowiedzi, że musiał przyjść do domu Thorpów i przekonać się sam na własne oczy. Rya z natury nie była kłamczuchą. Nie była też aż tak dobrą aktorką. Przynajmniej wobec niego. A kiedy opowieść okazała się kłamstwem, dlaczego broniła jej tak uparcie? Jak mogła tak jej bronić, wiedząc, że jest kłamstwem? Czyżby więc uwierzyła, że to nie wymysł? Czy uważała, że faktycznie widziała śmierć brata? Ale gdyby tak było, to znaczy, że jest chora umysłowo. Rya? Chora umysłowo? Rya była twarda. Rya umiała sobie radzić. Rya to skała. Jeszcze pół godziny temu stawiałby życie za jej zdrowy rozsądek. Czy istniała jakaś choroba psychiczna, która mogłaby tak nagle, bez ostrzeżenia, bez żadnych wstępnych symptomów zaatakować dziecko?

Głęboko zmartwiony zawrócił do Emmy Thorp. Szedł z przeprosinami.

ROZDZIAŁ 2

10.15

Jeremy Thorp stał na baczność na środku kuchni, prawie jak przed sądem wojskowym.

- Rozumiesz, co powiedziałem? - spytał Salsbury.

- No.

- Wiesz, co masz robić?

- Wiem.

- Pytania?

- Tylko jedno.

- O co chodzi?

- Co mam robić, jeśli się nie pokażą?

- Pokażą się - powiedział Salsbury.

- A jak się nie pokażą?

- Masz zegarek, prawda?

Chłopiec odsłonił cienki przegub ręki.

- Zaczekasz na nich dwadzieścia minut. Jeśli się nie pokażą w tym czasie, wracaj prosto do mnie. Zrozumiano?

- Tak. Dwadzieścia minut.

- Ruszaj.

Chłopiec podszedł do drzwi.

- Nie wychodź tędy. Zobaczą cię. Wyjdź frontowymi drzwiami.

Jeremy ruszył w kierunku drzwi wąskim korytarzem.

Salsbury udał się za nim. Obserwował go, aż chłopiec zniknął mu z oczu za sąsiednim domem; wtedy zamknął drzwi, przekręcił zamek i wrócił do kuchni.

Nieźle, pomyślał. Trzymasz się nieźle, Ogden. H. Leonard we własnej osobie nie uporałby

się szybciej od ciebie. Spryciarz z ciebie, jak sam diabeł. Bez wątpienia. Spryciarz! Z twoim umysłem i posiadaną władzą, z hasłami Klucz-Zamek przetrzymasz kryzys. Gdyby Miriam mogła cię teraz widzieć... Co powiedziałyby teraz kochana Miriam? Nie zostało nic z tego, co mówiła o tobie. Jesteś twardym gościem. Jezu, jakim jesteś twardym gościem! Podejmujesz rozsądne decyzje w sytuacji wymagającej natychmiastowego działania i trzymasz się ich. Inteligentnie. Cholernie inteligentnie. Ale, na Boga, ślizgasz się po ostrzu brzytwy!

Stał przy oknie. Rozsunął o ułamek cała zasłony, aż dojrzał garaż. Annendale wsunął klatkę wiewiórki do bagażnika kombi, zamknął tylne drzwi i otworzył okno. Jenny Edison wsiadła do wozu. Annendale przez chwilę rozmawiał z Emmą, po czym wsiadł do samochodu i wycofał się z podjazdu. Emma pomachała im na pożegnanie i gdy ruszyła z powrotem do domu, Salsbury puścił zasłony.

Weszła do kuchni, zobaczyła go i stanęła jak wryta. Zdawało się, że zacznie krzyczeć.

- Co pan tu robi? Kim pan jest?

- Jestem klucz.

- Jestem zamek.

- Uspokój się. Uspokoila się.

- Siadaj. Usiadła.

Stanął przed nią, pochylił się. O czym rozmawiałaś z Annendale'ami?

- W kółko przeproszał za zachowanie córki. Salsbury parsknął śmiechem.

Ponieważ pamięć Emmy dzisiejszego poranka była selektywna, nie dostrzegła w tym nic zabawnego.

- Dlaczego Rya oskarżyła Boba o morderstwo? Co za okropność! Żarty sobie z nas stroi?

Cóż to za makabryczny żart!

Kruchta rzymskokatolickiego kościoła Świętej Marii Magdaleny była cicha i prawie

nieoświetlona. Całe wnętrze kościoła było odrobione w ciemnej sośnie - kołkowane podłogi, boazerie, odsłonięta konstrukcja dachowa z bali, bogato rzeźbiony, wysoki na dwanaście stóp krucyfiks - tak jak wypadło w poważnym, szanowanym domu bożym w mieście, w którym jest tartak. Pięciowatowa żaróweczka płonęła nad kropielnicą dwanaście stóp od wejścia. Po drugiej stronie nawy głównej migotały w rubinowych, szklanych naczynkach świece wotywny. Łagodne światło biło od ołtarza. Jednakże niewiele z tej widmowej iluminacji przebijało przez zwieńczone łukiem przejście do kruchty.

Otulony w cieniu, w nabożnej ciszy, Jeremy Thorp oparł się o jedno z ciężkich, zdobionych brązem skrzydeł frontowych drzwi kościoła. Uchylił je na kilka cali i podtrzymywał w tej pozycji biodrem. Stojąc w uchylonych drzwiach, widział kilka stopni murowanych schodów, prowadzących do kościoła, chodnik, dalej parę brzoź, a potem zachodni koniec Main Street. Union Theater był dokładnie po drugiej stronie ulicy. Widać go było wyraźnie przez brzozy.

Jeremy spojrzął na zegarek w ostro wcinającej się w odrzwia smudze światła. 10.20.

Kiedy zbliżali się do świateł na skrzyżowaniu przy rynku. Paul włączył prawy migacz.

- Sklep jest na lewo - powiedziała Jenny.

- Wiem.

- Dokąd jedziemy?

- Na boisko do koszykówki.

- Żeby sprawdzić Emmę?

- Chcę zapytać Marka, co się dokładnie stało rano - odparł, stukając palcami w kierownicę i niecierpliwie czekając na zmianę świateł.

- Emma powiedziała nam, że nic się nie stało.

- Oczy Emmmy były czerwone i podpuchnięte, jakby płakała - rzekł. - Może pokłócili się z

Bobem, kiedy Mark tam był. Rya mogła nadejść w najgorętszym momencie. Źle zrozumiała to, co

się działo, wpadła w panikę i uciekła.

- Emma powiedziała nam o tym.

- Mogła być zbyt zażenowana.

- Panika? - spytała Jenny gdy światła zmieniły się na zielone. - To absolutnie niepodobne do Ryi.

- Wiem. Ale czy prawdopodobne jest fabrykowanie przez nią nedorzecznych kłamstw?

- Masz rację. - Skinęła głową. - Bardziej prawdopodobne jest, że coś jej się pomieszało ze strachu i uciekła w panice.

- Zapytamy Marka.

Zegarek Jeremy'ego Thorpa wskazywał godzinę 10.22, kiedy Paul Annendale wjechał w Main Street, po czym skręcił w uliczkę za teatrem i znikł chłopcu z oczu. Wówczas Jeremy wyszedł z kościoła, zszedł po schodach, stanął przy krawężniku i czekał, aż pojawi się kombi. W ciągu ostatniej godziny niebo jakby zbliżyło się do ziemi. Na horyzoncie widać było zbitą masę skłębionych czarnych chmur, pędzonych wiatrem na wschód. Podmuchy wiatru docierały aż do Black River, poruszały liśćmi na drzewach co wedle ludowej wiedzy zapowiadało deszcz.

Żadnego deszczu, proszę, westchnął Jeremy. Nie potrzeba nam żadnego cholernego deszczu. Przynajmniej do wieczora. Tego lata kilkunastu chłopców zorganizowało serię wyścigów kolarskich, odbywających się w każdy piątek. W zeszłym tygodniu Jeremy zajął drugie miejsce w głównym biegu: kryterium ulicznym. W tym tygodniu będę pierwszy, pomyślał. Trenowałem. Ciężko. Nie marnowałem czasu jak inni. Jestem pewien, że w tym tygodniu będę pierwszy - jeśli nie będzie padało.

Znów zerknął na zegarek. Była 10.26.

Kilka sekund później zobaczył kombi jadące w dół uliczki. Ruszył szybkim krokiem w

kierunku Main Street.

Paul właśnie zamierzał skręcić w Main Street, gdy Jenny zawołała:

- Jest Jeremy!

Paul ostro zahamował.

- Gdzie?

- Po drugiej stronie ulicy.

- Jest bez Marka. - Nacisnął klakson, opuścił okno i przywołał chłopca.

Jeremy rozejrzał się w obie strony, przeszedł przez jezdnię i podszedł do samochodu.

- Cześć - przywitał się.

- Twoja matka powiedziała mi, że gracie z Markiem w kosza za teatrem - powiedział Paul.

- Zaczęliśmy. Ale nie szło nam, no to poszliśmy sobie do Lasku Gordona.

- Gdzie to jest?

Znajdowali się przy ostatnim domu na Main Street, ale droga biegła dalej, na zachód.

Wznosiła się łagodnie, obiegała urwisko i prowadziła dalej, do tartaku, i jeszcze dalej, za osiedle drwali.

Jeremy wskazał lasek na szczycie urwiska.

- To Lasek Gordona.

- Po co chcieliście tam pójść? - pytał Paul.

- Mamy tam na drzewie szałas. - Chłopiec właściwie odczytał wyraz twarzy Paula, więc

szybko dodał: - Och, proszę się nie obawiać, panie Annendale. To żadne rozsypujące się dziadostwo. Jest zupełnie bezpieczny. Nasi ojcowie zbudowali go dla wszystkich dzieciaków w mieście.

- Nie kłamie - powiedziała Jenny. - Szałas jest bezpieczny. Sam był w ekipie, która go

budowała. - Uśmiechnęła się. - Choć jego córka wyrosła już z zabawy w szałasach na drzewach.

Jeremy wyszczerzył wszystkie zęby. Nosił aparat korekcyjny. Aparat i piegi, którymi miał obsypaną twarz, rozbroiły Paula. Chłopiec najwyraźniej nic nie ukrywał, Był zbyt młody i niewinny, by brać udział w spisku na czyjeś życie.

- Mark siedzi teraz w szafie? - spytał.

- No.

- A ty czemu nie?

- Ja, Mark i jeszcze kilku kolegów chcieliśmy pograć w monopol. Idę do domu po grę.

- Jeremy... - W jaki sposób miał dowiedzieć się tego, czego chciał się dowiedzieć? - Czy coś... stało się u was w kuchni dziś rano?

Chłopiec zamrugnął, trochę zbity z tropu pytaniem.

- Jedliśmy śniadanie.

- Więc... No to idź po ten swój monopol - odezwał się Paul, czując się jak skończony głupiec. - Koledzy czekają na ciebie.

Jeremy pożegnał się z Paulem, Jenny i Busterem. Odwrócił się, rozejrzał po ulicy i przeszedł na drugą stronę jezdni.

Paul spoglądał za nim, dopóki chłopiec nie zniknął za rogiem rynku.

- Co teraz? - spytała Jenny.

- Rya najpewniej poleciała do Sama wypłakać się i szukać pocieszenia. Westchnął. - Miała czas na uspokojenie się. Może dotarło do niej, że histeryzowała. Zobaczmy, co teraz powie.

- A jeśli nie pobiegła do Sama?

- Nie ma sensu szukać jej po całym mieście. Jeśli chce się przed nami ukryć, zrobi to bez trudu. Wcześniej czy później przyjdzie do sklepu.

Jeremy siedział przy kuchennym stole, naprzeciw matki, i powtarzał swoją rozmowę z Paulem Annendale'em.

- I uwierzył ci? - zapytał Salsbury, gdy chłopiec skończył.

- W co uwierzył? - Jeremy zmarszczył brwi.

- Uwierzył, że Mark jest w tym szałasie na drzewie?

- No jasne. On tam jest, nie?

Dobra. Dobra, dobra, pomyślał Salsbury. To nie koniec kryzysu. Zyskałeś trochę czasu na zastanowienie się. Godzinę czy dwie. Może trzy. W końcu Annendale zaczniesz szukać syna. Dwie, trzy godziny. Nie wolno ci marnować czasu. Bądź stanowczy. Do tej pory byłeś wspaniale stanowczy. Teraz chodzi o to, żebyś dalej był stanowczy i wyczyścił tę sytuację, zanim będziesz musiał wytłumaczyć się z niej przed Dawsonem.

Wcześniej, w ciągu dwudziestu minut po śmierci chłopca, z pamięci rodziny Thorpów wykasował całkowicie wspomnienie zabójstwa. Nie zajęło mu to więcej niż kilka minut, ale był to dopiero pierwszy etap działań mających zamaskować jego udział w morderstwie. Gdyby sytuacja nie stała się aż tak rozpaczliwa, gdyby nie popełniono zbrodni, za którą groziła kara śmierci, gdyby powodzenie programu Klucz-Zamek nie zawisło na włosku, zostawiłby po prostu Thorpów z „dziurami” w pamięci i czułby się całkiem bezpieczny. Ale okoliczności wymagały nie tylko zatarcia prawdy, musiał również zastąpić ją dokładnym zestawem fałszywych wspomnień, pamięcią rutynowych zdarzeń, które tego ranka mogły mieć miejsce, choć w rzeczywistości się nie zdarzyły.

Zdecydował, że zacznie od kobiety.

- Idź do bawialni i usiądź na sofie - powiedział chłopcu. Nie ruszaj się, dopóki cię nie zawołam. Zrozumiano?

- No - potwierdził Jeremy i wyszedł. Salsbury przez chwilę się zastanawiał, jak ma dalej postępować.

Emma patrzyła na niego, czekała.

- Emmo, która jest godzina? - odezwał się w końcu. Spójrzała na zegar.
 - Za dwadzieścia jedenasta.
 - Nie - powiedział łagodnie. - Źle. Jest za dwadzieścia dziewięta. Za dwadzieścia minut dziewięta rano.
 - Tak?
 - Spójrz na zegar, Emmo.
 - Za dwadzieścia dziewięta - potwierdziła.
 - Gdzie jesteś, Emmo?
 - W kuchni.
 - Kto tu jest jeszcze?
 - Tylko ty.
 - Nie. - Siadł w krześle Jeremy'ego. - Nie widzisz mnie. W ogóle mnie nie widzisz. Prawda, Emmo?
 - Nie. Nie widzę cię.
 - Tylko słyszysz. Ale wiesz co? Kiedy tylko skończy się nasza mała pogaduszka, nie będziesz pamiętać, że się odbyła. Każde zdarzenie, które opiszę w następnych kilku minutach, stanie się częścią twoich wspomnień. Nie będziesz pamiętała, że to ja opowiedziałem ci te historie. Będziesz myślała, że faktycznie je przeżyłaś. Czy to jasne, Emmo?
 - Tak.
- Miała szklane oczy. Jej twarz straciła wszelki wyraz.
- W porządku. Która jest?
 - Za dwadzieścia minut dziewięta.
 - Gdzie jesteś?
 - U siebie w kuchni.

- Kto tu jeszcze jest?

- Nikt.

- Bob i Jeremy.

- Bob i Jeremy - powiedziała.

- Bob siedzi na tym krześle. Uśmiechnęła się do Boba.

- Jeremy - siedzi tu. Wszyscy troje jecie śniadanie.

- Tak. Śniadanie.

- Sadzone jajka. Grzanki. Sok pomarańczowy.

- Sadzone jajka. Grzanki. Sok pomarańczowy.

- Podnieś szklanę, Emmo. Podniosła pustą szklanę.

- Pij, Emmo.

Z powątpiewaniem wpatrywała się w wysoką szklanę.

- Jest pełna po brzegi zimnego, słodkiego soku pomarańczowego. Czy widzisz?

- Tak.

- Wygląda smakowicie?

-T ak.

- Napij się trochę, Emmo. Napiała się z pustej szklanki.

Roześmiał się głośno. Moc... moc zadziałała. Sprawia, że Emma zapamięta to, co on zechce.

- Smakuje? Oblizła wargi.

- Pycha.

Cudowne zwierzę, pomyślał, nagle wpadając w figlarny nastrój. Cudowne, cudowne zwierzątko.

ROZDZIAŁ 3

Południe

W sennym koszmarze Buddy'ego dwaj mężczyźni napełniali zbiornik wodny kotami. W najciemniejszą noc, tuż przed wschodem słońca, stali nad brzegiem jeziora, otwierali klatki i ciskali zwierzęta do wody. Kociaki wydierały się, protestując przeciw temu zamachowi na ich cześć i wygodę. Wkrótce zbiornik był przepelniony kotami: koty uliczne, syjamskie, angorskie, perskie, koty czarne i szare, białe i żółte, w pręgi i plamy, stare kocury i mak kocięta. Daleko od zbiornika, w Black River, Buddy Pellineri otworzył w kuchni kran z zimną wodą. Dziesiątki wściekłych, rozpalonych do białej gorączki kotów zaczęły wylewać się do zlewu. Duże koty, które jakimś cudem prześliznęły się przez wodociągi, wąskie rury, pułapki na szczury, kolanka i ekrany filtrów. Miauczące, piszczące, fukające, gryzące, drapiące koty wypadały jeden za drugim i żłobiąc pazurami emalię, parły niepowstrzymanie ze zlewu, gdy następny strumień kotów wylewał się na nie. Koty na ladzie kuchennej. Koty na pudełku na chleb. Koty na suszarce do naczyń, Skakały na podłogę i wdrapywały się na szafki. Jeden z nich skoczył Buddy'emu na plecy, kiedy ten szykował się do ucieczki. Buddy strząsnął go, cisnął o ścianę. To okrucieństwo rozgniewało pozostałe stworzenia. Tłumnie rzuciły się na Buddy'ego, wszystkie prychały i miauczały. Dobrnął do sypialnio-bawialni tuż przed nimi, zatrzasnął za sobą drzwi, przekręcił klucz. Koty ciskały się o przeszkodę i wydierały nieustannie, ale nie były na tyle silne, żeby się przebić. Odetchnął. Udało się uciec. Buddy odwrócił się... i zobaczył klatkę o powierzchni dziesięciu jardów kwadratowych z kotami, mnóstwo zielonych oczu, patrzących nieruchomo na niego, a za kotami dwóch mężczyzn w czarnych skafandrach nurków, z futerałami z bronią pod pachą.

Obudził się i zerwał z krzykiem. Walił w materac, szamotał się z pościelą, tłukł pięściami poduszki. Dopiero po kilku sekundach, stopniowo, uświadomił sobie, że nie walczy już z kotami. - Sen - wymamrotał.

Ponieważ Buddy spał przedpołudniami i wczesnymi popołudniami, zasłony miał gęste, grube i w pokoju nie było światła. Szybko zapalił nocną lampkę.

Żadnych kotów.

Żadnych mężczyzn w skafandrach do nurkowania.

Chociaż wiedział, że śnił, chociaż śnił ten sam sen przez ostatnie trzy dni, wstał z łóżka, wsunął stopy w wielkie kapcie i poczłapał do kuchni sprawdzić krany. Nie łały się z nich koty i dobrze było to wiedzieć.

Ale przeżył silny wstrząs. Nie lepiej czuł się po poprzednich koszmarach. Cały tydzień dręczyły go jakieś sny i nigdy nie mógł zasnąć, kiedy już otrząsnął się z majaków.

Zegar ścienny wskazywał 12.13. Buddy przychodził do domu z tartaku o wpół do dziewiątej, szedł do łóżka o wpół do dziesiątej, pięć razy w tygodniu, jak nakręcony mechanizm. Dziś miał za sobą jedynie trzy godziny snu.

Podszedł do stolika kuchennego, siadł i otworzył magazyn geograficzny, kupiony w poniedziałek w sklepie. Wpatrywał się w fotografie nurków w skafandrach.

Dlaczego? - myślał. Nurkowie. Marynarze. Broń. Przy zbiorniku. Tak późno. Ciemno.

Nurkowie. Dlaczego? Pomyśl. Nie potrafię. Potrafisz. Nie potrafię. Potrafię. Nurkowie. W lesie.

Noc. Wariactwo. Nie mogę nic wymyślić.

Zdecydował się wziąć prysznic, ubrać się i pójść na drugą stronę ulicy do Sklepu Ogólnoasortymentowego Edisona. Najwyższy czas poprosić Sama, żeby pomyślał za niego.

O 12.05 Rya obserwowała mężczyznę w okularach z grubymi szklami, szarych spodniach i granatowej koszuli. Wszedł do pensjonatu Pauline Vicker. Właśnie ten człowiek kazał Bobowi Thorpowi zabić Marka.

O 12.10 weszła do kościoła i ukryła się w konfesjonale, w prawym rogu nawy. W zeszłym tygodniu słyszała, jak Emma mówiła, że w każdy piątek chodzi na lunch i karty do klubu mieszczącego się w podziemiach kościoła. Przez szparę w szkarłatnych zasłonach z grubego aksamitu spoglądała na stopnie prowadzące w dół, do klubu. Panie w jasnych letnich sukienkach i

kombinezonach, z parasolkami, przychodziły pojedynczo i parami przez następny kwadrans.

Emma Thorp przeszła sklepionym łukowato przejściem dokładnie o wpół do pierwszej. Rya poznała ją mimo słabego światła. Gdy Emma znikła na schodach, Rya opuściła konfesjonał.

Przez moment znieruchomiła na widok krucyfiks wiszącego na odległej ścianie.

Drewniany Chrystus patrzył ponad ławkami wprost na nią.

Mogłeś uratować mamę, uczyniła mu wyrzut. Mogłeś uratować Marka. Dlaczego stworzyłeś morderców?

Oczywiście, drewniany krucyfiks milczał.

Bóg pomaga tym, którzy sami sobie pomagają, pomyślała. Dobra. Pomogę sobie sama.

Zapłacą za to, co zrobili Markowi. Zdobędę dowód. Jeszcze się przekonasz, że mi się uda.

Znów zaczęła dygotać i łzy napłynęły jej do oczu. Uspokojenie się zabrało jej minutę.

Opuściła nawę.

W kruchcie okazało się, że jedno ze skrzydeł głównych drzwi jest otwarte, a najniższy z czterech zawiasów usunięto. Skrzynka na narzędzia stała na podłodze. Narzędzia leżały rozłożone tuż obok. Robotnika nie było.

Odwróciła się, spojrzała na krucyfiks.

Drewniane oczy wciąż patrzyły na nią. Były okropnie smutne. Szybko, w obawie, że robotnik może w każdej chwili wrócić, pochyliła się i zabrała ciężki klucz. Wsunęła go do kieszeni wiatrówki, wyszła z kościoła.

O 12.35 minęła spacerowym krokiem ratusz, stojący na północno-wschodnim rogu rynku.

Biuro szefa policji znajdowało się od tyłu na parterze, miało dwa duże okna. Żaluzje podniesiono.

Przechodząc obok nich, zobaczyła Boba Thorpa. Siedział przy biurku z twarzą zwróconą w stronę okna. Jadł kanapkę i czytał gazetę.

O 12.40 stała przed restauracją Ultmana i obserwowała grupę dzieciaków jadących na

rowerach w kierunku północnym Union Road do wyłożonej tłuczniami alejki, gdzie czasem odbywały się piątkowe wyścigi kolarskie. Był wśród nich także Jeremy Thorp.

O 12.45 na południowym końcu Union Road Rya przecięła ulicę, przeszła pod wysokim krzewem winorośli i znalazła się na tyłach domu Thorpa. Trawnik ginął w zaroślach i drzewach, dalej nie było ulic ani zabudowań. Po lewej stronie znajdował się tylko trawnik i garaż, dalej płynęła rzeka. Po prawej strone sąsiednie zabudowanie było bliżej Union Road niż dom Thorpa. Rya mogła więc niepostrzeżenie dostać się tutaj, na miejsce zbrodni.

Wypolerowana miedziana kołatka błyszczała pośrodku drzwi. Po jednej stronie, blisko gałki, znajdowały się trzy duże, umieszczone w pionie, dekoracyjne okienka.

Zastukała głośno. Nikt nie odpowiedział.

Kiedy próbowała otworzyć drzwi, okazało się, że są zamknięte. Spodziewała się tego.

Wyjeja z wiatrówki skradziony klucz, mocno go ścisnęła i rozbiła środkową szybkę.

Uderzenie było znacznie głośniejsze, niż przypuszczała - choć nie na tyle głośne, żeby ją zniechęcić. Oczyszczyła okienko z odłamków szkła i zaczęła na oślep szukać zasuw. Przez dłuższy czas - przejęta - nie mogła znaleźć mechanizmu, aż wreszcie palce natrafiły na zimny metal.

Prawie przez minutę mocowała się z zamkiem, w końcu otworzyła go, wyciągnęła rękę z okienka, otworzyła drzwi. Stała w progu, patrząc na zasłaną cieniami kuchnię, i myślała: A co będzie, jeśli ktoś z nich wróci i znajdzie mnie tu?

Naprzód! - ponaglała się. Lepiej wejść, zanim odwaga opuści się do reszty.

Boję się. Oni zabili Marka.

Dziś rano uciekłaś. Chcesz znowu uciec? Zamierzasz ciągle uciekać przed wszystkim, co cię przeraża, aż do śmierci? Weszła do kuchni.

Podeszła do kuchenki elektrycznej, przy której zamordowano Marka. Stanęła nieruchomo, gotowa do ucieczki, wytężyła słuch. Lodówka i zamrażarka buczały cicho, jednostajnie. Zegar

tykał rytmicznie. Niedomknięte okno trzasnęło, kiedy podmuch wiatru omiótł ścianę. W bawialni stojący zegar, spóźniony o kilka minut, z powagą wybił trzeci kwadrans; dźwięk wibrował długo po uderzeniu gongu. Dom był pełen szmerów i dźwięków. Ale to nie ludzie hałasowali. Była sama.

Po złamaniu prawa, pogwałceniu świętości obcego domostwa, mając pierwszy, najniebezpieczniejszy krok za sobą, nie mogła się zdecydować, co robić dalej. Cóż... Przeszukać dom. Oczywiście. Przeszuka go od piwnic do strychu. Poszuka ciała. Ale od czego zacząć?

W końcu dotarło do niej, że niemożność podjęcia decyzji wynika ze strachu, który poprzednio zdecydowała się odrzucić. Zrozumiała, że rozpaczliwie lęka się, iż znajdzie ciało Marka, chociaż właśnie w tym celu tu przyszła. Zaczęła przeszukiwać kuchnię. Było w niej niewiele miejsc, w których dałoby się ukryć ciało dziewięcioletniego chłopca. Zajrzała do spiżarki, lodówki. Potem do zamrażarki, ale nie znalazła nic niezwykłego.

Dopiero gdy otworzyła szafkę pod zlewem, zobaczyła, że wiadro jest pełne zakrwawionych szmat, a raczej ścierek - bo ścierkami wycierali krew. Potem wrzucili je do wiadra i widać zapomnieli o zniszczeniu dowodu. Podniosła kawałek materiału. Był mokry, zimny, ciężki od krwi. Puściła ścierkę i ze zgrozą wpatrywała się w zabrudzoną rękę.

- Och, Marku! - szepnęła ze smutkiem, reszką tchu. W głębi ciała poczuła ból. Rósł, wypełniał piersi. - Mały Marku... Nigdy nie skrzywdziłeś nikogo. Nigdy nikogo. Co oni ci zrobili? Jaką straszną rzecz ci zrobili? Dlaczego?

Podniosła się. Miała miękkie kolana.

Znajdź ciało, pomyślała.

Nie, odpowiedziała sobie.

Przyszłaś tu, aby znaleźć ciało.

Zmieniłam zdanie, Znaleźć ciało? Nie. Nie, to jest po prostu... ponad moje siły. To jest za trudne. Znaleźć go... Marka... Z na pół rozbitą czaszką... z zapadniętymi oczami... krwią zaschlą na

całej twarzy... Za dużo. Nawet silne dziewczyny nie ze wszystkim potrafią się w życiu uporać.

Nawet silne dziewczyny dochodzą do jakiejś granicy. Tu jest moja. Moja granica. Nie dam rady szukać... po całym domu... po prostu nie mogę...

Zaczęła płakać, trząść się. Uniosła wiadro, wyszła z tego domu.

O 12.45 Salsbury zniósł ze swojego pokoju teczkę i skierował się z nią w stronę salonu.

Pauline Vicker siedziała w największym z trzech foteli. Była ociężałą kobietą po sześćdziesiątce. Rozpuszczone siwe włosy. Czerstwa twarz. Podwójny podbródek. Wesołe spojrzenie i prawie zawsze uśmiech na twarzy. Oblicze klasycznej babci, modelowe rysy miłej staruszki z książeczek i filmów dla dzieci. Zajadała cukierki, oglądając telewizyjną operę mydlaną.

- Pani Vicker - odezwał się od drzwi. Spojrzała na niego, nie przestając żuć toffi. Z niejakim trudem przełknęła cukierek.

- Dzień dobry, panie Deighton. Jeżeli ma pan jakieś zażalenie co do pokoju albo czegoś innego, czy nie byłby pan łaskaw zaczekać z tym przez chwilę, dosłownie kilka minutek - nie więcej, łaskawy panie, nie więcej - aż ten odcinek się skończy? To jeden z moich ulubionych seriali i...

- Jestem klucz - powiedział zniecierpliwiony.

- Och - powiedziała rozczarowana, że nie obejrzy do końca programu. - Jestem zamek.

- Podnieść się, pani Vicker. Wygramoliła się z fotela. Stare, tłuste krówsko, pomyślał.

- Czego panu potrzeba? - zapytała uprzejmie.

- Potrzebuję na jakiś czas tego pokoju - powiedział. Podeszedł do biurka, na którym stał jej prywatny telefon. - Nie przeszkadzać!

- Czy mam wyjść?

- Tak. Zaraz.

Tęsknie zerknęła na okrągły stoliczek z klonowego drewna, stojący przy fotelu.

- Czy mogę zabrać cukierki?
- Tak. Tak. Tylko niech się pani wynosi, do diabła! Zadowolona capnęła pudełko.
- Już mnie nie ma. Już mnie nie ma, panie Deighton. Proszę, niech się pan tu rozgości. Nie pozwolę, żeby ktokolwiek panu przeszkadzał.
- Pani Vicker.
- Tak?
- Niech pani idzie do kuchni.
- W porządeczku.
- I zje swoje słodycze, jeśli ma pani ochotę,
- Mam.
- Posłucha radia i poczeka w kuchni, aż przyjdę.
- Tak, sir.
- Czy to dość jasne?
- Oczywiście. Zrobię to, co pan kazał. Sam się pan przekona. Idę prosto do kuchni, zjadam słodycze i słucham...
- I drzwi niech pani zamknie za sobą! - dorzucił ostro. - Niech pani już wyjdzie, pani Vicker.

Zamknęła za sobą drzwi salonu.

Salsbury otworzył teczkę przy biurku. Wyjął z niej zestaw śrubokrętów i jeden z przekaźników końcowych IF - małe czarne pudełko z kilkoma drutami - które Dawson kupił w Brukseli.

Sprytnie, pomyślał. Inteligentnie. Inteligentnie z mojej strony, że przywiozłem IF. Nie wiedziałem, po co biorę to ze sobą. Przeczucie. Po prostu przeczucie. A teraz się opłaciło.

Inteligentnie. Jestem górą. Jestem górą jak nic i trzymam wszystko w garści - pod kontrolą. Pełną

kontrolą.

Po uważnym przeanalizowaniu sposobów dalszego działania, z matematyczną wręcz dokładnością nawet po tak niedawnym otrząśnięciu się z panicznego strachu, zdecydował, że nadszedł czas wysłuchać, co Paul Annendale ma do powiedzenia Edisonom. Na biurku stało kilkanaście miniaturowych szklanych łabędzi, każdy nieznacznie różnił się od pozostałych kształtem i kolorem. Zmiotł figurki na podłogę; odbiły się od dywanu i stuknęły dźwięcznie o siebie. Jego matka zbierała ręcznie dmuchane figuryнки, lecz nie łabędzie. Woląta pieski. Były ich setki. Zgniół jednego łabędzia i wyobraził sobie, że to szklany piesek. Był dziwnie podniecony tym gestem. Podłączył przekaźnik końcowy do aparatu i wykręcił numer sklepu. Po drugiej stronie ulicy w domu Edisona nie zadzwonił żaden telefon. A jednak mikrofony telefonów w sklepie i w pomieszczeniach mieszkalnych na górze zaczęły pracować.

Po kilku pierwszych minutach słuchania wątle opanowanie, które udało mu się odbudować po morderstwie, runęło. Buddy Pellineri opowiadał swym na wpół zrozumiałym językiem Samowi, Jenny i Paulowi o dwóch mężczyznach, którzy wyłonili się ze zbiornika rankiem 6 sierpnia.

Widziano Rossnera i Holbrooka!

Nie była to jedyna ani nawet najgorsza ze złych wieści. Zanim Buddy dotarł do końca swej opowieści, zanim Edison i inni skończyli zadawać mu pytania, zjawiła się córka Annendale'a z wiadrem pełnym zakrwawionych szmat. Cholerne wiadro! Tak się śpieszył, żeby sprzątnąć kuchnię i ukryć ciało, że wstawił wiadro pod zlew, a potem zupełnie o nim zapomniał. Ciało chłopca nie było wcale ukryte lepiej - ale przynajmniej nie w tym pomieszczeniu, gdzie popełniono morderstwo. Cholerne zakrwawione szmaty. Zostawił dowody zbrodni na miejscu przestępstwa, dosłownie na widoku, tam gdzie każdy dureń mógł je znaleźć!

Nie ma już czasu na wielogodzinne rozwiązywanie coraz to nowych problemów, jakich mu

nie szczędzi dzisiejszy dzień. Jeśli ma zapanować nad sytuacją i uratować plan, będzie musiał myśleć i działać szybciej niż kiedykolwiek do tej pory.

Postawił nogę na kolejnym łabędziu i rozdeptał go na miazgę.

ROZDZIAŁ 4

13.10

Huk pioruna przetoczył się przez dolinę, a wiatr dmuchnął do wtóru ze zdwojoną siłą.

Paul Annendale wszedł na schodki z tyłu domu Thorpa. Przeżywał wewnętrzne rozdarcie.

Z jednej strony mocno chciał wierzyć Emmie Thorp, ale jednocześnie nabierał przekonania, że

Rya mówi prawdę.

- Zaczekaj. - Sam położył mu rękę na ramieniu i zacisnął palce jak szpony.

Paul obrócił się. Wiatr targał mu włosy, wiał w oczy.

- To włamanie, naruszenie miru domowego.

- Drzwi są otwarte.

- To niczego nie zmienia powiedział Sam. Puścił go. - Drzwi są otwarte, ponieważ Rya się włamała.

Paul wiedział, że Sam usiłuje przemówić mu do rozsądku dla jego dobra, ale mimo to był zniecierpliwiony.

- Więc co, do diabła, mam zrobić. Sam? Zawołać gliny? Albo może pociągnąć za jakieś sznurki, wykorzystać znajomości, zatelefonować do szefa policji i nakazać mu, żeby sam siebie śledził?

- Możemy zadzwonić po policję stanową.

- Nie.

- Może tu nawet nie ma ciała!

- Jeśli nie byli do tego zmuszeni, nie usunęli ciała w środku dnia.

- Może w ogóle nie ma ciała. Może wszystko to jest nieprawda.

- Modlę się do Boga, żebyś miał rację.

- Słuchaj, Paul. Dzwonimy po policję stanową.

- Mówiłeś, że potrzebują aż dwóch godzin, żeby tu dotrzeć. Jeśli ciało jest nadal w tym

domu, to prawdopodobnie do tego czasu już go nie będzie.

- Ale to wszystko jest wprost nieprawdopodobne! Po co, na wszystkie świętości, Bob miałby mordować Marka?

- Słyszałeś, co mówiła Rya. Ten socjolog kazał mu go zabić. Ten Albert Deighton.

- Nie wiedziała, że to Deighton - powiedział Sam.

- Sam, to ty rozpoznałeś go na podstawie opisu.

- Dobra. Niech będzie. Ale czy Emma mogłaby pójść do klubu w kościele na lunch i na partyjkę brydzyka tuż po tym, jak widziata męża mordującego bezbronne dziecko? I czy taki chłopiec, jak Jeremy, mógłby przyglądać się brutalnemu morderstwu, a potem okłamać cię tak gładko? Czy to możliwe?

- Ty jesteś ich sąsiadem, Znasz ich. Powiedz, co o tym myślisz.

- I o to właśnie chodzi - odparował Sam. - Oni są moimi sąsiadami od wielu, wielu lat.

Prawie całe życie. Znam ich dobrze. Jak nikogo. I mówię ci, Paul, oni absolutnie nie są zdolni do czegoś takiego.

Paul przycisnął dłoń do brzucha. Miał skurcze żołądka. Widok zgęstniałej krwi i włosów podobnych do włosów Marka w tamtym wiadrze wywołał wstrząs nie tylko psychiczny, ale także fizyczny. Lub może wstrząs psychiczny był tak druzgocący, tak przemożny, że nagłe przemieszczenie krwi było nieuniknione.

- Znałeś tych ludzi w normalnych okolicznościach, w normalnych czasach. Ale przysięgam, Sam, coś niezwykłego dzieje się w tym miasteczku. Najpierw opowieść Ryi. Zniknięcie Marka. Krwawe szmaty. A jeszcze na dodatek zjawia się Buddy z opowieścią o nieznanym przy zbiorniku, na parę dni przedtem, nim całe miasto zapadło na dziwną, niepojętą epidemię...

- Myślisz, że dreszcze mają związek z tym, z... - Przerwał mu ogłuszający trzask pioruna.

Sam mrugał zaskoczony. - Buddy nie jest wiarygodnym świadkiem - kontynuował, kiedy grzmot ucichł. - Uwierzyłeś mu, co?

- Wierzę, że zobaczył coś dziwnego, zgoda. Ale czy było to dokładnie to samo, co Buddy myśli, to...

Och, wiem, że nie widział nurków w skafandrach, oni nie noszą wysokich gumowych butów. Zobaczył... Wydaje mi się, że zobaczył dwóch mężczyzn z pustymi pojemnikami do rozprowadzania chemikaliów.

- Ktoś skaził zbiornik? - zapytał Sam z niedowierzaniem.

- Na to mi wygląda.

- Kto? Rząd?

- Niewykluczone. Albo może terroryści. Albo nawet prywatne przedsiębiorstwo.

- Ale dlaczego?

- Żeby zobaczyć, czy środek powodujący skażenie, działa jak powinien.

- Skazić zbiornik... czym? - Sam skrzywił się. - Czymś, co zmienia ludzi w psychopatów mordujących na rozkaz? Paulem wstrząsnął dreszcz.

- Jeszcze go nie znaleźliśmy - szybko powiedział Sam. - Nie trać nadziei. Nie trafiliśmy na dowód, że nie żyje.

- Sam... Och, Boże, Sam, wydaje mi się, że to nastąpi. Naprawdę tak mi się wydaje. - Paul był bliski łez, ale wiedział, że w obecnej sytuacji to luksus, na który nie może sobie pozwolić.

Odchrząknął. - I założę się, że ten socjolog, Deighton, ma jakiś związek z ludźmi, których widział Buddy. On nie przyjechał do Black River, żeby przeprowadzać badania. On wie, co wpuszczono do zbiornika, i przebywa w mieście tylko po to, by sprawdzić, jak działa ta substancja na tutejszych mieszkańców.

- Dlaczego Jenny i ja nie dostaliśmy tych nocnych dreszczy?

- Nie wiem. - Paul wzruszył ramionami. - I nie mam pojęcia, w co wpakował się Mark dziś rano. Co on takiego zobaczył, że musiano go zabić?

Patrzyli się na siebie, przejęci grozą na myśl, że ludzie z miasteczka są doświadczalnymi świnkami morskimi w jakimś niesamowitym eksperymencie. Obydwaj woleliby obrócić wszystko w żart, pośmiać się do rozpuku, ale w tej chwili nie byli zdolni nawet się uśmiechnąć.

- Jeżeli jest w tym choć odrobina prawdy - powiedział zatroskany Sam - to tym bardziej powinniśmy ściągnąć tu policję stanową.

- Najpierw muszę znaleźć ciało. Potem ściągniemy policję. Zamierzam odszukać mojego syna, nim wrzucą go gdzieś do dołu, diabli wiedzą gdzie. Może wysoko w górach. Stopniowo twarz Sama stawała się tak biała, jak jego włosy.

- Nie mów o nim tak, jakbyś wiedział, że już nie żyje. Nie wiesz tego, do cholery! Paul nabrał powietrza głęboko w płuca. Ból zagnieździł mu się w piersiach.

- Sam, powinienem był uwierzyć Ryi tego ranka. Ona nie kłamie. Te pokrwawione ścierki... Słuchaj, ja muszę w ten sposób o nim mówić. Ja muszę tak o nim myśleć. Jeżeli przekonam siebie, że on żyje, a potem znajdę ciało - nie zniosę tego bólu. On mnie zniszczy. Rozumiesz?

- Tak.

- Nie musisz wchodzić ze mną.

- Nie mogę cię tam puścić samego - powiedział Sam.

- Ależ tak, możesz. Nic mi się nie stanie.

- Nie puszczę cię tam samego.

- W porządku. Skończmy z tym.

- To dobry chłopiec - łagodnie odezwał się Sam. - Zawsze taki był. Kocham go, jakby był moim własnym synem.

Paul skinął głową, odwrócił się i wszedł do ciemnego domu.

Przedsiębiorstwo telekomunikacyjne zajmowało narożny jednopiętrowy, ceglany budynek na West Main Street, pół kwartału od rynku. Od pensjonatu Pauline Vicker szło się tam wolnym krokiem dwie minuty.

Frontowe biuro na parterze, gdzie składano reklamacje i przyjmowano rachunki, było niewielkie i lśniło czystością. Składało się nań: osiem szafek z aktami, kasa, elektroniczny kalkulator, fotokopiarka, maszyna do pisania, w rogu długi sosnowy stół i dwa krzesła, duże metalowe biurko z solidnym fotelem, kalendarz Sierra Club, kilka telefonów, stosy reklamówek firmy, radio i kilka flag Stanów Zjednoczonych w stojaku z nierdzewnej stali. Na meblach nie było kurzu, na kafelkowej podłodze śladu błota, a każdy stosik papieru do pisania na maszynie, formularzy i kopert był równy i trzymany we wzorowym porządku.

Jedyna osoba obecna w biurze miała równie profesjonalny wygląd, jak samo pomieszczenie. Była to chuda, ale całkiem atrakcyjnie prezentująca się kobieta, na przełomie trzydziestki i czterdziestki. W krótko przyciętych brązowych włosach przewijało się zaledwie kilka pasemek siwizny. Cerę miała gładką i mlecznobiałą. Chociaż twarz odznaczała się nieco surowym zarysem, równoważyły go wydatne, zmysłowe usta, które ratowały urodę, ale robiły wrażenie pożyczonych z innego oblicza. Kobieta miała na sobie elegancki i praktyczny kombinezon oraz białą bawełnianą bluzę. Okulary zawiesiła na łańcuszku i kiedy zdejmowała je z nosa, opadały na piersi.

Salsbury wszedł do biura. Kobieta zbliżyła się do kontuaru, przywołała służbowy uśmiech i zagadnęła:

- Czy ciągle zanoszą się na deszcz?

Salsbury przymknął przeszkłone francuskie drzwi.

- Tak. Jak najbardziej.

- Czym mogę panu służyć?
- Jestem klucz.
- Jestem zamek. Podeszedł do kontuaru. Bawiła się okularami na piersi.
- Jak się nazywasz?
- Joan Markham.
- Jesteś sekretarką?
- Jestem zastępcą kierownika.
- Ilu ludzi tu pracuje?
- W tej chwili?
- W tej chwili.
- Sześcioro, wliczając mnie.
- Wymień ich, proszę, jednego po drugim.
- Cóż, jest pan Pulchaski.
- Kto to?
- Kierownik.
- Gdzie jest teraz?
- W swoim gabinecie. Frontowy pokój na górze.
- Kto jeszcze, Joan?
- Leona Ives. Sekretarka pana Pulchaskiego.
- Też jest na górze?
- Tak.
- Zostaje trójka.
- To pracownice.
- Telefonistki?

- Tak, Mary Ultman, Bety Zimmerman i Louise Pulchaski.

- Żona pana Pulchaskiego?

- Córnka.

- Gdzie jest centrala?

Wskazała na drzwi w tyle pomieszczenia.

- Prowadzą do sali na dole. Centrala jest w następnym pokoju, z tyłu budynku.

- Kiedy telefonistki kończą zmianę?

- O piątej.

- I przychodzą trzy następne?

- Nie. Tylko dwie. W nocy nie ma tak wielkiego ruchu.

- Nowa zmiana pracuje do... pierwszej w nocy? Zgadza się.

- I następne dwie telefonistki przejmują obowiązki aż do dziewiątej rano?

- Nie. Na nocnej zmianie jest tylko jedna. Nałożyła okulary i po sekundzie znów je zdjęła.

- Jesteś zdenerwowana, Joan?

- Tak. Okropnie.

- Nie bądź zdenerwowana, rozluźnij się. Uspokój. Napięcie szczupłej szyi i ramion zelżało.

Uśmiechnęła, się.

- Jutro jest sobota - powiedział. - Czy na dziennej zmianie będą jutro trzy telefonistki?

- Nie, Podczas weekendów są najwyżej dwie.

- Joan, widzę, że obok twojej maszyny do pisania leży długopis i notatnik. Chcę, żebyś

przygotowała mi listę wszystkich telefonistek, które są umieszczone w grafiku na dzisiejszy

wieczór i jutrzejsze dwie pierwsze zmiany. Potrzebne mi są ich nazwiska i numery telefonów

domowych. Zrozumiano?

- Och, tak. - Podeszła do biurka.

Salsbury skierował się do drzwi wyjściowych. Wyglądał na Main Street przez szybki o powierzchni sześciu cali kwadratowych.

Letni wiatr zapowiadał burzę, bezlitośnie gwałcił drzewa, jakby rozkazywał im się ukryć.

Na ulicy nie było nikogo.

Salsbury spojrzął na zegarek. 13.15.

- Pośpiesz się, głupia suko. Podniosła wzrok.

- Co?

- Nazwałem cię głupią suką, Mniejsza z tym. Skończ tę listę. Pośpiesz się już.

Jeszcze pilniej operowała długopisem i notatnikiem.

Suki, pomyślał. Parszywe suki. Wszystkie takie są. Co do jednej. Zawsze wszystko zawałają. Suki i tyle.

Pusta ciężarówka do przewozu drewna przejechała przez Main Street w kierunku tartaku.

Proszę - odezwała się kobieta.

Wrócił do kontuaru, przy którym obsługiwano klientów, wyjął jej z ręki kartkę, spojrzął.

Siedem nazwisk. Siedem numerów telefonów. Złożył kartkę i wsunął do kieszeni koszuli.

- A teraz, co z elektrykami? Nie macie monterów do stałej obsługi linii?

- Mamy czteroosobową brygadę - wyjaśniła Joan. - Dwaj na dziennej zmianie, dwaj na wieczornej. Nie ma nikogo wyznaczonego na stałe do zmian nocnych ani na weekendy, ale każdy z nich jest pod telefonem na wypadek awarii.

- I teraz dwaj są w pracy?

- Tak.

- Gdzie?

- Likwidują awarię w tartaku.

- Kiedy wrócą?

- O trzeciej. Może w pół do czwartej.

- Kiedy wrócą, pošlesz ich do biura Boba Thorpa. - Już wcześniej zdecydował, że biuro szefa policji uczyni swoją kwaterą główną na czas kryzysu. - Zrozumiano, Joan?

- Tak.

- Zapisz mi nazwiska i numery domowe dwóch pozostałych monterów.

Potrzebowała pół minuty na to zadanie.

- Teraz słuchaj uważnie, Joan.

Oparła ramiona na kontuarze, pochyliła się do niego. Robiła wrażenie zachłannie ciekawej tego, co ma jej do powiedzenia.

- W ciągu następnych kilku minut wiatr zerwie przewody między tą miejscowością a Bexford. Nikt w Black River ani w tartaku nie będzie mógł zadzwonić ani przyjąć rozmowy zamiejscowej.

- Och - westchnęła ze znużeniem. - No to mam dzień z głowy. Jak amen w pacierzu. Chodzi ci o reklamacje?

- Co jedna, to gorsza.

- Jeśli ludzie będą narzekać, powiedz, że monterzy z Bexford pracują nad likwidacją uszkodzenia. Ale awaria jest bardzo poważna. Naprawa zajmie wiele godzin. Roboty mogą się zakończyć dopiero jutro po południu. Czy to jasne?

- Nie spodoba im się to.

- Ale czy to jasne?

- Jasne.

- W porządku. - Westchnął. - Za moment idę pogadać z dziewczynami w centrali. Potem na górze zobaczę się z twoim szefem i jego sekretarką. Kiedy wyjdę z tego pomieszczenia, zapomnisz o wszystkim, co powiedziałem. Zapamiętasz mnie jako montera z Bexford. Po prostu byłem

monterem z Bexford, który wpadł powiedzieć ci, że jego brygada już zasuwą. Zrozumiano?

- Tak.

- Wracaj do pracy. Podeszła do biurka.

Cofnął się od kontuaru. Opuścił biuro przez drzwi prowadzące na dół do centrali telefonicznej.

Paul czuł się jak włamywacz.

Nie przyszedłeś tu kraść, tłumaczył sobie. Przyszedłem tylko po ciało swojego syna. Jeśli ono tu jest, zabierzesz je.

Ale kiedy rozglądał się po domu Thorpa, czuł się jak złodziej.

Do 13.45 razem z Samem przeszukali górę i dół, sypialnie i łazienki, szafy ścienne, bawialnię i mały pokój, jadalnię i kuchnię. Ciała nie było. W kuchni Paul uniósł klapę zasłaniającą schody do piwnicy i zapalił światło.

- Na dół. Od piwnicy powinniśmy zacząć. To najbardziej prawdopodobne miejsce.

- Nawet jeśli opowieść Ryi jest prawdziwa - powiedział Sam - nie jest mi łatwo. Chodzi o to szperanie. Przecież ci ludzie są moimi starymi przyjaciółmi.

- Mnie też to nie bawi.

- Czuję się gównianie.

- Prawie kończymy.

Zeszli po schodach.

Pierwsze pomieszczenie piwniczne było przeznaczone na pralnię i mały warsztat Boba. W bliższym rogu stał dwukomorowy zlewozmywak z nierdzewnej stali, dwa wiklinowe kosze na brudną bieliznę, automatyczna pralka z suszarką, duży stół do składania upranej bielizny, regały z butelkami z wybielaczem, płynem do usuwania plam, pudłami proszków do prania. Po przeciwnej stronie - wąski stół z imadłami i różnymi narzędziami, niezbędnymi Bobowi do robienia przynęty.

Był entuzjastycznym, zagorzałym wędkarzem, łowiącym na muchę, który lubił bawić się przygotowaniem przynęty. Co roku sprzedawał jej dwieście do trzystu sztuk, dzięki czemu hobby przynosiło takie dochód.

Sam zajrzał w zaciemioną przestrzeń pod schodami, a potem przeszukał szafy obok pralki.

Nie ma ciała. Nie ma krwi. Nic.

Paul czuł w żołądku pieczenie i bulgotanie, jakby łyknął szklanekę kwasu.

Zajrzał do szafek nad i pod stołem, wzdrygając się nerwowo przy otwieraniu każdych drzwiczek.

Nic.

Drugie pomieszczenie, wielkości połowy pierwszego, przeznaczono wyłącznie na spiżarnię. Dwie ściany od podłogi do sufitu zastawiono regałami, umieszczono na nich kupne i domowej roboty marynaty. Duży zamrażalnik stał dalej przy ścianie.

- Jest tam albo nigdzie - powiedział Sam.

Paul podszedł do zamrażalnika.

Uniósł wieko.

Sum stanął obok.

Owiało ich lodowate powietrze. Zatańczyły wokół nich ogrzane w ciepłe pomieszczenia opary jak duchy, jak bezcielesne widma, i rozplynęły się w powietrzu.

W zamrażalniku było kilkadziesiąt owiniętych w folię plastikową i opisanych kawałków mięsa. Pakunki ułożono bez dbałości o ekonomiczne wykorzystanie miejsca - i Paulowi wydało się to co najmniej dziwne. Poza tym nie zostały poukładane według wielkości, wagi czy zawartości.

Wrzucono je byle jak. Jakby w wielkim pośpiechu.

Paul wyjął piecioletowy kawałek pieczeni wołowej i rzucił go na podłogę. Potem

dziesięciofuntowy kawał bekonu. Następnie pięć funtów pieczeni. Znowu wołowina, Jeszcze

bekon. Kotlety wieprzowe...

Chłopiec leżał na spodzie zamrażalnika, z ramionami złożonymi na piersi i podciągniętymi kolanami. Nozdrza miał pełne zaschłej krwi. Rubinowy sopel pieczętował usta i zacierał linię podbródka. Mark wpatrywał się w nich mlecznymi, jakby przesłoniło je bielmo, zastygłymi oczami. Nic nie wyrażały.

- Och... nie! Jezu! - szepnął Sam. Odwrócił się od zamrażalnika i wybiegł. W drugim pomieszczeniu odkręcił kran, woda pluskała głośno.

Paul słyszał, jak Sam dławi się i gwałtownie wymiotuje.

Dziwne, ale teraz całkowicie panował nad swoimi uczuciami. Kiedy zobaczył martwego syna, gniew, rozpacz i smutek natychmiast przemieniły się w głębokie współczucie, w niewymowną tkliwość.

- Mark odezwał się łagodnie. - Już dobrze. Dobrze. Jestem tu. Jestem teraz z tobą. Już nie jesteś sam.

Wyjmował resztę mięs z zamrażalnika. po jednym kawałku, powoli odkopując grób syna.

- Paul? Pójdę... pójdę na górę. Do telefonu. Zadzwońię po policję stanową - odezwał się Sam od drzwi. Paul wpatrywał się w zamrażalnik.

- Słyszysz mnie?

- Tak. Słucham.

- Powiniennem teraz zadzwonić po policję?

- Tak. Teraz tak.

- Jak się czujesz?

- W porządku,

- Dasz sobie tu radę... sam?

- Jasne. Dam.

- Jesteś pewien?

- Oczywiście.

Sam zawahał się, lecz w końcu odwrócił się. Przeskakiwał po dwa stopnie, głośno tupiąc.

Paul dotknął policzka chłopca. Był zimny i twardy jak kość.

W jakiś sposób znalazł dość siły, by wyciągnąć ciało, choć było zeszywniałe. Oparł je o brzeg skrzyni, objął od spodu i podniósł. Położył chłopca na podłodze, na środku piwnicy.

Chuchnął w zgrabiące dłonie.

Wrócił Sam. Wciąż był tak biały, jak rybi brzuch. Spojrzał na Marka. Twarz skrzywiła mu się z bólu, ale nie płakał. Panował nad sobą.

- Zdaje się, że są jakieś kłopoty z telefonami.

- Co za kłopoty?

- Cóż, zostały zerwane przewody do Bexford.

- Zerwane? - Paul zmarszczył brwi. - Czy tak mocno wieje?

- Tu nie. Ale pewnie bliżej Bexford mocniej dmucha. W tych górach zdarza się, że piękna, słoneczna pogoda w jednym miejscu zmienia się tuż obok w gwałtowną burzę.

- Przewody do Bexford... - Paul odgarnął kosmyki sztywnych, zamarzniętych, zlepionych krwią włosów z białego czoła syna - Co to oznacza dla nas?

- Możesz zadzwonić, do kogo chcesz, w mieście, albo do tartaku. Ale nie zamówisz rozmowy międzymiastowej.

- Kto ci powiedział?

- Telefonistka Mary Ultman.

- Czy ona wie, kiedy naprawią linię?

- Musiało nastąpić poważne uszkodzenie. Mówi, że brygada monterów z Bexford już pracuje. Ale potrzeba im kilku godzin na doprowadzenie wszystkiego do porządku.

- Ile godzin?

- Cóż, nie są nawet pewni, czy uda im się to naprawić do rana.

Paul klęczał na cementowej podłodze obok syna. Zastanawiał się nad tym, co usłyszał od Sama.

- Jeden z nas powinien pojechać do Bexford i stamtąd wezwać policję.

- Dobrze - powiedział Paul. Chcesz, żebym ja to zrobił?

- Jak chcesz. Mogę ja. Nie ma znaczenia. Ale najpierw musimy przenieść Marka do twojego domu.

- Przenieść go? - zdziwił się Sam.

- Oczywiście.

- Ale czy to nie jest sprzeczne z prawem? Chrząknął. - Chodzi mi o miejsce popełnienia przestępstwa, i tak dalej.

- Nie mogę go tu zostawić, Sam.

- Ale jeśli to zrobił Bob Thorp, to chcesz, żeby za to zapłacił, prawda? Wiec gdy ruszysz... ruszysz ciało, jaki będziesz miał dowód, że faktycznie tuje znalazłeś?

- Technicy kryminalni potrafią znaleźć ślady włosów i krwi Marka w zamrażalniku - mówił Paul zaskoczony własnym opanowaniem.

- Ale...

- Nie mogę go tu zostawić!

- W porządku. - Sam pokiwał głową.

- Po prostu nie mogę, Sam.

- Dobra. Zaniesiemy go do wozu.

- Dziękuję ci.

- Zawieziemy go do mnie. Jak go weźmiemy?

- Ty... weź za nogi.

Sam dotknął chłopca.

- Jaki zimny.

- Uważaj na niego, Sam.

Sani skinął głową. Podnieśli chłopca.

- Ostrożnie, proszę cię.

- Dobra.

- Proszę.

- Będę ostrożny - zapewnił Sam. - Będę.

ROZDZIAŁ 5

14.00

Grzmiało. Łoskot, huk piorunów. Ulewny deszcz siekł w szyby biura szefa policji.

Dwaj mężczyźni, pracownicy innych biur, mieszczących się w ratuszu, stali odwrócenii plecami do okien, starając się przybrać wygląd ludzi zdecydowanych, cieszących się autorytetem i całkowicie godnych zaufania, Bob Thorp zaopatrzył ich w jasnożółte deszczowce z kapturami i napisem POLICJA na piersi i plecach. Obydwaj mieli po trzydzieści kilka lat, ale cieszyli się jak chłopcy z tego przebrania. Dorośli mężczyźni, bawiący się w policjantów i złodziei.

- Umiecie obchodzić się z bronią? - zapytał ich Salsbury. Obydwaj potwierdzili, że tak.

Salsbury zwrócił się do Boba Thorpa:

- Wydaj im broń.

- Rewolwery? - zapytał szef policji.

- Masz strzelby?

- Tak.

- Sądzę, że będą lepsze niż rewolwery - powiedział Salsbury. - Zgadzasz się?

- Na tę akcję? Tak.

- To wydaj im strzelby.

Eksplozja oślepiających błyskawic rozjaśniła okna. Jak w świetle stroboskopowym, wydawało się, że każda postać i każdy przedmiot w pokoju nagle skoczyły tam i z powrotem, choć w rzeczywistości nic się nie poruszyło.

Sufitowe świetlówki zamrugały.

Thorp podszedł do metalowej szafki na broń, stojącej za biurkiem, otworzył ją kluczem i wyjął dwie strzelby.

- Wiecie, jak się z tego strzela? - zapytał Salsbury mężczyzn w żółtych płaszczach przeciwdeszczowych. Jeden z nich skinął głową. Drugi powiedział:

- Żadna sprawa. Te maleństwa dają cholernego kopa. Celujesz mniej więcej w kierunku obiektu i pociągasz za spust. - Chwycił strzelbę dwiema rękami. Uśmiechnął się z uznaniem.
- No i dobrze - skwitował Salsbury. - Wasza dwójka pójdzie na parking za budynkiem, wsiądzie w wolny wóz patrolowy i wyjedzie na wschodni kraniec miasta. Wszystko jasne do tej pory?
- Na wschodni kraniec - powtórzył jeden z nich.
- Sto jardów przed skrzyżowaniem w dolinę postawicie wóz w poprzek drogi i zablokujecie oba pasy ruchu. Najlepiej jak się da.
- Blokada drogowa - podsumował jeden z nich, najwyraźniej ucieszony rozwojem akcji.
- Właśnie - powiedział Salsbury. - Jeśli będą chciały wjechać do Black River wozy z tartaku, mieszkańcy, może goście spoza miasteczka - w ogóle każdy - wpuszczacie ich. Z tym że przysyłacie ich tu, prosto do tego biura. Powiecie, że w Black River ogłoszono stan wyjątkowy i absolutnie wszyscy muszą zgłosić się do szefa policji, zanim będą mogli zająć się własnymi sprawami.
- Skąd ten stan wyjątkowy?
- Nie wasza sprawa. Jeden z nich skrzywił się.
- Każdy będzie chciał wiedzieć - zauważył drugi.
- Jeśli będą pytać, powiecie, że szef policji im wyjaśni.
- Obydwaj kiwnęli głowami.
- Thorp wydał policjantom po kilkanaście nabojów.
- Jeśli ktoś będzie chciał wyjechać z Black River - powiedział Salsbury - również kierujecie go prosto do szefa i wstawiacie tę samą gadkę o stanie wyjątkowym. Zrozumiano?
- Tak.

- Tak.

- Za każdym razem, kiedy pošlecie kogoś do Boba lub kiedy ktoś zechce wjechać albo wyjechać z miasta, natychmiast meldujcie przez radio. W ten sposób, jeśli nie zjawi się tu w ciągu kilku minut, będziemy wiedzieć, że mamy do czynienia z jakimś podejrzanym typem.

Zrozumiano?

- Tak - odpowiedzieli obaj.

Salsbury wyjął chusteczkę z tylnej kieszeni spodni i otarł twarz.

- Jeśli ktoś wyjeżdżający z miasta będzie chciał ominąć blokadę, zatrzymajcie go. Jeśli się nic da inaczej, użyjcie broni.

- Mamy go zastrzelić?

- Macie go zastrzelić - powiedział Salsbury. - Ale tylko wówczas, gdy nie będzie innego sposobu zatrzymania.

Jeden z mężczyzn, usiłujący naśladować Johna Wayne'a otrzymującego rozkazy pod

Alamo, pokiwał z powagą głową i zapewnił go:

- Nie martw się. Możesz na nas polegać.

- Jakies pytania?

- Jak długo mamy utrzymywać tę blokadę??

- Następny zespół zluzuje was za sześć godzin. O ósmej wieczorem. - Salsbury wcisnął chusteczkę do kieszeni. - Jeszcze jedna sprawa. Kiedy wyjdziecie z tego pokoju, zapomnicie, że kiedykolwiek mnie spotkaliście. Zapomnicie, że tu byłem. Zapamiętacie tylko to, co wam powiedziałem - oprócz tego, co mówię teraz - każdą ceną uwagę. - Z tym że będziecie myśleć, że to Bob Thorp wydał wam instrukcje. Czy to dość jasne?

- Tak. Dość.

- To ruszajcie.

Mężczyźni wyszli z pokoju, zapominając o Salsburym już w chwili, gdy znaleźli się na korytarzu.

Ostra, biała, pulsująca światłem błyskawica spłynęła na miasteczko. Trzask gromu wstrząsnął oknami.

- Opuść te żaluzje - z irytacją powiedział Salsbury. Thorp zrobił, co mu kazano. Salsbury siadł za biurkiem. Bob wrócił przed biurko. Stał. Salsbury podniósł wzrok.

- Bob, chcę, żebyś zamknął tę miejscinę szczelnie. Tak szczelnie. - Zacisnął pięść, ilustrując tym gestem swoje słowa. - Chcę mieć cholerną pewność, że nikt się stąd nie wydostanie. Czy jeszcze gdzieś powinienem ustawić blokadę?

- Potrzebujesz jeszcze dwóch ludzi we wschodniej części doliny. Jednego do obserwowania rzeki - mówił Thorp, drapiąc się po szczecinie na podbródku. - Powinien mieć karabin, na wypadek, gdyby musiał zdmuchnąć kogoś z łodzi. Drugi człowiek powinien zająć posterunek w lesie między rzeką a drogą. Daj mu strzelbę i każ zatrzymać każdego, kto będzie próbował przedostać się przez las.

- Człowiek przy rzece powinien być doskonałym strzelcem, prawda? - zapytał Salsbury.

- Nie będziesz potrzebował snajpera. Ale tak, to powinien być dobry strzelec.

- W porządku. Skorzystamy w tym celu z jednego z twoich zastępców. Umieją dobrze się posługiwać karabinem?

- Och, jasne.

- Nadają się do tego?

- Bez wątpienia.

- Jeszcze coś?

Thorp przez dłuższą chwilę rozważał sytuację. W końcu powiedział:

- Jest jeszcze sieć starych dróg, które prowadzi w góry i w końcu łączą się z drogami wokół

Bexford. Korzystają z nich drwale. Wiele z nich jest zapuszczonych. Nie są utwardzone. Kilka odcinków może jest zwirowanych, jeśli nie rozmyły ich wiosenne deszcze, ale większość to piach. Wąskie. Pełne chwastów. Skoro jednak ktoś się zaprze, może nimi przejechać.

- No to zablokujemy je - powiedział Salsbury podnosząc się z fotela. Nerwowo krążył od biurka do okna. To miasto jest moje. Moje! Będę trzymał tu łapę na wszystkim, aż rozwiążę ten problem.

Panowanie nad sytuacją w niewiarygodny sposób wymyka mu się z rąk. Będzie musiał zatelefonować do Dawsona. Wcześniej czy później. Prawdopodobnie wcześniej. Nie da się tego uniknąć. Ale zanim zatelefonuje, chce być pewien, że zrobił wszystko, co mógł, bez uciekania się do pomocy Leonarda i Klingera. Pokaże im, że jest stanowczy. Inteligentny. Przydatny. Jego sprawne działanie może wyrzucić wrażenie na generale. I tym draniu nabożnisiu. To zrobi na nich mocne wrażenie. Zmaże jego winę za wcześniejszy błąd. To bardzo ważne. Istota sprawy polega na tym, żeby przeczekać gniew partnerów.

14.30

Powietrze w bibliotece Sama było zastęłe i wilgotne.

Deszcz bębnił w zaparowane okno. Setki małych kropelek zebrały się na wewnętrznej szybie.

Paul wciąż oszołomiony odnalezieniem ciała, siedział w fotelu, z rękami na oparciach.

Czubki palców jak szpony wcisnął w obicie. Sam stał przy regale, wyjmował z półek grube tomy esejów z dziedziny psychologii i kartkował je.

Na szerokim okiennym parapecie monotonię tykał antyczny kominkowy zegar.

Jenny wyłoniła się z korytarza, zamknęła drzwi. Uklękła na podłodze obok Paula i przykryła jego dłoń swoją.

- Jak Rya? - spytał.

Zanim udali się do domu Thorpa na poszukiwanie ciała, Sam dał dziewczynce środek uspokajający.

- Śpi głęboko - powiedziała Jenny. - Nie obudzi się jeszcze przez dwie godziny.

- Tutaj! - wykrzyknął Sam z podnieceniem. Zaskoczeni podnieśli wzrok. Podeszedł do nich z książką.

- Jego zdjęcie. Tego, co mówi, że nazywa się Deighton. Paul wstał, żeby lepiej się przyjrzeć.

- Nic dziwnego, że Rya nie potrafiła znaleźć żadnego jego artykułu - mówił Sam. - Szukaliśmy w spisach treści czegoś, co napisał Albert Deighton. Ale to nie jest jego nazwisko. Naprawdę nazywa się Ogden Salsbury.

- Widziałem go - powiedział Paul. - Był w Ultman's Cafe w dniu, w którym kelnerka przebiła sobie rękę widelcem. I to ona go obsługiwała.

- Myślisz, że to ma jakiś związek z resztą wydarzeń? - spytała Jenny. - Z tą opowieścią, którą poczęstował nas Buddy Pellineri, z tym, co zrobiono Markowi? - Głos zadrżał jej lekko przy ostatnich kilku słowach, oczy się zamglily. Ale przygryzła wargi i zdławiła płacz.

- Tak - rzekł z namysłem Paul, znów dziwiąc się własnemu opanowaniu. Czuł ból. Boże, był pełen bólu! Ale łzy nie przychodziły. - To musi się ze sobą wiązać. Tak czy inaczej. - Zwrócił się do Sama: - Salsbury napisał ten artykuł?

- Według noty wydawcy, to ostatni tekst, który opublikował ponad dwanaście lat temu.

- Ale nie umarł.

- Niestety.

- To dlaczego ostatni?

- Wygląda na bardzo kontrowersyjną osobę. Wychwalany i potępiany, ale głównie potępiany. Miał dość sporów. Przestał wyklądać i pisać, aby móc poświęcić więcej czasu na

prowadzenie badań.

- O czym jest ten artykuł?

- „Całkowita modyfikacja zachowań za pomocą percepcji subliminalnej” - odczytał Sam tytuł i podtytuł: - „Kontrola umysłu z zewnątrz”.

- Co to wszystko znaczy?

- Chcesz, żebym przeczytał ci na głos? Paul spojrzął na zegarek.

- Nie zaszkodzi, jak dowiemy się czegoś o nieprzyjacielu, zanim pojedziemy do Bexford na spotkanie z policją stanową - powiedziała Jenny.

- Ona ma rację - uznał Sam.

- Czytaj. - Paul pokiwał głową.

14.40

W piątek po południu H. Leonard Dawson przebywał w swoim gabinecie w Greenwich, Connecticut. Czytał długi list od żony, napisany na lawendowej papeterii. Julia wybrała się na trzytygodniową wycieczkę do Ziemi Świętej. Minął zaledwie tydzień, a ona dzień po dniu odkrywała, że wycieczka w coraz mniejszym stopniu odpowiada jej wyobrażeniom i oczekiwaniom. Pisała, że wszystkie najlepsze hotele należą do Arabów i Żydów, więc za każdym razem, kiedy udaje się do łóżka, czuje się brudna. W zajazdach jest mnóstwo wolnych pokoi, ale wolałaby już chyba spać w stajniach. Tego ranka szofer zawiózł ją na Golgotę, najśrodsze ze świętych miejsc, jak pisała. Czytała sobie Biblię, gdy samochód krętą drogą zbliżał się do świątyni. Tyleż tu smutku, co radości wieczystej. Ale nawet radość z Golgoty została jej odebrana. Zjawiwszy się na miejscu, odkryła, że święte wzgórze dosłownie roi się od spoconych, czarnych baptystów z Południa. Niesłychane, czarni baptyści z Południa. Dalej...

Zadzwonił biały telefon. Natychmiast rozpoznał jego miękki, gardłowy barrrr-barrrr-barrrr.

Biały telefon był podłączony do najbardziej prywatnej linii w domu. Tylko Ogden i Ernst

znali numer,

Odłożył list, odczekał, aż telefon zadzwoni drugi raz, podniósł słuchawkę.

- Halo?
- Rozpoznaję twój głos - powiedział ostrożnie Salsbury. - Czy mój jest ci znajomy?
- Oczywiście. Używasz dekodera?
- Och, tak - odpowiedział Salsbury.
- No to nie ma potrzeby mówić półsłówkami. Nawet gdyby linia była na podsłuchu, a tak nie jest, nic da się wyłowić sensu tego, co powiesz.
- W zaistniałej u mnie sytuacji - powiedział Salsbury - uważam, że lepiej będzie, jeśli zachowamy środki ostrożności.
- A jaka sytuacja jest u ciebie?
- Mamy tu poważny kłopot.
- Na miejscu próby?
- Na miejscu próby.
- Jakiego rodzaju kłopot?
- Wypadek śmiertelny.
- Czy uda się go przypisać przyczynom naturalnym?
- Nigdy w życiu.
- Dasz sobie z tym radę sam?
- Nie. Należy spodziewać się więcej, ponieważ mamy tu ludzi odpornych na program.
- Dlaczego miałyby to prowadzić do wypadków śmiertelnych? - zapytał Dawson.
- Zostałem zdemaskowany.
- Jak to się stało?

Salsbury zawahał się na moment.

- Lepiej mów prawdę! - ostro ponaglił go Dawson. - Ze względu na nas wszystkich. Lepiej mów prawdę.

- Byłem z kobietą...

- Ty głupcze!

- To był błąd - przyznał Salsbury.

- To był idiotyzm. Pomówimy o tym później. Ktoś cię zobaczył, kiedy byłeś z tą kobietą?

- Zgadza się.

- Nie martw się, jeżeli zostałeś zdemaskowany. Naprawimy to jakoś. Nic dramatyzuj.

- Obawiam się, że to niemożliwe. Kazałem zabójcy zrobić to, co zrobił.

Pomimo że mówili półsłówkami, wydarzenia w Black River stawały się zrozumiałe dla Dawsona.

- Rozumiem. - Zastanawiał się przez moment. - Ile osób jest nieskażonych?

- Oprócz kilkunastu niemowlaków i małych dzieci przynajmniej cztery. Może pięć.

- To nie tak dużo.

- Jest jeszcze jeden problem, Pamiętasz dwóch mężczyzn, których posłaliśmy tam na początku miesiąca?

- Do zbiornika.

- Widziano ich. - Dawson zamilkł.

- Jeśli nie chcesz się pokazywać - powiedział Salsbury - to dobra. Ale muszę mieć jakieś wsparcie. Przyślij naszego partnera i...

- Obaj przylecimy wieczorem helikopterem - przerwał Dawson. - Dasz sobie radę do dziewiątej czy dziesiątej?

- Chyba tak.

- Oby.

Dawson odłożył słuchawkę.

Och, Panie! - westchnął. Posłałeś go do mnie, aby wypełniła się Twoja wola. Teraz Szatan porwał go w szpony. Dodaj mi siłę, aby wszystko wróciło na dobrą drogę. Pragnę jedynie służyć Tobie.

Zadzwoił do pilota. Kazał mu napełnić zbiorniki helikoptera i za godzinę czekać na lądowisku za domem w Greenwich.

Wykręcił trzy numery telefonów, zanim znalazł Klingera.

- Wynikł pewien kłopot na północy.

- Groźny?

- Niezwykle groźny. Możesz tu być za godzinę?

- Jeśli będę jechał jak szaleniec, ale lepiej daj mi godzinę i kwadrans.

- Ruszaj.

Dawson znów odłożył słuchawkę.

Och, Panie! - myślał. Obaj ci mężczyźni są niewierzący. Wiem o tym. Ale Ty posłałeś ich do mnie, ponieważ masz w tym swój cel, nieprawdaż? Nie karz mnie za wypełnianie Twojej woli, Panie.

Otworzył dolną szufladę z prawej strony biurka i wyjął grubą teczkę.

Nalepka głosiła:

AGENCJA DETEKTYWISTYCZNA HARRISON-BORDREI

OBIEKT: OGDEN SALSURY

Dzięki Agencji Harrison-Bordrei Dawson rozumiał swych partnerów niemal lepiej niż siebie. Przez ostatnie piętnaście lat trzymał teczkę ze stale aktualizowanymi danymi na temat Ernsta Klingera. Dossier Salsbury'ego było stosunkowo nowe, zaczęło rozrastać się dopiero od stycznia 1975 roku, ale obejmowało całe jego życie, od dzieciństwa, i bez wątpienia nie miało luk.

Przeczytawszy je wcześniej kilkanaście razy od deski do deski, Dawson uznał teraz, że właściwie powinien spodziewać się tego, co się wydarzyło.

Ogden nie był całkowitym szaleńcem, ale również nie był całkiem zdrowy na umyśle.

Patologicznie nienawidził kobiet. Jednakże od czasu do czasu brał udział w lubieżnych orgiach z kurwami, przelatując siedem, osiem prostytutek w ciągu weekendu. Zdarzały się kłopoty.

Zgodnie z tokiem myślenia Dawsona, dwa sprawozdania z tych akt były ważniejsze, więcej mówiące o Ogdenie niż cała reszta razem wzięta. Wyjął z teczki pierwszy raport i jeszcze raz pogrążył się w lekturze.

Na tydzień przed jedenastymi urodzinami Ogden został odebrany matce i oddany pod kuratelę sądu. Kattierine Salsbury (wdowa) i jej kochanek, Howard Parker, zostali później skazani za maltretowanie, napastowanie i deprawowanie nieletnich. Pani Salsbury została skazana na siedem do dziesięciu lat w zakładzie karnym dla kobiet w New Jersey. Po skazaniu matki oddano Ogdena na wychowanie do domu pani Carrie Barger, sąsiadki (obecnie Peterson}, gdzie mieszkał jako jeden z kilkorga wychowanków. Niniejszy wywiad przeprowadzono z panią Carrie Peterson (liczącą obecnie sześćdziesiąt dziewięć lat) w jej domu w Teaneck, New Jersey, rano w środę 22 stycznia 1975 roku. Mimo wczesnej godziny pani Peterson była wyraźnie pod wpływem alkoholu i przez cały czas wywiadu pociągała ze szklanki „czysty soczek pomarańczowy”. Nie wiedziała, że rozmowa jest rejestrowana.

Dawson wcześniej już zaznaczył najbardziej interesujące partie sprawozdania, przeskoczył więc teraz od razu na stronę trzecią.

AGENT: Mieszkając obok pani Salsbury musiała być pani świadkiem wielokrotnego bicia dziecka.

PANI PETERSON: Och, tak. O tym wiele dałoby się powiedzieć. Jak tylko Ogden odrośł na tyle od podłogi, że mógł chodzić, z upodobaniem go biła. Cóż to za kobieta! Z byle powodu

tłukła go na kwaśne jabłko.

AGENT: Sprawiała mu lanie?

PANI PETERSON: Nie, nie. Rzadko kiedy sięgała po pasek. Gdyby tylko biła paskiem po pupie! To jeszcze dałoby się znieść. Ale ta kobieta zaczynała od bicia otwartymi rękami po głowie i po tej ślicznej buzi. Gdy urósł, to czasem używała pięści. Wie pan, ona była wielką i silną kobietą. Używała pięści, szczypała. Szczypała po tych drobnych ramionkach... Wiele razy się popłakałam. Gdy przychodził pobawić się z moimi wychowankami, był w okropnym stanie. Całe ramiona miał pokryte siniakami. Siniak obok siniaka.

AGENT: Była alkoholiczką?

PANI PETERSON: Piła. Trochę. Ale nie była uzależniona. Tylko po prostu wredna.

Urodziła się wredna. I zdaje mi się, że nie była zbyt bystra. Czasem bardzo tępi ludzie, kiedy im coś w życiu nie wychodzi, odbijają to sobie na dzieciach. Widziałam już to dawniej. Zbyt często w cierpieniu dzieci. Och, mówię panu, one cierpią za wiele.

AGENT: Dużo miała kochanków?

PANI PETERSON: Na kopy. To była podła baba. Bardzo ordynarni mężczyźni. Zawsze bardzo ordynarni. Brudni. Zwyczajni robotnicy. Sporo pili. Czasami zostawali z nią cały rok. Częściej jednak tylko tydzień, dwa, miesiąc.

AGENT: Ten Howard Parker...

PANI PETERSON: Aaa, ten!

AGENT: Juk długo przebywał u pani Salsbury?

PANI PETERSON: Zdaje się prawie pół roku, nim doszło do przestępstwa. Co za straszny człowiek. Straszny!

AGENT: Czy wiedziała pani, co się dzieje w mieszkaniu pani Salsbury, kiedy Parker tam był?

PANI PETERSON: Oczywiście, że nie! Natychmiast wezwałabym policję! Oczywiście w tę noc, kiedy popełniono przestępstwo i gdy Ogden przyszedł do mnie, zadzwoniłam po policję.

AGENT: Czy może pani opowiedzieć o tym przestępstwie?

PANI PETERSON: Ciągle mnie w dręczy. Sama myśl o tym. Co za straszny człowiek! I ta kobieta. Zrobić dziecku coś takiego.

AGENT: Parker był... biseksualistą?

PANI PETERSON: Czym?

AGENT: Utrzymywał stosunki seksualne z osobnikami obu płci. Zgadza się?

PANI PETERSON: On zgwałcił chłopczyka! Nie wiem... po prostu nie wiem, czemu Bóg sprawia, że niektórzy ludzie są tak źli? Ja kocham dzieci. Kochałam je całe życie. Ponad wszystko. Nie potrafię zrozumieć takich ludzi jak Parker.

AGENT: Czy panią krępuje rozmowa o tym przestępstwie?

PANI PETERSON: Trochę.

AGENT: Gdyby mogła się pani ze mną podzielić... To naprawdę ważne. Czy zechce pani odpowiedzieć na jeszcze kilka pytań?

PANI PETERSON: Jeśli to dla dobra Ogdena, jak pan mówił, jasne, że mogę. Dla dobra Ogdena. Choć nigdy mnie nie odwiedził. Wie pan? Przygarnełam go i wychowałam od jedenastego roku życia, ale potem nigdy nie przyszedł.

AGENT: Protokoły sądowe z tego okresu są trochę zawojowane. Może sędzia kazał zmienić nieco zeznania, aby chronić dobre imię chłopca. Nie jestem pewien, czy Parker wykorzystał chłopca do - pani wybaczy, ale muszę to powiedzieć - oralnego lub analnego stosunku płciowego.

PANI PETERSON: Co za straszny człowiek!

AGENT: Wie pani, do czego?

PANI PETERSON: Do jednego i drugiego.

AGENT: Rozumiem.

PANI PETERSON: A matka się przyglądała. Własna matka! Umie pan sobie coś takiego wyobrazić? Taką ohydę? Zrobić coś takiego bezbronnemu chłopcu... Co za potwory!

AGENT: Nie chciałem, żeby pani płakała.

PANI PETERSON: Nie płaczę. To tylko parę łez. Jakie to smutne. Nie uważa pan? Tak, okropnie smutne. Cierpienie małych dzieci.

AGENT: Nie ma potrzeby dalej...

PANI PETERSON: Och, ale pan powiedział, że to dla dobra Ogdena, że panu jest to wszystko potrzebne dla dobra Ogdena. To jeden z moich wychowanków. Ale dla mnie te dzieci były jak własne. Kochałam je bardzo, wszystkie. Kochane maleństwa, każde z nich. Więc jeśli to dla dobra Ogdena... Cóż... całe miesiące, w tajemnicy przed wszystkimi, bo mały Ogden zbyt się bał żeby komuś powiedzieć, ten straszny Howard Parker... wykorzystywał chłopca... wykorzystywał... w usta. A matka patrzyła! To była zdeprawowana kobieta. I chora na umyśle. Bardzo chora.

AGENT: A w noc przestępstwa...

PANI PETERSON: Parker wykorzystał chłopca... wykorzystał... go w odbytnicę. Poranił go strasznie. Nie ma pan pojęcia, ile ten chłopczyk wycierpiał.

AGENT: Ogden przyszedł do pani tamtej nocy.

PANI PETERSON: Mieszkałam obok. Przyszedł do mnie. Trząśł się jak listek osiki. Odchodził od zmysłów ze strachu. Biedne, biedne maleństwo... Tak okropnie płakał! Ten wstrętny Parker pobił go. Ogden usta miał popękane. Oko spuchnięte i podbite. Na początku myślałam, że to wszystko, co złego go spotkało, ale szybko odkryłam... to drugie. Pognaliśmy do szpitala. Założono mu jedenaście szwów. Jedenaście!

AGENT: Jedenaście szwów w odbytnicy?

PANI PETERSON: Zgadza się. Jakże go to bolało! I krwawił. Musiał zostać w szpitalu przez tydzień.

AGENT: I w końcu pani przejęła nad nim opiekę?

PANI PETERSON: Tak. I nigdy tego nie żałowałam. Był dobrym chłopcem. Kochanym. I bardzo mądrym. W szkole mówili, że to geniusz. Zdobył wszystkie te stypendia i dostał się na Harvard. I spodziewa się pan, że mnie odwiedzał, prawda? Po tym wszystkim, co dla niego zrobiłam? Ale nie. Nigdy nie przychodzi. Nigdy mnie nie odwiedza. A teraz urzędnicy z opieki społecznej nie pozwalają mi brać więcej dzieci. Od czasu, gdy zmarł mój drugi mąż, nie. Mówią, że dziecko na wychowaniu musi mieć oboje rodziców. A poza tym twierdzą, że jestem za stara. Cóż, to wariactwo. Kocham dzieci i tylko to powinno się liczyć. Kocham je wszystkie, bez żadnych wyjątków. Czy nie poświęciłam życia na ich wychowanie? Nie jestem dla nich za stara. A kiedy pomyślę o tych wszystkich cierpiących dzieciach, zbiera mi się na płacz.

Druga część sprawozdania była zapisem długiej i miejscami utykającej rozmowy z mężczyzną, z którym pani Peterson była zamężna, gdy przyjęła jedenastoletniego Ogdena Salsbury'ego do swego domu.

Ten wywiad przeprowadzono z panem Alfenem J. Bargerem (obecnie liczącym osiemdziesiąt trzy lata) w Domu Opieki Evinsa Maebr'y'ego w Huntington, Long Island, po południu w piątek 24 stycznia 1975 roku. Za utrzymanie ojca w Domu Opieki płaci troje dzieci z drugiego małżeństwa. Barger, cierpiący na rozmiękczenie mózgu, miał na zmianę albo przebłąski świadomości, albo mówił bez związku. Nie wiedział, że rozmowa jest rejestrowana.

Dawson znów przerzucił kilka stron sprawozdania, aż znalazł zaznaczony fragment.

AGENT: Pamięta pan któreś z dzieci wziętych na wychowanie, kiedy był pan żonaty z Carrie?

PAN BARGER: Ona je brała. Ja nie.

AGENT: Pamięta pan?

PAN BARGER: Och, Jezu!

AGENT: O co chodzi?

PAN BARGER: Wolałbym nie pamiętać.

AGENT: Nie podobało się panu, że je przyjmowała?

PAN BARGER: Wszystkie te usmolone dzieciaki, gdy wracałem z roboty... Tłumaczyła, że niby potrzebujemy trochę forsy ekstra, tych parę dolarów, które państwo daje na utrzymanie dzieciaków. Ale mysie, że to byia zwykła depresja. Przecież Carrie przepijała te pieniądze.

AGENT: Była alkoholiczką?

PAN BARGER: Nie piła, kiedy się z nią ożeniłem, ale szybko zeszła na złą drogę.

AGENT: Pamięta pan chłopca nazwiskiem...

PAN BARGER: Popełniłem błąd, że się z nią ożeniłem, nie biorąc pod uwagę, co ma w głowie.

AGENT: Przepraszam?

PAN BARGER: Druga żona była mądrą kobietą i szło nam jak po maśle. Ale kiedy ochajtnąłem się z Carrie... Cóż, miałem na karku piąty krzyżyk, i wciąż kawaler, i rzygać mi się chciało od ciągłego łożenia do kurew. Nawinęła się Carrie. Dwadzieścia sześć lat i świeża jak brzoskwinka, tyle młodsza ode mnie, a przecież chętna, więc pozwoliłem, żeby jajca za mnie zdecydowały. Ożeniłem się z jej ciałem, nie myśląc, co ma w głowie. To był duży błąd.

AGENT: Całkowicie się z panem zgadzam. Więc... Otóż może mógłby mi pan powiedzieć, czy pamięta pan chłopca nazwiskiem...

PAN BARGER: Miała nieziemskie balony.

AGENT: Słucham?

PAN BARGER: Balony. Cyce. Carrie miała niezmierny zestaw.

AGENT: Och. Tak. Mhm...

PAN BARGER: W łóżku też była świetna. Kiedy udało się ją oderwać od tych cholernych dzieciaków. Te dzieciaki! Nie mam bladego pojęcia, dlaczego zgodziłem się pierwszy raz, żeby wzięła do domu dziecko na wychowanie. Potem nigdy nie mieliśmy ich mniej niż czworo, a przeważnie to sześcioro albo siedmioro. Zawsze chciała mieć dużą rodzinę, ponieważ nie mogła mieć dzieci. Ale tak naprawdę to nie chciała być matką. To były tylko takie sentymentalne urojenia.

AGENT: Co pan chce przez to powiedzieć?

PAN BARGER: Och, bardziej podobał się jej pomysł posiadania dzieci niż same dzieci.

AGENT: Rozumiem.

PAN BARGER: Za cholere nie umiała sobie z nimi poradzić. Chodziły jej po głowie. A ja nie paliłem się do tego obowiązku. Nie, drogi panie! Zasuwałem dużo i ciężko w tamtych czasach. Kiedy wracałem do domu, zależało mi tylko na odpoczynku. Nie spędzałem wolnego czasu na uganianiu się za bandą nygusów. Dopóki nie wchodziły mi w drogę, mogły robić, co im się żywnie podobało. Wiedziały o tym i nigdy nie zawracały mi głowy. Do diabła, to przecież nie były moje dzieci!

AGENT: Czy pamięta pan chłopca nazwiskiem Ogden Salsbury?

PAN BARGER: Nie.

AGENT: Jego matka mieszkała obok pana. Miała wielu kochanków. Jeden z nich, nazwiskiem Parker, zgwałcił chłopca. Był homoseksualistą.

PAN BARGER: Jak człowiek pomyśli, to mu się przypomni. Ogden. Tak. Przyszedł do nas nie w porę.

AGENT: Nie w porę? Jak to?

PAN BARGER: Wtedy były same dziewczynki.

AGENT: Same dziewczynki?

PAN BARGER: Carrie miała bzika. Brała tylko małe dziewczynki. Może wydawało się jej, że łatwiej nad nimi zapanuje niż nad bandą chłopaków. Więc ten Ogden i ja byliśmy jedynymi facetami w domu przez jakieś dwa, trzy lata.

AGENT: I to było dla niego niedobre?

PAN BARGER: Starsze dziewczynki wiedziały, co mu się przytrafiło. No i lubiły się z niego ostro ponabijać. Nie mógł tego znieść. Wybuchał za każdym razem. Zaczynał kląć i wydzierać się. Oczywiście o to im właśnie chodziło, więc nabijały się jeszcze bardziej. Za każdym razem, kiedy dziewczynki robiły z niego capa, brałem go na bok i klarowałem mu - prawie jak ojciec synowi. Mówiłem mu, żeby nie zawracał sobie nimi głowy. Mówiłem, że to tylko baby i że baby są dobre do dwóch rzeczy. Pierdolenia i kucharzenia. Taki miałem pogląd, nim spotkałem drugą żonę. W każdym razie zdaje mi się, że musiałem naprawdę bardzo mu pomóc. Bardzo... Wie pan, że oni w tym Domu Opieki nie pozwalają na pierdolenie?

Inne sprawozdanie, które Dawson uznał za szczególnie interesujące, to wywiad z Lairdem Richardsonem, wysokim urzędnikiem Biura Bezpieczeństwa w Pentagonie. Agent z biura Harrison-Bordrei zaoferował Richardsonowi 500 dolarów za wyciągnięcie wojskowych tajnych akt Salsbury'ego, przejrzenie i zdanie sprawozdania z ich zawartości.

RICHARDSON: Jakiegokolwiek są to badania, muszą być cholernie ważne. Wydali kupę forsy na wyciszenie wyskoków tego skurwysyna przez ostatnich dziesięć lat. A Pentagon nigdy tego nie robi, jeśli nie spodziewa się, że zwróci mu się to kiedyś stokrotnie.

AGENT: Wyciszali? Co?

RICHARDSON: Lubił znakować prostytutki.

AGENT: Znakować?!

RICHARDSON: Głównie pięściami.

AGENT: Jak często się to zdarzało?

RICHARDSON: Raz, dwa razy w ciągu roku.

AGENT: Jak często spotykał się z prostytutkami?

RICHARDSON: Chodzi na kurwy co dwa miesiące w pierwszy weekend. Regularnie jak w zegarku. Jakby był robotem, czy co. Możesz sobie ustawiać zegarek według jego potrzeb seksualnych. Zwykle jedzie na Manhattan, robi rundę po klubach i salach gimnastycznych, wydzwania do kilku „panienek na telefon” i wzywa je do hotelu. Od czasu do czasu trafia się taka, której wygląd go bierze, i wówczas tłucze ją do utraty przytomności.

AGENT: Jaki to wygląd?

RICHARDSON: Zwykle blondynka, ale nie zawsze. Zwykle blada, ale nie zawsze. Za to zawsze jest drobna i niska. Pięć stóp albo pięć stóp i dwa cale. Sto funtów. I delikatna. Bardzo delikatne rysy.

AGENT: Dlaczego takie dziewczyny go denerwują?

RICHARDSON: Pentagon próbował zmusić go, aby zaczął chodzić do psychoanalityka. Poszedł na jedno spotkanie i odmówił pójścia drugi raz. Powiedział psychoanalitykowi, że te jego szaleństwa wywołuje nie tylko wygląd dziewcząt. Muszą być słabe nie tylko fizycznie. Muszą się wyróżniać uległością i dopiero wtedy ma ochotę stłuc je do nieprzytomności.

AGENT: Innymi słowy, jeśli uważa, że taka kobieta dorównuje mu prawie pod każdym względem lub go przewyższa, nie ruszy jej. Ale gdy czuje, że może ją zdominować...

RICHARDSON: ...to lepiej, żeby miała opłacone ubezpieczenie.

AGENT: Nie zabił żadnej z nich?

RICHARDSON: Jeszcze nie. Ale kilka razy niewiele brakowało.

AGENT: Mówiłeś, że ktoś w Pentagonie wycisza te jego wyskoki.

RICHARDSON: Tak, ktoś z naszego biura.

AGENT: Jak?

RICHARDSON: Opłacając rachunki za szpitale panienek i wręczając im grubszą forszę.

Wysokość kwoty zależy od stopnia okaleczenia.

AGENT: Czy traktuje się go jako ewentualne źródło przecieku?

RICHARDSON: Och, nie! Gdyby był na przykład królową sraczową, mógłby być przez kogoś szantażowany. Ale jego odbicia i grzechy to nie żadna tajemnica. Są ogólnie znane. Nikt więc nie może go szantażować ani narazić na utratę pracy, ponieważ znamy wszystkie jego śmierdząca sekreciki. Mało tego, kiedy zaznaczy panienkę, może zatelefonować pod specjalny numer w moim departamencie i w ciągu godziny ktoś się zjawia w hotelu, żeby po nim sprzątnąć.

AGENT: Odwalacie przyjemną robotę!

RICHARDSON: Prawda? Aż mnie dziwi, że nawet oni wytrzymują z tym skurwielem Salsburym. To chory gość. Zero, marny robak! Powinni go wstawić do jakiejś celi i zapomnieć o nim na zawsze.

AGENT: Znacie jego dzieciństwo?

RICHARDSON: O matce i o facecie, który go zgwałcił? Tak, to jest w aktach.

AGENT: To wyjaśnia, dlaczego on...

RICHARDSON: Wiesz co? Chociaż wiem, skąd się wzięło jego wariactwo, chociaż rozumiem, że to nie jest całkiem jego wina, nie potrafię z siebie wykrzesać odrobiny współczucia. Kiedy pomyślę o tych wszystkich dziewczynach, które lądują w szpitalu z połamanymi szczękami i podbitymi oczami... Słuchaj, czy któraś z tych panienek czuła mniejszy ból tylko dlatego, że Salsbury miał trudne dzieciństwo? Na ogół w wielu sprawach jestem liberałem w starym stylu, ale ta liberalna śpiewka o współczuciu dla przestępców... to w dziewięćdziesięciu procentach gówno. Możesz sobie recytować takie pierdoły, ponieważ ty i twoja rodzina nie spotkaliście na szczęście w

swoim życiu bydlaka w rodzaju Salsbury'ego. Gdyby to ode mnie zależało, oddałbym go pod sąd.

A potem wsadził do jakiejś celi, setki mil od kobiet.

Dawson westchnął.

Włożył sprawozdanie do teczki i wsunął z powrotem do niższej szuflady z prawej strony biurka.

O Panie! - modlił się w myślach. Dodaj mi siłę, abym naprawił to, co Ogden zepsuł w Black River. Jeżeli ten błąd da się naprawić, jeżeli próba terenowa zostanie doprowadzona do końca, wtedy będę mógł podać specyfik Ernstowi i Ogdenowi. Będę mógł ich zaprogramować.

Poczyniłem już przygotowania. Wiesz o tym. Będę mógł ich zaprogramować i przywieść przed Twoje oblicze, do Twojej świętej owczarni. I nie tylko ich. Cały świat. Tak będzie, Panie. Prawdziwe niebo na ziemi, wszystko oświecone blaskiem Twojej miłości.

14.55

Sam odczytał ostatni wers artykułu Salsbury'ego, zamknął książkę i szepnął:

- Jezu!

- Przynajmniej teraz mamy jakie takie pojęcie, co się dzieje w Black River - powiedział Paul.

- Całe to pomyłone gadanie o rozszczepianiu ego, specyfiku podkładowym, hasłach, osiągnięciu absolutnej kontroli, uszczęśliwianiu ludzi przez modyfikację ich zachowań, korzyści z subliminalnego kierowania społeczeństwem... - Jenny, oszołomiona retoryką Salsbury'ego, potrząsnęła głową, jakby to mogło jej pomóc w zrozumieniu jego słów. - To bełkot szaleńca. Pewne jak w banku.

- To nazista - poprawił ją Sam. - Z ducha, jeśli nie z imienia. Bardzo specjalny gatunek szaleńca. Gatunek śmiertelnie groźny. A istnieją dosłownie tysiące takich ludzi jak on, setki tysięcy, gotowych zgodzić się z każdym jego słowem na temat korzyści z „subliminalnego

kierowania społeczeństwem”.

Piorun uderzył z taką gwałtownością, że wydało się, iż sklepienie niebieskie pękło na dwoje. Potężne uderzenie wiatru wstrząsnęło domem. Deszcz przybrał na sile, uderzał w dach, siekł w okna.

- Nazwij to, jak chcesz - powiedział Paul. - Ale facet zrealizował swój szaleńczy plan. Na Boga! Epidemia nocnych dreszczy i mdłości tłumaczy wszystko.

- Ciągle nie rozumiem, dlaczego tato i ja nie zareagowaliśmy na zastosowany przez niego specyfik - zastanawiała się Jenny. - Salsbury wspomina w artykule, że program subliminalny nie działa na analfabetów i dzieci, które nie zetknęły się, choćby powierzchownie, z seksem i śmiercią. Ale ani tato, ani ja nie mieścimy się w tych kategoriach.

- Sądzę, że potrafię to wytłumaczyć - powiedział Paul.

- I ja też - dodał Sam. - - Otóż elementarną zasadą, którą powinien znać każdy początkujący farmakolog, jest to, że dane lekarstwo nie działa w identyczny sposób na wszystkich chorych. Na przykład u niektórych ludzi penicylina wywołuje znikomą reakcję albo w ogóle nie działa. Inni nie reagują na sulfonamidy. Podejrzewam, że z jakiejś przyczyny, mającej związek z genami, metabolizmem i chemią organizmu, należymy do tych nielicznych, którzy nie reagują na specyfik Salsbury'ego.

- I dzięki za to Bogu! - szepnęła Jenny. Objęła się ramionami i zadygotała.

- Więcej dorosłych osób nie powinno zareagować - powiedział Paul. - Jest lato. Ludzie biorą urlopy. Czy nikt nie wyjeżdżał z miasta w tym tygodniu, w którym skażono zbiornik i nadawano subliminalne przesłania?

- Kiedy nastają ciężkie mrozy i zaczynają się opady śnieżne - wyjaśnił Sam - przerywa się roboty w tartaku. Dlatego w letnich miesiącach robotnicy w tartaku zasuwiają do oporu, by mieć pewność, że zapas kłód wystarczy na całą zimę. Nikt z tartaku - a także ci z miasta, którzy

obsługują tartak - nie bierze urlopu w lecie.

Paul poczuł się tak, jakby siedział na wirującej karuzeli. Kręciło mu się w głowie.

- Mark, Rya i ja zjawiliśmy się w mieście dopiero wtedy, gdy środek wyciekł już ze zbiornika, więc nie zostaliśmy skażeni. Nie oglądaliśmy programów telewizyjnych ani reklamówek z przesłaniami subliminalnymi. Nad pozostałymi mieszkańcami Black River Salsbury ma teraz całkowitą władzę.

Wpatrywali się w siebie.

Burza jęczała za oknem.

- Korzystamy z dobrodziejstw najnowocześniejszej techniki, nauki - odezwał się w końcu

Sam - zapominając, że rewolucja naukowo-techniczna, tak samo jak poprzednio przemysłowa, ma swoje złe strony. - Przez kilka długich sekund słychać było tylko tykanie stojącego za nim na

kominku zegara. Sam wpatrywał się w okładkę trzymanej w ręku książki. - Im bardziej

skomplikowane zmiany zachodzą w społeczeństwie, tym bardziej jedna jego grupa jest zależna od drugiej. W takiej sytuacji pojedynczy człowiek, szaleniec lub nawet ktoś działający w dobrej

wierze, może bardzo łatwo zniszczyć wszystko dla własnego kaprysu. Jeden działający samotnie

człowiek może zamordować głowę państwa i spowodować poważne zmiany w polityce

zagranicznej oraz wewnętrznej kraju. Mówią, że jedna osoba, biolog ze stopniem naukowym,

bardzo zdeterminowany, może wyhodować więcej zarazków dżumy, niż potrzeba do zniszczenia świata. Jeden działający samotnie człowiek potrafi skonstruować nawet bombę nuklearną.

Wystarczy, żeby liznął trochę fizyki. I żeby miał dostęp do kilku funtów plutonu, o co wcale nie

jest tak cholernie trudno. Może zbudować bombę w walizce i zetrzeć z powierzchni ziemi Nowy

Jork, dlatego że... Do cholery, choćby dlatego, że został tam poturbowany albo wlepiono mu

mandat za niewłaściwe parkowanie na Manhattanie - według niego, niesłusznie.

- Ale Salsbury nie może działać sam - zaprotestowała Jenny.

- Zgadzam się z tobą.
 - Zasoby finansowe, niezbędne do zakończenia i wszczęcia programu opisanego w tym artykule... No cóż, muszą być ogromne.
 - Przemysł prywatny może być zdolny do sfinansowania badań - powiedział Paul. - Choćby przedsiębiorstwo tak ogromne, jak AT&T.
 - Nie - powiedział Sam. - Zbyt wiele osób z kadr kierowniczych i zespołów badawczych wiedziałoby o tym. Nastąpiłby przeciek. Nigdy nie zaszłoby tak daleko. Musiałyby się przedostać do prasy jakieś informacje, które wywołałyby wielki skandal.
 - Może jakiś bogaty człowiek dał pieniądze Salsbury'emu - wtrąciła Jenny. - Ktoś tak bogaty, jak kiedyś Onassis. Albo Hughes.
 - Przypuszczam, że to możliwe - rzekł Sam, lekko szarpiąc brodę. - Jest jednak inne, bardziej logiczne wytłumaczenie.
 - Że Salsbury pracuje dla rządu Stanów Zjednoczonych - powiedział przybity Paul.
 - Właśnie. I jeśli on pracuje dla rządu, CIA lub wojska, jesteśmy skończeni. Nie tylko my, ale cały ten cholerny kraj.
- Paul podszedł do okna, starł trochę pary z szyby i przyglądał się smaganym wiatrem drzewom i falującym szarym fartuchom deszczu.
- Uważasz, że takie działania odbywają się w całym kraju?
 - Nie - odpowiedział Sam. - Gdyby w grę wchodziło przejęcie władzy nad całym krajem, Salsbury nie siedziałby w zapadłym miasteczku. Tkwiłby na stanowisku dowodzenia w Waszyngtonie. Albo gdzieś indziej, gdziekolwiek.
 - Więc to próba. Próba terenowa.
 - Prawdopodobnie.
 - I to może być dobry znak - powiedział Sam. - Rząd przeprowadzałby takie badania w

dobrze zabezpieczonym miejscu. Najprawdopodobniej w bazie wojsk lądowych albo morskich.

Nie tu.

Błyskawica rozjaśniła gęste ołowiane chmury. Przez jedno okamgnienie deszcz ułożył się na szybie we wzór przypominający twarze: Annie i Marka...

Nagle Paul pomyślał, że jego żona i syn, chociaż zginęli w tak różnych okolicznościach, zostali zabici przez tę samą siłę. Technikę. Naukę. Annie poszła do szpitala na zwykły zabieg usunięcia wyrostka. To nie był nagły wypadek. Anestezjolog podał jej nowy, najskuteczniejszy, rewolucyjny, trudno o lepszy środek usypiający, coś nie tak ogłupiającego jak eter, coś łatwiejszego w użyciu (dla anestezjologa) niż pentothal. Ale po operacji nie odzyskała przytomności. Zapadła w śpiączkę. Okazało się, że była uczulona na nowy, najskuteczniejszy, rewolucyjny, trudno o lepszy środek usypiający. Zniszczył on Annie dużą część wątroby. Na szczęście - wytłumaczyli mu lekarze - wątroba jest jedynym organem, który potrafi się zregenerować. Jeśli zatrzymają Annie na oddziale intensywnej terapii, mechanicznie podtrzymując procesy życiowe, wątroba powoli się zregeneruje i w końcu żona znów stanie na nogi. Leżała na oddziale intensywnej terapii pięć tygodni. W tym czasie lekarze wprowadzili wszystkie dane z podtrzymujących życie maszyn do komputera Medico. Tenże komputer powiedział im, że stan pacjentki jest już całkiem dobry i można ją przenieść z oddziału intensywnej terapii do separatki. Jedenaście tygodni później ten sam komputer powiedział, że Annie może wrócić do domu. Była obojętna i apatyczna, ale się zgodziła. Komputer musi mieć racje. Dwa tygodnie po powrocie do domu nastąpił nawrót choroby i Annie zmarła w ciągu czterdziestu ośmiu godzin. Czasem myślał, że gdyby był lekarzem medycyny, a nie weterynarii, potrafiłby ją uratować. Ale to był prózny masochizm. Zamiast tego mógł zażądać, żeby uspięno ją eterem lub pentothalem, ponieważ wiadomo, że są to środki bezpieczne, stosowane od wielu dziesiątków lat. Mógł też im powiedzieć, żeby wsadzili sobie swój komputer w dupę. Ale nie zrobił nic. Zaufał tej ich technice po prostu

dlatego, że to była technika, że to było postępowe i nowe. Amerykanom wpajano szacunek dla tego, co nowe i postępowe. I częściej, niż byli zdolni się do tego przyznać, umierali przez wiarę w to, co się błyszczy i świeci.

Po śmierci Annie stał się podejrzliwy w stosunku do techniki, do każdego cudownego wynalazku, którym nauka obdarowywała ludzkość. Czytał Paula Ehrlicha i innych reformatorów, głoszących powrót do natury. Stopniowo pojmował, iż coroczne wyprawy z namiotem do Black River są naturalną obroną przed miastem i niebezpieczeństwami, jakie ze sobą niesie cywilizacja i postęp wiedzy. Coroczne wypady uczyły jego dzieci harmonijnego współżycia z naturą. Jednakże zwolennicy powrotu do natury byli opętani nieziszczalną idee fixe. Widział to teraz, widział tak wyraźnie, jak rzadko kiedy. Usiłowali uciec od techniki, ale ona okazywała się od nich znacznie szybsza. A poza tym nie było już dokąd powrócić. Miasto, a więc postęp, nauka, technika, nowy styl życia, wyciągało swoje macki nawet po najdalsze zakątki gór z lasów. Ponadto przestał się interesować postępem nauki. Twoja ignorancja, myślał, w dziedzinie środków usypiających i niezawodności Medico kosztowały życie Annie. Twoja ignorancja w dziedzinie reklamy subliminalnej i badań dokonywanych na tym polu kosztowała życie Marka. Jedyny sposób na przetrwanie lat siedemdziesiątych i następnych to zanurzyć się w nurt stechnicyzowanego społeczeństwa, płynąć razem z nim. Uczyć się od niego oraz o nim i stanąć do każdej konfrontacji jak równy z równym. Odwrócił się od okna.

- Nie możemy jechać do Bexford i wezwać policji stanowej. Jeśli nasz rząd popiera tego szaleńca, jeśli nasi przywódcy chcą nas zniewolić, nigdy nie wygramy. To beznadziejne. Lecz jeśli rząd nic nie wie o eksperymencie Salsburyego, to nie pozwólmy, żeby się o nim dowiedział, ponieważ przywłaszczy sobie te odkrycia. A w wojsku istnieją takie siły, które nie miałyby nic przeciwko użyciu programowania subliminalnego wobec całego narodu.

- Masz rację - odezwał się Sam, patrząc na książki o nazizmie, totalitaryzmie i psychologii

tlumu. Dowiedział się z nich o niepokohamowanej żądzy władzy. - Poza tym są kłopoty z telefonicznymi połączeniami międzymiastowymi.

Paul wiedział, o co mu chodzi.

- Salsbury opanował centralę telefoniczną.

- A jeśli tego dokonał - powiedział Sum - przedsięwziął też inne środki ostrożności.

Prawdopodobnie poustawiał blokady na drogach i wszystkich innych szlakach wyjazdowych z miasta. Nie możemy więc pojechać do Bexford i porozmawiać z policją.

- Jesteśmy w pułapce - spokojnie skostatowała Jenny.

- Na razie - odrzekł Paul - to nie ma istotnego znaczenia. Wiemy już, że nie istnieje miejsce, do którego można by uciec. Ale jeśli on nie pracuje dla rządu, lecz jest popierany przez korporację albo finansowany przez bogatego sponsora, może mamy szansę go powstrzymać. Zatrzymać w Black River.

- Powstrzymać go... - Sam w zamyśleniu wpatrywał się w podłogę. - Czy ty wiesz, co mówisz? Musimy go odnaleźć, przesłuchać, a potem zabić. Takiego człowieka powstrzymać może tylko śmierć. Musimy z niego również wydusić, z kim jest związany, i zabić wszystkich, którzy wiedzą, jak sporządzono specyfik i jak skonstruowany jest program subliminalny.

- Nikt z nas nie jest mordercą - zauważyła Jenny.

- Każdy człowiek to potencjalny morderca - odparł Paul. - Kiedy w grze stawką staje się życie, każdy jest zdolny do wszystkiego. A to jasne jak słońce, że tu chodzi o nasze życie.

- Zabijałem ludzi na wojnie - rzekł Sam.

- I ja - powiedział Paul. - W innej niż twoja, ale robiłem to samo.

- To było co innego - zaprotestowała Jenny.

- Czy tak?

- Toczyła się wojna.

- To też jest wojna - odpowiedział.

Wpatrywała się w ręce Paula, jakby wyobrażała sobie w nich nóż, pistolet albo widziała je zaciśnięte na ludzkiej szyi.

Domyślił się, co czuje. Podniósł dłonie i przez chwilę wpatrywał się w nie z uwagą.

Bywało, że myjąc ręce przed obiadem lub po opatrzeniu chorego zwierzaka, na chwile wracał pamięcią do wojny, do południowo-wschodniej Azji. Znow słyssał jak na jawie strzały i widział krew. Podczas tych prawie nadmysłowych wizji był zaszokowany myślą, że te same ręce służą do codziennych prac i jednocześnie do straszliwych uczynków, mogą leczyć i ranić, nieść miłość albo śmierć i nie zmieniają przy tym wyglądu. Skodyfikowana moralność, myślał, jest w istocie błogosławieństwem, ale i przekleństwem cywilizacji. Błogosławieństwem, gdyż przez wieki pozwalała ludziom żyć w zgodzie. Przekleństwem, ponieważ - kiedy prawa natury, a zwłaszcza natury ludzkiej, nakazywały w razie potrzeby ranić lub zabijać innego człowieka dla ratowania siebie i swojej rodziny - rodziła skrupuły i poczucie winy nawet wtedy, gdy przemoc była nieunikniona.

Poza tym, przypominał sobie, mamy lata siedemdziesiąte dwudziestego wieku. Wiek nauki i techniki, w którym człowiek często jest zmuszony działać z bezwzględny, bezdusznym okrucieństwem maszyny bez względu na to, jaki cel mu przyświeca - szlachetny czy nieetyczny. W tych czasach szlachetność coraz rzadziej jest cechą człowieka cywilizowanego, a w istocie staje się wartością wychodzącą z obiegu. Cechę tę posiadają jedynie ci, którzy mają najmniej szans na przeżycie kolejnych szoków przyszłości.

Opuścił ręce i powiedział:

- Oto klasyczny paranoidalny układ: oni przeciwko nam. Tylko że to nie złudzenie, lecz prawda.

Jenny zaakceptowała bezwzględny fakt morderstwa równie szybko, jak Paul zaakceptował

fakt, że będzie zmuszony je popełnić. Jak wszyscy - nie licząc ludzi o najłagodniejszych sercach - doświadczyła już chęci morderczej żądzy w chwili rozpaczy albo wielkiej frustracji. Nie akceptowała morderstwa jako sposobu na rozwiązanie problemu, ale umiała wyobrazić sobie sytuację, w której zabójstwo jest jedyną rozsądną reakcją na zagrożenie. Mimo nadmiernej opiekuńczości ojca, na którą skarżyła się w poniedziałek, potrafiła przystosować się nawet do najbardziej skrajnych sytuacji. Może, pomyślał Paul, życiowa próba, na którą wystawiło Jenny pożycie z pierwszym mężem, uczyniła ją silniejszą, twardszą i bardziej odporną, niż sobie wyobrażała.

- Jeśli nawet zmusimy się do morderstwa - mówiła - pragnąc odwrócić bieg wydarzeń... To ciągle jest ponad nasze siły. Chcąc powstrzymać Salsbury^{ego}, musimy o nim więcej wiedzieć. Bo niby jak mamy tego dokonać? Dysponuje setkami goryli. Jeśli zechce, zamieni wszystkich w miasteczku w morderców i wyśle za nami. Mamy tu siedzieć beczynn timer i czekać, aż wpadnie do nas na pogawędkę?

Sam wsunął z powrotem na półkę oprawiony w twarde okładki tom esejów z dziedziny psychologii.

- Czekaście... Przypuśćmy... - Odwrócił się do nich. Wszyscy trwali w napięciu, jak mocno nakręcone sprężyny od zegarków. Twarz Sama - tak podobna do twarzy świętego Mikołaja - przybrała wyraz radosnego podniecenia. - Jak myślicie, co zrobił najpierw Salsbury, kiedy zobaczył Ryę stojącą w drzwiach kuchennych domu Thorpa?

- Rzucił się na nią - powiedziała Jenny.

- Nie trafiłaś.

- Kazał Bobowi ją zabić - z goryczą odezwał się Paul.

- Też nie. Przypomnijcie sobie! Otóż oczekiwał, że Rya stanie się jego kolejnym zombi...

i...

- ...wypowiedział hasło. - Jenny wciągnęła głośno powietrze w płuca. - Tak jak w systemie opisanym w artykule.

Usiłował „otworzyć” Ryę i zapanować nad nią, zanim ucieknie. Więc... Rya musi znać hasło!

- A jeśli je sobie przypomni - kontynuował Sam - to my przejmemy kontrolę nad Black River. Salsbury nie będzie miał już swoich goryli, za którymi mógłby się skryć.

ROZDZIAŁ 6

15.15

Doktor Walter Troutman wszedł do biura szefa policji. W prawej ręce niósł czarną skórzaną torbę, a w lewej dzierzył baton czekoladowy z migdałami. Wyglądał na zadowolonego z siebie i ze świata.

- Chciałeś mnie widzieć, Bob?

Zanim Bob Thorp zdążył odpowiedzieć, Salsbury powiedział:

- Jestem klucz.

- Jestem zamek.

- Buddy Pellineri czeka w pokoju po drugiej stronie holu. Znasz go, prawda?

- Buddy'ego? - zapytał Troutman, marszcząc mięsistą twarz. - Ależ oczywiście!

- Powiedziałem mu, że podejrzewamy, iż zaatakował go bardzo groźny wirus, i zaraz dostanie szczepionkę. Dla zapobieżenia chorobie. Jak wiesz, nie jest specjalnie bystry. Uwierzył mi. Czeka na ciebie.

- Szczepionkę? - Troutman był zaskoczony.

- Tak mu powiedziałem, żeby go zatrzymać. Zamiast lekarstwa wstrzykniesz mu do żyły powietrze.

- To spowoduje zator! - Troutman był wstrząśnięty.

- Wiem.

- To go zabije! Salsbury uśmiechnął się i pokiwał głową.

- Oby. O to właśnie chodzi, doktorze.

Spoglądając to na Boba Thorpa, siedzącego za biurkiem, to znów na Salsbury'ego,

Troutman odezwał się żałośnie:

- Ale ja nie mogę tego zrobić. Nie mogę.

- Kto ja jestem, doktorze?

- Ty jesteś... klucz.

- Bardzo dobrze. A ty?

- Jestem zamek.

- Tak jest. Pójdiesz przez hol do pokoju, w którym czeka Buddy. Pogadasz z nim, będziesz bardzo miły, nie dasz mu powodu do podejrzeń. Powiesz, że zamierzasz podać mu szczepionkę. Wstrzykniesz mu bańkę powietrza w żyłę. Nie będzie ci to przeszkadzało, że go zabijasz. Nie zawahasz się. Kiedy umrze, wyjdiesz z pokoju i zapamiętasz tylko to, że zrobiłeś mu zastrzyk penicyliny, zapomnisz, że go zabiłeś. Potem wrócisz tu i powiesz Bobowi: „Rano będzie z nim lepiej”. Następnie pójdziesz do domu i zapomnisz o wszystkim. Czy to jasne?

- Tak.

- Idź, zrób to.

Troutman wyszedł.

Salsbury zdecydował się wyeliminować Buddy'ego Pellineriego zaledwie dziesięć minut wcześniej. Chociaż Buddy miał nocne dreszcze i mdłości, chociaż przeszedł częściowo pranie mózgu za pomocą subliminali, jednak nie stanowił dobrego obiektu. Nigdy nie można byłoby całkowicie na nim polegać. Na przykład powiedziano by mu, że ma wymazać z pamięci mężczyzn, których widział wychodzących ze zbiornika rankiem 6 sierpnia, i mógłby zapomnieć o nich albo na zawsze, albo... tylko na kilka godzin. Lub wcale. Gdyby był geniuszem, specyfik i subliminale zamieniłyby go w idealnego niewolnika. Tymczasem - jak na ironię - jego ograniczoność okazała się dlań zabójcza.

Szkoda, że Buddy Pellineri musi umrzeć. Na swój sposób jest miłym kretynem.

Ale ja mam władzę, myślał Salsbury. I będę miał. Żeby ją zachować, wyeliminuję wszystkich, których trzeba będzie wyeliminować. Pokażę im. Wszystkim. Dawsonowi, dobrej starej Miriam, sukrom, świętoszkowatym profesorkom z college'ów z ich zasmarkanymi pytaniami

i oskarżeniami mojej pracy, kurwom, mojej matce, sukcom... ta-ta-ta-ta-ta-ta... Nikt mi nie zabierze władzy. Nikt. Nigdy. Przenigdy.

15.20

Rya obudziła się, siadła na łóżku, ziewnęła. Oblizwała wargi. Spojrzała na Jenny, Sama, Paula, ale wyglądało na to, że ich nie poznaje,

- Czy pamiętasz, co on powiedział? - Paul powtórzył pytanie. - Ten mężczyzna w okularach z grubymi szklami. Pamiętasz?

Zmrużyła oczy, podrapała się po głowie.

- Kto... gdzie?

- Nadal jest odurzona - powiedziała Jenny. - I będzie jeszcze przez chwilę.

- Salsbury wie, że musi nas załatwić - mówił Sam; stał w nogach łóżka, wpatrując się w dziewczynkę. - Kiedy tylko zdecyduje się, jak to zrobić, przyjdzie. Nie mamy czasu na czekanie, aż środek uspokajający przestanie działać. Musimy pomóc Ryi wyjść z tego stanu. - Spojrzał na Jenny. - Wsadzisz ją pod zimny prysznic na dłuższą chwilę. Przygotuję świeżą kawę.

- Kawa, niedobra kawa - markotnie powiedziała Rya.

- Ale herbatę lubisz, co?

- Dooobra. - Ziewała.

Sam szybkim krokiem zszedł na dół zaparzyć dzbanek herbaty.

Jenny wygoniła Ryę z łóżka do łazienki, na koniec korytarza.

Paul zszedł do bawialni czuwać przy zwłokach Marka do chwili, kiedy Rya będzie gotowa udzielać odpowiedzi.

Kiedy zdecydujesz się stawić czoło temu wielkiemu, błyszczącemu, połyskującemu chromowanymi okuciami amerykańskiemu światu wedle jego zasad, pomyślał, wszystko zaczyna się kręcić. Coraz szybciej, szybciej i szybciej.

15.26

Doktor Troutman oparł się o framugę drzwi i powiedział:

- Rano będzie z nim lepiej.
- To świetnie - ucieszył się Bob Thorp. Możesz już poczłapać do domu.
- Trzymajcie się - powiedział lekarz, wpychając do ust ostatni kawałek batonu, i wyszedł.
- Weź kogoś do pomocy - rozkazał Salsbury Thorpowi. - Przenieście ciało do celi.

Rozciągnijcie na pryczy, żeby wyglądało, że Buddy śpi.

16.16

Deszcz bulgotał hałaśliwie w rynnie obok kuchennego okna. W pokoju pachniało cytryną.

Para unosiła się z czajniczka do herbaty i delikatnej filiżanki.

Rya otarła łzy, zamrugła. Nagle przypomniała sobie: - Och. Och, tak... „Jestem klucz”.

16.45

Ulewa przeszła nagle w drobny kapuśniaczek. Wkrótce deszcz zupełnie przestał padać.

Salsbury odchylił jedną listewkę żaluzji i wyjrzał na North Union Road. Woda podniosła się do poziomu chodników. Na rynku, tam gdzie kratki ściekowe zatkały się liśćmi i trawą, potworzyły się miniaturowe jeziora. Krople dżdżu ściekały z drzew jak wosk z rozgrzanych świec.

Z zadowoleniem witał koniec ulewy. Zaczął się już martwić, że złe warunki atmosferyczne uniemożliwią lot helikoptera Dawsona.

Tak czy inaczej, Dawson musi dostać się dziś wieczorem do Black River. Właściwie Salsbury nie potrzebował pomocy do załatwienia tej sytuacji, ale potrzebował kogoś, na czyje barki mógłby zrzucić część winy, gdyby eksperyment się nie udał.

Obecnie działania też nie były pozbawione ryzyka. Mógł posłać Boba Thorpa i kilku jego zastępców do sklepu i kazać zaarrestować Edisonów i Annendale'ów. Oczywiście, mogli z tego

wyniknąć kłopoty, próba sił, nawet strzelanina. Każdy dodatkowy trup lub zaginiona osoba, z której trzeba będzie się wytłumaczyć władzom spoza Black River, zwiększały ryzyko wpadki. Z drugiej jednak strony, jeśli musiałby przez jutrzejszy dzień utrzymywać blokadę dróg, kontrolę nad miastem i stan oblężenia, jego szansę na wyjście z opresji były mniej obiecujące niż teraz.

Co, u diabła, dzieje się w sklepie Edisona? Znaleźli już ciało chłopca. Wiedział o tym.

Wyznaczył kilku strażników do pilnowania sklepu. Dlaczego nie zjawili się tu, na spotkanie z Bobem Thorpem? Dlaczego nie próbowali uciec z miasteczka? Dlaczego, krótko mówiąc, nie zachowywali się tak, jak powinni? Na pewno nie odkryli prawdy, nawet opierając się na opowieści Buddy'ego. Nie mogli wiedzieć, kim on, Salsbury, naprawdę jest. Prawdopodobnie nie mieli najmniejszego pojęcia o reklamie subliminalnej, a zwłaszcza o jego badaniach. Nagle zaczął żałować, że nie przyniósł z pensjonatu Pauline Vicker teczki z przekaźnikiem końcowym.

- Wszystko wygląda tak czysto i świeżo po letnim deszczu - zagadnął Bob Thorp.

- Cieszę się, że już jest po - powiedział Salsbury.

- Jeszcze nie. Jeszcze długo nie. Salsbury odwrócił się od okna.

- Co?

- Te letnie burze kilka razy zaczynają się i kończą, zanim naprawdę ustaną - mówił Bob

Thorp, uśmiechając się tak miło, jak mu nakazał Salsbury. - To dlatego, że one odbijają się od gór i wracają, aż w końcu gdzieś giną.

- A od kiedy to z ciebie taki meteorolog? - zapytał Salsbury, myśląc o helikopterze Dawsona.

- Cóż, mieszkam tu całe życie, z wyjątkiem służby. Widziałem setki takich burz i one...

- Powiedziałem, że jest po burzy! Burza odeszła. Skończyła się. Mamy ją z głowy. Czy to rozumiesz?

- Burza odeszła - powtórzył Thorp, marszcząc czoło.

- Chciałem, żeby się skończyła, i się skończyła. Jak ja mówię, że nie ma, to nie ma. Tak?

- Oczywiście.

- W porządku. Skończyła się.

- Durny glina.

Thorp nic nie powiedział.

- Nie jesteś durny glina?

- Nie. Nie jestem durny.

- Mówię, że jesteś. Jesteś durny. Głupi. Głupi jak osioł. Czy nie tak, Bob?

- Tak.

- Powiedz to.

- Co?

- Że jesteś głupi jak osioł.

- Jestem głupi jak osioł.

Salsbury odwrócił się do okna. Gniewnie wpatrywał się w niskie, kobaltowe chmury. W końcu powiedział:

- Bob, chcę, żebyś poszedł do pensjonatu Pauline Vicker. Thorp podniósł się natychmiast.

- Zajmuję pokój na pierwszym piętrze, pierwsze drzwi na prawo, koło schodów. Obok łóżka znajdziesz skórzaną teczkę. Przynieś mi ją.

16.55

Cała czwórka przeszła przez zapchany magazyn. Dotarli do tylnej werandy sklepu.

Natychmiast, dwadzieścia jardów dalej, na szmaragdowo-zielonym trawniku, z niszy utworzonej przez dwa rzędy wysokich krzewów bzu wyłonił się mężczyzna. Wysoki, posępna twarz, okulary w rogowych oprawkach. Miał na sobie ciemny deszczowiec. W ręku trzymał dubeltówkę.

- Znasz go? - spytał Paul.

- Harry Thurston - powiedziała Jenny. - Jest brygadzystą w tartaku. Sąsiad.

Rya złapała za koszulę Paula. Jej pewność siebie i wiara w ludzi zostały poważnie nadszarpnięte po tym, co zrobił Bob Thorp. Nie odrywała wzroku od mężczyzny z dubeltówką.

- Czy on... chce nas zastrzelić?

Paul położył rękę na jej ramieniu, ścisnął ją łagodnie, uspokajająco.

- Nikt nas nie zastrzeli.

Kiedy wypowiadał te słowa, gorąco pragnął, żeby to była prawda.

Na szczęście Sam Edison poza świeżymi artykułami spożywczymi, konserwami, lekarstwami, galanterią oraz tysiącem i jednym drobiazgow, miał w magazynie duży wybór broni palnej. Nie byli więc bezbronni. Jenny trzymała karabin kaliber 22. Sam i Paul nieśli rewolwery: smith & wesson 357 combat magnum, załadowane nabojami 38 special, dającymi tylko połowę potężnego uderzenia amunicji magnum. Ale nie chcieli strzelać, gdyż zamierzali opuścić dom po cichu. Trzymali broń przy boku, z lufami skierowanymi w dół.

- Ja to załatwię - powiedział Sam. Przeciął werandę, doszedł do drewnianych schodków, zaczął schodzić.

- Ani kroku dalej - odezwał się mężczyzna z dubeltówką. Zbliżył się o dziesięć kroków. Celował Samowi w pierś. Palec trzymał na spustach i obserwował ich z nieukrywanym niepokojem i nieufnością.

Paul zerknął na Jenny.

Przygryzała dolną wargę. Widać było, że ma ochotę wywinąć młynka swoim karabinem i spuścić go na głowę Harry'ego Thurstona.

Mogłoby to wywołać bezsensowną, tragiczną w skutkach wymianę ognia.

Przed oczami stanął mu obraz karabinów, huk strzałów. Kolejna salwa... Płomienie

wykwitające z wylotów luf...

- Spokój - powiedział cicho.

Jenny skinęła głową.

Na dole schodków, dwadzieścia pięć stóp od mężczyzny ze strzelbą, Sam wyciągnął rękę na przywitanie. Thurston zignorował go.

- Harry? - odezwał się Sam.

Dubeltówka Thurstona ani drgnęła. Twarz również.

- Cześć, Sam - powiedział.

- Co tu robisz, Harry?

- Przecież wiesz - odpowiedział Thurston.

- Obawiam się, że nie.

- Pilnuję was. Po co?

- Żebyście nie uciekli.

- Pilnujesz nas, żebyśmy nie uciekli z własnego domu? - Sam się skrzywił. - A po co mielibyśmy uciekać z własnego domu? Harry, gadasz bez sensu.

Thurston się nachmurzył.

- Pilnuję was - odezwał się z uporem.

- Kto kazał?

- Policja. Zrobili mnie zastępcą szeryfa.

- Zastępcą? Kto cię zrobił?

- Bob Thorp.

- Kiedy?

- Przed godziną...

- Dlaczego Bob chce, żebyś nie wypuszczał nas z domu?

- Sam wiesz lepiej ode mnie - powtórzył Thurslon.
- Już ci powiedziałem, że nie wiem.
- Coś przeskrobaliście.
- Co takiego?
- Coś złego. Nielegalnego.
- Za dobrze nas znasz, żeby tak mówić. Thurston nic nie powiedział.
- Czy nie tak, Harry?

Milczenie.

- Co takiego przeskrobaliśmy?
- Nie wiem.
- Bob ci nie mówił?
- Jestem tylko tymczasowym zastępcą. - Dubeltówkę jednak masz prawdziwą, śmiercionośną, pomyślał Paul.
- Nie masz pojęcia, co zrobiliśmy, ale zamierzasz nas zastrzelić, gdybyśmy próbowali opuścić dom? - pytał Sam.
- Takie mam rozkazy.
- Jak długo mnie znasz?
- Co najmniej dwadzieścia lat.
- A Jenny.
- Długo.
- I zamierzasz zabić starych przyjaciół tylko dlatego, że ktoś ci kazał? - zapytał Sam. Badał, próbował ustalić zasięg kontroli Salsbury'ego.

Thurston nie potrafił wydusić z siebie odpowiedzi. Oczy nerwowo biegały mu od jednej osoby do drugiej, przestępował z nogi na nogę w mokrej trawie. Był bezgranicznie zdenerwowany,

zdezorientowany i poirytowany, ale gotów wykonać rozkaz szefa policji.

Paul nie mógł oderwać oczu od palca mocno przykurczonego na spustach dubeltówki, nie mógł spojrzeć na Sama, kiedy się do niego odezwał:

- Lepiej dajmy sobie z nim spokój. Wydaje mi się, że przycisnęliśmy go za mocno.

- Chyba tak - zgodził się Sam. Po chwili odezwał się do Thurstona: - Jestem klucz.

- Jestem zamek.

- Opuść broń, Harry. Thurston usłuchał.

- Dzięki Bogu - powiedziała Jenny,

- Podejdź tu, Harry - rozkazał Sam. Thurston podszedł do Sama.

- Niech mnie szlag trafi! - powiedziała Jenny. Idealny zombi, pomyślał Paul, Zwykły mały cynowy żołnierz... Dreszcz przebiegł mu po plecach.

- Harry, kto naprawdę powiedział ci, że masz tu przyjść i mieć nas na oku? - zapytał Sam.

- Bob Thorp.

- Powiedz mi prawdę.

- To był Bob Thorp. - Thurston był zmieszany.

- To nie był mężczyzna nazwiskiem Salsbury?

- Salsbury? Nie.

- Nie znasz Salsbury'ego?

- Nie. O kim ty gadasz?

- Może powiedział, że nazywa się Albert Deighton?

- Kto taki? - spytał Thurston.

- Salsbury.

- Nie znam nikogo nazwiskiem Deighton. Jenny, Paul i Rya zeszedli po mokrych od deszczu schodkach i dołączyli do nich.

- Salsbury najwyraźniej wysługuje się Bobem Thorpem - powiedziała Jenny.

- O czym wy, ludzie, gadacie? - spytał Thurston.

- Harry, jestem klucz - powiedział Sam.

- Jestem zamek.

Sam zastanawiał się przez chwilę, w jaki sposób podejść Thurstona.

- Harry, pójdziemy na spacer do domu Hattie Lange - odezwał się w końcu. - Nie będziesz próbował nas zatrzymać. Czy to jasne?

- Nie zatrzymam was.

- I nie zastrzelisz.

- Nie. Oczywiście, że nie.

- Będziesz zachowywał się spokojnie. Kiedy my stąd odejdziemy, ty wrócisz pod te krzewy bzu. Zapomnisz, że w ogóle wychodziliśmy z domu. Czy to jasne?

- Tak.

- Chcę, żebyś zapomniał o naszej rozmowie. Kiedy stąd odejdziemy, chcę, żebyś nie pamiętał ani jednego słowa z tej rozmowy. Potrafisz to zrobić. Harry?

- Jasne. Zapomnę, o czym gadaliśmy i że was widziałem. To wszystko. Tak jak mówiłeś.

Jak na człowieka-robotę, prawdziwego zombi, pomyślał Paul, robi wrażenie cholernie rozluźnionego.

- Będziesz myślał, że ciągle jesteśmy w środku - powiedział Sam.

Thurston wpatrywał się w głąb sklepu.

- Będziesz pilnował domu dokładnie tak samo, jak robiłeś to kilka minut temu - mówił Sam.

- Pilnował... To właśnie kazał mi Bob.

- No to pilnuj - polecił Sam. - I zapomnij, że nas widziałeś.

Harry Thurston posłusznie ukrył się w niszy z liliowych krzewów bzu. Stał w rozkroku.

Trzymał strzelbę w obu rękach, równoległe do ziemi, gotów w każdej chwili podnieść ją i wystrzelić, gdyby nagle coś mu zagrażało.

- Niewiarygodne - powiedziała Jenny.

- Wygląda jak esesman - rzekł Sam znużonym głosem. - Chodźcie. Wynosimy się stąd.

Jenny ruszyła za nimi.

Paul ujął lodowatą rękę Rya'i.

Ze ściągniętą twarzą, z wystraszoną spojrzeniem oddała uścisk dłoni i zapytała:

- Czy kiedyś znowu wszystko będzie w porządku?

- Jasne. Już niedługo wszystko będzie dobrze - odpowiedział, niepewny, czy mówi prawdę, czy kolejne kłamstwo.

Szli szybko w kierunku zachodnim przez trawniki z tyłu domów sąsiadów, z nadzieją, że żaden z nich ich nie zobaczy.

Z każdym krokiem Paul oczekiwał, że ktoś ich zatrzyma. Oczekiwał również - mimo całkowitego podporządkowania się im i spokoju Harry'ego Thurstona - że usłyszy blisko za sobą wystrzał z dubeltówki, bardzo blisko, tuż za plecami. Jeden apokaliptyczny huk: a potem wieczna cisza.

W połowie kwartału doszli od tyłu do kościoła Świętego Łukasza, ogólnowyznaniowego kościoła miasteczka. Był świeżo pomalowany. Zadbana budowla z białych belek, z ceglana podmurówką, na planie prostokąta. Przed kościołem stała czteropiętrowa dzwonnica z widokiem na Main Street. Sam spróbował tylnych drzwi. Były otwarte. Wśliznęli się do środka, jedno za drugim. Powiało stęchlizną.

Przez kilka minut stali w wąskim, pozbawionym okien przedsionku. Sprawdzali, czy Harry Thurston albo ktoś inny ich nie śledzi. Nikogo.

- Dziękować Bogu! - szepnęła Jenny. Sam zaprowadził ich do zakrystii. Była jeszcze mroczniejsza niż przedsionek. Przypadkowo potrącili wieszak obwieszony szatami dla chóru. Zatrzymali się w bezruchu, aż ucichł hałas, i upewnili się, że nie zdradzili swojej obecności. Trzymali się za ręce, tworząc jakby łańcuch. Przebrnęli przez zakrystię i dotarli do prezbiterium. Mimo że na dworze było pochmurno, a witrażowe okna kościoła ledwie przepuszczały światło, było go tu dość, by nie musieli już trzymać się za ręce. Szli za Samem główną nawą, między dwoma rzędami ławek, nie szukając drogi jak ślepcy w obcym domu.

Z tyłu nawy, po lewej stronie, były drzwi. Sam otworzył je. Zobaczyli kręte schodki prowadzące w górę. Sam ruszył pierwszy, za nim Jenny, potem Rya.

Paul stał u dołu schodków i z uwagą wpatrywał się przez kilka minut w pełen cieni kościół. Trzymał odbezpieczony rewolwer. Kiedy wielkie pomieszczenie okazało się ciche i puste, zamknął za sobą drzwi i dołączył do reszty.

Na górze dzwonnicy mieściła się platforma o powierzchni dziewięciu stóp kwadratowych. Znajdował się tu dzwon zawieszony pośrodku, w najwyższym punkcie zbiegającego się sklepienia dachu. Odchodził od niego łańcuch, który zwisał przez otwór w podłodze do podstawy dzwonnicy, skąd dzwonnik mógł za niego pociągać. Mur wokół platformy miał wysokość tylko czterech stóp, tak że między dachem i murem była wolna przestrzeń. W każdym kącie wznosił się biały filar, podtrzymujący spiczasty, kryty łupkową dachówką dach. Ponieważ dach wystawał we wszystkich kierunkach cztery stopy poza mur, deszcz nie wpadał przez otwory. Platforma dzwonnicy była sucha.

Paul, kiedy dotarł do platformy, schylił się. Przyklęknął przy murze. Wprawdzie ludzie na dole rzadko spoglądali w górę, zwłaszcza gdy znajdowali się w znanym sobie otoczeniu, jednak nie należało ryzykować. Przeszedł na czworakach na drugą stronę platformy.

Jenny i Rya siedziały na podłodze, oparte plecami o mur. Karabin leżał obok Jenny.

Mówiła coś cicho do dziewczynki, opowiadała jakiś żart albo historyjkę, usiłowała złagodzić jej napięcie i choć trochę ją rozweselić. Jenny zerknęła na Paula, uśmiechnęła się, ale uwagę w dalszym ciągu miała skupioną na Ryi.

To ja powinienem się zajmować Rya, pomyślał Paul. Powinienem pomóc Ryi. Uspokoić ją i pocieszyć. Powinienem z nią być.

Ale poprawił się zaraz. Nie. Teraz powinieneś przygotować się do zamordowania co najmniej jednego człowieka. Może dwóch lub trzech. Może aż pół tuzina, powiedział sobie.

Nagle zaczął się zastanawiać, jak to wpłynie na stosunki z córką. Czy wiedząc, że zabił kilku ludzi, będzie się go bała?

Tak jak teraz boi się Boba Thorpa? Czy wiedząc, że jest zdolny do brutalnego czynu, kiedykolwiek będzie się czuła bezpiecznie i swobodnie w jego obecności? Śmierć zabrała mu żonę i syna. Czy teraz miał stracić także córkę?

Sam, klęcząc, wyglądał przez mur dzwonnicy.

Paul czuł wzrastający niepokój, ale starał się opanować. Teraz nie wolno mu martwić się na zapas. Przykląkł obok Sama i spojrział na wschód. Nieopodal widać było Ogólno-asortymentowy Sklep Edisona, stację benzynową i warsztat naprawczy Karkova, domy na krańcu miasta, romb stadionu baseballowego na łąkach przy rzece. Na końcu doliny, blisko zakrętu szosy, stał w poprzek jezdni wóz policyjny.

- Blokada drogowa.

- Zauważyłem - powiedział Sam.

- Salsbury ma nas w szachu.

- I właśnie teraz prawdopodobnie zastanawia się, dlaczego, do diabła, nie próbujemy zadzwonić na policję ani wyjechać z Black River.

Po prawej stronie rozciągała się główna część miasteczka. Rynek. Ultman's Cafe w cieniu

dwóch ogromnych czarnych dębów. Ratusz. Za rynkiem ładniejsze zabudowania: z cegły i z kamienia, wyglądające jak budowle z białego piernika, domki neogotyckie i ozdobne małe bungalowy. Kilka sklepów z markizami w paski od frontu. Biuro przedsiębiorstwa telekomunikacyjnego. Kościół Świętej Marii Magdaleny. Cmentarz. Union Theater ze staromodną markizą. A dalej droga do tartaku. Cała panorama. Wyglądająca po burzy świeżo, czysto i oryginalnie - zbyt niewinnie, aby mogło czaić się tu zło. A jednak znalazło sobie tu azyl.

- Wciąż myślisz, że Salsbury zaszył się w ratuszu? zapytał Paul.

- A gdzie indziej?

- Chyba masz rację.

- Biuro szefa policji świetnie się nadaje na kwaterę główną. Paul spojrzął na zegarek.

- Kwadrans po piątej.

- Czekamy tu aż się ściemni - powiedział Sam. - Mniej więcej do dziewiątej. Potem przemkniemy na drugą stronę ulicy, miniemy strażę Salsbury'ego, używając hasła, i dostaniemy go, zanim się obejrzy.

- Wydaje się to takie łatwe.

- I będzie.

Błyskawica zapłonęła jak lont, eksplodował grom, deszcz niczym szrapnel zagrzechotał po dachu dzwonnicy i w dole, po ulicach.

17.20

Uśmiechając się, tak jak mu przykazano, z ramionami skrzyżowanymi na szerokiej piersi, Bob Thorp, oparty o parapet okna, obserwował Salsbury'ego, który pracował przy biurku policjanta.

Przełącznik końcowy został już podłączony do telefonu biurowego. Uzyskano połączenie z domem Sama Edisona - przynajmniej wybrano jego numer, więc powinno być połączenie.

Salsbury garbił się nad biurkiem Boba. W prawej dłoni ścisnął tak mocno słuchawkę, iż zdawało się, że kłykcie lada moment przetną bladą skórę. Usiłował dosłyszeć jakiś dźwięk, jakiś najdrobniejszy szmer w sklepie lub w pomieszczeniach mieszkalnych.

Nic.

- No, dalej - mówił niecierpliwie.

Milczenie.

Przeklinał przekaźnik końcowy, powtarzał sobie, że cholerstwo wysiadło, że to kawał dziadowskiego belgijskiego żelastwa, czego więc można się po nim spodziewać. Odłożył słuchawkę. Sprawdził, czy przewody są podłączone do właściwych końcówek, i znów wybrał numer Edisona.

Uzyskał połączenie. Miękki, łagodny szmer jak echo krwi płynącej w żyłach.

W tle słyszał hałaśliwe tykanie zegara w mieszkaniu Edisona.

Spojrzał na zegarek. Była 17.24.

Nic. Cisza.

17.26.

Odłożył słuchawkę. Zadzwoił znowu.

Słyszał tykanie zegara.

17.28.

17.29.

17.30.

Nikt się tam nie odezwał. Nikt nie krzyknął, nie zaśmiał się, nie westchnął, nie kaszlnął, nie ziewnął, nie poruszył się. 17.32.

17.33.

Salsbury przycisnął mocno słuchawkę do ucha, skoncentrował się, napiął całe ciało, zebrał

całą uwagę, aby usłyszeć Edisona. Annendale'a albo którąś z pozostałych osób.

17.34.

17.35.

Oni tam są. Są, do cholery!

17.36.

Cisnął słuchawkę na widelki. Bang!

Te dranie wiedzą, że ich słucham. Starają się być cicho. Chcą mnie podłamać. To jest to. To musi być to.

Podniósł słuchawkę i znów wybrał numer. Tykanie zegara. Nic poza tym.

17.39.

17.40.

Dranie! Odłożył słuchawkę.

Nagle oblał się potem. Lepił się. Czuł się fatalnie. Wstał z trudem. Z wściekłości nie mógł zrobić kroku.

- Jeśli nawet w jakiś sposób wydostali się ze sklepu - odezwał się do Thorpa to z miasta się nie wymkną. Cudownie ma. Nie są w stanie tego dokonać. Zamknąłem całe to miasto, czyż nie?

Thorp uśmiechał się do niego. Nadal zachowywał się zgodnie z poprzednio wydanym rozkazem Salsbury'ego.

- Odpowiedz mi, do cholery!

Uśmiech Thorpa znikł.

Salsbury był siny z wściekłości, mokry od potu.

- Czy nie zamknąłem tego pieprzonego miasta na fest?

- Och, tak - ulegle przytaknął Thorp.

- Nikt nie może wydostać się z tej zapadłej dziury, dopóki ja na to nie pozwolę! Prawda?

- Tak. Zamknąłeś ją.

Salsbury trząsał się, miał zawroty głowy.

Nawet jeśli wyniknęli się ze sklepu, znajdę ich. Wszędzie ich znajdę, do cholery, kiedy tylko zechcę! No nie?

- Tak.

- Mogę rozwalić to przeklęte miasto, rozpruć całe, ale znajdę tych skurwysynów.

- Kiedy tylko zechcesz.

- Nie uciekną.

- Nie.

Nagle usiadł, jakby miał zemdleć.

- Ale to nie ma znaczenia. Nie mogli wyjść ze sklepu. Nie mogli wyjść. Jest pilnowany.

Dokładnie pilnowany. To cholerne więzienie. Więc dalej tkwią w tym domu. Cichutko jak myszki.

Wiedzą, że podsłuchuję. Chcą mi wyciąć numer. Właśnie to. Numer, o to im właśnie chodzi.

Znów podniósł słuchawkę i wykręcił numer Edisonów.

Usłyszał znajome tykanie zegara w jednym z pokojów, tam gdzie stał telefon.

17.44.

17.45.

Odłożył słuchawkę.

Zadzwonił znowu.

Tykanie...

17.46.

17.47.

Odłożył. Wyszczrzył zęby do szefa policji.

- Kapujesz, do czego chcą mnie zmusić? - Thorp przecząco pokręcił głową.

- Chcą, żebym wpadł w panikę. Chcą, żebym zaczął ich szukać. Żebym przeczesał miasto, dom po domu. - Zachichotał. - Mogę to zrobić. Mogę kazać wszystkim w miasteczku wziąć udział w poszukiwaniach. Ale to zabrałoby mi wiele czasu, a potem jeszcze musiałbym skasować to z pamięci czterystu osób. To zajęłoby mi następne kilka godzin. Chcą, żebym zmarnował swój czas. Cenny czas. Żebym wpadł w panikę, zmarnował wiele godzin i dał im szansę ucieczki w tym zamieszaniu. Może nie o to im chodzi? O to.

Salsbury zachichotał.

- Więc nie będę tańczył, jak mi przygrywają. Zaczekam na Dawsona i Klingera. Nie wpadnę w panikę. Nie ja. Mam pełną kontrolę nad sytuacją - i nie stracę jej.

Grom zahuczał nad doliną, zawibrował w oknach biura.

Salsbury wykręcił numer sklepu.

17.50.

17.51.

Zachichotał i odłożył słuchawkę.

Nagle przeszła go myśl: jeśli Edisonowie i Annendale'owie wiedzą, że ich podsłuchuje, to znaczy, że znają całą prawdę, wiedzą, kim jest naprawdę i co robi w Black River... To niemożliwe!

Znów zadzwonił.

17.52.

Nic. Cisza.

Odłożył słuchawkę i obrócił się w stronę Thorpa.

- Cóż, zdaje mi się, że to bez znaczenia, czy oni wiedzą. Nie mogą zwiąć. Mam ich tam, gdzie chcę. Mam władzę... - Przez moment wpatrywał się w przekaźnik końcowy, spojrzał na Thorpa. - Jak ci się zdaje, co Miriam robi, kiedy dowie się, jaką mam władzę?

- Kto to Miriam?

- Znasz Miriam.

- Nie znam jej.

- To moja była żona.

- Och.

- Parszywa suka. Thorp nic nie powiedział.

- Zimna jak sopel lodu.

- Współczuję.

- Wiem, co ona robi - mówił Salsbury. - Przyjdzie do mnie na kolanach. Kochana Miriam.

Przyczołga się, Bob. Na kolanach. Przyczołga. Nie?

- Tak - powiedział Thorp. Władza...

- Wiesz, co zrobię?

- Nie.

- Do diabła! Wiesz, co zrobię, kiedy ta parszywa suka przyjdzie do mnie na klęczkach, kiedy przyczołga się na kolanach?

- Nie.

- Dam jej kopa w pysk.

- To pobicie.

- Dawsonowi też kopa w pysk.

- To pobicie. Wylądujesz w pierdłu.

- Dopadnę Dawsona - uroczyście oświadczył Salsbury. Zachichotał. - Dopadnę tego świętoszkowatego, kochanego drania.

Thorp skrzywił się.

- Jak myślisz, znalazłyby się jakieś buty z cholewami. Bob?

- Co?

- Tak.
- Odłożyć słuchawkę, pani Wolinski.
- 18.45
- Kościół Świętej Marii Magdaleny.
- Czy to plebania?
- Tak. plebania.
- Ojciec O'Hara?
- Przy telefonie.
- Jestem klucz.
- Jestem zamek.
- Ojciec jest sam?
- Tak.
- A co z gosposią?
- Poszła już do domu.
- Zna ojciec Sama i Jenny Edisonów?
- Oczywiście. Dobrzy ludzie.
- Czy ktoś z nich jest teraz u ojca?
- Tu, na plebanii? Nie.
- Może w kościele?
- Nie. Dlaczego pan pyta?
- Czy widział ojciec dzisiaj kogoś z Edisonów?
- Nie. Ja...
- Zamknij się. O'Hara. Kiedy odłożysz słuchawkę, zapomnisz każde słowo z tej rozmowy. Będziesz tylko pamiętał, że ktoś wykręcił zły numer. Czy to jasne?

- Tak. Odłożyć słuchawkę, O'Hara.

19.00

- ...dzisiaj kogoś z Edisonów?

- Widziałam Sama. W sklepie.

- Kiedy to było, pani Jamison?

- Dziś rano, koło dziewiątej. Od tamtej pory nie widziała go pani?

- Nie.

- Pani Jamison, nie chcę, żeby pani odchodziła od telefonu. Proszę zostać. Ale słuchawkę proszę oddać mężowi.

- Halo?

- Pan Jamison?

- Tak.

- Jestem klucz.

- Jestem zamek.

- ...nie chcę, żeby pani odchodziła od telefonu, pani Potter. Proszę zostać. Ale słuchawkę proszę oddać mężowi.

- W porządku. Sekundkę.

- Halo?

Wielebny Potter?

- We własnej osobie.

- Jestem klucz.

- Jestem zamek.

- Znasz Sama i Jenny Edisonów?

- Tak. Znam ich bardzo dobrze.

- Widziałeś ich dzisiaj?
- Nie.
- Jesteś tego absolutnie pewien?
- O tak. Absolutnie.
- Nie rozmawiałeś z nimi?
- Nie. Ja...
- Znasz Paula Annendale'a albo jego córkę?
- Tak. Każdego roku...
- Widziałeś ich dziś albo rozmawiałeś z nimi?
- Nie. Cały dzień spędziłem...
- Co się, kurwa, dzieje, Potter?
- Słucham?
- Gdzie oni są, do diabła!
- Nie pochwalam plugawego słownictwa ani...
- W ciągu półtorej godziny zadzwoniłem do pięćdziesięciu osób. Nikt ich nie widział. Nikt o nich nie słyszał. Nikt nic nie wie. Ale muszą być w mieście. Jestem tego cholernie pewien! Nie mogli się wydostać... Chryste! Wiesz, co myślę, Potter? Myślę, że dalej siedzą w sklepie.
- Jeżeli...
- Cichutko jak myszki. Chcą mnie wykiwać. Chcą, żebym zaczął ich szukać. Chcą, żebym wysłał po nich Boba Thorpa. Chyba mają tam broń. No, ale ja się nie dam wykiwać. Nie uda im się wywołać strzelaniny, żebym potem musiał się wyliczyć z kilkunastu trupów. Przeczekać ich. Dostanę, Potter. A wiesz, co z nimi zrobię, kiedy wpadną mi w ręce? Edisonów trzeba będzie przebadać, to oczywiste. Musze się dowiedzieć, dlaczego nie zareagowali na specyfik i subliminale. Wiem natomiast, dlaczego Annendaleowie nie zareagowali. Nie było ich tu. Więc

kiedy ich dopadnę, będę mógł się ich pozbyć raz na zawsze. Raz-dwa. Każę Bobowi Thorpowi rozwalić im pierdolone łby! Skurwysyny! Tak właśnie zrobię.

ROZDZIAŁ 7

21.00

O zmierzchu burza ucichła. Czwarty już raz w tym dniu. Helikopter przeznaczony do obsługi kadr kierowniczych, w kolorach szerszenia - jasnożółtym i czarnym - połyskując zielonymi i czerwonymi światłami pozycyjnymi, leciał nad wschodnim krańcem doliny Black River. Unosił się nisko, jakieś sześćdziesiąt stóp nad ziemią. Przeleciał nad Main Street, w stronę rynku, tnąc wilgotne powietrze. Jednostajny terkot śmigieł odbijał się w dole od mokrej nawierzchni. Na dzwonnicy kościoła - również sześćdziesiąt stóp nad ziemią, ale bezpiecznie ukryci w głębokich cieniach, rzucanych przez wystający dach - Rya, Jenny, Paul i Sam obserwowali zbliżający się powietrzny statek. W wypełnionym półcieniami, sinoszarym zmierzchu wydawało się, że helikopter jest niebezpiecznie blisko, ale nikt z niego nie patrzył w ich kierunku. Jednakże w gasnącym świetle dnia widzieli kabinę pilota i wygodną kabinę pasażerską z tyłu.

- Dwóch mężczyzn. Oprócz pilota - oznajmił Sam.

Helikopter zawisł na moment nad rynkiem, przeleciał nad ratuszem i opadł na parking dziesięć jardów od policyjnego wozu,

Kiedy ucichł, Jenny spytała:

- Czy uważacie, że ci ludzie są znajomymi Salsbury'ego?

- Co do tego nie ma dwóch zdań - powiedział Sam.

- Z rządu?

- Nie - odezwał się Paul.

- Zgadza się - niemal radośnie przytaknął Sam. - Nawet prezydent ma helikopter

wojskowy - choć zapewne w środku wyposażony komfortowo. Rząd nie korzysta z takich fikuśnych maszynek jak to żółto-czarne cacko.

- Co nie wyklucza, że rząd macza w tym palce - zauważył Paul.

- Och, na pewno nie. To nie wyklucza niczego - zgodził się z nim Sam. - Ale to dobry znak.

- Co teraz? - zapytała Rya.

- Teraz patrzymy i czekamy - powiedział Paul, nie odrywając spojrzenia od białych cegieł ratusza. - Po prostu patrzymy i czekamy.

W wilgotnym powietrzu wciąż było czuć spaliny helikoptera.

Wysoko w górach zadudnił złowieszczo grom. Piorun przeskoczył między dwoma wysokimi szczytami jak między elektrodami w laboratorium doktora Frankensteina.

Dla Paula stanął czas. Każda minuta ciągnęła się w nieskończoność. Każda sekunda była niby mała banieczka powietrza, unosząca się z wolna w kroplówce z glukozą, gdy przez długie, ciężkie godziny czuwał przy szpitalnym łóżku Annie.

O godzinie 21.20 dwa samochody odjechały spod ratusza w dół Main Street. Policyjny wóz patrolowy i ford LTD. Cztery reflektory samochodowe przecięły zapadający mrok. W niewielkiej odległości za kościołem stanęły przy krawężniku przed sklepem.

Bob Thorp i dwaj mężczyźni ze strzelbami wyszli z wozu policyjnego. Przez moment stali w fontannie bursztynowych świateł LTD. Weszli na stopnie werandy, zasłonił ich dach.

Z drugiego samochodu wysiadło trzech mężczyzn. Zostawili włączony silnik i otwarte drzwi. Nie poszli za Thorpem, lecz stanęli przy LTD. Ponieważ stali za reflektorami, okrywała ich ciemność i Paul nie mógł dojrzeć, czy są uzbrojeni. Ale miał pewność, kim są: to Salsbury i dwaj pasażerowie helikoptera.

- Czy chcesz zejść tam teraz, kiedy stoją do nas plecami, i załatwić ich? - spytał Sama.

- Zbyt ryzykowne. Nie wiemy, czy mają broń. Mogą nas usłyszeć. A jeśli nawet ich zaskoczymy, to na pewno jednemu z nich uda się wymknąć. Oczekajmy chwilę.

O 21.35 zastępca Boba Thorpa zszedł po schodkach werandy i dołączył do trzech mężczyzn, stojących przy samochodzie. Rozmawiali, prawdopodobnie się sprzeciali, przez kilka

chwil. Zastępca pozostał przy LTD. a Salsbury i jego współpracownicy weszli po schodkach do sklepu Edisona.

21.50

- No i świetnie powiedział Dawson, odwracając się od półek z książkami w gabinecie Edisona. Teraz wiemy, jakim cudem udało im się połączyć wszystko razem. Ogden, czy oni znają hasło?

- Oczywiście, że nie! - Salsbury był zaszokowany pytaniem. - Skąd, u diabła, mogliby je znać?

- Mogła je usłyszeć dziewczynka, kiedy mówiłeś do Thorpa albo do jej brata.

- Nie - powiedział. - To niemożliwe. Stała w drzwiach dopiero wówczas, gdy zrezygnowałem z uzyskania kontroli nad jej bratem, a już miałem kontrolę nad Thorpem.

- Czy próbowałeś otworzyć ją hasłem?

Próbowałem? - zastanawiał się Salsbury. Pamiętam, że gdy ją zobaczyłem, to zrobiłem krok w jej kierunku, ale nie udało mi się jej złapać. Czy wypowiedziałem wówczas hasło?

Odrzucił to twierdzenie, gdyż akceptując je, zaakceptowałby porażkę, całkowitą klęskę.

- Nie - odpowiedział Dawsonowi. - Nie miałem czasu na użycie hasła. Zobaczyłem ją, a ona odwróciła się i szybko uciekła. Pobiegłem za nią, ale już jej nie było.

- Jesteś absolutnie pewien?

- Absolutnie.

Spoglądając na Salsbury'ego z nieukrywaniem obrzydzeniem, generał powiedział:

- Powinieneś przewidzieć rozwój wydarzeń z Edisonami. Powinieneś wiedzieć o tej bibliotece, o tym jego hobby.

- W jaki sposób, do diabła, mogłem to przewidzieć? - spytał Salsbury. Twarz miał purpurową. Krótkowzroczne oczy za grubymi szklami wybałuszył jeszcze bardziej niż zwykle.

- Gdybyś wypełnił swoje zadanie...

Zadanie! - prychnął Salsbury pogardliwie. Złością maskował strach, który chciał ukryć przed Dawsonem i Klingerem. - To nie jest śmierdzące wojsko. Ernst, a ja nie jestem jednym z twoich padających na twarz szeregowców.

Klinger odwrócił się od niego, podszedł do okna i powiedział:

- Może byłoby lepiej, gdybyś nim był.

- Chryste! - Salsbury wolał, by generał patrzył na niego, ponieważ zdawał sobie sprawę, że dopóki Klinger czuje się na tyle pewnie, żeby stać do niego plecami, on jest słabszy. - Gdybym był nie wiem jak ostrożny...

- Dość tego - odezwał się Dawson. Mówił spokojnie, ale tak władczo, że Salsbury przerwał w pół zdania, a generał odwrócił się od okna. - Nie mamy czasu na kłótnie i oskarżenia. Musimy znaleźć tych ludzi.

- Nie wydostali się z miasta przez wschodni kraniec doliny oznajmił Salsbury. - Wiem, że jest dobrze pilnowany.

- Myślałeś też, że dobrze zabezpieczyłeś ten dom - wtrącił Klinger. - Ale ci się wymknęli.

- Wstrzymaj się z tymi zgryźliwymi uwagami, Ernst - powiedział Dawson. Uśmiechał się po ojcowsku, po chrześcijańsku, i kiwał głową do Salsbury'ego. Ale w jego czarnych oczach płonęła tylko nienawiść i wściekłość. - Zgadzam się z Ogdenem. Jego środki ostrożności zastosowane na wschodnim krańcu są z pewnością niezawodne. Chociaż możemy rozważyć zwiększenie posterunków wzdłuż rzeki i w lasach teraz, gdy zapadła noc. I sądzę, że Ogden zabezpieczył również drogi drwali.

- Są dwie możliwości - rzekł Klinger, zdecydowawszy się odegrać rolę stratega. - Pierwsza: nadal znajdują się w mieście, gdzieś ukryci, i czekają na sposobność ominięcia blokady drogowej lub ludzi pilnujących rzeki. Druga - to że zamierzają iść przez góry. Wiemy od Thorpa, że są

doświadczonymi turystami.

Bob Thorp stał przy drzwiach niczym warta honorowa.

- To prawda - powiedział.

- Mam na to inny pogląd - zaprotestował Salsbury. - Chodzi mi o to, że mają ze sobą jedenastoletnią dziewczynkę. Będzie ich hamowała. Potrzeba wielu dni, żeby znaleźli tą drogą pomoc.

- Ta dziewczynka spędziła większość wakacji w ciągu ostatnich siedmiu lat w lych lasach - rzekł generał. - Nie musi być dla nich aż takim ciężarem, jak myślisz. Poza tym, jeśli ich nie zlokalizujemy, wyrządzą takie same szkody bez względu na to, czy znajdą pomoc jutro, czy dopiero w połowie przyszłego tygodnia.

Dawson zastanowił się nad tym.

- Jeśli chcą przejść przez góry sześćdziesięciomilowym obejściem do Bexford, to ile mogą już mieć mil za sobą?

- Trzy, może trzy i pół mili - odpowiedział Klinger.

- Nie więcej?

- Wątpię. Musieliby zachować sakramencką ostrożność, opuszczając miasto, jeśli nie chcieli, żeby ich ktoś zobaczył. I iść bardzo wolno, stając co kilka jardów przez pierwszą milę. W lesie potrzeba im trochę czasu na złapanie dobrego tempa. A mała, jeśli nawet czuje się w lesie jak w domu, będzie ich trochę hamować.

- Trzy i pół mili - powtórzył w zamyśleniu Dawson. - To znaczy między tartakiem Big

Union a plantacjami drzew?

- Gdzieś tam.

Dawson przymknął oczy i zdawało się, że odmawia krótką, cichą modlitwę. Usta poruszyły mu się lekko. Potem nagle otworzył oczy, jakby doznał objawienia, i powiedział:

- Zaczniemy od zorganizowania poszukiwań w górach.

- To absurd - zaprotestował Salsbury, choć zdawał sobie sprawę, że Dawson

prawdopodobnie uważa swój plan za boską inspirację, udział ręki samego Pana. - To będzie, jak...

cóż, jak szukanie igły w stogu siana.

- Mamy blisko dwustu ludzi w osiedlu. - Głos Dawsona był tak zimny, jak ciało chłopca w

sąsiednim pokoju. - A każdy z nich zna te lasy na wylot. Zarządzimy mobilizację. Uzbrowimy ludzi

w siekiery, karabiny i strzelby. Damy im latarki i lampy Colemana. Wsadzimy na ciężarówki i

dżipy, wywieziemy jakąś milę za osiedle drwali. Rozwiną się w tyralierę i będą się cofać. W

czterdziestostopowych odstępach. W ten sposób tyraliera będzie liczyła półtorej mili od końca do

końca, a równocześnie każdy człowiek będzie miał tylko niewielki obszar do przeszukania.

Edisonowie i Annendale'owie będą musieli się na nich natknąć.

- To zadziała - odezwał się z podziwem w głosie Klinger.

- A jeśli nie ma ich w górach? - spytał Salsbury. - Jeśli akurat siedzą w mieście?

- Wtedy nie mamy się czym przejmować - powiedział Dawson. - Nie mogą cię dopaść

ponieważ chroni cię Bob Thorp i jego zastępcy. Nie są w stanie wydostać się z miasta, ponieważ

każde wyjście jest zablokowane. Wszystko, co mogą zrobić, to jedynie czekać. - Uśmiechnął się

okrutnie. - Jeśli nie uda nam się znaleźć ich w lesie do trzeciej lub czwartej nad ranem, zaczniemy

przeczesywać miasto, dom po domu. W każdym razie chcę, żeby ta cała sprawa została zamknięta

do jutra w południe.

- Masz wymagania - rzekł generał.

- Nie obchodzi mnie to - oświadczył Dawson. - Nie wymagam niczego niemożliwego.

Chcę ich mieć nieżywych do południa. Chcę, żeby dokonano restrukturyzacji pamięci wszystkich

mieszkańców Black River. Nie może pozostać po nas nawet najmniejszy ślad. Do południa.

- Nieżywych? - spytał zbity z tropu Salsbury. Poprawił okulary na nosie. - Ale ja muszę

zbadać Edisonów. Jeśli chcesz, zabijaj sobie Annendale'ów, ale muszę wiedzieć, dlaczego specyfik nie zadziałał na Edisonów. Muszę...

- Wybij to sobie z głowy - uciął Dawson. - Jeśli po złapaniu zabralibyśmy ich do laboratorium w Greenwich, istnieje poważna obawa, że uciekliby po drodze. Nie możemy ryzykować. Za dużo wiedzą.

- Ale będziemy mieli w cholere trupów! - wybuchnął Salsbury. - Na litość boską, jest już chłopiec i ten stuknięty Buddy. Jeszcze czwórka... A jeśli stawią opór, będzie co najmniej z tuzin do pogrzebania.

- Złożymy zwłoki w Union Theater. - Dawson był wyraźnie zadowolony z siebie. - A potem zainscenizujemy tragiczny pożar. Mamy doktora Troutmana do wydania świadectw zgonu. I możemy użyć programu Klucz-Zamek, żeby powstrzymać krewnych od żądania sekcji zwłok.

- Znakomicie - rzekł Klinger. Wyszczерzył zęby i zaklaskał.

Pochlebca z dworu króla Leonarda Pierwszego, kwaśno pomyślał Salsbury.

- Naprawdę znakomicie, Leonardzie - rzekł Klinger.

- Dziękuję ci, Ernst.

- Jezusowi powinęłaby się noga, co dopiero nam - jęknął Salsbury.

Dawson obrzucił go nieprzychylnym spojrzeniem, zgorzony takim bluźnierstwem.

- Pan któregoś dnia okrutnie nam odpłaci za każdy popełniony grzech. Nie ma przed tym ucieczki. - Salsbury nic nie powiedział.

- Piekło istnieje.

Salsbury spojrzał na Klingera. Mimo że nie uzyskał od generała żadnego poparcia, nie zauważył w jego twarzy śladu sympatii, udało mu się zachować spokój. W głosie Dawsona było coś twardego i zimnego, jak dobrze naostrzony sztylet skryty w miękkich fałdach księżej sutanny.

- Do dzieła, panowie. - Dawson spojrzał na zegarek. - Już czas. Kończymy z tym.

22.12

Helikopter podniósł się z parkingu za ratuszem. Obrócił się wdzięcznie nad rynkiem, z którego obserwowało go kilka osób, a potem z klekotem odleciał na zachód, w kierunku gór, w ciemność. Po chwili znikł.

Sam odwrócił się od ulicy i oparł plecami o mur.

- Do tartaku?

- Na to wygląda - powiedział Paul. - Ale dlaczego?

- Dobre pytanie. Gdyby nie ty, sam bym je postawił.

- Co będzie, jeśli wpadli na to, że uciekliśmy, jeśli uświadomili sobie, że znamy hasło?

- To mało prawdopodobne.

- Ale jeśli?

- Sam chciałbym wiedzieć. - Edison był zmartwiony. Westchnął. - Pamiętaj jednak, że

nawet w najgorszym wypadku oznacza to tylko: oni przeciw nam. Jeśli uświadomią sobie, ile wiemy, stracimy przewagę zaskoczenia. Ale oni nie mają już armii programowanych goryli. Więc wychodzi na zero.

- Myślicie, że obaj kumple Salsbury'ego są na pokładzie helikoptera? - spytała Jenny.

Sam podniósł do oczu rewolwer. W ciemności widział ledwo zarys broni, mimo to wpatrywał się w nią z fascynacją i grozą.

- No cóż, to jeszcze jedna rzecz, którą chciałbym wiedzieć.

Paulowi trzęsły się ręce. Jego smith & wesson zdawał się ważyć sto funtów.

- Wydaje mi się, że musimy teraz dopaść Salsbury'ego.

- Teraz? Powinniśmy to zrobić dużo wcześniej. - Jenny dotknęła ręki ojca trzymającej broń.

- Co zrobimy, jeśli jeden z tych mężczyzn został z Salsburym?

- Wtedy jest dwóch na dwóch - rzekł Sam. - Na pewno sobie poradzimy.

- Gdybym poszła z wami, byłoby troje na dwóch i szansę by wzrosły.

- Jesteś potrzebna Ryi. - Sam objął córkę, pocałował ją w policzek. - Nic się nam nie stanie,

Jenny. Wiem. Zajmij się

tylko Ryą.

- A jeśli nie wrócicie?

- Wrócimy.

- A jeśli nie? - upierała się,

- Wtedy... musicie radzić sobie same - powiedział Edison łamiącym się głosem. Jeśli miał w oczach łzy, skryła je ciemność. - Nie możemy dla was nic więcej zrobić.

- Mamy pewną przewagę nad nimi - odezwał się Paul. - Otóż Salsbury nie wie, gdzie jesteście, natomiast my wiemy dokładnie, gdzie on jest.

Rya przyłgnęła do Paula. Nie pozwalała mu odejść. Prosiła go cichym, ale stanowczym głosem - wręcz żądała - aby nie zostawiał jej w kościele.

Pogładził ciemne włosy córki, uściskał ją, łagodnie uspokoił, podniósł na duchu najlepiej, jak potrafił.

O 22.20 ruszył za Samem schodami w dół.

ROZDZIAŁ 8

22.20

Phil Karkov, właściciel jedynej w mieście stacji benzynowej i warsztatu samochodowego, oraz jego przyjaciółka Lolah Tayback zamierzali wyjechać z miasteczka wieczorem, kilka minut po dziesiątej. Zaprogramowani odpowiednio zastępcy szeryfa, zawiadujący blokadą, odesłali ich do ratusza na rozmowę z Bobem Thorpem.

Mechanik samochodowy mówił cicho, uprzejmie i wyraźnie starał się robić wrażenie wzorowego obywatela. Był wysokim, szerokim w barach, ciemnowłosym mężczyzną, w wieku około trzydziestu pięciu lat. Jego przystojną twarz szpecił tylko mięsisty i trochę zniekształcony nos, złamany w niejednej bójce. Phil był sympatycznym człowiekiem, skorym do śmiechu, i palił się wprost do okazania wszelkiej możliwej pomocy szefowi policji.

Salsbury otworzył ich oboje za pomocą hasła i wypytał w ciągu kilku minut. Był usatysfakcjonowany, że Karkov i Lolah Tayback są doskonale zaprogramowani. Nie próbowali uciec. Nie widzieli dziś w mieście niczego odbiegającego od normy. Jechali tylko do Bexford na piwo i kanapki.

Odesłał mechanika do domu i kazał mu tam zostać na resztę nocy.

Kobieta przedstawiała całkiem inny problem.

„Kobieta-dziecko” byłoby lepszym określeniem - pomyślał. Srebrnoblond włosy opadały do szczupłych ramion, otulając twarzyczkę o dziecięcej urodzie. Zielone oczy, doskonale czysta, mleczna cera z lekkimi jak cynamonowy puder piegami na kościach policzkowych, małe zadarty nosek, doteczki, cienki niby żyłka zarys dolnej szczęki i okrągły podbródek... Każdy delikatny rys emanował naiwnością. Miała wzrostu może pięć stóp i dwa cale. Ważyła nie więcej niż sto funtów. Robiła wrażenie kruchej. Ale w koszulce w biało-czerwone paski (bez stanika) i niebieskich dżinsowych szortach miała bardzo ponętą, całkiem kobiecą figurę. Drobne, wysoko osadzone piersi akcentowały wyjątkowo cienką talię, sutki czarująco rysowały się pod cienką

bawelną. Nogi szczupłe, zgrabne. Kiedy Salsbury stał przed nią, obejmując ją wzrokiem od stóp do głów, spoglądała na niego wstydliwie. Nie potrafiła spojrzeć mu w oczy. Przeszła z nogi na nogę. Jeżeli wygląd o czymś świadczył, powinna być najbardziej uległą, bezbronną kobietą, jaką kiedykolwiek spotkał.

Zresztą gdyby nawet okazała się trudną do pokonania diabolicą, teraz była bezbronna.

Wobec niego. Ponieważ on ma władzę...

- Lolah?

- Tak.

- Ile masz lat?

- Dwadzieścia sześć.

- Jesteś zaręczona z Philem Karkovem?

- Nie. - Cichutko.

- Chodźcie ze sobą?

- Tak jakby,

- Sypiasz z nim?

Zarumieniła się. Przeszła z nogi na nogę. Śliczne zwierzątko... Pieprz się, Dawson! Ty też, Klinger! Zachichotał.

- Sypiasz z nim, Lolah?

- Czy muszę odpowiedzieć? - Szept prawie niedosłyszalny.

- Musisz powiedzieć prawdę.

- Tak. - Szept.

- Sypiasz z nim?

- Tak.

- Jak często?

- Och... W każdym tygodniu.

- Głośniej.

- W każdym tygodniu.

- Figlarka.

- Chcesz zrobić mi krzywdę? - Zaśmiał się.

- Raz w tygodniu? Dwa?

- Dwa. Czasem trzy...

Salsbury odwrócił się do Boba Thorpa.

- Wynoś się stąd, do diabła. Idź na koniec korytarza i zaczekaj tam ze strażnikami, aż cię zawołam.

- Jasne. - Thorp zamknął za sobą drzwi.

- Lolah?

- Tak?

- Jak Phil z tobą to robi?

- O co ci chodzi?

- W łóżku.

Patrzyła na swoje sandałki.

Rozpierało go uczucie posiadanej władzy. Krew pulsowała w żyłach z zawrotną szybkością, jak prąd przeskakujący między końcówkami z iskrzeniem, błyskaniem, trzaskiem.

Czuł uniesienie. Oto istota programu Klucz-Zamek; władza, panowanie, absolutna kontrola nad ludzkimi duszami. Nikt go już nigdy nie wykorzysta. Teraz on będzie wykorzystywał innych.

Zawsze i na zawsze. Teraz i na wieki wieków, amen... Amen. Dawson, słyszałeś? Dzięki ci, Boże, za podesłanie mi tej cudownej dupeńki, amen. Pierwszy raz od rana, od chwili kiedy dotknął żony Thorpa, poczuł się szczęśliwy.

- Założę się, że Phil robi to na wszystkie sposoby - powiedział.

Milczała. Przeszła z nogi na nogę.

- Nie jest tak, Lolah? Przyznaj się. Powiedz. Chcę, żebyś to powiedziała.

- Wyczynia... różne rzeczy.

Ujął ją pod brodę. Podniósł do góry.

Wpatrywała się w niego skrępowana i wystraszona.

- Ja teraz będę wyczyniał z tobą, co zechcę.

- Nie rób mi krzywdy.

- Cudowna, cudowna suczka - mówił.

Nigdy w życiu nie był tak podniecony. Dyszał ciężko. A równocześnie wszystko było takie bezpieczne. Pod kontrolą. Pewną kontrolą. On - jej pan i władca. On - pan i władca każdego. To było zdanie Howarda Parkera, błysk powracający sprzed dziesiątków lat, tak jak przedziwne halucynacje, wybuchające w jego zakwaszonym mózgu po ostatniej dawce LSD. Pan i władca.

- Ależ to właśnie ci zrobię - powiedział. - Zrobię ci krzywdę, tak jak innym. Zapłacisz mi za wszystkich. Wykrwawisz się. Jestem twoim panem i władcą. Zezresz wszystko, co ci rzucę.

Wszystko. Może nawet ci się to spodoba. Nauczysz się to lubić. Może...

Dłonie zwinęły mu się w pięści.

Pilot poprowadził helikopter szerokim łukiem wokół osiedla drwali, rozglądając się za najlepszym lądowiskiem wśród rozświetlonych budynków.

W kabinie pasażerskiej Dawson przerwał długotrwałą ciszę.

- Ogden musi zostać wyeliminowany.

Klinger nie miał trudności z przełknięciem tego wyroku.

- Oczywiście. Nie można na nim polegać.

- Jest nieznówważony.

- Ale jeśli go wyeliminujemy, czy damy sobie radę z kontynuacją planu? - spytał generał.

- Wszystko, do czego Ogden doszedł, jest w komputerze w Greenwich. Prace badawcze były poza naszym zasięgiem, ale potrafimy nieźle wykorzystać skończony produkt.

- Nie zaszyfrował danych?

- Naturalnie. Ale w dniu, w którym komputer został zainstalowany, na długo przedtem nim Ogden zaczął z niego korzystać, kazałem moim ludziom opracować program do odszyfrowywania i wydruku każdej potrzebnej mi informacji, niezależnie od sposobu wpisu żądania, niezależnie od haseł, kombinacji numerycznych i innych zabezpieczeń, które Ogden mógł zastosować.

Helikopter zawisł nieruchomo, po czym zaczął opadać.

- Kiedy się z nim uporamy?

- To ty się z nim uporasz - powiedział Dawson.

- Ja? Czy może mam zaprogramować kogoś, żeby to zrobił?

- Zrób to sam. On może zmienić program u kogoś innego. - Dawson uśmiechnął się. - Masz ze sobą broń?

- Tak.

- Z tyłu, na biodrach?

- Przypiętą do prawej łydki.

- Cudownie.

- Wracając do pierwszego pytania - rzekł Klinger - kiedy go mam załatwić?

- Dziś w nocy. Jeżeli to możliwe, w ciągu godziny.

- Dlaczego nie po powrocie do Greenwich?

- Nie chcę go grzebać w posiadłości. To za wielkie ryzyko.

- A co zrobimy z ciałem?

- Pochowamy tu. W lesie. Helikopter dotknął ziemi.

Wirniki kaszlnęły i zwolniły obroty. Upragniona cisza powoli zastępowała hałas.

- Założyłeś, że po prostu... zniknie z powierzchni ziemi? - spytał Klinger.

- Zgadza się.

- Urlop kończy mu się piątego następnego miesiąca. Wtedy jest zobowiązany stawić się w Brockert Institute. Jest znany z punktualności. Jeśli nie stawi się do piątego rano, wywoła to pewne poruszenie. Zaczną go szukać.

- Nie będą szukać w Black River. Nie ma żadnych podstaw, by kojarzyć Ogdena z tą miejscowością. Urlop powinien spędzać w Miami.

- Zacznie się bardzo ciche, zakrojone na wielką skalę polowanie. Ludzie ze służb bezpieczeństwa Pentagonu, FBI...

- Nie istnieje nic, co łączyłoby go z tobą albo ze mną - powiedział Dawson, odpinając pas. - W końcu uznają, że przeszedł na drugą stronę, uciekł za granicę.

- Może.

- Na pewno. Dawson otworzył drzwi. Mam wrócić do miasta helikopterem? - zapytał Klinger.

- Nie. Ogden może go usłyszeć i zacznie się zastanawiać, po co się zjawiłeś. Weź stąd samochód osobowy albo dżipa. I lepiej przejdź ostatnie kilkaset jardów na piechotę.

- W porządku.

- Ernst?

- Tak?

W bursztynowym świetle pięćsetdolarowe koronki Dawsona błysnęły w szerokim i groźnym uśmiechu. Oczy zaświeciły mu się jakimś niezwykłym blaskiem. Nozdrza pulsowały jak wilkowi wietrzącemu krew.

- Ernst, nie zamartwiaj się tak.

- Nic na to nie poradzę.

- Jest nam przeznaczone przeżyć tę noc, wygrać tę bitwę i następne. - Dawson mówił z głębokim przekonaniem.

- Chciałbym mieć twoją pewność.

- Powinieneś mieć. Jesteśmy błogosławieni, mój przyjacielu. Całe to przedsięwzięcie jest błogosławione. Nie zapomnij o tym nigdy, Ernst. - Znow się uśmiechnął.

- Nie zapomnę - rzekł Klinger.

Ale bardziej uspokajał go ciężar rewolweru na łydce niż słowa Dawsona.

Wyteżając słuch na każdy dźwięk inny niż odgłos własnych kroków, Paul i Sam wyszli z kościoła i przecięli otwarte pola, prowadzące do rzeki.

Wysoka trawa była ciężka od deszczu. Paul miał buty i skarpetki zupełnie przemoczone, a nogawki dżinsów mokre prawie do kolan.

Sam odnalazł ścieżkę. Schodziła do rzeki pod kątem czterdziestu pięciu stopni. Wszystkie rowy i zagłębienia zamieniły się w kałuże. Droga była błotnista i śliska. Potykali się, ślizgali, wymachiwali ramionami dla utrzymania równowagi.

Na dole ścieżki trafili na skalną półkę o szerokości dwóch stóp. Po prawej stronie płynęła rzeka. Bulgotała, napelniając ciemności odgłosami jakby przelewającego się syropu; szerokie hebanowe pasmo, które w tej nocnej godzinie przypominało raczej nierafinowaną ropę niż wodę.

Po lewej stronie brzeg rzeki wznosił się do wysokości ośmiu, dziewięciu stóp; w niektórych miejscach odsłonięte korzenie brzoź, dębów i klonów przebijały ziemną ścianę.

Nie zapalając latarki, Sam wiódł Paula na zachód, w kierunku gór. Bielejąca czupryna starszego mężczyzny, jak duch promieniujący własnym światłem, wskazywała drogę Paulowi.

Sam od czasu do czasu potykał się, ale przez większą część drogi stąpał pewnie i ani razu nie zaklął, kiedy o coś zawadził nogą. Poruszał się cicho, bezszelestnie, nagle, po wielu latach,

odzyskał sprawność doświadczonego żołnierza.

To jest wojna, powtarzał sobie Paul. Idziemy zabić człowieka. Nieprzyjaciela. Kilku nieprzyjaciół...

Ciepłe, gęste powietrze było przesycone zapachem mchu i odorem roślin gnijących w mule na brzegu rzeki.

W końcu Sam odnalazł wyryte w skale przez wiatr i deszcz stopnie, które na powrót wywiodły ich w górę rzeki. Trafili na sad jabłoniowy, na stoki najdalej na zachód wysuniętego krańca miasteczka.

Grom stoczył się z wierzchołków gór, budząc ptaki na jabłonkach.

Szli na północ. Obrali najbezpieczniejszą - i również najbardziej okrężną - drogę prowadzącą do ratusza. Wkrótce dotarli do drewnianego płotu, oddzielającego sad od końca Main Street, która od tego miejsca była nazywana przez stałych mieszkańców drogą do tartaku.

Sam rozejrzał się w obie strony, uważnie przebiegł wzrokiem cały teren, upewnił się, że nikt ich nie obserwuje, i zręcznie przeskoczył przez płot. Był gibki jak młody człowiek. Sprintem pokonał jezdnię i znikł wśród gęstych karłowatych sosen, młodych brzoź i krzewów po drugiej stronie.

Paul wetknął rewolwer za pas, oparł się rękami o płot, rozejrzał w obie strony... W tym momencie chwyciły go gwałtowne dreszcze, żołądek zwinął mu się w kłębek, powietrze uciekło z płuc.

Usiłował sobie wmówić, że trzęsie się dlatego, że ma przemoczone nogi, ale wiedział, że to nieprawda. Noc była ciepła. Nogi miał przemoczone, ale nie zimne.

Przyczyną dreszczy było coś innego: szedł zabić człowieka.

Lub zostać zabity...

Taka możliwość istniała.

Poczuł mdłości.

Zawroty głowy.

Ruszył za Samem.

22.30

Lolah Tayback stała przed nim naga.

- Jestem panem i władcą - powiedział.

- Tak, sir.

- Patrz na mnie, Lolah. Wzrok miała wbity w podłogę,

- Lolah?

- Proszę mnie wypuścić. - Cichy głos. Łzy.

- O co chodzi?

- Boję się.

- Nie podobam ci się? - Nie odpowiedziała.

- Podobam ci się, Lolah?

- Tak, sir.

- Mów prawdę, Lolah.

- Nie... podobasz... mi... się.

- Chlasnął ją w twarz otwartą dłonią.

- Suka.

- Nie rób mi krzywdy!

- Zwierzę.

- Nie rób mi krzywdy. Proszę!

- Zabiję cię.

- Nie...

Uderzył ją zaciśniętą pięścią.

A potem jeszcze raz.

Parking za ratuszem otaczały podwójne lampy łukowe na żebrowanych aluminiowych słupach. W ostrym świetle lamp pobliskie sosny wyglądały jak upierzone, a tłuczniowa nawierzchnia parkingu lśniła jak płynna smoła. Zimne światło odbijało się w kałużach, połyskiwało na szybach karetki miejskiej i policyjnego wozu patrolowego.

Sam otworzył tylne drzwi budynku i Paul wszedł na korytarz. Dwóch mężczyzn spojrzało na niego ze zdziwieniem.

Bob Thorp sięgnął po rewolwer na biodrze. Drugi mężczyzna, umundurowany zastępca, podniósł strzelbę.

- Jestem klucz - szybko powiedział Paul.

- Jestem zamek - odpowiedzieli obaj.

- Mówcie cicho. Kiwnęli głowami.

- Bob, nie wyjmuj broni z kabury.

- W porządku.

- I ty też. Połóż tę strzelbę.

Zastępca usłuchał.

Podporządkowując sobie tych mężczyzn, jakby przez naciśnięcie niewidzialnych guzików umieszczonych głęboko w ich umysłach, Paul nie odczuwał triumfu ani rozkoszy władzy. Zamiast tego - świadom, że ich życie, zdrowie psychiczne i godność spoczywają w jego rękach - doznał prawie obezwładniającego poczucia głębokiej odpowiedzialności i przez moment był jak sparaliżowany.

Sam otworzył pierwsze drzwi z prawej strony, włączył górne, jarzeniowe światło i kazał wszystkim wejść do archiwum.

Ta-ta-ta-ta-ta-ta-ta-ta-ta...

Salsbury przecinał sobie skórę na kostkach palców. Ręce miał pokryte cienką warstwą krwi - swojej i Lolah.

Wyjął z szafki na broń smitha & wessona kaliber 38 police special. Odnalazł pudełko z nabojami, załadował rewolwer.

Wrócił do dziewczyny.

Leżała na środku pokoju na boku, z podkurczonymi nogami. Obydwa oczodoły miała poranione i spuchnięte. Dolną wargę pękniętą. Przegrodę nosową złamaną, krew ciekła z delikatnych nozdrzy. Chociaż była prawie nieprzytomna, zajęczała żałośnie, kiedy go zobaczyła.

- Biedna Lolah - powiedział z szyderczym współczuciem.

Z lękiem obserwowała go przez cienkie szparki spuchniętych powiek.

Przystawił jej broń do twarzy. Zamknęła oczy.

Lufą trzydziestki ósemki zatoczył koło wokół jej piersi i podrażnił sutki. Zadrzała.

Podobało mu się to.

Archiwum było zimnym, bezosobowym pomieszczeniem: nagie jarzeniowe światło, typowa dla urzędowych budynków zieleń ścian, pożółkłe żaluzje, rzędy szarych metalowych szafek i podłoga pokryta brązowymi płytkami, wszystko to stwarzało idealny nastrój do przesłuchania.

- Bob, czy jest ktoś u ciebie w biurze? - zapytał Sam.

- Tak. Dwie osoby.

- Kto?

- Lolah Tayback i on.

- Co za „on”?

- Ja... nie wiem.

- Nie wiesz, jak się nazywa?
- Eee... Chyba nie.
- To Salsbury? - Thorp wzruszył ramionami.
- Czy jest gruby?
- Waży o czterdzieści funtów za dużo.
- I nosi okulary z bardzo grubymi szklami?
- No. To on.
- I jest sam z Lolah Tayback?
- Jak powiedziałem.
- Jesteś tego pewien?
- Jasne. - Teraz Paul spytał:
- A jego przyjaciele?
- Jacy przyjaciele?
- Z helikoptera.
- Nie ma ich tu.
- Żadnego?
- Żadnego.
- A gdzie są?
- Nie wiem.
- Są w tartaku?
- Nie wiem.
- Czy wrócą?
- Tego też nie wiem.
- Kim są?

- Przykro mi. Nie wiem.

- Wystarczy - podsumował Sam.

- Idziemy do niego? - zapytał Paul.

- Natychmiast.

- Walę pierwszy przez drzwi.

- Jestem starszy - zaprotestował Sam. - Mam mniej do stracenia.

- Jestem młodszy i szybszy.

- Szybkość nie gra tu roli. Nie spodziewa się nas.

- A może się spodziewa.

- W porządku - niechętnie ustąpił Sam. - Ty pierwszy. Ale będziesz mnie miał na karku.

Zmusił ją, żeby położyła się na plecach. Jedną ręką rozsunął jej nogi i wcisnął zimną stalową lufę między atłasowe uda. Zatrząsał się i oblizał wargi. Lewą ręką poprawił okulary.

- Chcesz go? - pytał gorączkowo. - Chcesz? No to ci włożę. Całego. Słyszysz, suczko?

Zwierzaku? Rozwalę cię szeroko. Szeroko. Zaraz włożę ci swojego, prawdziwego...

Paul zawahał się przed zamkniętymi drzwiami biura szefa policji. Kiedy usłyszał bełkot

Salsbury'ego, upewnił się, że tamten nie wie o ich obecności w budynku. Pchnął drzwi, szybko wpadł do środka w lekkim przysiadzie, z wielkim magnum kaliber 357 przed sobą.

Najpierw nie mógł uwierzyć w to, co zobaczył. Nie chciał uwierzyć! Na podłodze leżała z rozrzuconymi rękami i nogami prawie nieprzytomna, ciężko pobita, naga młoda kobieta. Salsbury z płonąca twarzą, oblany potem, zbryzgany krwią, z błędnym spojrzeniem, wyglądem szaleńca klęczał nad kobietą jak troll, jak zły, ohydny troll z wybałuszonymi oczami. Wpychał rewolwer między blade kobiece uda w złowieszczej, groteskowej imitacji stosunku seksualnego. Paul stał zahipnotyzowany tą sceną, pełen obrzydzenia i wstrętu. Na kilka sekund zupełnie zapomniał, że znalazł się w straszliwym niebezpieczeństwie.

- Przyjrzyj mi się, do cholery. Przyjrzyj się dokładnie.

- Bardzo mnie skrzywdziłeś, Parker.

- Ja-nie-jestem-Parker. Na moment ból zelżał.

- Nie jesteś Parker?

- Nazywam się Annendale.

Ból rozkwitł na nowo, ale przeszłość znalazła swoje miejsce.

- Och. Och tak, Annendale - powtórzył Salsbury, mrugając powiekami.

- Zamierzam zadać ci dużo pytań.

- Okropnie mnie boli. Postrzeliłeś mnie. Skrzywdziłeś. Jak mogłeś?

- Będziesz odpowiadał na moje pytania.

- Nie - uparcie zaprzeczył Salsbury. - Nie odpowiem na żadne.

- Na wszystkie. Odpowiesz na wszystkie albo odstrzelę ci twój cholerny łeb - oświadczył niebieskooki mężczyzna.

- Dobra. Zrób to. Odstrzel mi łeb. To lepsze niż stracić wszystko. To lepsze niż stracić władzę.

- Kim są ci ludzie w helikopterze?

- Nie twój interes.

- Czy to ludzie pracujący dla rządu?

- Spływaj.

- Wcześniej czy później umrzesz, Salsbury.

- Ach, tak? Niech mnie cholera, umrę.

- Umrzesz. Więc zaoszczędź sobie trochę bólu. Salsbury nie odpowiedział.

- Czy ci ludzie pracują dla rządu?

- Odpierdol się.

Niebieskooki mężczyzna chwycił rewolwer za lufę i kolbą mocno przejechał po prawej ręce Salsbury'ego. Pokaleczone kostki zabołały, jakby wbito w nie odłamki szkła. Ostry ból promieniował do świeżej, krwawej rany na ramieniu.

Salsbury stęknął. Zgiął się i o mało nie wymiotował.

- Widzisz, co cię czeka?

- Drań.

- Czy ci ludzie pracują dla rządu?

- Powiedziałem... Odpierdol... się.

Klinger zaparkował wóz przy West Main Street, dwie przecznice od rynku.

Wysiadł, zamknął drzwi i w tym momencie usłyszał strzały. Trzy głuche strzały. Jeden po drugim. Niedaleko. Ratusz? Stał nieruchomo i nasłuchiwał. Było cicho i spokojnie.

Wyjął z futerału na łydce swojego webleya, trzydziestkę-dwójkę z krótką lufą, odbezpieczył.

Ruszył pośpiesznie uliczką za Union Theater, bezpieczną, choć okrężną drogą do tylnych drzwi ratusza.

ROZDZIAŁ 9

22.55

Lolah Tayback leżała na noszach w karetce, zabezpieczona pasami na piersiach i biodrach.

Śnieżnobiałe prześcieradło przykrywało ją po szyję. Głowę miała ułożoną na dwóch poduszkach, żeby podczas transportu do szpitala w Bexford nie zakrztusiła się śmiertelnie krwią z nosa.

Oddychała regularnie, lecz z trudem, cicho pojękując przy wydechu.

Za karetką, przy otwartych drzwiach kabiny, stał obok Edisona Anson Crowell, nocny zastępca Thorpa.

- Dobra. Przelećmy to jeszcze raz. Co jej się stało?

- Została napadnięta przez gwałciciela - powiedział zastępca szeryfa, zgodnie z tym, jak zaprogramował go Sam.

- Gdzie to się stało?

- W jej mieszkaniu.

- Kto ją znalazł?

- Ja.

- Kto wezwał policję? Sąsiedzi.

- Dlaczego?

- Usłyszeli krzyk,

- Złapałeś napastnika?

- Przykro mi, nie.

- Wiesz, kto to jest?

- Nie. Ale pracujemy nad tym.

- Macie jakieś ślady?

- Kilka.

- Jakie?

- Wolałbym jeszcze o tym nie mówić.
- Dlaczego nie?
- Dla dobra śledztwa.
- Rozmowa z drugim policjantem mogłaby zaszkodzić w dochodzeniu?
- My w Black River dmuchamy na zimne.
- Żebyście tylko nic dmuchali na lód.
- Bez obrazy. Taki mamy po prostu sposób prowadzenia spraw.
- Dysponujecie opisem tego człowieka?

Zastępca wyrecytował rysopis wymyślony na oczekaniu przez Sama. Fikcyjny napastnik nie wykazywał śladu podobieństwa do Ogdena Salsbury'ego.

- Co będzie, jeśli policja stanowa lub policja z Bexford zaproponuje wam współpracę?
- Powiem im, że dziękujemy, obejdzie się. Poradzimy sobie sami. Poza tym nie mam upoważnienia, aby im zezwolić na włączenie się w tę sprawę. To zależy od szeryfa.
- Nieźle - powiedział Sam. - Wsiadaj. Zastępca wdrapał się do kabiny dla chorego i siadł na opuszczonej ławce obok noszy z Lolah Tayback.
- Zatrzymacie się na końcu Main Street, żeby zabrać jej przyjaciela - polecił Sam. Już rozmawiał przez telefon z Philem Karkovem i przygotował go do odegrania w szpitalu roli oszalałego ze zdenerwowania kochanka, tak jak przygotował Lolah do roli oszołomionej ofiary gwałtu, zaatakowanej w swoim domu. - Phil zostanie z nią w szpitalu, ty wrócisz, jak tylko upewnisz się, że jest jej lepiej.
- Rozumiem - odpowiedział Crowell.

Sam zamknął drzwi. Obszedł karetkę. Zatrzymał się przy oknie kierowcy, strażaka-ochotnika z nocnej zmiany, i powtórzył mu zmyśloną wersję wydarzeń.

Na początku wydawało się, że nie ma sposobu na złamanie żelaznego uporu Salsbury'ego,

że nie da się go zmusić do mówienia. Cierpiał strasznie, trząsał się, pociał, miał zawroty głowy z bólu, ale odmawiał odpowiedzi na pytania. Siedział w biurowym fotelu Thorpa, z władczym wyrazem twarzy, który po prostu nie miał najmniejszego sensu w tej sytuacji. Odchylił się w tył, przycisnął ręką ranę, przymknął oczy. Prawie nie zwracał uwagi na pytania Paula. Tylko od czasu do czasu bez sensu pluł stekiem przekleństw i ordynarnych wyzwisk.

Paul nie potrafił wczuć się w rolę inkwizytora. Podejrzewał, że gdyby znał odpowiednią torturę, gdyby wiedział, jak zadać temu człowiekowi ból, który wstrząsnąłby jego umysłem, nie niszcząc go, gdyby umiał przy tym zachować zimną krew - szybko dotarłby do prawdy. Kiedy upór badanego stawał się szczególnie denerwujący, Paul używał kolby rewolweru do podrażnienia rany. Wtedy Salsbury łapał powietrze jak ryba. Ale to nie wystarczało, żeby zmusić go do mówienia. A Paul nie był zdolny do skuteczniejszych tortur.

- Kim byli ludzie w helikopterze? - Salsbury nie odpowiedział.

- Czy to byli ludzie pracujący dla rządu? - Milczenie.

- Czy to projekt rządowy?

- Idź do diabła!

Nagle Paul przypomniał sobie reakcję Salsbury'ego na jego widok, kiedy wpadł do pokoju.

Był zszokowany, cholernie przestraszony, załamany, ale nie dlatego, że Paul go zaskoczył. Był śmiertelnie przerażony, ponieważ z siebie tylko wiadomej przyczyny pomyślał, że Paul jest człowiekiem o nazwisku Parker.

- Co mu ten Parker zrobił? - zastanawiał się Paul. Co mogło pozostawić tak głęboką i niezabliźnioną ranę?

- Salsbury? - Milczenie.

- Kim byli ludzie w helikopterze?

- Pieprzony nudziarz.

- Czy pracowali dla rządu?

- Przeskakująca płyta.

- Salsbury, wiesz, co ci zrobię? - Nie raczył odpowiedzieć.

- Wiesz, co zrobię? - powtórzył pytanie Paul.

- Obojętne, co zrobisz. Nic ci nie pomoże.

- Zrobię to samo, co Parker.

Salsbury nie odpowiedział. Nie otworzył oczu, jednakże zeszywniał, stężał, każdy jego mięsień napiął się jak struna.

- Dokładnie to, co Parker.

Kiedy w końcu otworzył oczy, było w nich nieprawdopodobne przerażenie, które Paul widywał jedynie u zaszczutych dzikich zwierząt.

To jest to, pomyślał Paul. To jest właściwy klucz, wrażliwy punkt, nóż, którym go otworzę.

Ale jak zareagować, jeśli zorientuje się, że blefuję?

Był blisko odkrycia prawdy, tak blisko - ale nie miał zielonego pojęcia, co Parker zrobił.

- Skąd... skąd znasz Parkera? - zapytał Salsbury piskliwym głosem.

Paul nabrał otuchy. Jeżeli Salsbury zapomniał, że to on pierwszy wspomniał Parkera, widocznie to nazwisko w przeszłości miało dla niego wielkie znaczenie.

- Nieważne skąd - uciął Paul. - Ale znam. Nieźle. I wiem, co ci robił.

- Miałem... tylko... jedenaście lat. Czy ty wiesz?

- Wiem. I podoba mi się to.

- Ale ty nie jesteś taki - rozpaczliwie zachłysnął się Salsbury. Pot lał się z niego. - Po prostu nie jesteś!

- Jaki niby nie jestem?

- Lewus! - wyrzucił z siebie. - Nie jesteś cholerny lewus! Nadal blefując, ale z większą

liczbą atutów w ręku, Paul

oświadczył:

- Wiesz, my nie wszyscy jesteśmy tacy, że co w sercu, to na języku. Nie reklamujemy się w gazetach.

- Byłeś żonaty.

- To nie ma znaczenia.

- Masz dzieci!

Paul wzruszył ramionami.

- Węszyłeś za tą suką Edison!

- Słyszałeś kiedyś o AC-DC? - zapytał Paul. Wyszczерzył zęby.

Salsbury zamknął oczy.

- Ogden?

Nie odpowiedział.

- Wstań. Ogden.

- Nie dotykaj mnie!

- Kładź się na biurko.

- Nie wstanę.

- Rusz się. Jeszcze to polubisz.

- Nie polubię.

- Od Parkera lubiłeś.

- Nieprawda!

- Nie jesteś taki?

- Nie jestem.

- Nie udawaj. Nie ruszał się.

- Lubisz na greka. Salsbury się skurczył.

- Nie.

- Kładź się na biurko.

- To boli...

- Oczywiście. No już, wstawaj, kładź się na biurko i spuszczaaj spodnie! Dawaj.

Salsbury zadygotał. Twarz miał ściągniętą, spopielającą.

- Jak nie wstaniesz, Ogden, będę musiał wysadzić cię z tego fotela. Nie stawiaj się, Ogden.

Nie nawiejesz. Nie pokonasz mnie. Mam broń, a ty masz rozwalone całe ramię.

- Och, Jezu Panie! - żałośnie zaskamlał Salsbury.

- Polubisz to. Polubisz ból. Parker gadał mi, jak uwielbiałeś ból.

Salsbury zaczął płakać gwałtownie, rozdzierająco. Łzy tryskały z oczu. Trząsał się, dusił.

- Masz boja, Ogden?

- M-mam. Tak.

- Możesz się wywinąć.

- Od... od...

- Od gwałtu.

- J-jak?

- Odpowiesz na moje pytania.

- Nie chcę.

- No to wstawaj.

- Proszę...

Wstydząc się samego siebie, chory z obrzydzenia, ale zdecydowany kontynuować tę grę,

Paul złapał Salsbury'ego za koszulę. Potrząsnął nim i usiłował podnieść z fotela.

- Kiedy skończę, pozwolę Bobowi Thorpowi ulżyć sobie z tobą. Zalepię ci pysk, żebyś nie

mógł do niego gadać i zaprogramuję go, żeby ci wsadził. - Oczywiście nie byłby zdolny do tego, ale Salsbury najwyraźniej mu wierzył. - I nie tylko Thorpowi. Innym. Kilku innym.

Opór Salsbury'ego pękł.

- Co chcesz? Powiem ci, co chcesz - mówił głosem prawie niezrozumiałym, zmienionym przez żaloszny szloch, nad którym nie mógł zapanować. - Wszystko, co chcesz. Tylko mnie nie dotykaj! Och, Jezu! Och, nie dotykaj mnie! Nie każ mi się rozbierać. Nie dotykaj! Nie!

- Kim byli ludzie w helikopterze? - wciąż trzymając Salsbury'ego za koszulę, prawie krzyczał mu w twarz Paul. - Jak nie chcesz zostać zerżnięty do żywego mięsa, lepiej gadaj, kim są.

- Dawson i Klinger.

- Było ich trzech.

- Nie znam nazwiska pilota.

- Dawson i Klinger. Imiona?

- Leonard Dawson i...

- Ten Leonard Dawson?

- Tak. I Ernst Klinger.

- Czy Klinger pracuje dla rządu?

- Jest generałem.

- To wojskowy plan?

- Nie.

- Rządowy?

- Nie.

Paul znał wszystkie odpowiedzi, ale udawał, że zastanawia się nad pytaniami, Salsbury natomiast nawet przez moment się nie zastanawiał nad odpowiedziami.

Ernst Klinger przykucnął za wysokim żywopłotem, po drugiej stronie uliczki, przy której

mieścił się parking ratuszowy. Zdumiony, zdezorientowany, obserwował załadunek kobiety do cadillaca, białej półciężarówki z czerwonym napisem BLACK RIVER - POGOTOWIE RATUNKOWE na boku.

O 23.02 karetka wyjechała z parkingu, skręciła w uliczkę, a stamtąd w North Union Road. Potem w prawo, do rynku.

Jaskrawoczerwone światła alarmowe omiotły drzewa i budynki. Szkarłatne węże rozpełzły się, wijąc po mokrej jezdni.

Brodatym, siwowłosym mężczyzną, stojącym na parkingu, był Sam Edison. Klinger rozpoznał go dzięki fotografii, którą zauważył w jednym z pokoi nad sklepem niewiele ponad godzinę temu.

Edison obserwował karetkę, aż zniknęła za rogiem. Stał za daleko od Klingera, aby ten mógł użyć webleya. Kiedy karetka odjechała, Edison wszedł do ratusza.

Czy straciliśmy kontrolę nad miastem? - zapytywał siebie Klinger. Czyżby wszystko waliło się nam na głowę: próba terenowa, plan, całe przedsięwzięcie, przyszłość? Jasne jak słońce, że tak. Jasne. Więc... Czy już czas opuścić Black River, kraj, z grubą forszą i fałszywymi dokumentami, o które zatroszczył się Dawson?

Nie panikuj! - uspokajał sam siebie. Co nagle, to po diable. Zaczekaj. Zorientuj się w sytuacji.

Spojrzał na zegarek. 23.03. Grom zahuczał w górach. Zbierało się na deszcz.

23.04

Siedział w kucki już tak długo, że rozbolały go nogi. Chciał wstać, wyprostować się.

Na co tu czekasz? - zadał sobie pytanie. - Nie możesz zaplanować strategii bez informacji.

Musisz najpierw przeprowadzić rekonesans. Są prawdopodobnie w biurze Thorpa. Trzeba dostać się pod te okna. Może usłyszysz, jakie mają plany.

Pięć minut po jedenastej szybko przebiegł uliczkę. Nisko pochylony, poruszał się szybko od wozu do wozu, a potem skryć za grubym pniem sosny.

Jak w Korei, pomyślał prawie szczęśliwy. Albo w Laosie pod koniec lat pięćdziesiątych.

Tak jak musiało być młodszym chłopakom w Nam. Rajd komandosów w nieprzyjacielskim mieście. Z tym wyjątkiem, że teraz nieprzyjacielskie miasto jest miastem amerykańskim.

23.05

Sam stał w drzwiach i przyglądał się Ogdenowi Salsbury'emu, który siedział w biurowym fotelu,

- Jesteś pewien, że powiedział wszystko? - zapytał Paula.

- Tak.

- I że wszystko jest prawdą?

- Tak.

- To ważne. Paul.

- Nie ukrył niczego. I nie okłamał mnie. Jestem tego pewien.

Cuchnąc potem i krwią, cicho popłakując, Salsbury spoglądał na nich.

Czy dociera do niego to, co mówimy? - zastanawiał się Paul. A może jest złamany, potrzaskany, niezdolny do jasnego myślenia, w ogóle niezdolny do myślenia?

Paul czuł się zbrukany, czuł sięgające dna duszy obrzydzenie. Przesłuchując Salsbury'ego, zniżył się do jego poziomu. Wmawiał sobie, że takie właśnie są lata siedemdziesiąte, początek, sam początek nowego wspaniałego świata, czasu, w którym przetrwanie, przetrwanie za wszelką cenę, jest dla człowieka najważniejszą sprawą w życiu. Wiek maszyny i moralności maszyny, być może jedyny w całej historii świata, w którym cel naprawdę uświęca środki. Ale nadal czuł się zbrukany.

- A wiec nadszedł czas - cicho oznajmił Sam. - Jeden z nas musi... to zrobić.

- Wydaje się, że człowiek nazwiskiem Parker zgwałcił go, kiedy Salsbury miał jedenaście lat - mówił Paul do Sama, obserwując równocześnie ranego.

- Czy to ma teraz jakieś znaczenie?

- Powinno.

- Czy ma znaczenie fakt, że prawdopodobnie jedno z rodziców Hitlera było syfilitykiem, a on sam był szalony? Czy to przywróci życie sześciu milionom ludzi? - Sam mówił łagodnie, ale z ogromną siłą. Ręce mu drżały. - Czy zdarzenie z jedenastego roku życia usprawiedliwia to, co zrobił Markowi? Jeśli wygrałby, jeśli uzyskałby kontrolę nad wszystkimi, czy wtedy miałyby znaczenie to, co przytrafiło mu się, kiedy miał jedenaście lat?

- Nie istnieje inny sposób, żeby go powstrzymać? - zapytał Paul, chociaż znał odpowiedź.

- Już to omawialiśmy.

- Chyba tak.

- Ja to zrobię - powiedział Sam.

- Nie. Jeśli nie potrafisz zebrać się na odwagę tu, nie przydam ci się do niczego później, z Klingerem i Dawsonem. Możemy nadzieć się na któregoś z nich. Musisz mieć pewność, że możesz polegać na mnie w zwarcu.

Salsbury oblizwał wargi. Zerknął na swoją koszulę zbryzganą krwią, na Paula,

- Nie zamierzacie mnie... zabić. Nie... Co?

Paul podniósł smitha & wessona combat magnum.

- Czeka! - Salsbury puścił ramię, wyciągnął zakrwawioną rękę, jakby chciał się nią zasłonić. - Zrobię was partnerami. Obu. Partnerami.

Paul wymierzył broń w jego pierś.

- Kiedy zostaniecie moimi partnerami, będziecie mieli wszystko. Wszystko, co zechcecie!

Pieniądze. Wszystkie pieniądze świata! Pomyślcie!

Paul myślał o Lolah Tayback.

- Ale nie tylko pieniądze. Kobiety! Możecie mieć wszystkie kobiety, na które wam przyjdzie ochota, wszystkie, na które wam przyjdzie ochota, każdą kobietę. Przyczołgają się do was. Albo mężczyźni, jeśli wolicie. Możecie mieć nawet dzieci. Dziewczynki. Po dziewięć, dziesięć lat. Małych chłopców. Wszystko, co się wam spodoba.

Paul myślał o Marku - oszronionym kawałku mięsa, wsadzonym do zamrażalnika z żywnością.

I pomyślał o Ryi, będącej w szoku, ale nie bez nadziei na stopniowy powrót do równowagi. Nacisnął spust.

Magnum kaliber 357 kopnęło go w rękę.

Pocisk w rewolwerze miał mocną siłę odrzutu. Szarpnięcie przeszło od dłoni do ramienia, mimo iż Paul stosował naboje 38 special zamiast nabojów magnum. Kula poszła wysoko.

Rozerwała gardło.

Krew i kawałeczki ciała zbryzgały metalową szafkę na broń.

Ogłuszający huk wystrzału kilkakrotnie odbił się między ścianami i powrócił niby zwielokrotnione echo do czaszki Paula, jakby na zawsze miał rozbrzmiewać w jego pamięci.

Wystrzelił następny pocisk.

Ten wszedł Salsbury'emu w pierś, prawie przewalił go w tył razem z fotelem na podłogę.

Paul odwrócił się od trupa.

- Będiesz rzygał? - zapytał Sam.

- Nie. Wszystko w porządku. - Był odrętwiały.

- Toaleta jest w końcu holu, na lewo.

- Czuję się dobrze, Sam.

- Wyglądasz...

- Zabijałem ludzi na wojnie. Zabijałem tam, w Azji. Pamiętasz?

- Tu jest inaczej. Tak myślę. Na wojnie zabija się z karabinu, granatnika albo moździerza.

Nigdy z odległości trzech stóp, z krótkiej broni.

- Czuję się dobrze. Wierz mi, naprawdę dobrze. - Podeszedł do drzwi, przecisnął się obok

Sama, potknął, wypadł na korytarz, dobiegł do toalety i zwymiotował.

Chyłkiem, bokiem, jak krab pustelnik, z webleyem w prawej ręce gotowym do strzału,

Klinger dotarł do zachodniego rogu ratusza i odkrył, że trawnik jest pokryty odłamkami szkła. Od

żywoplotu przebiegł bezszelestnie, ale teraz kawałki szkła łamały się i trzeszczały pod jego

stopami. Przeklinał cicho. Jedno z okien w biurze szefa policji było wybite, listwa żaluzji wygięła

się, tworząc wygodny wizjer.

Wspiął się na palce, by zajrzeć przez otwór do środka. Ostrożny jak podejrzliwa mysz,

obwąchująca ser na pułapce. Nagle dwa wystrzały eksplodowały mu obok twarzy. Po chwili

uświadomił sobie, że to nie do niego strzelano. Przez powykrzywiane listwy widział tylko część

urządzonego, sterylnego biura Thorpa: szaroniebieskie ściany, parę szafek na akta, dębowy stół do

pracy, klucze w aluminiowej oprawie, półki na książki, połowę metalowego biurka...

I Salsbury.

Martwy. Kompletnie martwy.

Gdzie Sam Edison? I ten drugi, Annendale? A dziewczynka?

Wyglądało na to, że w pokoju nie ma nikogo oprócz ciała. Ciała Salsbury'ego.

Nagle zaniepokoił się, że zgubi Edisona i zaniepokoił się, że mogą się wydostać z budynku,

zajść go od tyłu. Odsunął się od okna. Przeskoczył na koniec trawnika, przeciął parking i uliczkę.

Znów ukrył się za płotem, skąd miał dobry widok na ratusz.

Paul wyszedł z toalety. Sam czekał na niego w holu.

- Lepiej?

- Trochę - odpowiedział Paul.
- Ciężko.
- Będzie ciężej.
- No to będzie.
- Chryste!
- Czego dowiedziałeś się od Salsbury'ego? Kim byli ci ludzie w helikopterze?
- To jego partnerzy - powiedział Paul, opierając się o ścianę. - Jednym z nich jest H. Leonard Dawson.
- Niech mnie szlag trafi!
- Drugi to generał, Armia Stanów Zjednoczonych, Nazywa się Ernst Klinger.
- Więc to projekt rządowy? - gniewnie zapytał Sam,
- Zdziwisz się, ale nie. Tylko Salsbury, Dawson i Klinger. Mały, prywatny interesik. - Paul w trzy minuty opowiedział Samowi, czego się dowiedział na temat eksperymentu, próby terenowej i znowy.
- Sam rozpogodził się. Zdobył się nawet na uśmiech.
- W takim razie mamy szansę powstrzymania ich właśnie tu. Na dobre.
- Może.
- To zwykły czterostopniowy plan - oznajmił. Podniósł jeden palec.
- Zabić Dawsona. Dwa palce.
- Zabić Ernsta Klingera. Trzy palce.
- Zniszczyć dane w komputerze w domu w Greenwich. Cztery palce.
- Za pomocą hasła Klucz-Zamek przemodelować pamięć każdej osoby w mieście, która coś widziała albo słyszała, oraz zatrzeć wszystkie ślady próby terenowej.
- Nie wiem. - Paul pokręcił głową. - Nie wydaje mi się to takie proste.

Sam jednak myślał pozytywnie.

- Da się zrobić. Pierwsze... Dokąd polecieci stąd Dawson i Klinger?

- Do osiedla drwali.

- Dlaczego?

Paul, cytując Salsbury'ego, przedstawił Samowi plan Dawsona dotyczący zorganizowania poszukiwań w górach.

- Ale Dawsona i Klingera nie będzie teraz w osiedlu. Zamierzają przenieść się do tartaku i tam założyć coś w rodzaju polowej kwatery głównej, kiedy tylko się rozpocznie polowanie na nas. Jest tam około dziewięćdziesięciu pracowników na wieczornej i nocnej zmianie. Dawson chce ustawić kilkunastu wokół tartaku, a resztę wyekspediować poza osiedle do poszukiwań.

- Każdy wartownik będzie bezużyteczny - powiedział Sam. - Miniemy ich, używając hasła.

Dopadniemy Dawsona i Klingera, zanim się zorientują, co się dzieje.

- Możliwe.

- Oczywiście, że to możliwe.

- A komputer w Greenwich?

- Z tym poradzimy sobie później.

- Jak się do niego dostaniemy?

- Mówiłeś, że służba domowa Dawsona jest zaprogramowana.

- Zgodnie ze słowami Salsbury'ego.

- No to dostaniemy się do komputera.

- A jak zatrzemy ślady tutaj?

- Damy sobie radę.

- Jak?

- To nasz najmniejszy problem.

- Cholernie jesteś optymistyczny.

- Muszę być. I ty też. Paul odsunął się od ściany.

- W porządku. Jenny i Rya musiały słyszeć strzały, pewnie się martwią. Zanim więc pojedziemy do tartaku, musimy wrócić do kościoła i poinformować je o sytuacji. Niech wiedzą, na czym stoimy.

Sam skinął głową.

- Prowadź.

- Co z... Salsburym?

- Później.

Wyszli tylnymi drzwiami i ruszyli przez parking do uliczki. Po kilku krokach Paul się odezwał:

- Czekaaj. Nie musimy teraz iść dłuższą drogą. Mamy kontrolę nad miasteczkiem.

- Słusznie.

Obeszli ratusz i weszli na East Main Street.

22.45

Klinger stał w aksamitnej ciemności, mniej więcej na dwóch trzecich wysokości schodów dzwonnicy. Słuchał. Z góry dobiegały głosy: dwóch mężczyzn, kobiety, dziecka. Edison. I Jenny Edison. Annendale i jego córka...

Teraz wiedział, co się dzieje w Black River, co oznacza ta rzeźnia w biurze Thorpa. Poznał zakres wiedzy tych ludzi na temat próby terenowej, wszystkich ich działań, planów i zamysłów związanych z nią. I był wstrząśnięty.

Z tego, co usłyszał, zorientował się, że ich opór wynika - przynajmniej częściowo - ze szlachetnych pobudek. Z altruizmu. Nie pojmował tego. Łatwo zrozumiałby, gdyby chcieli zagarnąć subliminale dla siebie. Ale altruizm... Zawsze wydawało mu się to głupim uczuciem.

Dawno zdecydował, że ludzie, którzy rezygnują z władzy, są o niebo bardziej niebezpieczni niż ci, którzy po nią sięgają. Choćby dlatego, że są tak trudni do rozszyfrowania, tak nieprzewidywalni. Wiedział również, że tych ludzi da się powstrzymać. Próba terenowa była jeszcze do uratowania. Jeszcze. Nie wygrają tak łatwo, jak im się zdaje. Jeszcze nie doprowadzili jego ani Dawsona do klęski. Projekt można uratować.

Na górze skończyli omawianie planów. Pożegnali się, kazali nawzajem uważać na siebie, powiedzieli, że będą się za siebie modlić, i uznali, że czas naprawdę brać się do roboty.

W doskonałej ciemności, bez latarki ani nawet zapalki wskazującej drogę, niewidoczni, o kilka zakrętów długiej spiralnej klatki schodowej wyżej od Klingera, Sam Edison i Paul Annendale zaczęli schodzić wąskimi, trzeszczącymi stopniami.

Hałas schodzących w dół mężczyzn zagłuszył kroki Klingera.

Przystanął w pełnej nieuchwytnych odgłosów, odbijającej echo nawie. Ściany, ołtarz i ławki były ledwo naszkicowane słabym, nocnym światłem burzy, przebijającym przez witraże okien. Nie wiedział, jaką obrać strategię.

Stawić im czoło tu i teraz? Zastrzelić ich, kiedy zejną ze schodów?

Nie. Światło jest zbyt marne na zabawę z bronią. Nie był w stanie namierzyć ich położenia.

W tych warunkach nigdy nie sprzątnie obu, a być może żadnego.

Zastanowił się nad szybkim zapaleniem światła, w chwili gdy wejdą do nawy, i równoczesnym otworzeniem ognia. Ale jeśli wyłącznik nie znajduje się w pobliżu, nigdy nie uda mu się odnaleźć go na czas. A nawet jak odnajdzie, będzie tak samo zaskoczony i oślepiony światłem jak oni.

Jeśli nawet z łaski któregoś ze świętych wyobrażonych na witrażach udałoby mu się zabić obu, wtedy zaalarmuje kobietę na dzwonnicy. Może być uzbrojona. Na pewno jest uzbrojona. A jeśli tak, dzwonnicy nie uda się zdobyć. Z każdym rodzajem broni - karabinem, strzelbą czy bronią

krótką i zapasem amunicji - kobieta utrzyma się tam przez dłuższy czas.

Na Boga, żeby tak być odpowiednio uzbrojonym! Powinien mieć przynajmniej kilka podstawowych środków do walki na tyłach wroga: jakiś sakramencko sprawny karabinek automatyczny, najchętniej niemieckiej lub belgijskiej roboty, i do tego kilka pełnych magazynków, następnie automatyczny karabin z pasem amunicji i parę granatów, trzy, cztery. Zwłaszcza granaty. Przecież to nie herbatka dla starszych pań. To klasyczna operacja dla komandosów, klasyczny wypad głęboko za linie wroga.

Za nim Edison i Annendale byli niepokojąco blisko. Zbliżali się szybko.

Przemknął boczną nawą do czwartego lub piątego rzędu ławek, w którym chciał się ukryć pomiędzy wysokimi siedzeniami. Potknął się o klecznik, który jakiś bezmyślny wiemy zapomniał odstawić po modlitwie, i upadł z głośnym hałasem. Z walącym sercem przeczołgał się do środkowego przejścia, wyciągnął się na ławce płasko na plecach, z webleyem przy boku.

Kiedy weszli do mrocznego kościoła, Paul położył rękę na ramieniu Sama. Sam stanął.

- Co? - spytał cicho.

- Ciii...

Wsluchiwali się w gwałtowny wiatr, odległy grom i trzeszczenie budynku opierającego się burzy. W końcu Sam zapytał:

- Coś się stało?

- Co to było? Słyszałeś?

- Co?

- Ten hałas.

- Nic nie słyszałem.

Paul badał bacznie pulsującą, zdawało się, ciemność. Zmrużył powieki, jakby chciał przeniknąć wzrokiem atramentowe kałuże w kątach kościoła i purpurowo-czarne cienie w środku.

Atmosfera była jak z Lovecrafta, jakby piął się w niej ociekający wilgocią rozsądek paranoi.

Potarł nagle zlodowaciały kark.

- Jak mogłeś usłyszeć coś w tym hałasie, jaki robiliśmy na schodach? - zapytał Sam.

- Słyszałem. Coś...

- Na pewno wiatr.

- Nie. To było coś głośniejszego. Ostry dźwięk. Brzmiał, jakby... jakby ktoś potknął się o krzesło. Czekali. Pół minuty. Nic.

- Przestań - powiedział Sam. - Chodź.

- Poczekaj. Jeszcze minutę.

Kiedy Paul mówił te słowa, gwałtowny podmuch wiatru uderzył we wschodnią ścianę kościoła i jedno z wysokich okien zatrzęsło się hałaśliwie we framudze.

- No i masz - powiedział Sam. - Widzisz? To właśnie słyszałeś. To było tylko okno.

- No - z ulgą odetchnął Paul.

- Robota czeka - ponaglił Sam.

Wyszli z kościoła frontowymi drzwiami. Ruszyli Main Street na wschód, do zaparkowanego przed sklepem auta Paula.

Kombi wjechało na drogę do tartaku. Gdy jego światła pozycyjne, minąwszy zachodnią granicę miasteczka, znalazły do maleńkich czerwonych kropek, Klinger opuścił kościół i pobiegł do budki telefonicznej przy Ultman's Cafe. Przekartkował cienką książkę, aż znalazł numery Big Union Supply Company. Było ich dwadzieścia - osiem w osiedlu drwali i dwanaście w kompleksie tartaku. Nie było czasu na wydzwanianie do wszystkich. Zastanawiał się, w jakiej części tartaku Dawson założył swoją kwaterę główną. Natężył umysł, zdając sobie boleśnie sprawę, że uciekają cenne sekundy. W końcu uznał główne biuro za miejsce najbardziej odpowiadające osobowości Dawsona i wybrał numer.

Kiedy sygnał odezwał się po raz piętnasty, a Klinger gotów był się już poddać, odezwał się znużonym głosem Dawson:

- Big Union Supply Company.

- Tu Klinger.

- Skończyłeś?

- Nie żyje, ale nie ja go zabiłem. Edison i Annendale dopadli go pierwsi.

- Są w mieście?

- Zgadza się. Albo raczej byli. Właśnie teraz jadą cię załatwić. I mnie też. Myślą, że obaj jesteśmy w tartaku. - W skrócie przedstawił Dawsonowi sytuację.

- Dlaczego nie wyeliminowałeś ich w kościele? - zapytał Dawson. - Wtedy kiedy była szansa?

- Ponieważ nie miałem tej szansy - odpowiedział niecierpliwie Klinger. - Nie było czasu na zorganizowanie zasadzki. Natomiast ty możesz zrobić to bez pudła. Prawdopodobnie zaparkują około pół mili od tartaku i podejda pieszo. Spodziewają się cię zaskoczyć. Ale teraz ty możesz zaskoczyć ich.

- Słuchaj, dlaczego nie wsiądziesz w samochód i nie podjedziesz tu zaraz? - zapytał

Dawson. - Zjawisz się tuż za nimi. Weźmiemy ich w dwa ognie.

- W obecnych warunkach, oceniając rzecz z wojskowego punktu widzenia, to nie ma sensu, Leonard. Jako grupa trzy-czterooosobowa byli dla nas groźni, ale teraz, kiedy rozdzielili się na pary i tryskają wprost pewnością siebie, przewaga jest po naszej stronie.

- Jeśli Edison i Annendale znają hasło Klucz-Zamek, nie mogę wystawiać straży. Nie mogę wykorzystać żadnego człowieka stąd. Jestem sam.

- Poradzisz sobie z tym.

- Ernst, nauczyłem się biznesu i finansów. To odpowiada raczej twojemu zakresowi

działania.

- Ja mam tu, w miasteczku, robotę do wykonania.

- Nie eliminuję ludzi.

- Czyżby?

- Nie tak.

- A jak?

- Nie osobiście.

- Przywiozłeś broń z osiedla?

- Kilka sztuk. Wystawiłem strażę.

- Mając karabin albo strzelbę, poradysz sobie. Wiem, że potrafisz. Widziałem jak strącasz rzutki lewą ręką.

- Nie rozumiesz. To niezgodne z moimi przekonaniem. Moimi przekonaniem religijnymi.

- Musisz teraz o nich zapomnieć - powiedział Klinger. - To kwestia życia i śmierci.

- Nie da się zapomnieć moralności, Ernst, nawet gdy chodzi o własne życie. W każdym razie nie podoba mi się, że jestem tu sam. Wszystko na mojej głowie. To niemiłe.

Generał usiłował znaleźć jakiś sposób przekonania tego człowieka, że może i powinien zrobić to, co zrobić musi. Znalazł wreszcie argument, który od razu uznał za wymarzony w wypadku Dawsona.

- Leonardzie, na wojnie każdy żołnierz już w pierwszym dniu na polu bitwy, gdzie nieprzyjaciół wali do niego, wokół wybuchają granaty i zdaje mu się, że za jasną cholerę nie dotrwa do następnego dnia, wie, że nie jest sam. Jeśli walczy o słuszną sprawę, Bóg jest zawsze z nim.

- Masz rację - powiedział Dawson.

- Czy wierzysz w słusność naszej sprawy?

- Oczywiście. Wszystko, co czynię, czynię dla Niego.

- Więc wyjdiesz z tego zdrów i cały.

- Masz rację - powtórzył Dawson. - Nie powinienem zastanawiać się nad tym, co On w sposób tak oczywisty każe mi czynić. Dziękuję ci, Ernst.

- Ależ nie ma za co - odpowiedział Klinger. - Lepiej ruszaj. Oni prawdopodobnie wysiadają teraz z kombi. Masz najwyżej dziesięć minut na przygotowanie.

- A ty?

- Wracam do kościoła.

- Niech cię Bóg ma w swej opiece.

- Powodzenia.

Obaj odłożyli słuchawki.

ROZDZIAŁ 10

Sobota, 27 sierpnia 1977 00.10

Wiatr zawodził w najwyższych konarach drzew nieprzerwanym, przygnębiającym WIUUUU! Grom huczał za gromem. Każdy łoskot był głośniejszy i bardziej niepokojący od poprzedniego. Nad lasem niebo od czasu do czasu płonęło od błyskawic; elektryczna jasność, pulsując, spływała w dół kopułą wymieszanych splotów, zostawiała za sobą serię stroboskopowych, oszalamiających obrazów.

W gęstym poszyciu drobna zwierzyna skakała to tu, to tam, zajęta poszukiwaniem żywności lub wody, towarzystwa lub bezpieczeństwa. A może, pomyślał Paul, kiedy jakieś zwierzątko przemknęło niespodziewanie przez ścieżkę, boją się nadchodzącej burzy.

Na skraju lasu okalającego tartak Paul i Sam oczekiwali raczej uzbrojonej straży niż zwierząt. Nie natrafili jednak na nikogo. Chociaż w głównym budynku zapalono wszystkie światła, budowla robiła wrażenie - tak jak i otaczający ją teren - opustoszałej.

Szli okrężnymi drózkami przez las. W końcu dotarli do parkingu dla pracowników. Zbadali

wzrokiem teren zza gęstej kępy wawrzynu.

Na tłuczniowej nawierzchni, trzydzieści stóp dalej, stał helikopter. Obok, w ciemności, mężczyzna. Palił papierosa, obserwował wyładowania atmosferyczne i szybko płynące chmury.

- Dawson czy Klinger? - szepnął Paul.

- Nie wydaje mi się.

- Mnie też nie.

- To znaczy, że pilot.

- Widzisz broń?

- Nie. Nic.

- Ruszamy?

- Czekaj.

- Na co?

- Na właściwy moment.

Patrzyli.

Kilka sekund później pilot rzucił i przydeptał butem niedopałek. Wsadził ręce w kieszenie, zaczął przechadzać się bez celu dla zabicia czasu. Najpierw podszedł do drzew, powąłęsał się kilkanaście stóp od nich i wrócił tam, skąd przyszedł.

- Szybko - rzucił Sam.

Paul podniósł się. Przedarł się przez wawrzyn i pobiegł za pilotem. Mężczyzna usłyszał go i obrócił się. Miał twarz jak czarna maska, ale oczy błyszczały fosforyzującym światłem.

- Kim...

- Jestem klucz - powiedział Paul.

- Jestem zamek.

- Mów cicho.

- Tak, sir.

Paul spojrział w dal, poza helikopter. Widział okna - większość z pozapalonymi światłami - na pierwszym i drugim piętrze głównego budynku przy końcu placu składowego. Jeśli on je widział, to znaczy, że gdyby ktoś przypadkowo wyjrzał przez nie, mógł także zobaczyć jego, mimo ciemności. Popchnął pilota bliżej helikoptera, gdzie byli mniej widoczni z okien budynku.

Sam dołączył do nich i zapytał:

- Jak się nazywasz?

- Malcolm Spencer.

- Jesteś pilotem?

- Tak.

- Gdzie Leonard Dawson?

- W tartaku - odpowiedział Spencer.

- W którym budynku?

- Największym.

- Która kondygnacja? Pierwsza, druga, trzecia?

- Pierwsza, Znajduje się tam pomieszczenie do obsługi klientów z...

- A Ernst Klinger - zapytał Sam. - Gdzie?

- Jest w Black River.

- To nie może być prawda.

- Sir?

- Mówisz, że jest w mieście? - zapytał Paul.

- Zgadza się.

Paul i Sam spojrzeli na siebie.

- Coś nie tak? - spytał pilot. Robił wrażenie zatroskanego.

- Kłamiesz - powiedział Paul.

- Nie, sir. - Spencer był zaskoczony.

- Jestem klucz.

- Jestem zamek. Gdzie jest Klinger?

- W Black River.

Paul wpatrywał się w Sama.

- Chryste!

- Przywiozłeś Klingera i Dawsona do osiedla drwali, prawda? - spytał Sam. - A potem do tartaku?

- Nie. Tylko pana Dawsona. Generał Klinger udał się z osiedla do miasta. - Kiedy?

- Kilka minut po tym, jak się tu znaleźliśmy - powiedział Spencer. Uśmiechnął się niepewnie. Zęby promieniowały mu jeszcze silniejszym blaskiem niż oczy.

- Jak się wyniósł? Helikopterem?

- Nie, sir. Wziął wóz.

- Dlaczego...

Sam, zanim zdążył dokończyć pytanie, krzyknął i upadł, opierając się o helikopter.

W tej samej chwili nocną ciszę rozdarł odgłos pojedynczego strzału karabinowego.

Paul instynktownie rzucił się na ziemię i przetoczył w bok.

Pocisk rozerwał nawierzchnię w miejscu, w którym stał przed chwilą, zrykoszetował w ciemność.

Następny uderzył w tłuczniową nawierzchnię po drugiej stronie Paula, obramował go.

Przetoczył się z pleców na brzuch, usiadł. Od razu dojrzał strzelca. Klęczał na jednym

kolanie w sportowej pozycji strzeleckiej trzydzieści stóp dalej, na skraju lasu. Po drodze do tartaku

Paul naładował powtórnie combat magnum. Teraz uchwycił go oburącz i oddał pięć szybkich

strzałów.

Wszystkie chybiły.

Jednak ostre szczeknięcia rewolweru i śmiertelny gwizd pocisków lecących nad nawierzchnią wytrąciły z równowagi mężczyznę z karabinem. Zamiast skończyć, co zaczął, wstał i zaczął uciekać.

Paul zerwał się na nogi, zrobił za nim kilka kroków i wystrzelił jeszcze raz. Znowu chybił.

Strzelec biegł dużym zakolem na tyły kompleksu tartaczego.

- Sam?

- Tu jestem.

Ledwie widział Sama - ciemne ubranie na ciemnej nawierzchni. Był zadowolony, że chociaż białe włosy i broda starszego pana są widoczne w tych ciemnościach.

- Postrzelił cię?

- W nogę.

Paul podszedł do niego.

- Groźnie?

- Powierzchnowa rana. To był Dawson. Wal za nim, na miłość boską!

- Ale jesteś ranny...

- W porządku. Malcolm zrobi mi opaskę uciskową. Teraz wal za nim, do cholery!

Paul pobiegł. Przy końcu parkingu leżał na ziemi karabin. Być może Dawson upuścił go przypadkowo i był zbyt wystraszony, żeby go podnieść, albo pozbył się karabinu w panice. Paul sięgnął do kieszeni po naboje.

00.15

Drewniane schody skrzypiały pod Klingerem. Staął i powoli odliczył do trzydziestu, pokonał kolejne trzy stopnie i zatrzymał się znowu. Zbyt szybka wspinaczka mogła doprowadzić

do tego, że kobieta i dziewczynka usłyszałyby go, a wtedy wejście na platformę dzwonnicy równałoby się samobójstwu. Miał nadzieję, że stając co trzy stopnie w bezruchu na dłuższą chwilę, wywoła wrażenie, że skrzypienie schodów jest sprawą wiatru.

Posunął się o kolejne trzy stopnie w górę,

00.16

Dawson znikł za rogiem tartaku.

Chwilę później Paul dotarł do tego samego miejsca. Zatrzymał się i rozejrzał po placu.

Stały tu ogromne sagi drewna, przygotowane teraz do pracy na długą zimę, trochę ciężkiego sprzętu, parę ciężarówek do zwózki kłód, taśmociąg biegnący w górę rampy, od tartaku do czeluści ogromnego pieca, w którym spalano trociny i odpadki drewna... Było tu po prostu zbyt wiele miejsc, w których Dawson mógł się zaciąć.

Wrócił drogą, którą przyszedł, do drzwi w zachodniej części budynku, trzydzieści stóp przed rogiem. Nie były zamknięte.

Wszedł do krótkiego, dobrze oświetlonego korytarza. Na jego końcu zaczynała się ogromna hala do obróbki drewna: dźwignik łańcuchowy nad zsuwniami podajników, biegnący od zbiornika wodnego do budynku; potem pilarka poprzeczna, pokład na kłody, wózek podwożący kłody w traki, tnące drewno w deski, gigantyczna pilarka taśmowa, wyrównywarka, przycinarka, napawarka, rampa sortująca, piły do drewna mokrego, a dalej stojaki magazynowe... Zapamiętał wszystkie te terminy z wycieczki, którą kierownik zakładów urządził dla Marka i Ryi dwa lata temu. W hali migwały nagie lampy jarzeniowe, ale żadna maszyna nie pracowała; brakowało ludzi do obsługi. Po prawej stronie znajdowały się natryski i szatnie, po lewej - schody.

Pokonując schody po dwa stopnie naraz - pierwszy poziom miał wysokość dwóch kondygnacji ze względu na maszyny - wbiegł na korytarz pierwszego piętra. Zatrzymał się, zastanowił, ruszył w kierunku piątego pomieszczenia biurowego po lewej stronie.

Drzwi były zamknięte na klucz.

Kopnął dwa razy.

Zamek wytrzymał.

Na ścianie wisiała oszklona szafka. Był w niej wąż przeciwpożarowy i topór strażacki.

Wsunął rewolwer za pas. Otworzył szafkę, wyjął topór. Obuchem tłukł w gałkę od drzwi biura. Wreszcie odpadła i lichy zatrzask puścił. Paul rzucił topór, pchnął zniszczone drzwi, wszedł do środka.

W pokoju było ciemno. Nie zapalił światła, nie chciał ujawniać miejsca swego pobytu.

Zamknął drzwi, żeby na tle słabego światła, bijącego z korytarza, nie zarysowała się jego sylwetka.

Okna północnej ściany biura wychodziły na tarasowy dach. Otworzył jedno, przesadził parapet i wszedł na kryty papą dach.

Wiatr uderzył w niego z całych sił.

Wyjął zza pasa combat magnum.

Jeśli Dawson ukrywa się gdzieś na placu północnym, to stąd będzie można zobaczyć.

Ciemność zapewniła Dawsonowi niezłą kryjówkę. Na placu nie świeciła się żadna lampa.

Paul mógł je włączyć, ale nie wiedział, gdzie są wyłączniki. Poza tym nie chciał tracić zbyt wiele czasu na ich szukanie.

Jedyną rzeczą, która się tam poruszała, był postukujący taśmociąg, toczący się nieprzerwanie w górę rampy do pieca spalającego odpadki. Powinien zostać wyłączony razem z resztą urządzeń, ale zapomniano o nim. Taśmociąg ciągnął się od budynku, dokładnie spod stóp Paula, do najwyższego punktu, dwadzieścia stóp nad poziom gruntu, i dochodził do drzwi pieca czterdzieści jardów dalej. Ponieważ ogień w stożkowym piecu - mierzącym trzydzieści stóp średnicy u podstawy, dziesięć u góry, czterdzieści wysokości - podtrzymywano płomieniem gazowym, nigdy go nie wygaszano, chyba że na rozkaz brygadzysty. Nawet teraz, kiedy taśmociąg

nie dostarczał paliwa, piec ryczał. Jednakże - oceniając po intensywności płomieni buchających poza otwarte drzwi - kilkaset funtów dzisiejszego wsadu dostarczonego z tartaku, nim Dawson wstrzymał prace, zostało jeszcze do pełnego spalania.

Poza tym plac był cichy, spokojny. Zbiornik z gigantycznym chwytakiem, zawieszonym na grubych linach nad środkiem, rozpościerał się po prawej stronie rampy i pieca. Był pocętkowany kłodami, wyglądającymi trochę jak drzemiące aligatory. Wąski kanał, nazywany pochylnią, prowadził od zbiornika do tarasowego dachu. Kiedy tartak pracował, obsługa pochylni przepychała tamtędy kłody do zsuwni. Dalej drewno było wyłapywane dźwignikami łańcuchowymi i wprowadzane do urządzenia do obróbki. Na wschód i północ od zbiornika znajdował się liczący czterdzieści stóp sag wzniesiony z olbrzymich kłód. Był to zapas na zimę. Po lewej stronie rampy i pieca stały tyłem do drucianej siatki, okalającej plac, dwie ciężarówki do zwózki kłód, podnośnik widłowy i kilka innych elementów ciężkiego sprzętu. Nigdzie śladu Dawsona.

Błyskawica i piorun poprzedziły nagłe luniecie grubych kropli deszczu.

Jakiś szósty zmysł podpowiedział Paulowi, że nie tylko piorun zahałasował. Lodowaty impuls kazał mu się odwrócić.

W oknie stał Dawson. Nie dalej niż jard od Paula. Był starszy od niego, o piętnaście lat starszy, ale był również wyższy i cięższy. Wyglądał śmiertelnie groźnie w zacinającej deszczem nocy. I trzymał topór. Cholerny strażacki topór! Oburącz. Uniósł go. Spuścił w dół ze świstem. Klinger był już w połowie schodów, kiedy deszcz znów zaczął padać. Bębnił hałaśliwie w dachówki dzwonnicy i kościoła, idealnie głuszając jego kroki.

Generał odczekał, aby nabrać absolutnej pewności, że ulewa potrwa dłużej - i ruszył w górę bez zatrzymywania. Sam już nawet nie słyszał skrzypienia schodów. Podniesiony na duchu, pewny siebie, z webleyem zaciśniętym w prawej ręce, wspiał się przez drugą połowę wieży w niecałą

minutę i wszedł na platformę dzwonnicy.

Paul przykucnął.

Ostrze topora świsnęło nad jego głową.

Zdumiony własnym krzykiem, niezdolny go powstrzymać, nagle uświadomił sobie, że wciąż trzyma w ręce broń. Pociągnął za spust.

Pocisk przeszył Dawsonowi prawe ramię.

Topór wyfrunął mu z ręki. Pozegłował w ciemność, roztrzaskał przednią szybę w ciężarówce na dole.

Z jakąś przedziwną gracją Dawson wykreślił pirueta, upadł na Paula.

Combat magnum, wirując, podążył śladem topora.

Szczepieni ramionami, objęci, runęli z dachu.

W tropikalnej ulewie szczyt dzwonnicy był ciemny. Klinger dojrzał jednak, że jest tam tylko mała Annendale.

Niemożliwe.

Siedziała na platformie, zwrócona plecami do muru. I spoglądała na niego ze zgrozą.

Co jest, u diabła?

Powinny być dwie. Dzwonnica o powierzchni dziewięciu stóp kwadratowych nie dawała szans na zabawę w chowanego. To, co widział, musiało mu starczyć za prawdę. Ale powinny być dwie.

Grom zakołysał nocą i cienkie jak żyłki białe pioruny dźgnęły ziemię. Wiatr zahuczał w otwartym pomieszczeniu.

Staął nad dziewczynką.

- Proszę... - spoglądała na niego w górę; mówiła trzęsącym się głosem. - Proszę... nie...

zastrzel... mnie.

- Gdzie druga? - zapytał Klinger. - Gdzie poszła?

- Hej, szefie - odezwał się nagle jakiś głos. Za nim. A więc usłyszały, jak wchodził po schodach. Były gotowe i czekały. Poczłł gorzki smak w ustach, dreszcz przebiegł mu po plecach. Zdał sobie jasno sprawę, że nie uratuje już własnej skóry, odwrócił się jednak, by spojrzeć niebezpieczeństwu w twarz.

Za nim nie było nikogo. Następna błyskawica rozświetliła czarną noc, potwierdzając, że wzrok go nie myli - na platformie był tylko on i dziecko.

- Hej, szefie.

Podniósł głowę do góry.

Nad nim, niby monstrualny nietoperz, zwisała czarna kobieca postać. Jenny Edison. Nie mógł dojrzeć twarzy, ale nie miał wątpliwości, kim jest ta osoba. Tak napawał się własnym sprytem, a ona usłyszała go wchodzącego po schodach. Wdrapała się na dzwon, złapała za stalowe rusztowania, oparła o dach, najwyższy punkt łuku. Sześć stóp nad podłogą, jak cholerny gacek.

To już dwadzieścia siedem lat od Korei, pomyślał. Za stary jestem na wypadu komandosów. Za stary...

Nie widział broni, ale wiedział, że spogląda w wylot lufy.

Za jego plecami mała Annendale cofnęła się z linii ognia.

To stało się zbyt szybko, zbyt szybko...

- Przyjemnej podróży, draniu - powiedziała córka Edisona.

Nigdy nie dane mu było usłyszeć strzału.

Dawson wylądował na plecach w połowie rampy. Paul, złapany w niezdarny, ale skuteczny uścisk, wylądował na Dawsonie, pozbawiając oddechu przeciwnika i siebie.

Po trwającym długą chwilę dygocie taśmociąg dostosował się do ciężaru. Szybko poniósł ich głowami w przód w kierunku otwartej paszczy pieca.

Chwytnąjąc powietrze, bez sił, Paul uniósł głowę z ciężko pracującej piersi Dawsona.

Zobaczył przed sobą, w odległości trzydziestu jardów, okrąg żółtych, pomarańczowych i czerwonych płomieni, migających niczym światła piekła.

Dwadzieścia pięć jardów...

Bez tchu, z raną postrzałową w ramieniu, kontuzjowany uderzeniem w głowę podczas upadku na rampę, Dawson nie od razu przejawiał chęć do walki. Ciężko oddychał, krztusił się gęsto padającym deszczem, prychnął wodą, lejącą mu się do nosa.

Taśmociąg klekotał, szedł w górę. Dwadzieścia jardów...

Paul próbował się stoczyć ze śmiertelnej drogi.

Dawson trzymał go zdrową ręką za koszulę.

Piętnaście jardów...

- Puść... ty... draniu! - Paul się obracał, wykręcał, ale nie miał siły się uwolnić.

Palce Dawsona były jak szpony.

Dziesięć jardów...

Reszką sił Paul podniósł rękę do góry i pięścią uderzył Dawsona w twarz.

Dawson puścił koszulę.

Pięć jardów...

Pojękując, palony żarem, Paul rzucił się z rampy na prawo, w dół.

Jak daleko jest do ziemi?

Spadł zdumiewająco łagodnie na posłanie z chwastów i mułu na brzegu zbiornika.

Kiedy uniósł głowę, zobaczył Dawsona - w delirycznym stanie, do końca nieświadomego niebezpieczeństwa - jak wpada głową w przód w trzeszczącą, skwierczącą, szalejącą otchłań pełną ognia.

Jeżeli krzyczał, głos zagłuszył huk gromu, grzmiący niczym uderzenie cymbałów.

ZAKOŃCZENIE

Niedziela, 27 sierpnia 1977

5.00

Stołówka w osiedlu drwali miała kształt prostokąta: osiemdziesiąt na czterdzieści stóp.

Sam i Rya siedzieli przy stole jadalnym na końcu długiego pomieszczenia. Pojedynczy szereg zmęczonych drwali ciągnął się wzdłuż stołówki aż za drzwi w drugim krańcu.

Mężczyźni kolejno podchodzili do stołu. Sam za pomocą programu Klucz-Zamek wszczepiał im w pamięć nowe, inne wspomnienia, a Rya wykreślała nazwiska z listy.

Miedzy trzydziestym a trzydziestym pierwszym nazwiskiem spytała Sama:

- Jak się czujesz?

- A jak ty się czujesz?

- To nie mnie postrzelono.

- Też zostałam zraniona.

- Czuję tylko... że urosłam. I smutek.

- Smutek?

- Tak, ponieważ już nigdy nie będzie tak, jak było. Przenigdy. - Wargi jej zadrżały.

Chrząknęła. - No i jak twoja noga?

- Dłuższa o jard. Pociągnął ją za podbródek. Pociągnęła go za brodę.

Udało mu się wywołać na jej twarzy uśmiech, a to było lepsze lekarstwo niż antybiotyki doktora Troutmana.

6.30

Burzowe chmury rozpędził wiatr. Ranek przyniósł upragnione promienie jesiennego światła.

W gęstym sosnowym lesie, pół mili powyżej Black River, trzech mężczyzn złożyło resztki Dawsona oraz ciała Salsbury'ego i Klingera da wspólnego grobu.

- W porządku - powiedziała Jenny. - Zasypcie.

Z każdą łopatą ziemi spadającą na zwłoki czuła, jak przybywa jej życia.

9.30

Po napełnieniu paliwem zbiorników w Auguście helikopter przypominający szerszenia siadł na lądowisku za domem w Greenwich o dziewiątej trzydzieści rano.

- Weź paliwo i przygotuj go do lotu powrotnego do Black River. Powrót dziś wieczorem - powiedział Paul.

- Tak, sir - odrzekł Malcolm Spencer.

- Potem jedź do domu i prześpij się. Bądź tu z powrotem o siódmej wieczorem. Powinieneś trochę odpocząć.

- Postaram się odpocząć.

Paul wysiadł z helikoptera, przeciągnął się. Przed opuszczeniem Maine wziął prysznic, ogolił się i zmienił ubranie, ale odświeżyło go to na krótko. Teraz znów był sztywny, obolały i zmęczony.

Podszedł do tylnego wejścia kamiennego domu i zapukał.

Otworzyła służąca. Była to pulchna, sympatycznie wyglądająca kobieta w wieku pięćdziesięciu lat. Włosy zaplotła w warkocz. Ręce miała białe od mąki.

- Tak, sir.

- Jestem klucz.

- Jestem zamek.

- Wpuść mnie. - Odstąpiła na bok.

- Gdzie jest komputer? - zapytał, znalazłszy się w środku.

- Co, sir?

- Komputer. Komputer Dawsona.

- Pojęcia nie mam, sir. Kiwnął głową.

- Dobra, zapomnij o mnie. Wracaj do swoich zajęć. - Rozejrzał się po bogato wyposażonej kuchni. - Pieczemy, jak widzę. Nie przeszkadzaj sobie. Zapomnij, że w ogóle tu byłem.

Podśpiewując pod nosem, wróciła do lady obok piekarnika.

Paul odnalazł pokój, w którym stały komputery, wszedł do środka, usiadł przy konsolce i wypisał kod dostępu podany przez Salsbury'ego.

Komputer odpowiedział na wszystkich ekranach: KONTYNUUJ

Paul, stukając jednym palcem, zrobił dokładnie to, co Salsbury mu powiedział. Wydał polecenie:

SKASUJ WSZYSTKIE ZBIORY DANYCH

Pięć sekund później monitor wyświetlił: WSZYSTKIE ZBIÓRY DANYCH

SKASOWANE

Wiadomość zniknęła z monitorów, a kilka sekund później pokazał się drugi rozkaz Paula:

SKASUJ WSZYSTKIE PROGRAMY

Komputer odpowiedział:

ŻĄDAM POTWIERDZENIA OSTATNIEGO POLECENIA

Paul - zmęczony tak, że klawisze rozplływały mu się przed oczami - napisał jeszcze raz:

SKASUJ WSZYSTKIE PROGRAMY

Trzy słowa migotały na zielonym tle przez około pół minuty. Zamrugały kilkakrotnie, znikły.

Wypisał słowa „Black River” i poprosił o odczyt oraz pełny wydruk danych.

Komputer nie wykonał rozkazu.

Następnie Paul wypisał słowa „Klucz-Zamek” i poprosił o odczyt oraz pełny wydruk wszystkich informacji z tego pliku.

Nic.

Zażądał, aby komputer przeprowadził autotest i przedstawił swój schemat na ekranie.

Monitory pozostały puste.

Paul odchylił się na fotelu i zamknął oczy.

Przed laty widział, jak pewien chłopiec stracił palec w szkolnej pracowni stolarskiej.

Odciął go sobie piłą tarczową, równo między drugim a trzecim stawem. Przez kilka minut, kiedy wszyscy wokół bełkotali w panice, chłopiec traktował okrwawiony kikut jak takie sobie zdarzenie.

Nawet podzartowywał. Kiedy jednak jego postawa zaraziła osoby udzielające pierwszej pomocy, nagle opamiętał się, uświadomił sobie własną stratę i ból, i zaczął rozpaczliwie wyc.

Z podobnym opóźnieniem, z narastającą emocją, druzgocącą niczym uderzenie wielkiej ciężarówki w kamienny mur, odczuł śmierć Marka. Zgiął się wpół i po raz pierwszy od chwili, gdy natrafił na porażający widok ciała w zamrażalniku, zapłakał.

18.00

Sam wysiadł z samochodu, przystanął na chwilę i popatrzył na swój sklep.

- Co się stało, tato? - spytała Jenny.

- Po prostu zastanawiam się, ile mogę za niego wziąć.

- Za sklep? Sprzedajesz go?

- Sprzedaję.

- Ale... to jest twoje życie.

- Wyjeżdżam z Black River. Nie mogę tu zostać... wiedząc, że kiedy zapragnę... mogę najzwyczajniej opanować tych ludzi za pomocą hasła... wykorzystać ich...

- Ty byś ich nie wykorzystał - powiedziała, biorąc go pod ramię.

Rya wzięła go pod drugie.

- Ale wiedzieć, że mogę... Takie rzeczy potrafią wyzreć duszę, człowiek gotów zgnieć przez

nie od środka... - Z Jenny i Rya po bokach wszedł po stopniach werandy. Po raz pierwszy w życiu

czuł się stary.

Sobota, 1 października 1977

Poniższy nagłówek pojawił się na dole pierwszej strony „The New York Times”:

PANI

DAWSON,

NIEZADOWOLONA

Z

PRACY

FBI,

WYNAJMUJE

DETEKTYWÓW

Sobota, 8 października 1977

Dwóch boyów wprowadziło ich do apartamentu dla młodożeńców. Na biurku w saloniku znajdowała się kompozycja z goździków i róż, prezent kierownictwa hotelu. Kazała mu wachać kwiaty: najpierw samą różę, potem goździk, a następnie różę i goździk razem.

Potem kochali się długo. Robili to, co każdemu sprawiało największą rozkosz. Miał uczucie, że unosi się nad nią, a ona nad nim, on w niej, a ona w nim. Było to bogate, pełne doznanie. Czuli się po nim nasyceni.

Przez chwilę milczeli, leżąc na plecach, trzymali się za ręce, przymknęli oczy.

- Tym razem było inaczej - odezwała się w końcu.

- Ale nieźle. Przynajmniej jeśli chodzi o mnie.

- Och tak. Zupełnie nieźle. Jeśli chodzi o mnie też.

- Ale?...

- Po prostu... inaczej. Nie wiem. Może coś zyskaliśmy. Myślę, że intensywność. Ale też coś

straciliśmy. Tym razem nie było w tym cienia niewinności.

- Nie jesteśmy już niewinni.

- Chyba już nie - zgodziła się.

Jesteśmy zabójcami, pomyślał, dziećmi lat siedemdziesiątych dwudziestego wieku, synami i córkami ery wielkiej maszyny, istotami niezniszczalnymi.

- No i dobrze powiedział gniewnie. - Starczy. Jesteśmy zabójcami. Ale nawet zabójcy mogą zakosztować trochę szczęścia, a nawet dać trochę szczęścia. Czyż to nie najwspanialsza rzecz na tym padole? Dać trochę szczęścia?

Pomyślał o Marku. Sfałszowany akt zgonu, mały grób obok trumny Annie...

Znów odwrócił się do niej, wziął ją w ramiona i pozwolił, aby świat stał się nie większy niż ich dwa ciała.